

BILL BASS  
JON JEFFERSON

# TRUPIA FARMA

Jak dzięki zmarłym naukowcy rozwiązują  
kryminalne zagadki



„Chyba jest ze mną coś nie tak,  
ale lektura tej książki naprawdę sprawiła mi dużą przyjemność.”

**MARY ROACH**, autorka *Sztywniaka* i *Bzyka*

**Bill Bass, Jon Jefferson**

# **TRUPIA FARMA**

**Sekrety legendarnego laboratorium sądowego,  
gdzie zmarli opowiadają swoje historie**

wstęp Patricia Cornwell  
tłumaczenie Janusz Ochab

**znak** *litera  
nova*



*Dedykowane wszystkim ofiarom morderstw,  
wszystkim, którzy je opłakują*

*oraz wszystkim tym, którzy szukają sprawiedliwości  
w ich imieniu.*



## Gospodarz Trupiej Farmy

Większość ludzi, którzy uczestniczą w międzynarodowych spotkaniach i konferencjach z zakresu medycyny sądowej i nauk sądowych, spędza więcej czasu na poszukiwaniach sal, w których odbywają się poszczególne wykłady, niż na słuchaniu samych wykładów. Ponieważ jestem całkowicie pozbawiona zmysłu orientacji i potrafię zgubić się nawet w hotelu, przegapiłam mnóstwo piętnastominutowych prezentacji i pokazów slajdów, a na innych pojawiałam się zdecydowanie za późno, by chociaż dostać materiały przeznaczone dla słuchaczy.

Znacznie trudniej jest przeoczyć poranne spotkania przy śniadaniu. Odbywają się w jadalni, w której trzy razy dziennie spożywamy posiłki, i trwają co najmniej godzinę, zwykle od siódmej trzydzieści, kiedy wszyscy są zmęczeni i zaspani, a niektórzy zmagają się jeszcze z kacem, lecz mimo to nie mogą się doczekać pokazu slajdów – fotografii ludzi rozszarpanych przez rekiny, niedźwiedzie lub aligatory, ofiar wypadków lotniczych, nieszczęśników rozczłonkowanych na przeróżne i niezwykle sposoby z równie niezwykle powodów, albo też samobójców, którzy uciekli się do tak pomysłowych i drastycznych środków jak młot pneumatyczny lub kusza (w jednym z przypadków, gdy strzała nie uśmierciła od razu zdesperowanego samobójcy, biedak wyjął ją sobie z piersi i strzelił ponownie).

Stali bywalcy takich spotkań, doświadczeni i nieustraszeni, ze stoickim spokojem spożywają swoje porcje jaj na bekonie, nie przejmując się ani trochę przerażającymi widokami i odgłosami. Ja także zaliczałam się do tej grupy, bez zmruczenia oka jadłam śniadanie, robiłam notatki i zachowywałam się jak prawdziwa profesjonalistka, aż do okropnego poranka, gdy do jadalni wszedł legendarny doktor Bill Bass z kilkoma pudłami przeźroczy pod jedną pachą i grubym plikiem kartek pod drugą. Tytuł jego porannego wykładu brzmiał „Trupia Farma” – wbrew temu, co głoszą plotki, to nie ja ukułam taką nazwę jedynej tego typu zakładu badawczego na świecie. Kiedy po raz pierwszy spotkałam skromnego, zabawnego i błyskotliwego doktora Bassa, nigdy jeszcze nie słyszałam o Trupiej Farmie. W ciągu niecałej godziny mimowolnie obrzydził mi do końca życia jajecznicę, tłusty bekon i kaszę kukurydzianą.

– Dobry Boże – jęknęłam przerażona podczas pierwszego pokazu slajdów jego autorstwa, jaki zobaczyłam (zdaje się, że było to w Baltimore). – Nie mogę uwierzyć, że pokazuje nam to wszystko

przy jedzeniu!

Doktor Marcella Fierro, główny lekarz sądowy stanu Wirginia, zignorowała moją uwagę i spokojnie smarowała bułkę masłem, podczas gdy doktor Bass przełączał kolejne slajdy pokazujące, jak szybko ludzkie ciało może się rozłożyć przy gorącej i wilgotnej pogodzie, choćby takiej, jaka panuje latem na południu Stanów Zjednoczonych. Powiodłam spojrzeniem po zatłoczonej jadalni, po wszystkich kryminologach i patologach, którzy robili sobie kanapki, mieszalili kawę albo notowali.

– Boże... – Odsunęłam od siebie talerz, gdy doktor Bass skupił się na czerwiach. – Takich rzeczy nie powinno się pokazywać przy śniadaniu!

– Tss! – Doktor Fierro dźgnęła mnie łokciem pod żebro.

Unikałam takich śniadań i Trupiej Farmy przez wiele lat. Często znajomi naukowcy namawiali mnie, bym odwiedziła ośrodek doktora Bassa w Knoxville w stanie Tennessee.

– Nie – odpowiadałam uparcie.

– Naprawdę powinnaś to zrobić. Tu wcale nie chodzi tylko o rozkładające się ciała, robaki i tak dalej. Chodzi raczej o określanie czasu zgonu, o to czy ciało zostało po śmierci przemieszczone i gdzie leżało najpierw, kim była zmarła osoba, w jaki sposób umarła – i tak dalej, i tak dalej.

Doktor Bass nazywany jest żartobliwie gospodarzem Trupiej Farmy. Gdy w końcu tam dotarłam, tuż za drewnianym ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym znajdowała się skrzynka pocztowa, w której antropolodzy zostawiali sobie notatki i wiadomości. Poczułam się naprawdę przedziwnie, gdy wiedziona charakterystycznym zapachem rozkładających się zwłok, weszłam na Trupią Farmę i ujrzałam skrzynkę pocztową z czerwoną chorągiewką.

– Ta skrzynka nie jest przeznaczona dla naszych mieszkańców – wyjaśnił z zakłopotaniem doktor Bass, jakbym rzeczywiście mogła przypuszczać, że martwi ludzie rozrzucony po terenie całego zakładu korespondują ze swymi krewnymi. – Po prostu nie mamy tutaj telefonu.

Nadal go nie mają. Naukowcy często noszą przy sobie komórki, podobnie jak ja, ale raczej nie wyciągamy ich, mając na dłoniach brudne rękawice ochronne, a do tego gumowce i maski chirurgiczne. Kiedy pracujesz na Trupiej Farmie, rzadko masz ochotę na jakiegokolwiek rozmowy.

Przez całą moją karierę powtarzam, że eksperci sądowi i kryminalistyczni, tacy jak stworzona przeze mnie postać doktor Kay Scarpetty, słyszą opowieści zmarłych. Zmarli mają wiele do powiedzenia, ale mogą ich usłyszeć tylko ludzie odpowiednio wyszkoleni i obdarzeni specyficznym darem. Tylko ci wyjątkowi ludzie potrafią zinterpretować język, który niewielu chce w ogóle słyszeć, a jeszcze mniej zrozumieć.

Witajcie na Trupiej Farmie doktora Billa Bassa, która naprawdę istnieje, w tej właśnie chwili, na zalesionym, przesiąkniętym śmiercią skrawku ziemi za szpitalem na wzgórzach Tennessee. Wielu spośród jej milczących gości przybywa tam na własne życzenie (często dokonują rezerwacji kilka miesięcy albo nawet kilka lat wcześniej, przekazując swe ciała na potrzeby niezwyklej badań

doktora Bassa). Dzień po dniu pokieroszowane, zniszczone ciała wtapiają się w ziemię, rozdrabniane przez ptaki, owady i drapieżniki, które stanowią jedynie część łańcucha pokarmowego, fragment znanej nam i wcale nie przerażającej natury.

Zmiany zachodzące w czymś, co było niegdyś ludzkim ciałem, mogą być tak nieznaczne jak lekkie przesunięcie cienia lub równie dramatyczne jak pożar w jednym ze starych, zardzewiałych samochodów rozrzuconych po Trupiej Farmie. Lata przychodzą i odchodzą, podobnie jak zmarli, którzy zamieniają się w proch i pył, a żmudna praca doktora Bassa i jego kolejne przekłady pozwalają doskonalić sekretny język, dzięki któremu niegodziwców spotyka zasłużona kara, a niewinni zostają uwolnieni od niesłusznych oskarżeń.

*Patricia Cornwell*



## Kości Orłęcia

Garstka drobnych kostek na mej dłoni: oprócz pozółkłych wycinków z gazet, trzeszczącej relacji filmowej sprzed lat i bolesnych wspomnień, to wszystko, co zostało po „procesie stulecia”.

Określenie to pojawia się w mediach dość często, ale w tym wypadku można by je uznać za uzasadnione. Siedem lat po „Małpim procesie” J.T. Scopesa i pół wieku przed upadkiem O.J. Simpsona Ameryka żyła śledztwem i procesem o morderstwo, o którym informacje trafiły na pierwsze strony gazet na całym świecie. Teraz ja miałem zdecydować, czy sprawiedliwości stało się zadość, czy też przez pomyłkę stracono niewinnego człowieka.

Sprawa dotyczyła porwania i śmierci małego chłopca, niejakiego Charlesa Lindbergha Juniora, zwanego powszechnie „dzieckiem Lindbergha”.

W 1927 roku Charles Lindbergh, były pilot wyczynowy i pracownik poczty lotniczej, jako pierwszy człowiek w historii przeleciał samotnie nad Oceanem Atlantyckim. Jego mały, jednosilnikowy samolot „Spirit of St. Louis” nie miał na wyposażeniu radiostacji, sekstansu ani spadochronu, a Lindbergh pilotował go bez chwili wytchnienia przez trzydzieści sześć godzin z rzędu. Nim doleciał do wybrzeży Francji, wieść o jego wyczynie dotarła do Paryża, a tysiące Francuzów zebrały się na lotnisku, by go przywitać. W chwili gdy wylądował, 5800 kilometrów od lotniska w Nowym Jorku, zmienił się świat i zmieniło się życie samego Lindbergha. Ten wyczyn przyniósł mu sławę, bogactwo i dwa przezwiska – „Lindy Szczęściarz”, którego nienawidził, oraz „Samotny Orzeł”, które pasowało zarówno do jego niezwykłego lotu, jak i samotniczej natury.

Pięć lat po tym, jak stał się znaną osobistością, Lindbergh zamieszkał wraz ze swą żoną Anne w położonej na uboczu rezydencji w New Jersey. Mieli dwudziestomiesięcznego syna, którego nazwali Charles Junior, ale dziennikarze ochrzcili go „Orłędziem”. Był to okres rozkwitu prasy brukowej, a sprytni reporterzy i wydawcy wiedzieli, że artykuły o życiu Lindbergha – czy też w jakikolwiek sposób związane z jego osobą – z pewnością doskonale się sprzedadzą. Dlatego też gdy dziedzic i imiennik Charlesa Lindbergha został porwany, w mediach podniosła się wielka wrzawa. Sprawa ta przyciągnęła więcej dziennikarzy niż pierwsza wojna światowa. Listy z żądaniami okupu – początkowo porywacz domagał się 50 000 dolarów, potem podniósł tę kwotę do 70 000 – trafiły na pierwsze strony gazet i do kronik filmowych, podobnie jak napływające z całej Ameryki doniesienia

o tym, że dziecko Lindberghów zostało odnalezione całe i zdrowe. Jednak wszystkie te zapewnienia i nadzieje okazały się płonne, gdy dwa miesiące po porwaniu, w lesie, w odległości kilku kilometrów od domu Lindberghów, znaleziono ciało małego dziecka. Zwłoki znajdowały się w stanie rozkładu, ponadto brakowało lewej nogi poniżej kolana oraz lewej dłoni i prawego ramienia, które prawdopodobnie zostały zjedzone przez zwierzęta.

Na podstawie rozmiarów ciała, ubrania i charakterystycznej wady fizycznej prawej stopy – trzech zachodzących na siebie palców – szybko zidentyfikowano zwłoki jako należące do dziecka Lindberghów. Następnego dnia ciało spalono, a zrozpaczony Charles Lindbergh ponownie poleciał nad Atlantyk, tym razem rozsypać prochy swego syna. Nikt już nie nazywał go Lindym Szczęściarzem.

Jakiś czas później policja zatrzymała niemieckiego emigranta Bruna Hauptmanna, z zawodu stolarza. Krokwie z jego garażu wykorzystane zostały do sporządzenia drabiny, po której porywacz wspiął się do sypialni dziecka, położonej na pierwszym piętrze domu Lindberghów. Hauptmann został aresztowany, gdy policja znalazła u niego znaczną część pieniędzy z okupu. Został oskarżony o porwanie i morderstwo. Podczas obdukcji ustalono, że czaszka dziecka była pęknięta, choć mógł być to wynik upadku z dużej wysokości, gdyż podczas porwania drabina się złamała. Pomimo zarzutów, że część dowodów oskarżenia była wątpliwa lub sfabrykowana, Hauptmann został uznany za winnego. Umarł na krześle elektrycznym w kwietniu 1936 roku.

Pięćdziesiąt lat po tej zbrodni, w czerwcu 1982 skontaktował się ze mną adwokat reprezentujący wdowę po Brunie Hauptmannie, Annę. Choć od egzekucji minęło już tyle czasu, pani Hauptmann wciąż próbowała oczyścić imię swego męża. Jej jedyną szansą była garść drobnych kości. Policja stanu New Jersey zebrała je na miejscu przestępstwa po spaleniu ciała dziecka i starannie przechowywała do tej pory. Na prośbę adwokata pani Hauptmann pojechałem do Trenton, by sprawdzić, czy tych kilka kostek może w jakikolwiek sposób dowieść, że zwłoki zostały mylnie zidentyfikowane – że pośpiech towarzyszący temu procesowi doprowadził do straszliwej pomyłki sądowej. Pani Hauptmann modliła się zapewne, by były to kości młodszego lub starszego chłopca albo też dziewczynki w jakimkolwiek wieku; jakiegokolwiek, byle nie należące do Charlesa Lindbergha Juniora.

Byłem jej ostatnią nadzieją – małomiasteczkowy naukowiec, który tamował ruch przy punkcie pobierania opłat za autostradę, pytając o drogę do siedziby policji stanowej New Jersey.

Droga, która przywiodła mnie do Trenton, była długa i fascynująca, przy czym nie mam tu na myśli autostrady przecinającej New Jersey. Mówię o szlaku, który niegdyś prowadził mnie ku spokojnej karierze psychologa, po czym zboczył nieoczekiwanie w kierunku zwłok, miejsc zbrodni i sal sądowych.

Moja kariera eksperta sądowego rozpoczęła się w wyniku wypadku, który miał miejsce wczesnym rankiem w pobliżu miejscowości Frankfort w stanie Kentucky, zimą 1954 roku. W mglisty wilgotny poranek na dwupasmowej drodze zderzyły się dwie ciężarówki, które natychmiast stanęły w ogniu.

Gdy w końcu ogień wygasł, we wnętrzu pojazdów znaleziono trzy zwęglone ciała. Bez trudu zidentyfikowano dwóch kierowców, lecz tożsamość trzeciej ofiary pozostała tajemnicą.

Zbieg okoliczności sprawił, że kilka miesięcy po tym wypadku gazeta „The Saturday Evening Post” zamieściła artykuł o doktorze Wiltonie M. Krogmanie, najsłynniejszym „detektywie kości” lat czterdziestych i pięćdziesiątych minionego wieku. Krogman był antropologiem fizycznym, który wraz z dwoma kolegami z Instytutu Smithsona właściwie stworzył naukę zwaną antropologią sądową. Uważano go za tak wielki autorytet w dziedzinie medycyny sądowej, że pod koniec drugiej wojny światowej rząd Stanów Zjednoczonych trzymał go w pogotowiu, by w razie potrzeby zidentyfikował szczątki Adolfa Hitlera. Okazało się jednak, że Rosjanie dotarli wcześniej do wypalonego bunkra zawierającego kości Führera, Krogman nie miał więc okazji przyjrzeć mu się z bliska. Zajmował się jednak wieloma innymi sprawami, które dostarczali mu zarówno policjanci, jak i FBI.

W artykule Krogman wymienił nazwiska kilku innych naukowców, którzy również specjalizowali się w identyfikowaniu ludzkich szczątków kostnych. Jednym z nich był doktor Charles E. Snow, nauczyciel antropologii na Uniwersytecie Kentucky, gdzie studiowałem psychologię. Uniwersytet, doktor Snow i ja znajdowaliśmy się w Lexington, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od miejsca porannego zderzenia ciężarówek. Choć wówczas nie miałem o tym pojęcia, to zderzenie miało wkrótce odmienić bieg wypadków w moim życiu.

Pewien prawnik z Lexington, który przeczytał ów artykuł, uświadomił sobie, że doktor Snow być może będzie w stanie zidentyfikować trzecią ofiarę ognistej kraksy. Zadzwoił więc do niego, a ten chętnie zgodził się zbadać szczątki. W owym czasie z czystej ciekawości uczęszczałem na kurs antropologii prowadzony przez doktora Snowa. Po rozmowie z prawnikiem doktor zapytał mnie, czy zechciałbym towarzyszyć mu podczas identyfikacji ludzkich szczątków. Miałbym dzięki temu okazję zastosować w praktyce techniki naukowe, o których do tej pory tylko czytałem. Dlaczego zaproponował to właśnie mnie? Być może docenił mój młody i błyskotliwy intelekt; a może skłonił go do tego fakt, że miałem samochód, który mógł nas tam zawieźć. Tak czy inaczej, skwapliwie skorzystałem z tej okazji.

Ciało zostało pogrzebane kilka miesięcy wcześniej, prawnik musiał więc zebrać dokumenty potrzebne do przeprowadzenia ekshumacji. Pewnego ciepłego wiosennego ranka, w kwietniu 1955, pojechałem wraz z doktorem Snowem na mały cmentarz położony obok wiejskiego kościółka w środkowo-wschodniej części Kentucky. Nim dotarliśmy na miejsce, grób został już rozkopany, a trumna wyjęta. Wiosenne deszcze podniosły poziom wód gruntowych niemal do samej powierzchni ziemi, więc trumna zanurzona była w wodzie. Gdy wyciągnięto ją z ziemi, brudne strumienie wylewały się z każdej szpary.

Ciało był spalone, zgniłe i rozmokłe – w niczym nie przypominało nieskazitelnie czystych fragmentów kości, które badałem w uniwersyteckim laboratorium osteologicznym. Próbkę poddawane

tradycyjnym badaniom antropologicznym są czyste i suche; materiał wykorzystywany podczas badań sądowych jest zwykle mokry i śmierdzący. Lecz i takie sprawy są niezwykle intrygujące; to zagadki naukowe, które czekają na rozwiązanie, nieodkryte jeszcze sekrety dotyczące życia i śmierci.

Sądząc po niewielkich rozmiarach czaszki, szerokości otworu miednicznego i kształcie łuku brwiowego, kości te należały do kobiety, co nie uszło nawet memu niewprawnemu oku. Nieco trudniejsze było określenie jej wieku: zęby mądrości były już w pełni uformowane, z pewnością więc była dorosła, ale ile miała lat? Zygzakowate łączenia w czaszce, zwane szwami, były już w większości zrosnięte, lecz nadal doskonale widoczne, co świadczyło o tym, że kobieta mogła mieć trzydzieści lub czterdzieści kilka lat.

Jak się okazało, policja miała już pewne przypuszczenia dotyczące tożsamości trzeciej ofiary wypadku. Zadaniem doktora Snowa było jedynie potwierdzić lub odrzucić te przypuszczenia. W dniu zderzenia zaginęła bez wieści pewna kobieta ze wschodniej części Kentucky; co więcej, w wieczór poprzedzający tę katastrofę jej sąsiedzi słyszeli przypadkiem, jak mówiła, że wybiera się do Louisville z kierowcą ciężarówki, z którym była związana od dłuższego czasu.

Prawnik, który zwrócił się o pomoc do doktora Snowa, zdobył już wcześniej dokumentację medyczną zaginionej kobiety i zdjęcia rentgenowskie jej uzębienia. Uzbrojony w te dane doktor Snow porównał szybko zęby oraz wypełnienia zmarłej z tymi, które widoczne były na zdjęciach, i potwierdził jej tożsamość, dając tym samym prawnikowi solidne podstawy do wysuwania roszczeń spadkowych w imieniu jej żyjących krewnych. Wyglądało na to, że pechowa kobieta i jej partner zginęli, gdy druga ciężarówka zjechała na przeciwny pas i doprowadziła do zderzenia czołowego. Ciężarówka ta należała do dużej, ogólnokrajowej sieci sklepów spożywczych – The Great Atlantic & Pacific Tea Company, inaczej A&P – więc w sądzie można było powalczyć o spore odszkodowanie.

Doktor Snow otrzymał za tę konsultację dwadzieścia pięć dolarów; wręczył mi pięć dolarów za to, że zawiozłem go na cmentarz. Podejrzewam, że prawnik wyciągnął z kasy A&P znacznie większe pieniądze.

Nie wzbogaciłem się szczególnie tamtego dnia, ale z pewnością połknąłem bakcyła. Byłem zafascynowany tym niezwykłym procesem, dzięki któremu spalone i połamane kości pozwoliły na identyfikację ofiary, na rozwikłanie zagadki, zamknięcie ciągnącej się od lat sprawy. Postanowiłem, że od tej chwili skupię się na medycynie sądowej. Zrezygnowałem z doradztwa, zająłem się antropologią i zacząłem nadrabiać stracony czas.

Rok później, w 1956, zostałem przyjęty na studia doktoranckie na Uniwersytecie Harvarda. Wydział Antropologii na Harvardzie uważany był za najlepszy w kraju, z pewnością więc było to dla mnie duże wyróżnienie, nie przyjąłem jednak tej propozycji. Tylko w jednym miejscu mogłem się uczyć tego, czego chciałem: w Filadelfii, pod okiem słynnego detektywa kości, Wiltona Krogmana.

We wrześniu przyjechałem do Filadelfii, aby rozpocząć studia doktoranckie na Uniwersytecie Pensylwanii. W czasie wakacji pracowałem w Instytucie Smithsona, gdzie zmierzyłem i zbadałem

setki szkieletów Indian północnoamerykańskich. Miałem wtedy dwadzieścia siedem lat – spędziłem trzy lata w wojsku podczas wojny koreańskiej – i rodzinę: młodą i błyskotliwą żonę Ann – która później zrobiła doktorat w dziedzinie dietetyki – oraz półrocznego synka Charliego. Uznaliśmy, że nie stać nas na mieszkanie w śródmieściu, i wynajęliśmy niewielkie mieszkanie kilka kilometrów na zachód od centrum Filadelfii.

Wkrótce po rozpoczęciu semestru doktor Krogman spadł ze schodów w swoim domu i doznał skomplikowanego złamania nogi. Zwykle dojeżdżał na uniwersytet autobusem, ale z nogą w gipsie sięgającym pachwiny nie poradziłby sobie z chodzeniem na przystanek ani z wsiadaniem do autobusu. Ponieważ on także mieszkał na zachód od centrum, zaproponowałem, że będę go podwoził do pracy i przywoził do domu, dopóki nie wydobrzeje. Myślałem wtedy, że będziemy jeździć razem na uczelnię przez dwa, może trzy miesiące, okazało się jednak, że trwało to dwa i pół roku. Oczywiście proces rekonwalescencji nie trwał tak długo, ale nim Krogman pozbył się gipsu, ja znalazłem nowego mentora, a on nowego ucznia.

Co ciekawe, na uniwersytecie uczęszczałem tylko na jeden kurs prowadzony przez Krogmana, lecz wszystkie te godziny spędzone w samochodzie stały się dla mnie czymś w rodzaju prywatnych lekcji, których udzielał mi najlepszy detektyw kości na świecie. Można powiedzieć, że była to współczesna wersja dialogów Sokratesa, lecz w odróżnieniu od Platona ja miałem wielkiego nauczyciela wyłącznie dla siebie.

Krogman dawał mi listę tekstów do przeczytania, a potem rozmawialiśmy o nich w drodze na uczelnię i z powrotem. Miał fantastyczną pamięć do autorów, dat i tytułów publikacji, a także do opisywanych w nich szczegółów. Potrafił również w fenomenalny sposób integrować wiedzę z różnych źródeł i stosować ją do rozwiązywania problemów kryminalnych.

Krogman nie ograniczał tych lekcji wyłącznie do czasu spędzonego w moim samochodzie. Gdy tylko dostawał jakiś materiał do identyfikacji – kilka kości od bezradnego lekarza sądowego lub agenta FBI – wzywał mnie do swojego laboratorium. Najpierw badał uważnie wszystkie kości i wyrabiał sobie opinię, lecz nie dzielił się nią ze mną. Potem prosił, bym ja również je obejrzał i samodzielnie wyciągnął wnioski. Gdy w końcu porównywaliśmy nasze teorie, domagał się, bym wspierał i uzasadniał swoje twierdzenia danymi z najnowszych artykułów naukowych na ten temat. Zawsze był zaskoczony, gdy dostrzegałem coś, co on przeoczył. Nie zdarzało się to często, ale kiedy już się zdarzyło, rozpierała mnie duma.

Ta metoda nauczania okazała się niezwykle skuteczna. Nie tylko pomagała zapamiętać nowy materiał, ale przygotowywała mnie również do wystąpień w sądzie oraz prowadzenia sporów z wrogo nastawionymi prawnikami – co w późniejszych latach musiałem robić wiele razy, choć wówczas oczywiście nie mogłem tego przewidzieć. W owym czasie wiedziałem jedynie, że Krogman prowadzi mnie, sprawa po sprawie i kość po kości, cudowną i fascynującą drogą.

Niestety, wkrótce ta droga się rozwidliła. Opuściłem Pensylwanię w styczniu 1960 roku, przyjmując posadę wykładowcy na Uniwersytecie Nebraski, a dziewięć miesięcy później przeniósłem się na Uniwersytet Kansas w Lawrence, gdzie nauczałem przez kolejne jedenaście lat. Jednak moja znajomość z Krogmanem wcale nie dobiegła końca. Zawsze utrzymywaliśmy bliskie kontakty, zarówno prywatne, jak i zawodowe. Gdy w czerwcu 1982 roku wszedłem na schody budynku z czerwonej cegły, w którym mieściła się Komenda Główna Policji Stanu New Jersey, przekonałem się, że znów kroczę śladami Wiltona Krogmana.

Pięć lat wcześniej, w 1977 roku, Prokurator Generalny Stanu New Jersey poprosił Krogmana o zbadanie tych samych szczątków. Ze względu na niejasności otaczające sprawę Lindbergha rozważano wówczas ponowne otwarcie śledztwa. Bazując na wynikach analizy przeprowadzonej przez Krogmana, odstąpiono jednak od tego zamiaru. Teraz ja miałem zająć się tą sprawą, tym razem na prośbę wdowy po skazanym zabójcy.

Do tego czasu zapewniłem sobie już własną pozycję w świecie nauki: byłem szefem doskonale rozwijającego się Wydziału Antropologii na Uniwersytecie Tennessee w Knoxville, a także instytucji nazwanej później Trupią Farmą, jedyne na świecie ośrodka naukowego, który zajmuje się badaniami nad rozkładem ludzkiego ciała. Zostałem również członkiem Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych (American Academy of Forensic Sciences) i pełniłem funkcję prezesa sekcji antropologii fizycznej tej organizacji. Poddałem badaniom tysiące szkieletów i uczestniczyłem w ponad stu sprawach wymagających ekspertyzy sądowo-lekarskiej. Mimo to byłem zdenerwowany i niepewny, czułem się jak Pigmej kroczący śladami olbrzyma. Byłem drugim w historii antropologiem, któremu pozwolono zbadać słynne kości Lindbergha.

Wprowadzono mnie do sali położonej w podziemiach budynku komendy. Kilka minut później jakiś urzędnik przyniósł mi kartonowe pudełko z materiałem dowodowym. W środku leżało pięć szklanych fiolek. Jedna z nich była pęknięta i owinięta bezbarwną taśmą. Pierwotnie w takich fiolkach przechowywano drogie cygara, chroniąc je przed zwiędzeniem. Teraz, zatkane korkami, strzegły przed uszkodzeniem dwanaście maleńkich kości – kości będących symbolem śmierci niewinnego dziecka oraz ostatniej nadziei starzejącej się wdowy.

Dwie spośród tych kości bez wątplenia były pochodzenia zwierzęcego – pięciocentymetrowy fragment żebra sporego ptaka, być może kuropatwy lub przepiórki, oraz mały łuk kręgowy, prawdopodobnie tego samego ptaka. Na obu widniały ślady zębów – niewykluczone, że tego samego psa – lub psów – który odgryzł rączki martwego dziecka ukrytego w lesie.

Największa spośród dziesięciu ludzkich kości – kość piętowa lewej stopy – miała około trzech centymetrów średnicy; dla niewprawnego oka wyglądała jak drobina żwiru. W sumie cztery kości pochodziły z lewej stopy, dwie z lewej dłoni i cztery z prawej dłoni. Choć od śmierci dziecka minęło już pół wieku, na niektórych wciąż można było znaleźć fragmenty tkanki, drobiny brudu, a nawet kilka włosów.

Kości wydawały się nienaruszone, nie nosiły śladów żadnych urazów, żadnych uszkodzeń, które mogłyby wskazywać na przyczynę śmierci. Jedyny element kostnego materiału dowodowego, który mógł pomóc w określeniu tej przyczyny – mała pęknięta czaszka – został spalony kilka godzin po tym, jak Charles Lindbergh zidentyfikował zwłoki swojego synka. Kości, które trzymałem w dłoni – dziesięć małych drobin rąk i stopy – zostały odnalezione w dziesięciu koszach liści i gałązek zebranych z leśnego poszycia w ciągu kilku dni po odnalezieniu ciała. Policja miała nadzieję, że znajdzie tam jakieś odpowiedzi – broń, którą dokonano zabójstwa, odciski palców, przedmioty, które pozwolą określić, kto porwał dziecko i co się z nim stało – lecz musiała zadowolić się tylko tą garstką drobnych kości, które rzucały bardzo mało światła na sprawę.

Pięćdziesiąt lat później nadal niewiele można było z nich wyczytać. Szkielety małych dzieci są właściwie obojnacze; nie da się w żaden sposób określić ich płci, można jedynie mierzyć i porównywać kości z fragmentami szkieletów innych dzieci na podobnym etapie rozwoju. Dlatego właśnie przyniosłem ze sobą dwie najlepsze publikacje dotyczące tego tematu: *Radiograficzny atlas rozwoju szkieletowego stopy i kostki* oraz *Radiograficzny atlas rozwoju szkieletowego dłoni i nadgarstka*. Obie zawierały szczegółowe opisy i analizy oparte na zdjęciach rentgenowskich setek dziecięcych stóp i dłoni. Z danych zamieszczonych w publikacjach wynikało, że kości dłoni i stopy zamknięte w szklanych fiolkach były nieco większe od kości półtorarocznego chłopca i nieco mniejsze od kości chłopca dwuletniego. Potrzebowałem niecałych dwóch godzin, by dojść do tego samego wniosku, który pięć lat wcześniej wysnuł mój mentor, doktor Krogman; żadna cecha badanych kości nie pozwalała obalić twierdzenia, że są to szczątki dziecka rasy białej, płci męskiej, w wieku około dwudziestu miesięcy. Dwudziestomiesięcznego Charlesa Lindbergha Juniora: Orlecia.

Gdy wsuwałem kości z powrotem do szklanych fiolek i zamykałem je korkiem, uświadomiłem sobie nagle, jak niewiele zostało po tym niezwykłym dziecku, jak nikły ślad znaczył zniknięcie tej cudownej obietnicy, świetlanej przyszłości, która mogła czekać Charlesa Lindbergha Juniora; więzi, które mógł nawiązać ze swoim słynnym ojcem; dumy, którą ten mógł odczuwać, gdy jego syn osiągnąłby dorosłość i być może sam rozwinął skrzydła, pilotując samoloty, a może i statki kosmiczne.

W 1982 roku miałem już trzech zdrowych synów, najstarszy liczył sobie dwadzieścia sześć lat, średni dwadzieścia, a najmłodszy osiemnaście. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, co czuł Charles Lindbergh, gdy stracił jedyne dziecko w tak straszliwych okolicznościach. Wiedziałem jednak, co znaczy stracić ukochaną osobę w wyniku niespodziewanego, gwałtownego i bezsensownego wypadku, wiedziałem też, jak łatwo może dojść do podobnej tragedii: szczebel w zbitej naprędce drabinie pęka, a porwanie zamienia się nagle w morderstwo; palec młodego i obiecującego prawnika zaciska się na spuście, a pocisk zostawia krwawy ślad na życiu innych ludzi. Na moim życiu.

Stało się to w marcu 1932 – za sprawą zupełnie przypadkowego i dziwnego zbiegu okoliczności dokładnie w tym samym czasie, gdy Bruno Hauptmann przygotowywał swą pechową drabinę. Miałem

wtedy trzy i pół roku, byłem dwa razy starszy od dziecka Lindbergha. Mój ojciec Marvin pracował w mieście Staunton w stanie Wirginia. Był młodym, dobrze zapowiadającym się adwokatem, inteligentnym i przystojnym. Ożenił się ze swoją ukochaną z dzieciństwa, Jennie (dwadzieścia lat wcześniej zostali wybrani na króla i królową Słupa Majowego), mógł też liczyć na obiecującą karierę w polityce. Brał już udział w wyborach na prokuratora stanowego; co prawda nie wygrał, ale miał dopiero trzydzieści lat i wiele kolejnych szans przed sobą – a przynajmniej tak się wszystkim wydawało.

Mieszkaliśmy w piętrowym białym domu przy Lee Street, trzy kilometry od centrum miasta, obok sadu jabłkowego. Niewiele pamiętam z tamtych czasów, ale jedno wspomnienie ojca – ojca i mnie – pozostaje krystalicznie czyste i wyraźne: był to niedzielny poranek, pojechaliśmy naszym wielkim czarnym dodge'em do miasta, żeby kupić gazetę. (Tata dorastał w czasach największej popularności modelu T fordą, ale słyszał, jak jego ojciec powtarzał w nieskończoność, że fordysy zrobione są z cyny i „do niczego się nie nadają”).

Tata zatrzymał dodge'a na rogu ulicy, obok stoiska gazeciarza. Sięgnął do moich drzwi, odsunął okno, potem wręczył mi dziesięciocentówkę i poprosił, bym zapłacił za gazetę. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu – ze strachu? wstydu? – pokręciłem przecząco głową i wtuliłem się w niego. On uśmiechnął się dobrodusznie, wziął ode mnie monetę i podał ją gazeciarzowi.

Mam kilka zdjęć tego przystojnego młodego prawnika, po którym dostałem imię. Na niektórych trzyma mnie na rękach, na innych stoi obok mej matki. Na większości się uśmiecha. Byliśmy szczęśliwi – on był szczęśliwy – w tamtych czasach, a przynajmniej tak je zapamiętałem.

Najwyraźniej jednak moja pamięć nieco szwankuje, bo nie znajduję w niej nic, co zapowiadałoby nadciągającą tragedię. Pewnego środowego popołudnia, wkrótce po naszej wspólnej wyprawie po gazetę, ojciec zamknął drzwi swojego gabinetu i zastrzelił się. Była wczesna wiosna, wkrótce miały zakwitnąć jabłonie w sadzie, ceny amerykańskich produktów rolniczych zaczęły w końcu rosnać, a mój ojciec wpakował sobie kulę w głowę.

Kilkadziesiąt lat później, podczas jedynej, krótkiej rozmowy o samobójstwie ojca, jaką kiedykolwiek odbyliśmy, mama zdradziła mi, że na prośbę jednego ze swych klientów ojciec zainwestował jego pieniądze i stracił wszystko, gdy na giełdzie doszło do krachu. Być może nie potrafił spojrzeć w oczy ludziom, których pieniądze stracił, a być może nie potrafił spojrzeć w oczy samemu sobie; kto może to wiedzieć? Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, jako człowiek o czterdzieści lat starszy niż mój ojciec w chwili, gdy popełnił samobójstwo, wciąż myślę: „Mogłeś to przeczekać. Gdybyś wytrzymał jeszcze trochę, wszystko by się ułożyło”. Lecz z jakiegoś powodu ojciec nie widział żadnego wyjścia z tej sytuacji, nie wierzył, że takie wyjście w ogóle istnieje. I poddał się.

W chwili gdy pociągnął za spust, zniknął z mojego życia – z życia nas wszystkich – i do dziś dnia



pozostaje poza naszym zasięgiem. Wciąż za nim tęsknię. Wyobrażam sobie, co robilibyśmy razem, gdybym dorastał w jego obecności. Brakuje mi jego ojcowskich i prawniczych rad, gdy wybieram się na proces, by stanąć na miejscu dla świadka i odpowiadać na agresywne pytania. Mam ponad siedemdziesiąt lat, ale nadal płaczę jak dziecko, gdy przypominę sobie, jak odmówiłem prośbie ojca i nie zapłaciłem gazeciarsowi. Gdybym się tylko odważył! Być może sprawiłbym tacie przyjemność; być może uśmiechnęłyby się wzruszony dzielnością malca, być może zrobiłoby mu się lżej na duszy i sam nabrałoby odrobinę więcej odwagi, być może właśnie ta odrobina przeważałaby szalę i odwiodła go od samobójstwa.

Ironia losu, prawda? Można by pomyśleć, że człowiek dotknięty cieniem śmierci w tak wczesnym wieku powinien mieć jej dość na resztę życia i trzymać się od niej z daleka. A jednak codziennie zajmuję się śmiercią. Od dziesięcioleci stale jej szukam i nurzam się w niej.

Być może wciąż próbuję udowodnić, że nie brak mi odwagi, sięgnąć nad przepaścią lat i śmiertelności, która dzieli mnie od ojca. A być może, gdy dotykam kości zmarłych, próbuję jakoś dotknąć *jego*, tej jedynej zmarłej osoby, która wciąż mi się wymyka.

Tamtego dnia w 1982 roku, gdy zszedłem do podziemi Komendy Głównej Policji Stanu New Jersey, nie znalazłem w pięciu szklanych fiolkach, w dziesięciu kościach dziecka niczego, co mogłoby poszerzyć moją wiedzę na temat śmierci dziecka Lindbergha. Niczego, co mogłoby obalić argumenty i dowody przedstawione podczas procesu Bruna Hauptmanna. Niczego, co mogłoby ożywić nadzieję, którą wdowa po Hauptmannie nosiła w sercu od półwiecza.

Anna Hauptmann podobnie jak my – Lindberghowie i ja – straciła ukochaną osobę. Umiłowanego męża, ale i skazanego prawomocnym wyrokiem mordercę, który będzie pozostawał poza jej zasięgiem aż do chwili, gdy i ona zostawi swoich bliskich, aby się z nim ponownie połączyć.

Być może właśnie tego dnia wreszcie w pełni go odzyska i zrozumie. Być może wkrótce i ja wymknę się tym, z którymi żyję, którzy mnie kochają i powinni mnie znać, być może wtedy odzyskam utraconego przed laty ojca.

Na razie jednak szukam innych ludzi pośród umarłych. Na razie udaje mi się odnaleźć wielu z nich, od zmarłych przed wiekami Indian po ofiary współczesnych morderstw. Setki i tysiące innych.

# Martwi Indianie i budowniczy tamy

Niebo nad równinami Dakoty Południowej miało odcień głębokiego granatu, który w górnych częściach nieboskłonu przechodził niemal w fiolet. Na zachodzie piętrzyły się wysokie cumulusy zrzucające szarą zasłonę deszczu, który wyparowywał na długo przed tym, zanim sięgnął gruntu. Z wysokości trzech kilometrów, z okna samolotu, widziałem ogromną połąć pofałdowanej prerii. Większość traw i krzewów była już brązowa, podobnie jak mętna i błotnista Missouri, która wypływała zakolami zza horyzontu na północnym zachodzie i znikła, jeszcze mętniejsza, na południowym wschodzie. Podobno jedynymi skrawkami zieleni były niewielkie kręgi bujnej trawy zdobiące zbocza wzgórz ciągnących się wzdłuż rzeki, gdzieś na północy, gdzie niegdyś znajdowała się wioska Indian Arkada. Było lato 1957 roku, otwierały się przede mną nowe, szerokie horyzonty, a ja dosłownie nie posiadałem się z podniecenia.

Chwilę później, gdy warkot silników nieco przycichł, a samolot DC-3 tanich linii lotniczych Frontier Airlines zaczął obniżać lot i przedzierać się przez obszar turbulencji, do głosu doszło całkiem inne wrażenie: nudności spowodowane chorobą lokomocyjną, moją piętą achillesową. Na szczęście samolot dotknął kołami ziemi, nim moje śniadanie zdecydowało się opuścić żołądek.

Wylądowaliśmy w Pierre późnym rankiem. Garść pasażerów opuściła samolot przez owalny otwór drzwiowy, zeszła po schodach i udała się do pobielonego budynku terminala, złożonego z jednego tylko pomieszczenia. Rozejrzałem się dokoła, szukając Boba Stephensona, archeologa z Instytutu Smithsona, który miał mnie odebrać z lotniska. Nigdzie go nie było. Wkrótce pozostali pasażerowie się rozeszli, a ja zostałem sam w pustej poczekalni, z dala od domu.

Wieża kontrolna w Pierre przypominała szaląs ustawiony na palach. Po chwili wspiałem się do niego i spytałem kontrolera, czy zna archeologów pracujących w pobliżu miasteczka. Wyjaśniłem mu również, że doktor Stephenson obiecał mnie odebrać i zawieźć na wykopaliska.

– Och, pewnie utknął gdzieś w błocie – stwierdził kontroler. – Wczoraj nieźle popadało, a kiedy spadnie u nas większy deszcz, robi się naprawdę nieciekawie.

Bob dotarł na miejsce późnym popołudniem, skruszony i ubłocony. Rzeczywiście, utknął w błocie na kilka ładnych godzin. Wtedy nawet nie przyszło mi to do głowy, ale i ja miałem utknąć w tym miejscu – z własnej woli – na kolejnych czternaście letnich sezonów.

Do Dakoty Południowej przywiodły mnie połączone siły Korpusu Inżynieryjnego Armii Stanów Zjednoczonych, Instytutu Smithsona i ostatniej ziemskiej epoki lodowcowej (która, pozwolę sobie dodać, skończyła się jakiś czas przed moimi narodzinami). 20 000 lat temu potężny lodowiec przesuwiał się niepowstrzymanie na południe przez Wielkie Równiny Ameryki Północnej. Pchał przed sobą góry ziemi i skał, kruszył kamienie i zamieniał je w aluwialną glebę, nadając nowy kształt milionom kilometrów kwadratowych powierzchni planety.

Teraz na prerii pojawiła się równie niepowstrzymana armia inżynierów, archeologów i antropologów, która także zamierzała dokonać kilku zmian. Inżynierowie zaczęli zalewać prerię, a cała reszta gorączkowo przekopywała ją wzdłuż i wszerz, szukając ukrytych skarbów – skarbów archeologicznych – i ścigając się ze wzbierającymi wodami Missouri, na której wzniesiono właśnie nową tamę.

Missouri to być może najbardziej niedoceniana rzeka na świecie. W Stanach zawsze pozostaje w cieniu Missisipi, co moim zdaniem jest rażąco niesprawiedliwością. Nie zrozumcie mnie źle: Missisipi to wielka rzeka. Pokonuje odległość 3780 kilometrów, licząc od jej źródła w jeziorze Itasca aż po deltę w Luizjanie, i stanowi ogromną drogę wodną, która przepływa przez samo serce Ameryki.

Niesprawiedliwość, o której mówię, dotyczy raczej samej klasyfikacji tej rzeki. Pomyślmy o kropli wody, która wypływa ze źródła Missisipi w jeziorze Itasca; nim przedostanie się od skalistego ujścia na skraju jeziora – na tyle wąskiego, że można pokonać je w bród – do płycizn Zatoki Meksykańskiej, pokona prawie 3800 kilometrów. Tymczasem kropla wody, która wydostanie się ze źródła na wschodnich zboczach Gór Skalistych, przepłynie wraz z Missouri 3700 kilometrów tylko do miejsca, w którym rzeka ta łączy się z Missisipi w St. Louis. Potem płynie jeszcze przez kolejne 2250 kilometrów, nim dotrze do zatoki – w sumie więc pokona ponad 6000 kilometrów. Tylko Amazonka i Nil są dłuższe. Gdyby więc oceniać Missouri i Missisipi tylko po długości, to ta pierwsza powinna zostać uznana za główną rzekę, a ta druga za dopływ.

Missouri jest zdumiewająca również pod innym względem. O ile mi wiadomo, to największa rzeka na Ziemi, która zmieniła zdanie, a właściwie cel podróży, na skalę kontynentalną. Przed ostatnią epoką lodowcową Missouri płynęła na północ, do Kanady, gdzie wpadała do lodowatych wód Zatoki Hudsona. Później, gdy lodowce przesuwwały się przez kontynent i przekształcały go niczym olbrzymie spychacze, Missouri dostrzegła nową drogę i skręciła na południe. Popłynęła w stronę ciepłych wód u wybrzeży Meksyku i skończyła bieg około 3200 kilometrów od pierwotnego ujścia.

W ciągu swej długiej historii Missouri była świadkiem dramatycznych zmian fauny i flory swego rozległego dorzecza. Jakieś sto milionów lat temu po terenie dzisiejszej Montany i obu Dakot wędrowały dinozaury. Później ich miejsce zajęły zwierzęta stałocieplne przeróżnych rozmiarów i kształtów, między innymi gepardy, wielbłądy, mamuty i olbrzymie koty szablatozębne. Ludzie pojawili się na Wielkich Równinach stosunkowo niedawno; prawdopodobnie przywędrowali tu z Azji

około 12 000 lat temu.

Przez tysiąclecia rdzenni mieszkańcy Ameryki prowadzili wędrowny tryb życia. Potem, około 2000 lat temu, większość z nich zaczęła uprawiać rolę i zakładać stałe siedliska złożone z okrągłych domostw, znajdujących się częściowo pod ziemią, zwieńczonych kopulastym dachem i pokrytych ziemią i darnią, które latem chroniły mieszkańców przed palącymi promieniami słońca, zimą zaś przed dojmującym mrozem. Dziś nazwalibyśmy te budowle ziemiankami, a Indianie Wielkich Równin nazywali je po prostu domem.

Jednak ziemianki nie były zbyt trwałe. Na prerii rośnie niewiele drzew. Można je znaleźć głównie na najniżej położonych obszarach zalewowych w pobliżu rzeki – zwanych pierwszą terasą – więc po okresie równym mniej więcej jednemu pokoleniu brzeg rzeki w promieniu kilku kilometrów od obozu był całkowicie ogołocony z krzewów i drzew. Kobiety, które zajmowały się gromadzeniem materiałów budowlanych i opału, musiały chodzić coraz dalej po drewno. W końcu, gdy nie były już w stanie pokonywać tak dużych odległości, cała wioska przenosiła się kilkanaście kilometrów w górę lub w dół rzeki, gdzie nie brakowało drzew i chrustu. Jakieś sto lat później, gdy ogołocona z roślinności terasa na nowo porosła lasem, Indianie mogli wrócić do miejsca, które niegdyś opuścili ich przodkowie.

W XVIII wieku na Wielkich Równinach żyły liczne plemiona Indian. Cztery najważniejsze szczepy zamieszkiwały północną część tego obszaru; byli to przerażający Siuksowie, którzy pozostali nomadami, oraz prowadzący osiadły tryb życia Mandanowie, Hidatsa oraz Arikara. W rejonie stanowiącym obecnie środkową część stanu Dakota Południowa Arikara budowali ogromne wioski, złożone z setek zwykłych ziemianek oraz wielkich obrzędowych szałasów.

Potem dosięgła ich fala przyszłości: biali odkrywcy i handlarze futer. Należeli do nich również Lewis i Clark, choć wcale nie byli pierwsi. Kiedy ekspedycja dowodzona przez tych słynnych żołnierzy, odkrywców i podróżników zatrzymała się w 1804 roku w wiosce Mandanów, zastała tam wielu jasnowłosych i błękitnookich Indian, potomków miejscowych kobiet i francuskich podróżników oraz traperów.

Podczas podróży w górę rzeki, na tereny zakupionej niedawno od Francji Luizjany, Lewis i Clark próbowali doprowadzić do sojuszu Indian Arikara oraz Mandanów z rządem Stanów Zjednoczonych, by wspólnymi siłami stawić czoła Siuksom. Arikara nie chcieli jednak przyłączyć się do tej koalicji i stoczyli nawet kilka potyczek z ekspedycją wędrującą nieprzerwanie w górę rzeki. Znacznie lepiej układały się stosunki podróżników z Mandanami: Amerykanie spędzili zimę tego roku w ich wiosce, polując i handlując z mężczyznami, nocą zaś spędzając w towarzystwie indiańskich kobiet. Często działo się to za przyzwoleniem i zachętą mężów tychże Indianek, którzy wierzyli, że podczas miłosnych uniesień ich żony przejmą, a potem przekażą im „magię” białych ludzi. Niestety, zazwyczaj przekazywały tylko kiłę.

W drodze powrotnej, w 1806 roku, ekspedycja Lewisa i Clarka znów starła się z Indianami

Arikara. W roku 1809 Meriwether Lewis objął urząd gubernatora Terytorium Luizjany, a rok później, nim wyruszył w niefortunną podróż do Waszyngtonu, wysłał w górę Missouri armię złożoną z około pięciuset białych i Indian, którzy mieli wytępić Arikara, gdyby ci rwali się do bitki.

Lecz pomimo swej odwagi i nieprzejednanej postawy, Indianie Arikara stali na krawędzi zagłady. W ciągu pięćdziesięciu lat od wyprawy Lewisa i Clarka ich plemię niemal całkowicie zniknęło z powierzchni ziemi, padając ofiarą Siuksów, osadników i ospy. Zdziętkowany szczep zostawił po sobie setki pustych ziemianek i tysiące pełnych grobów na drugiej i trzeciej terasie Missouri.

W 1957 roku, gdy ostatnie ślady cywilizacji Arikara miały zniknąć pod wodami postępu, Instytut Smithsona wysłał mnie nad Missouri, bym wziął udział w tamtejszych wykopaliskach i ocalił od zagłady, co tylko się da.

Muzeum Historii Naturalnej to jeden z wielkich ośrodków muzealnych Instytutu Smithsona, położony w parku National Mall w Waszyngtonie. Na głównym poziomie, pod wielką rotundą, trzyma straż olbrzymi afrykański słoń. Kilka pięter ponad nim – na balkonach okalających trzecie, czwarte i piąte piętro rotundy – w szafkach, szufladach i na półkach leżą setki, może nawet tysiące szkieletów Indian północnoamerykańskich. A przynajmniej kiedyś leżały.

Obecnie nasze podejście do rozkopywania grobów i zbierania kości uległo radykalnej zmianie. W 1990 roku, po długich staraniach indiańskich plemion, Kongres ustanowił prawo, które zabrania gromadzenia szczątków kostnych Indian. Prawo nakazuje również muzeom oraz innym instytucjom zwrócić wykopane wcześniej indiańskie szczątki, jeśli należą one do szczepu, który wciąż istnieje. Filozofia leżąca u podstaw tej ustawy jest prosta: szczątki zmarłych są święte, nie powinno się ich zabierać ani pokazywać publicznie, należy je odwiedzić tam, skąd pochodzą, i pogrzebać z należną im czcią. W sensie duchowym jest to zrozumiałe i sensowne.

Jednakże przyglądając się tej sprawie z naukowego punktu widzenia, należy pamiętać, że wykopaliska i zbiory takie jak te, które zgromadzono w Instytucie Smithsona, odegrały kluczową rolę w poznawaniu historii, kultury i ewolucji ludzkości w ogóle, a Indian północnoamerykańskich w szczególności. Porównując kości tysięcy ludzi, naukowcy mogą stworzyć precyzyjny obraz rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej; poznają ich rozmiary, siłę, nawyki żywieniowe, przeciętną długość życia, umieralność dzieci i całą masę innych cennych informacji. Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych kości takie napływały do Instytutu Smithsona szybciej, niż naukowcy byli je w stanie badać.

Dla mnie był to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności.

Odkryłem antropologię podczas ostatnich dwóch lat studiów licencjackich na Uniwersytecie Wirginii. Zaliczyłem już wtedy większość kursów i egzaminów z mojej głównej specjalizacji, czyli psychologii, i miałem w końcu trochę czasu na przedmioty fakultatywne. Kiedy przeglądałem listę dostępnych

kursów, pierwszym hasłem, które wpadło mi w oko, była „Antropologia”. (Nic w tym dziwnego, bo lista była ułożona alfabetycznie. Gdybym zaczął czytać ją od dołu, a nie od góry, może dziś byłbym zoologiem!)

Na Uniwersytecie Wirginii nie było Wydziału Antropologii – zajmował się tym tylko jeden samotny profesor, Clifford Evans, którego wciśnięto na Wydział Socjologii. Jednak Evans był przedsiębiorczym badaczem i świetnym, porywającym nauczycielem. Wrócił właśnie niedawno z wykopalisk prowadzonych na terenie prehistorycznej wioski w Brazylii, a slajdy i opowieści, którymi raczył nas podczas zajęć, ożywiały na nowo jej dawnych mieszkańców. Uczęszczałem na wszystkie kursy prowadzone przez Evansa.

Wiosną 1956 roku, gdy kończyłem studia magisterskie w dziedzinie antropologii na Uniwersytecie Kentucky, napisałem o tym do Evansa. Przypuszczałem, że jestem jedynym jego studentem, który poszedł w tym kierunku, i miałem nadzieję, że ta wiadomość sprawi mu przyjemność. Okazało się, że mój były nauczyciel wyjechał z Wirginii i przyjął posadę kustosza działu archeologii w Instytucie Smithsona.

Evans odpisał natychmiast. Dobrze mnie pamiętał i cieszył się z moich postępów. Napisał również, że Instytut Smithsona rozpaczliwie potrzebuje pomocy przy analizowaniu prawdziwej powodzi materiału kostnego Indian północnoamerykańskich, który napływał z Wielkich Równin, i zaoferował mi pracę. Była to dla mnie wielka szansa, której nie mogłem przegapić.

Do tego „zalewu kości” doszło za sprawą Korpusu Inżynieryjnego Armii Stanów Zjednoczonych. Korpus został stworzony po to, by prowadzić wojnę z często wylewającymi rzekami, i natychmiast zabrał się z werwą do dzieła. Do końca lat czterdziestych inżynierowie wybudowali tamy i wały przeciwpowodziowe niemal wzdłuż całego biegu Missisipi, więc przenieśli się na inne rzeki. W latach pięćdziesiątych pracowali nad Missouri.

Gdy dotarli do środkowej części Dakoty Południowej, przystąpili do budowy na kolosalną skalę. Dziesięć kilometrów w górę rzeki od Pierre zaczęli usypywać wał ziemny o wysokości niemal siedemdziesięciu sześciu metrów i długości sięgającej trzech kilometrów. W roku 1948, kiedy zaczęła się budowa tamy Oahe (tak w języku Siuksów nazywał się namiot narad), była to największa zapora ziemna w Stanach Zjednoczonych. Nadal nią jest.

Zbiornik powstały w wyniku spiętrzenia wód również miał być ogromny. Jezioro Oahe, liczące według zamierzeń inżynierów około trzystu sześćdziesięciu kilometrów długości i nawet trzydzieści kilometrów szerokości, miało stać się jednym z największych sztucznych jezior w Stanach Zjednoczonych. Pod jego wodami zniknęły setki kilometrów kwadratowych prerii – i niezliczone stanowiska archeologiczne.

Korpus Inżynieryjny przeznaczył część kosztów budowy tamy na wykopaliska oraz badania archeologiczne i zlecił prace naukowe Instytutowi Smithsona. Fundusze te stanowiły maleńką część budżetu budowy – zaledwie pół procenta – ale zarówno tama, jak i jej budżet były tak ogromne, że

według standardów archeologicznych „Badania Instytutu Smithsona w dorzeczu Missouri” (bo tak brzmiała oficjalna nazwa tego projektu) stanowiły przedsięwzięcie o wielkiej skali i hojnym finansowaniu. Gdy Korpus Inżynieryjny zaczął usypywać ziemię, by powstrzymać rzekę, mała armia archeologów oraz ich pomocników – studentów i studentek z różnych roczników – przystąpiła do rozkopywania terenów, które wkrótce miały zostać zalane. Zaczęli od głównego stanowiska Arikara tuż obok tamy, bo właśnie ten obszar jako pierwszy miał zniknąć pod wodą. Nazywano to miejsce stanowiskiem Sully dlatego, że znajdowało się w hrabstwie o takiej właśnie nazwie. Na drugiej terasie Missouri – półce leżącej tuż nad obszarem zalewowym rzeki – Arikara zbudowali niegdyś największą wioskę, jaką kiedykolwiek odkryto.

Śladem, który wskazywał na archeologiczne bogactwo tego miejsca, była seria kręgów o średnicy od sześciu do osiemnastu metrów. Wiedzieliśmy, że to pozostałości indiańskich ziemianek, gdyż pomieszczenia takie wpuszczano na głębokość kilkudziesięciu centymetrów w ziemię, a w miejscach, gdzie się spaliły lub zapadły, na powierzchni prerii powstawały płytkie zagłębienia. W tej okolicy deszcz pada dość rzadko, przeciętnie opady wynoszą nie więcej niż trzysta osiemdziesiąt milimetrów rocznie, więc zagłębienia, do których spływała deszczówka, zamieniały się w maleńkie oazy zieleni na brązowej prerii. (Gdyby roczne opady wynosiły zaledwie dwanaście centymetrów więcej, ogromne równiny porosłyby lasem, a nie trawą). Setki mniejszych kręgów zieleni znaczyły zwykłe domy – w każdym z nich mieszkało od piętnastu do dwudziestu osób – zaś nieliczne duże kręgi były pozostałościami po szałasach, w których odbywały się różnego rodzaju obrzędy lub spotkania.

Podobnie jak wiele innych wiosek, Arikara stanowisko Sully zasiedlane było wielokrotnie, począwszy mniej więcej od roku 1600. Porzucano je, gdy w pobliżu wycięto wszystkie drzewa, i wracano do niego, gdy wyeksploatowany obszar ponownie porósł lasem. Na podstawie znalezisk, które wykopano w tym miejscu, archeolodzy ustalili, że wioska zamieszkała była co najmniej trzy razy, nim została ostatecznie porzucona około 1750 roku.

Z poziomu gruntu trudniej było dostrzec zagłębienia pozostałe po ziemiankach, ale łatwo dawało się je wyczuć; jadąc po prerii samochodem, archeolog lub farmer czuł, jak koła pojazdu zapadają się w niewielkim wklęsnięciu terenu, a potem ponownie wytaczają na twarde, równy grunt. Stanowisko Sully obejmowało tyle tego rodzaju dołków, że każdy, kto próbował przejechać po nim samochodem, czuł się jak w kolejce górskiej.

Ponieważ wioska była wyjątkowo duża i zamieszkała przez długi czas, archeolodzy znajdowali tam całe bogactwo różnorodnych materiałów: sprzęt kuchenny, narzędzia rolnicze, broń, biżuterię i kości – tysiące, dziesiątki tysięcy kości, znacznie więcej niż garstka antropologów fizycznych pracujących w Waszyngtonie była w stanie posortować i zmierzyć.

Właśnie wtedy dołączyłem do tej zakrojonej na szeroką skalę operacji, przechodząc obok wypchanego słonia w Muzeum Historii Naturalnej i rozpoczynając pierwszy rok pracy przy katalogowaniu kości. Jako świeżo upieczony absolwent, który nie miał ani własnego gabinetu, ani

telefonu, ani innych projektów badawczych, który nie musiał pisać żadnych artykułów i recenzji ani rozpraszać się jakimikolwiek innymi sprawami pochłaniającymi czas naukowców znacznie wyższych ode mnie rangą, mogłem analizować kości od świtu do nocy. I tym też się zajmowałem, przez całe tamto lato i większość następnego. Pod koniec lata 1957 roku dyrektor projektu wezwał mnie do Dakoty Południowej.

Nigdy wcześniej nie byłem na zachód od Missisipi i nigdy wcześniej nie leciałem samolotem, więc wyprawa do Dakoty otwierała przede mną nowe, szerokie horyzonty. Ukryte w ziemi kości miały mnie wiele nauczyć. Lekcje innego rodzaju miałem też odebrać od młodych studentów, którzy pracowali w pocie czoła na rozpalonych słońcem terasach Missouri, a jeszcze inne od mrówek i grzechotników, które również przekopywały te równiny. Każda z tych lekcji przydała mi się w późniejszych latach, gdy zacząłem wykorzystywać tajemnice poznane dzięki ludziom zmarłym przed wiekami do poznawania prawdy o tych, których zamordowano całkiem niedawno.

Gdy w sierpniu 1957 przybyłem do Dakoty, lato właściwie dobiegało już końca. Za dwa tygodnie kończył się również projekt, a nauczyciele i studenci wracali do domu i do swych zwykłych zajęć. Stephenson miał nadzieję, że w ciągu tych dwóch tygodni znajdzie odpowiedź na pytanie, które dręczyło go i nurtowało od dwóch lat: Gdzie Indianie Arikara ukryli swych zmarłych?

Liczba odkopanych pozostałości ziemianek świadczyła o tym, że wioskę zamieszkiwało kilkaset osób i że ludzie ci przebywali tam w sumie przez kilkadziesiąt lat. Jednak do tej pory podopieczni Stephensona znaleźli zaledwie kilkadziesiąt szkieletów. Co stało się z pozostałymi?

Członkowie niektórych indiańskich plemion, w tym Siuksów, zostawiali ciała swych zmarłych na specjalnych rusztowaniach wysoko nad ziemią, by rozkładały się na otwartej przestrzeni. Rzadko kiedy udaje się odnaleźć stare szkielety Siuksów, bo wcześniej czy później ich szczątki rozwlekane były przez kojoty, sępy i innych padlinożerców. Wydawało się jednak, że Arikara stosowali inne obrzędy pogrzebowe. Zazwyczaj grób wykopywały kobiety za pomocą prymitywnych motyk z łopatek bizona. Była to naprawdę ciężka praca, więc by oszczędzić sobie wysiłku, Indianki przygotowywały płytkie i wąskie groby. Zwykle był to okrągły dół o głębokości około metra – płytszy, jeśli grzebano dziecko lub kobietę – w którym układano ciało w pozycji embrionalnej, z kolanami podciągniętymi pod brodę i skrzyżowanymi rękami. Później zasypywano grób, przykrywano go patykami lub kłodami drewna, co miało uchronić ciało zmarłego przed padlinożercami, a na końcu okładano wszystko warstwą ziemi i darniny.

Gdy nadszedł sierpień 1957, Stephenson był już w stanie głębokiej frustracji. Jej źródłem był fakt, że nieliczne szczątki Indian znalezione do tej pory przez archeologów nie tylko nie odpowiadały znacznej liczbie mieszkańców wioski, ale i nie pozwalały nam poznać lepiej życia członków plemienia Arikara ani przyczyn ich śmierci. Stephenson wiedział, że gdzieś w pobliżu wioski musi znajdować się cmentarz, lecz wiedział też, że jeśli wkrótce go nie znajdziemy, stracimy ogromną



szansę.

Miejsce wykopalisk archeologicznych dzieli się na siatkę złożoną z kwadratów o boku długości półtora metra. Później z danego kwadratu usuwa się kolejne, bardzo cienkie warstwy ziemi. Każdy kwadrat jest odpowiednio oznaczony, więc gdy wykopaliska przenoszą się z jednego oka siatki do drugiego, odnalezione wcześniej przedmioty lub szczątki mogą być precyzyjnie umiejscowione, zarówno na całej siatce, jak i w obrębie danego pola (opis dotyczy poziomego ułożenia wykopaliska i głębokości, na której zostało znalezione). Stosowanie takiej właśnie procedury pozwala zachować porządek, ale sprawia też, że prace postępują w straszliwie wolnym tempie – czasami przekopanie jednego kwadratu trwa tydzień albo i dłużej – więc może się zdarzyć, że przez całe lato archeolodzy zbadają obszar o powierzchni zaledwie kilkunastu metrów kwadratowych. My musieliśmy działać znacznie szybciej. Stephenson przydzielił mi do pracy zespół złożony z dziesięciu studentów i polecił odszukać zmarłych Arikara do końca miesiąca.

W sierpniu w Dakocie Południowej jest gorąco jak w piecu, a preria to naprawdę ogromny teren poszukiwań. Żeby rzeczywiście wykonać tę pracę szybko, potrzebowalibyśmy małej armii pracowników. Okazało się jednak, że mieliśmy ogromną armię małych pracowników: miliardy mrówek, które bez wytchnienia przekopywały Wielkie Równiny.

Gleba Wielkich Równin to głównie tak zwany less. Nazwa ta pochodzi od niemieckiego słowa oznaczającego „luźny”. To właśnie ta ziemia, sypka niczym mąka, doprowadziła do powstania Dust Bowl. Oczywiście tak wygląda tylko wtedy, gdy jest sucha – wystarczy dodać do niej trochę wody, a całkowicie zmienia swą postać. Wilgotny less jest prawdopodobnie najbardziej śliską substancją na ziemi, a jeśli znajduje się na wilgotnym łupku – który w kategorii śliskości niewiele mu ustępuje – robi się naprawdę interesująco. Wbrew prawom fizyki tarcie (a tym samym przyczepność) całkowicie znikają. Dlatego właśnie Bob Stephenson spóźnił się aż kilka godzin, gdy przyjechał po mnie na lotnisko.

Less to wymarzona gleba dla mrówek. Jest miękka i łatwo się w niej kopie, ale też nie rozsypuje się zbyt łatwo, więc kiedy już wydrążą w niej tunel, mogą być pewne, że nie zawali się prędko.

Zdaniem naszych pracowitych mrówek jeszcze lepszy od nietkniętej gleby lessowej jest less, który został wcześniej naruszony i spulchniony – na przykład podczas kopania i zasypywania grobu. „O, tutaj się całkiem przyjemnie kopie” – myślą mrówki, drążąc tunel w grobie. „Chwileczkę, ale co tutaj robią te śmieci?” Jeśli napotkany przez nie przedmiot jest zbyt duży, aby go przemieścić, mrówki po prostu go omijają. Jeśli jednak da się go przesunąć, zwykle wynoszą go na zewnątrz i wyrzucają.

To, co dla jednego kopacza jest śmieciem, dla innego może być prawdziwym skarbem. Przez kilka pierwszych dni pobytu w Dakocie Południowej spacerowałem po prerii i zgięty wpół przypatrywałem się ukrytym wśród traw i krzewów mrowiskom. Większość z nich usypana była jedynie z ziemi, do której mrówki dorzuciły kilka mniejszych kamyków. W końcu jednak zacząłem dostrzegać także inne przedmioty. Gdy przyjrzałem im się uważniej, zrozumiałem, że to maleńkie kości palców rąk, kości

stóp i – co najbardziej rzucało się w oczy – jaskrawe, barwne drobiny: paciorki z niebieskiego szkła używane do wyrobu biżuterii oraz stosowane jako środek płatniczy przez handlarzy oraz Indian Wielkich Równin przed dwustu laty. Gdy rozkopaliśmy ziemię pod kilkoma z tych mrowisk, znaleźliśmy gnijące belki używane do zakrywania grobów. Bingo! Po dokładniejszym zbadaniu okolic wioski znaleźliśmy szczególnie obiecujące skupisko tych maleńkich oznaczeń grobowców wzniesionych przez mrówki. Zaczęliśmy wyznaczać szeregi czy też rzędy kwadratów pod wykopaliska, położonych nieco dalej od wioski, a także w pewnej odległości od siebie – poszczególne kwadraty dzieliła odległość od półtora metra do sześciu, a nawet dziesięciu metrów.

Ten rzut na taśmę, ostateczny i morderczy wysiłek, omal nie wykończył mojego zespołu. Kiedy już jednak doprowadziliśmy dzielenie do końca, byliśmy pewni, że udało nam się znaleźć olbrzymi cmentarz Indian Arikara. Sądząc po liczbie wyznaczonych kwadratów, na zagospodarowanej przez nas powierzchni mieściły się setki grobów.

Nie mieliśmy już jednak czasu. Prace wykopaliskowe musiały poczekać do następnego lata.

Byłem i nadal jestem wdzięczny pracowitym mrówkom z Dakoty Południowej.

Całkiem innymi uczuciami darzyłem grzechotniki. Prawdę mówiąc, to właśnie perspektywa spotkania z tymi przekłętymi węzami była jedynym powodem, dla którego zbliżające się lato 1959 roku budziło we mnie nie tylko radość, ale i strach.

Preria to idealne środowisko dla grzechotników. Żyje tam mnóstwo myszy, królików, ptaków i innej drobnej zwierzyny, którą żywią się te węże. Poza tym, podobnie jak mrówki, grzechotniki bez trudu drążą tunele w miękkiej lessowej glebie. Można śmiało powiedzieć, że preria dosłownie obfituje w te niezbyt sympatyczne zwierzęta. W dodatku w tamtym czasie ich środowisko naturalne w pobliżu tamy znacznie się skurczyło: w roku 1957 zaczęto napełniać jezioro Oahe, a tereny położone wzdłuż rzeki znikły pod wodą. Jak już sami się zapewne domyślacie, grzechotniki zaczęły się przenosić na obszary położone nieco wyżej – terasy, gdzie roztargnieni antropolodzy i archeolodzy czołgali się przez trawę, zaglądali do grobów lub sięgali na oślep po kielnię lub pędzel.

Grzechotniki preriowe są stosunkowo małe. W odróżnieniu od grzechotników diamentowych, które osiągają nawet dwa metry długości i są grube jak ramię grabarza, grzechotniki preriowe rzadko kiedy mierzą ponad metr. Są to jednak agresywne, napastliwe diabły, które mają w zwyczaju najpierw atakować, a dopiero potem zadawać pytania. Uznałem, że my również powinniśmy stosować taką taktykę.

Jako naukowiec rozumiem, że grzechotniki wypełniają ważną ekologiczną niszę: są istotnym elementem łańcucha pokarmowego, to dzięki nim preria nie zostanie opanowana przez myszy i inne gryznie. Pojmuję to w pełni na poziomie intelektualnym. Jednak na poziomie instynktów i emocji po prostu panicznie się boję tych przeklętych zwierzaków. Pewnie nie powinienem się do tego przyznawać, ale zawsze uważałem, że jedyny dobry grzechotnik to martwy grzechotnik. Kiedy

spotykam na swej drodze żywego przedstawiciela tego gatunku, kieruję się zwykle zasadą: „Preria jest za mała dla nas dwóch”. Wkrótce zyskałem sobie sławę najszybszej łopaty na Zachodzie.

Jednym z porannych rytuałów zespołu antropologicznego jest ostrzenie łopat. Ostra łopata wbija się w ziemię znacznie szybciej i łatwiej niż łopata tępą. Znacznie szybciej przecina też węża. Każdego ranka sięgaliśmy po ostrzałkę i pracowaliśmy nad naszymi łopatami, wygładzając najpierw zagłębienia i rysy pozostawione przez kamienie, a potem nadając krawędzi blachy ostrość brzytwy. Zakładaliśmy, że łopata jest naprawdę ostra dopiero wtedy, gdy można nią zgolić włosy z przedramienia. Nie zawsze poświęcałem czas na mydlenie i golenie twarzy, ale codziennie rano moje przedramię było gładkie jak pupa niemowlęcia. Gdybym wycinał na trzonku łopaty karb za każdego grzechotnika, którego nią zabiłem, w końcu zabrakłoby mi na nie miejsca.

Miłośnicy węży będą zapewne oburzeni takim bezkompromisowym podejściem, ale powinni spojrzeć na nie z właściwej perspektywy. Po pierwsze, ze względu na coraz wyższy poziom wody w zbiorniku i kurczące się środowisko życia na terenach przylegających do sztucznego jeziora i tak było za dużo grzechotników. Po drugie – i ten powód był dla mnie znacznie ważniejszy – zostałem obciążony odpowiedzialnością za bezpieczeństwo studentów antropologii, którzy ze mną pracowali. W sumie spędziłem na wykopaliskach w Dakocie Południowej czternaście letnich wakacji – w tym czasie skończyłem studia doktoranckie w Filadelfii, pracowałem gościnnie jako wykładowca na Uniwersytecie Nebraski, a potem dostałem stałą posadę nauczyciela akademickiego na Uniwersytecie Kansas. W ciągu owych piętnastu lat pod moim nadzorem na równinach pracowało prawie stu pięćdziesięciu studentów. W tym okresie w wyniku bliskich spotkań międzygatunkowych zginęła też całkiem spora liczba grzechotników. Nie zginął żaden z moich studentów.

Niestety, kilku innych zginęło.

Preria słynie z nagłych i gwałtownych zmian pogody, szczególnie dotkliwych w ciągu lata. Ogromne połacie trawy wydzielają mnóstwo wilgoci. Gdy robi się gorąco, para unosi się ku niebu, gdzie czasami zbija się w puszyste białe obłoczki, a czasami przyjmuje postać czarnych burzowych chmur o wysokości kilku kilometrów.

Czterech studentów z zespołu archeologicznego wracało łodzią z odległych wykopalisk, gdy zaskoczyła ich burza. Widzieli nadciągającą chmurę i próbowali ją przegonić, lecz na prerii nawałnica potrafi uderzać równie szybko i bezlitośnie jak rozgniewany grzechotnik. Potężna wichura i ogromne fale przewróciły łódź, a wszyscy czterej studenci utonęli. Co prawda mieli ze sobą kamizelki ratunkowe, ale jako ludzie młodzi i przekonani o własnej nieśmiertelności nie założyli ich w porę. Gdy łódź się wywróciła, było już za późno.

Czasami moja troska o bezpieczeństwo irytowała studentów, ale ja uważałem, że ostrożności nigdy za wiele, i dobrze na tym wychodziłem: podczas prac na prerii ani mnie, ani żadnemu z moich studentów nie stała się krzywda.

Latem 1958 roku wróciliśmy na drugą terasę Missouri i rozkopaliśmy kilkadziesiąt grobów Indian Arikara. Większość archeologów uznałaby to zapewne za zawrotne tempo. I w miejscu, do którego moglibyśmy wracać jeszcze przez wiele lat, rzeczywiście byłoby zawrotne. Jednak na stanowisku Sully – i każdym innym stanowisku w dorzeczu Missouri na długości prawie czterystu kilometrów – czasu zostało już bardzo niewiele. Wrota tamy Oahe właśnie się zamknęły, a poziom wód zaczął się podnosić. Musieliśmy pracować szybciej.

Dziesięć lat wcześniej, gdy byłem jeszcze studentem college'u, pracowałem przez wakacje w kamieniołomie mojego ojczyma, gdzie kierowałem buldożerami i wywrotkami. To była naprawdę świetna robota, czułem się jak dzieciak, któremu pozwolono się bawić wielkimi zabawkami.

Nigdy nie interesowała mnie szczególnie prędkość – szybkie samochody nie robią na mnie wrażenia – ale moc to zupełnie co innego... Dajcie mi ciężarówkę z wielkim silnikiem diesla i porządną skrzynią biegów, a będę naprawdę szczęśliwy.

Czasami podczas tych wakacyjnych praktyk obrywało mi się od innych pracowników, bo byłem synem szefa. Zwykle były to tylko dobrotliwe przycinki i uszczypliwości, ale nie zawsze. W szczególności wziął się na mnie pewien facet – chudy wredny gość koło czterdziestki – który robił wszystko, co mógł, żeby uprzykrzyć mi życie. Pewnego dnia, gdy jechałem wąską uliczką między dwoma budynkami, spotkałem się nim twarzą w twarz, bo on jechał właśnie w przeciwnym kierunku ciężarówką z płaską platformą ładunkową.

Reguły dotyczące ruchu drogowego w kamieniołomie są jednoznaczne: załadowana ciężarówka zawsze ma pierwszeństwo. Jego platforma była pusta – ja wiozłem piętnaście ton skał. Nie mogliśmy się wyminąć, żaden z nas nie miał też dość miejsca, by zawrócić. Facet musiał wycofać.

Ale nie zrobił tego. Ja czekałem, a on siedział sobie spokojnie i szczyrzył do mnie zębami w uśmiechu. Zatrąbiłem: wyszczerzył się jeszcze bardziej.

Przez całe lato starałem się być miły dla tego gościa, najwyraźniej jednak nie przynosiło to żadnego efektu. W końcu coś we mnie pękło. Wrzuciłem pierwszy bieg i zwoleń powoli sprzęgło. Kiedy zderzak mojej ciężarówki dotknął jego samochodu, facet zrobił wielkie oczy. Ale nadal się nie cofał. Nacisnąłem więc mocniej pedał gazu, a wielka wywrotka poderwała się gwałtownie do przodu, odpychając jego ciężarówkę.

Nie zwróciłem początkowo uwagi na dość istotny fakt, że zderzak wywrotki znajdował się prawie trzydzieści centymetrów wyżej niż zderzak ciężarówki. Wkrótce jednak stało się to aż nazbyt oczywiste, gdy osłona chłodnicy odpadła, a sama chłodnica pękła, wyrzucając z siebie gejzery pary. „O cholera” – pomyślałem, ale dzieło zniszczenia zostało już dokonane, pomyślałem więc, że równie dobrze mogę pchać go dalej, aż całkiem zjedzie mi z drogi.

Ojczym natarł mi potem uszu za ten wybryk, ale od tej pory starsi robotnicy w kamieniołomie traktowali mnie z należytym szacunkiem – a ten wredny sukinsyn trzymał się ode mnie z daleka. Od

tamtego czasu zdecydowanie cenię moc ponad szybkość.

Jednak w Dakocie Południowej potrzebowaliśmy właśnie szybkości, żeby wygrać wyścig z podnoszącymi się wodami Missouri. Męczyłem się z tym problemem przez dwa kolejne lata, aż w końcu przyszła mi do głowy pewna myśl: może rozwiązaniem była jednak moc.

Pewnego chłodnego poranka w czerwcu 1960 na stanowisko Sully wjechała ciężarówka z płaską przyczepą, wioząca buldożer i równiarkę. Kilka dni wcześniej poprosiłem Krajową Fundację Nauki (National Science Foundation) o dodatkowe fundusze na wynajęcie tego sprzętu, a Fundacja – choć z mieszanymi uczuciami – zgodziła się na przeprowadzenie tego eksperymentu.

Podstawą mojego planu były szczególne właściwości tamtejszej gleby: przekopana ziemia nad grobami Indian Arikara była ciemniejsza i bardziej puszysta niż otaczający ją gęsty, twardszy less, dzięki czemu wprawne oko mogło bez trudu wypatrzeć okrągły obrys grobu. Przynajmniej tak to wyglądało, gdy rękami i łopatom usuwaliśmy górną warstwę gleby. Czy mogliśmy liczyć na podobny efekt po usunięciu wierzchniej warstwy ziemi za pomocą ciężkiego sprzętu? Czy nadal będziemy w stanie dostrzec drewniane pokrycia grobów i charakterystyczne okrągłe obrysy – czy też łopaty i koła wielkich maszyn obrócą wszystko w jedną wielką masę ziemi i odłamków kości? Gdyby tak się stało, byłaby to naprawdę okrutna ironia losu, bo przyjechałem do Dakoty Południowej po to, żeby chronić kości, a nie niszczyć je.

Zaczęliśmy w miejscu, gdzie zarówno dzięki mrówkom, jak i wstępnym wykopaliskom spodziewaliśmy się znaleźć sporo grobów. Kierowca przejechał po raz pierwszy, ściągając ziemię na odcinku długości dwudziestu pięciu metrów, ale na głębokość tylko pięciu centymetrów. Nie widzieliśmy nic prócz darni i sypkiego lessu.

Kilka kolejnych przejazdów i nadal nic. Miałem już zrezygnować, przekonany, że był to jednak idiotyczny pomysł, kiedy to zobaczyłem: za równiarką i buldożerem – na magicznej głębokości trzydziestu centymetrów – pojawił się wyraźny krąg ciemniejszej, bardziej sypkiej ziemi. Wydałem z siebie okrzyk, którego nie powstydzilby się żaden wojownik Arikara.

Tego lata, dzięki użyciu ciężkiego sprzętu, odkopaliśmy ponad trzysta grobów Arikara – dziesięć razy więcej niż zrobiliśmy to ręcznie minionego lata.

W tym czasie tworzyliśmy już stałą letnią kolonię w Dakocie Południowej. Początkowo spaliśmy w namiotach, ale po pierwszych dwóch latach zaczęliśmy wynajmować jeden dom dla zespołu, a drugi dla rodziny Bassów, która składała się wtedy z mojej osoby, Ann, Charliego i całkiem nowego członka, Williama M. Bassa IV – Billy’ego. Zespół liczył zawsze dziesięć osób oraz jednego kucharza, który ciężko pracował, żeby nas wszystkich wyżywić (choć czasami miał do dyspozycji jedynie masło orzechowe z państwowych nadwyżek, substancję, której nie mogę jeść do dzisiaj, czterdzieści lat później).

Umebłowanie domów było skromne. Wszyscy spali na wojskowych łóżkach polowych, zielonej lub brązowej tkaninie rozpiętej na rozchwierutanej drewnianej ramie. Już po kilku pierwszych nocach

przekonałem się, że łóżka sprawiają pewien problem: łamały się jedno po drugim. Pomyślałem jednak, że skoro miliony żołnierzy mogą na nich spać i nie łamać ich przy tym, to potrafi tego dokonać również garstka studentów. Wkrótce okazało się, że przyczyną był seks; dwa poruszające się ciała stanowiły zbyt duże obciążenie dla lichych połączeń między elementami łóżek. Ustanowiłem więc zasadę – pierwszą z dwóch kardynalnych zasad, których musiały przestrzegać moje zespoły: żadnego seksu na łóżkach polowych. Problem łamiących się ram zniknął.

Zasada numer dwa była równie prosta i znacznie poważniejsza: nie doprowadzajcie do sytuacji, w której możecie zostać aresztowani – czy to za przekroczenie prędkości, czy za picie, bójki, zakłócanie spokoju czy nawet spluwanie na chodnik. Jeśli przydarzy wam się coś podobnego, wracacie do domu. I tak byliśmy pod ogromną presją, którą wywierała na nas świadomość, że wody rzeki nieustannie się podnoszą, nie mogliśmy więc jeszcze bardziej komplikować sobie życia i robić sobie wrogów z miejscowych mieszkańców. Zasadę numer dwa musiałem wyegzekwować dwukrotnie, a nigdy, Bogu dzięki, nie przyłapałem nikogo na łamaniu zasady numer jeden.

Pomimo wsparcia ciężkiego sprzętu wszyscy wciąż musieliśmy bardzo ciężko pracować. Odkopywaliśmy znacznie więcej grobów, ale sporo ziemi nadal trzeba było usuwać ręcznie. Aby zmotywować zespoły do pracy, urządzałem różnego rodzaju gry i konkursy – na przykład wskazywałem pień drzewa, które wkrótce i tak miało zniknąć pod wodą, a potem sprawdzałem, kto najwięcej razy trafi w nie ziemią z łopaty. Wydaje się to może trochę głupawe, ale naprawdę utrzymywało morale na wysokim poziomie. Lata były gorące i pracowite, ale też wszyscy dobrze się bawili.

Do tego dochodziły odkrycia naukowe. Ludzkie szczątki wydobywane z kolejnych dziesiątków i setek grobów układały się w jeden, niezwykle obraz. Po raz pierwszy w historii archeologii Wielkich Równin dysponowaliśmy dużą ilością udokumentowanych próbek szczątków kostnych całego plemienia, od noworodków po starców. Dzięki temu zrozumieliśmy, że życie Indian Arikara było ciężkie, surowe i często bardzo krótkie. Znaleźliśmy zadziwiająco dużo małych grobów, zawierających kości niemowląt i małych dzieci. Po podsumowaniu i analizie danych przekonaliśmy się, że niemal połowa populacji Arikara umierała przed osiągnięciem wieku dwóch lat, a umieralność w przedziale od zera do sześciu lat wynosiła aż pięćdziesiąt pięć procent. Później, co ciekawe, stabilizowała się; tylko nieliczne dzieci umierały w wieku od sześciu do dwunastu lat. Wyglądało na to, że jeśli udało ci się przeżyć wczesne dzieciństwo, miałeś spore szanse na osiągnięcie wieku dojrzenia. Potem, gdy skończyłeś mniej więcej szesnaście lat, życie znów stawało się niebezpieczne. Kobiety zaczynały rodzić dzieci, a mężczyźni polować na bizona i prowadzić wojny. Był to naprawdę trudny, pełen różnego rodzaju zagrożeń styl życia.

Arikara byli ludem osiadłym, lecz ich sąsiedzi, Siuksowie, należeli do plemion koczowniczych i często ich atakowali. Wiele szkieletów mężczyzn nosiło ślady ran zadanych strzałami, szczególnie na klatce piersiowej i miednicy. Znaleźliśmy wiele grotów strzał wbitych głęboko w kości. Często

były to rany śmiertelne, choć w niektórych przypadkach kości wokół twardych ostrzy wyglądały na zagojone, co oznaczało, że dany wojownik przez wiele lat nosił w swym ciele fragment strzały Siuksów.

Niektóre czaszki, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, były zmiażdżone, co świadczyło o brutalnej skuteczności kamiennych maczug. Znajdywaliśmy również czaszki poznaczone śladami nacięć, zwykle najbardziej widocznymi na czole, gdzie wojownik zdejmujący skalp dokonywał pierwszego cięcia. W czaszkach niektórych ofiar skalpowania wciąż tkwiły drobiny krzemienych ostrzy. W kilku mrozących krew w żyłach przypadkach kości nosiły również ślady gojenia, należały więc do tych nieszczęśników, którzy przeżyli skalpowanie i mogli potem opowiadać o tym straszliwym doświadczeniu.

Co znamienne, nie znaleźliśmy w Sully ani jednej kuli. Wioska została ostatecznie porzucona około roku 1750. W owym czasie biali oraz ich broń stanowili jedynie ciekawostkę, temat na poły fantastycznych opowieści. Jednak w ciągu zaledwie pięćdziesięciu lat sytuacja ta miała ulec dramatycznej, a w przypadku Indian Arikara, tragicznej odmianie.

Stanowisko Sully było największą z wiosek Arikara. Lecz stanowisko Leavenworth położone trzysta dwadzieścia kilometrów dalej w górze rzeki było chyba najbardziej przejmujące. To właśnie tam około roku 1800 Arikara zebrali się, by stoczyć ostatni bój z białymi, Siuksami oraz śmiertelnie niebezpiecznymi wrogami, których nawet nie widzieli. W jednym miejscu zgromadziło się dwanaście różnych odłamów ludu Arikara, przekonanych, że duża liczebność może ich ocalić. W miejscu położonym tuż obok południowej granicy dzisiejszego stanu Dakota Północna zbudowali na pierwszej terasie Missouri dwie wioski, odległe od siebie o kilkaset metrów i rozdzielone niewielkim strumykiem.

Tam właśnie Lewis i Clark spotkali po raz pierwszy Indian Arikara i starli się z nimi. Tam właśnie pozbawieni skrupułów agenci firm futrzarskich wypowiedzieli im biologiczną wojnę, przywożąc ze sobą koce z Saint Louis – celowo skażone wirusem ospy wietrznej, dla którego nieprzygotowany układ odpornościowy Indian stanowił łatwy łup. I to właśnie tam 9 sierpnia 1823 pułkownik Leavenworth oraz siły złożone z niemal trzystu żołnierzy armii amerykańskiej, członków straży ochotniczej Missouri i wojowników Siuksów zaatakowały wioski, posługując się strzelbami, łukami, maczugami i kanonierkami. Nocą 14 sierpnia pozostali przy życiu Arikara wymknęli się ze zniszczonych wiosek.

Latem 1965 woda w jeziorze Oahe sięgała już wysokości czterystu sześćdziesięciu pięciu metrów nad poziomem morza – ponad trzydzieści metrów wyżej niż normalny poziom rzeki – a dwie wioski Arikara w Leavenworth zniknęły pod powierzchnią Missouri. Na szczęście dla nas dwa główne cmentarze znajdowały się na kolejnej terasie, niemal piętnaście metrów wyżej niż wioski. Nadal mieliśmy więc trochę czasu na wykopaliska, choć presja nie słabła.

Jednak już w lipcu 1966 woda zaczynała nas doganiać, wypełniając nawet niektóre z grobów, które

odkopywaliśmy. Do tego czasu zdołaliśmy już odnaleźć i zbadać niemal trzysta grobów Arikara na stanowisku Leavenworth. Nie przerywaliśmy pracy i przesualiśmy się w górę zbocza, tuż przed napierającą wodą. Potem jednak dobra passa się skończyła i nie znajdowaliśmy już kolejnych grobów. Korzystając z ciężkiego sprzętu, odkopywaliśmy szerokie pasy ziemi, oddalając się coraz bardziej od głównych cmentarzy; wróciliśmy nawet do starej techniki i rozkopywaliśmy ziemię zwykłymi łopatami. Mimo to nie udało nam się znaleźć niczego więcej. 18 lipca 1966 opuściliśmy Leavenworth, podobnie jak Arikara sto czterdzieści trzy lata wcześniej.

Jakiś czas później pewien indiański aktywista określił mnie w wywiadzie prasowym mianem „indiańskiej hieny cmentarnej numer jeden”, i zapewne miał rację. W ciągu tych czternastu lat odkopałem na Wielkich Równinach od 4000 do 5000 indiańskich grobów: o ile mi wiadomo, więcej niż ktokolwiek inny na świecie.

Mimo to podczas tych wieloletnich prac nigdy nie wszedłem w konflikt z miejscowymi Indianami. Stało się tak prawdopodobnie z dwóch powodów. Po pierwsze, moja żona Ann, ekspert w dziedzinie dietetyki, pracowała w czasie letnich wakacji nad poprawą jakości żywienia wśród Siuksów z rezerwatu Standing Rock w Dakocie Południowej. Doktorat Ann dotyczył wysokiej zachorowalności na cukrzycę wśród Siuksów, którzy uważali moją żonę za przyjaciółkę. Jako mąż Ann korzystałem z kredytu zaufania, którym ją darzyli. Po drugie, pomagałem współczesnym Siuksom wyrównać rachunki z ludem Arikara, „zaliczyć ostatni cios”, jak to nazywali.

Jednak pod koniec lat sześćdziesiątych widać było zapowiedź nadciągających zmian. Jezioro Oaha wypełniało się wodą, a badania Instytutu Smithsona w dorzeczu Missouri dobiegały kresu. Zbadano tylko nieliczne spośród setek stanowisk archeologicznych wyznaczonych przed napełnieniem sztucznego zbiornika. Na więcej zabrakło czasu, pieniędzy i siły roboczej.

Lecz ścigaliśmy się nie tylko ze wzbierającymi wodami jeziora; musieliśmy również zmagać się z nowym, coraz silniejszym prądem kulturowym. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych – erze walki o prawa człowieka, wojny w Wietnamie i gwałtownych przemian społecznych – Indianie północnoamerykańscy zaczęli na nowo domagać się prawa do swojej kultury, swojego dziedzictwa i materialnych pozostałości historii. Wcześniej czy później musiało dojść do ostatecznego starcia między nauką a wartościami kulturowymi. W hymnie lat sześćdziesiątych Bob Dylan śpiewał o zmieniających się czasach i wzbierających wodach, radząc: „Zacznijcie lepiej pływać, albo pójdziecie na dno”. Brodząc po kostki w błotnistych wodach Missouri, doszedłem do wniosku, że czas już zacząć pływać.

W tym przełomowym momencie dostałem ofertę pracy z Uniwersytetu Tennessee i zacząłem się zajmować antropologią sądową. Moja kariera „hieny cmentarnej numer jeden” dobiegła końca. Moje prawdziwe powołanie – specjalisty od medycyny sądowej – właśnie pukało do mych drzwi.



# Czas zebrać kości, czyli antropologia sądowa od kuchni

Związek, który trwa czterdzieści lat, z pewnością pozwoli nam dobrze poznać daną osobę. Każdy jednak zabiera jakieś tajemnice do grobu.

Po raz pierwszy spotkałem moją długoletnią współpracownicę na początku semestru zimowego w 1962 roku. Byłem wtedy świeżo upieczonym doktorem, który pomiędzy letnimi wykopaliskami w Dakocie Południowej nauczał na Uniwersytecie Kansas w Lawrence; moja przyszła partnerka objawiła mi się w postaci niezbyt świeżych zwłok wydobytych niedawno z pobocza drogi w pobliżu Missouri, w okolicach Leavenworth. Ciało, znalezione przez trzech myśliwych i psa, leżało na terenie zalewowym, gdzie gleba, nanoszona co jakiś czas przez powodzie, jest miękka i sypka. Morderstwa dokonano w lecie, więc wykopanie dołu było wyjątkowo łatwe.

Jako antropolog sądowy oglądam zwykle ciała, które czasy świetności mają już dawno za sobą – rozdęte, rozszarpane, spalone, wypełnione robactwem, gnijące, przepiłowane, obgryzione, rozpuszczone, zmumifikowane lub rozczłonkowane. Niektóre zredukowane jedynie do szkieletu, do nagich kości – nagich, lecz pełnych cennych informacji.

Ciało się rozkłada; kości pozostają. Ciało zapomina i wybacza dawne urazy; kość może się zagoić, ale zawsze pamięta: upadek z dzieciństwa, bijatykę w barze, uderzenie ręką pistoletu w skroń, ostrze wbite między żebra. Kości zatrzymują takie chwile, utrwalają je i pokazują każdemu, kto ma dość wiedzy i doświadczenia, by dojrzeć to bogactwo danych, by usłyszeć cichy szepot zmarłych.

Niedawno byłem w prosektorium Centrum Medycznego Uniwersytetu Tennessee, gdzie moim oczom ukazał się naprawdę rozdzierający widok: na metalowej tacy leżał szkielet zaledwie trzymiesięcznego niemowlęcia zmasakrowanego w sposób, który trudno opisać. Ręka i noga dziecka były złamane, podobnie jak niemal wszystkie małe żebra, lecz najbardziej przerażający był fakt, że oprócz świeżych, powstałych tuż przed śmiercią obrażeń, na kościach widać było ślady innych pęknięć i złamań na różnych etapach gojenia. To biedne dziecko było maltretowane niemal od chwili urodzenia, lecz jego małe udęczone ciało nieustannie próbowało się regenerować. Gdyby dostało choćby najmniejszą szansę, wróciłoby do zdrowia, bo wytrzymałość ludzkiego organizmu jest wręcz

niewiarygodna – podobnie jak okrucieństwo niektórych ludzi. Z nieskrywaną, choć smutną satysfakcją przeczytałem jakiś czas potem, że jego matka została oskarżona o morderstwo i czeka na proces.

Dorośla ofiara, którą badałem tamtego dnia w 1962 roku – moja przyszła współpracownica – nie składała się wyłącznie z nagich kości. Badanie byłoby znacznie przyjemniejsze, gdyby dostarczono mi ją w takim stanie. Jej szczątki zostały przywiezione w śmierdzącym kartonowym pudle przywiązanych szpagatem do pokrywy bagażnika czarnego sedana. Dwaj agenci KBI (Kansas Bureau of Investigation – Kanskie Biuro Śledcze), którzy je tam przywiązali, nie chcieli zasmrodzić sobie bagażnika. Nie chcieli również, by okropny fetor przeniósł się na ich dłonie.

– Ja tego nie dotknę – oznajmił jeden z nich. – Będzie pan musiał sam to przenieść.

Poszedłem więc na parking, przeciąłem sznurek i zaniósłem pudło na boczny dziedziniec uniwersyteckiego Muzeum Historii Naturalnej, w którym mieścił się mój gabinet. Ułożyłem pudło na trawie, wyjąłem z niego plastikowy worek, rozwiązałem go i wyjąłem gnijące szczątki, kawałek po kawałku.

Dokoła zebrała się garstka co odważniejszych studentów z moich grup. Semestr zimowy rozpoczął się zaledwie kilka godzin wcześniej – był początek września – a uczelnia wypełniła się już młodymi ludźmi. Choć widok był naprawdę makabryczny, badanie świeżo wykopanej ofiary morderstwa stanowiło wyjątkową okazję do nauki, która nadarza się tylko nielicznym studentom antropologii i wcale nie tak licznym nauczycielom.

Kiedy dokonujemy ekspertyzy sądowej ciała – mówiłem swoim studentom – najważniejszym celem jest dokonanie identyfikacji. Jeśli to możliwe, staramy się również określić przyczynę śmierci (formalnie rzecz biorąc, tylko lekarze sądowi mogą określić przyczynę śmierci: my, antropolodzy, nazywamy rzeczy, takie jak rany postrzałowe i kłute, „rodzajem śmierci”).

Zanim jednak stwierdzimy, kim była dana osoba i jak umarła – a nie zawsze da się to stwierdzić – zaczynamy od Wielkiej Czwórki: płci, rasy, wieku i wzrostu.

Zawsze gdy badam ludzkie szczątki, zaczynam od ułożenia ciała lub kości twarzą do góry, w porządku anatomicznym. W tym przypadku nie zajęło to dużo czasu – agenci KBI przywieźli mi tylko trzy części – kość udową, żuchwę i czaszkę. W tamtych czasach, na początku lat sześćdziesiątych, rzadko sprowadzano antropologów na miejsce zbrodni, by pomagali przy wydobywaniu szczątków; policjanci robili to sami, najlepiej jak umieli (czasem ostrożnie, często niezdarnie), potem przynosili czaszkę, jak w tym przypadku, albo jakąś złamaną kość czy wycięte żebro i pytali o to, co akurat było im potrzebne. Równie dobrze można by prosić mechanika, by znalazł przyczynę nierównej pracy silnika, przynosząc mu jedynie gaźnik albo alternator, a nie pokazując całego samochodu, ale tak to właśnie wtedy wyglądało. Na szczęście na przestrzeni lat wypracowałem sobie odpowiednie relacje z policją i coraz częściej bywałem wzywany na miejsce zbrodni, gdy tylko odnaleziono szczątki ofiary.

Kiedy już wszyscy studenci podeszli bliżej i pochylili się nad szczątkami, by obejrzeć je uważniej

– niektórzy wstrzymali przy tym oddech, żeby nie wciągać w nozdrza okropnego smrodu – zaczęliśmy od oględzin kości udowej, na której wciąż zostało sporo tkanki. Na podstawie ułożenia głowy kości udowej („kuli”, która obraca się w panewce stawu biodrowego) oraz dolnej powierzchni stawowej, gdzie kość udowa łączy się z piszczelą, tworząc kolano, mogłem stwierdzić, że mamy tu do czynienia z kością prawego uda. Ułożyłem ją na trawie, obok wyimaginowanej kości biodrowej. Gdzieś pośrodku znajdowały się, widziane jedynie oczami mojej wyobraźni, miednica, kręgosłup, obie ręce i klatka piersiowa. Na wierzchołku niewidzialnego kręgosłupa ułożyłem głowę i żuchwę.

Głowa pozbawiona była twarzy. Z trawy szczyrzyła do nas zęby otłuszczona, poplamiona czaszka. Do boków i tylnej części głowy wciąż przylegały fragmenty gnijącej skóry i mięśni. Dla specjalisty od kości takiego jak ja (minęło jeszcze wiele lat, nim ukuto termin „antropolog sądowy”) brak tkanki na twarzy jest sprzyjającą okolicznością, która ułatwia mu zadanie.

Spieszę z wyjaśnieniem: skóra na ciele martwego człowieka może wprowadzić w błąd. Jeśli włókni są rozdęte, tkanki na twarzy mogą obrzmieć, co utrudni określenie płci. Jeśli brakuje genitaliów – bo ciało zostało rozczłonkowane, uległo rozkładowi lub zostało częściowo zjedzone przez zwierzęta – lub jeśli tkanka miękka jest już w stanie głębokiego rozkładu, kształt kości będzie najwiarygodniejszym źródłem informacji.

Ta konkretna czaszka była mała, co sugerowało, że należała do dziecka lub kobiety. Usta były wąskie, a broda spiczasta – kolejne cechy typowe dla kobiety. Czoło było ładnie sklepienie – gładkie i łagodnie zaokrąglone, szczególnie nad brwiami: podręcznikowy przykład kobiecej czaszki, jak powiedziałem swym studentom.

– Widzieliście pewnie kreskówki z wielkimi, niezdarnymi neandertalczykami – mówiłem. – Mężczyźni mają masywne łuki brwiowe; dzięki temu, kiedy inny jaskiniowiec walnie ich w czoło kością mamuta, nie zrobi im większej krzywdy.

Studenci zareagowali śmiechem. Na przestrzeni lat przekonałem się, że śmiech pomaga ludziom w nauce, więc gdy tylko nadarza się okazja, dorzucam jakiś żarcik, który podkreśla to, o czym właśnie mówię.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że my, mężczyźni, nie ewoluowaliśmy przez ostatnie 20 000 lat, ale czaszka współczesnego mężczyzny znacznie bardziej niż czaszka współczesnej kobiety przypomina czaszkę neandertalczyka.

Podniosłem głowę ofiary, by studenci mogli ją lepiej widzieć (a przy tym i lepiej czuć, niestety), i pokazałem im łuki brwiowe nad oczami. O ile u mężczyzn górna krawędź oczodołów ma postać masywnych zgrubień, o tyle u kobiet krawędź ta jest raczej płaska i ostra. Dokonawszy tej prezentacji, obróciłem głowę i pokazałem im podstawę czaszki – kość potyliczną – gdzie u mężczyzn znajduje się guz kostny zwany guzowatością potyliczną zewnętrzną. Ta czaszka nie miała takiego zgrubienia, nie należała więc raczej do mężczyzny.

– Ale skąd możemy mieć pewność – zwróciłem się do studentów – że była to dorosła kobieta, a nie dwunastoletni chłopiec?

– Dzięki zębom? – zaryzykował odpowiedź jeden z nich.

– Zgadza się. – Skinąłem głową. – Dzięki zębom.

Nasza tajemnicza ofiara miała pełen zestaw zębów – trzydzieści, łącznie z parą ostatnich zębów trzonowych zwanych zębami mądrości, choć tylko na górze. Jedną ze zmian ewolucyjnych, którym podlegają ludzie od czasu, gdy przestali obgryzać kości zwierząt, jest stopniowa utrata zębów mądrości. U niektórych ludzi ostatnie zęby trzonowe nigdy nie wyrastają: są niczym ziarna, które nigdy nie kiełkują. Jeśli więc znajdziemy czaszkę, w której nie wyrosły zęby mądrości, tłumaczyłem, nie oznacza to wcale, że należała ona do dziecka. Jeśli jednak mamy do czynienia z czaszką, w której pojawiły się trzecie zęby trzonowe, mówiłem z naciskiem, to możemy być całkowicie pewni, że jej właściciel miał co najmniej osiemnaście lat. Dlatego też i ja byłem całkiem pewien, że w tym wypadku czaszka należała do dorosłej kobiety.

Najlepszym sposobem na potwierdzenie tej tezy byłoby badanie miednicy. Niestety, nie mogliśmy z niego skorzystać.

Miednica dorosłej osoby jest skomplikowaną i precyzyjnie zaprojektowaną strukturą, umożliwiającą połączenie trzech nierównych kości: kości krzyżowej, u podstawy kręgosłupa, oraz dwóch kości miednicznych, prawej i lewej. (Jedna z łacińskich nazw tej kości – innominatum – czyli „bezimienna” lub „nienazwana” odnosi się do jej dziwnego kształtu: widziane od przodu wyglądają jak rozłożone uszy wściekłego słonia; pod tymi rozłożonymi kostnymi uszami znajdują się dwie wypukłości przeszyte otworami przypominającymi puste oczodoły; z przodu dwie odnogi kości łączą się ze sobą niczym mocno wykrzywione ciosy słonia).

Zadaniem kości krzyżowej jest rozdzielenie ciężaru spoczywającego na jednej kolumnie, czyli kręgosłupie, na dwie kolumny, czyli nogi, za pośrednictwem prawej i lewej kości miednicznej. Lecz sama kość miedniczna jest skomplikowaną strukturą, pod pewnymi względami podobną do czaszki, która również stanowi połączenie kilku kości.

Nim człowiek osiągnie wiek dojrzewania, każda z jego kości miednicznych składa się z trzech oddzielnych kości: biodrowej, kulszowej i łonowej. Kość biodrowa jest najwyżej położoną i najszerszą częścią kości miednicznej; to właśnie jej grzebień wygląda jak rozłożone ucho słonia, znajdujące się tuż pod talią. Kość kulszowa to struktura kostna, którą możemy poczuć pod sobą, gdy usiadziemy na twardym krześle i energicznie pokręcimy pupą na boki. (Niektórzy z nas nie są w stanie poczuć niczego twardego we wnętrzu tej wielkiej masy tłustej tkanki, ale zapewniam was, że coś tam jest). Kość łonowa znajduje się w przedniej części brzucha, około dziesięciu centymetrów pod pępkiem.

W okresie dojrzewania miednica ulega wielu interesującym zmianom. Aby główka dziecka mogła wysunąć się na zewnątrz podczas porodu, miednica kobiety stopniowo się rozszerza, a kość łonowa

wydłuża i wygina mocniej do przodu, tworząc łuk kanału rodnego.

Ponieważ męska miednica jest znacznie węższa, kości udowe mężczyzny zwieszają się mniej więcej pionowo pod kośćmi miednicznymi. U dorosłej kobiety kości udowe pod biodrami przekrzywione są lekko do środka. Jak łatwo zauważyć, te różnice w budowie miednicy i układzie kości udowych przekładają się na opisane naukowo i przyjemne dla oka różnice w sposobie, w jaki kobiety i mężczyźni siedzą, stoją i chodzą.

Dlatego też, gdybyśmy mieli miednicę naszej świeżo wykopanej ofiary morderstwa, moglibyśmy bez problemu potwierdzić, że była to kobieta.

Kości miedniczne pomogłyby nam również ustalić wiek ofiary. Podobnie jak szwy kostne czaszki, połączenie w środkowej części ciała, gdzie lewa kość łonowa spotyka się z prawą – tak zwane spojenie łonowe – stanowi doskonałą miarę wieku człowieka. Od końcowego etapu wieku dojrzewania aż do wieku około pięćdziesięciu lat powierzchnia spojenia łonowego ulega stopniowym i powtarzalnym zmianom, które po raz pierwszy zostały zbadane i opisane ponad osiemdziesiąt lat temu; pofałdowana, nierówna powierzchnia spojenia łonowego kilkunastoletniej kobiety wyrównuje się podczas trzeciej i czwartej dekady jej życia. Gdy kobieta osiąga wiek około czterdziestu lat, powierzchnia ta zaczyna niszczyć, nabiera porowatego, gąbczastego wyglądu. Stan spojenia łonowego wraz z innymi cechami szkieletu, takimi jak stan uzębienia i szwów kostnych czaszki oraz stopień, w jakim trzony obojczyków połączyły się ze swoimi końcami, pozwala antropologom określić wiek danego człowieka w bardzo dużym przybliżeniu, nieprzekraczającym zazwyczaj roku lub dwóch.

Do określenia rasy w zupełności wystarczała nam czaszka. Poprosiłem studentów, by ponownie zwrócili uwagę na usta kobiety. Jej zęby wystawały mocno do przodu – podobnie jak szczęki w miejscu gdzie znajdowały się korzenie zębów. Cechę taką nazywamy prognatyzmem (co po grecku znaczy dosłownie „szczeka do przodu”); nawet początkujący antropolodzy doskonale wiedzą, że jest to jedna z charakterystycznych cech czaszek negroidalnych.

Powiedziałem moim studentom, że istnieje łatwy sposób na sprawdzenie, czy dana twarz jest prognatyczna, i postanowiłem zademonstrować go na czaszce, którą trzymałem w dłoni. Wystarczy wziąć ołówek i wcisnąć jeden koniec między górną wargę i podstawę nosa. Następnie, trzymając ten koniec w miejscu, należy skierować ołówek w dół. Jeśli dotyka warg i zębów, ale nie może dotknąć brody, to nasza czaszka jest prognatyczna i prawdopodobnie negroidalna; jeśli dotyka zarówno podstawy otworu nosowego, jak i czubka brody, to jest ortognatyczna (płaska) i prawdopodobnie kaukazoidalna.

Nasza czaszka zdała test na prognatyzm celująco; jej szczeka stanowiła podręcznikowy przykład struktury negroidalnej. Zęby stanowiły kolejne potwierdzenie tej tezy: wierzchołki trzonowców były poszarpane, nierówne, w odróżnieniu od gładkich guzków zębów kaukazoidalnych.

Dwa słowa na temat rasy: w ostatnich czasach sama idea istnienia różnych ras znalazła się pod ostrzałem krytyki. Rasa jest jedynie konstruktem kulturowym – mówi jedna ze współczesnych szkół

myśli – a nie rzeczywistą cechą fizyczną lub genetyczną. Z jednej strony warto przemyśleć na nowo, co właściwie oznacza dla nas pojęcie rasy; z drugiej jednak, po dokładnym obejrzeniu dziesiątków tysięcy czaszek, które badałem w ciągu minionego półwiecza, mogę stwierdzić, że ich cechy – wyraźnie widoczne, mierzalne i statystycznie opisywalne – pozwalają podzielić je na trzy odrębne grupy: negroidalną, kaukazoidalną i mongoloidalną (mongoloidalny znaczy odnoszący się do ludzi rasy żółtej, to jest Azjatów, Eskimosów oraz Indian północnoamerykańskich). Ponieważ ludy różnych ras w coraz większym stopniu mieszają się ze sobą, tradycyjne różnice i atrybuty rasowe mogą za jakiś czas ulec zatarciu lub nawet całkowicie zniknąć, na razie jednak będę się ich trzymał, ponieważ ułatwiają mi identyfikację zmarłych, zaś policji pomagają rozwiązywać sprawy dotyczące morderstw.

Moi studenci wchłonęli już wystarczająco dużo wiedzy i smrodu jak na jedno gorące popołudnie. Włożyłem czaszkę i kość udową z powrotem do foliowego worka, zamknąłem pudło i zaniósłem je do mojego samochodu. W odróżnieniu od agentów KBI włożyłem karton do bagażnika. Wolałem nie umieszczać cuchnących szczątków w kabinie pasażerskiej, ale gotów byłem przynieść je do naszej kuchni i wygotować na kuchence Ann.

Aby dokładniej oszacować wiek kobiety oraz jej posturę, musiałem usunąć z kości resztki tkanek. Mogłem co prawda wystawić je na zewnątrz i poczekać, aż owady i padlinożercy obgryzą je do czysta, byłby to jednak proces dość powolny, a do tego jakiś kojot lub myszołów mógł przywłaszczyc sobie którąś z kości, postanowiłem więc uciec się do innego sposobu, to jest gotować je przez kilka godzin w dużym, przykrytym garnku, a potem zdrapać miękką tkankę szczoteczką do zębów (oczywiście nie była to ta sama szczoteczka, której używałem do mycia zębów).

Ann była specjalistką w dziedzinie żywienia: bardzo poważnie traktowała gotowanie i kuchnię. Nie muszę chyba mówić, że nie była zachwycona, gdy w domu powitał ją smród gotującego się ciała, a w swoim największym garnku znalazła ludzką czaszkę i kość udową. Nie po raz pierwszy miała do czynienia z podobną sytuacją. Część Wydziału Antropologii Uniwersytetu Kansas, łącznie z moim gabinetem, mieściła się w wielkim starym budynku, przystosowanym do przechowywania starych, suchych kości, a nie do obróbki kości świeżych, pokrytych jeszcze tkanką. Jako naukowiec Ann rozumiała, że muszę uciekać się do różnych sposobów i środków, by wykonać swoją pracę. Małżeństwo to sztuka kompromisu, wypracowaliśmy więc razem kilka nieortodoksyjnych, lecz praktycznych zasad: Ann pozwalała mi od czasu do czasu używać jej kucharki do wygotowywania ludzkich szczątków, lecz pod żadnym pozorem nie mogłem korzystać z jej naczyń – musiałem załatwić sobie własne.

Często nie możemy się doczekać, aż woda w czajniku lub garnku wreszcie się zagotuje. Jednak gdy nie pilnujemy tego garnka – przynajmniej takiego, który wypełniony jest ludzkimi kośćmi i rozkładającą się tkanką – woda nie tylko szybko się gotuje, ale i kipi. Opuściłem mój posterunek przy piecyku tylko na moment, by wyjść do toalety: kiedy wróciłem, brudna piana, zupa z mózgu i inne cuchnące składniki przelewały się nad krawędzią garnka i wsiąkały we wszystkie zagłębienia

i szczeliny kuchenki Ann. Wiedziałem, że niefortunna kuchenka już nigdy nie będzie taka sama, że od tej pory, gdy tylko ktoś uruchomi palnik lub piekarnik, ten sam paskudny smród wypłynie z jej wnętrza i wypełni całą kuchnię. Zrobiłem użytek z nieprzeciętnych możliwości mojego naukowego umysłu i wydedukowałem szybko, że codzienne inhalacje tego rodzaju z pewnością nie będą sprzyjać zachowaniu małżeńskiej harmonii, więc wkrótce Ann była dumną posiadaczką nowej kuchenki.

Tymczasem ja oskrobałem kości i ułożyłem je na słońcu, by obeschły. Oczyszczona z tkanki miękkiej czaszka lśniła jasno niczym kość słoniowa – kolejna cecha czaszek negroidalnych, które zbudowane są z kości gęstszych niż czaszki kaukazoidalne. Dzięki temu, że kształtu czaszki nie zniekształcały już pozostałości tkanki, prognatyzm wydawał się jeszcze wyraźniejszy. Otwór nosowy był szeroki, połączony z pionową „rynną” w górnej szczęce – zdecydowanie odmiennie od poziomego progu lub „zapory” znajdującej się u podstawy kaukazoidalnego otworu nosowego. (Szeroki, niczym nieprzesłonięty otwór nosowy w czaszce negroidalnej miał za zadanie ułatwiać szybką wymianę powietrza i skuteczne chłodzenie w gorącym klimacie; węższy otwór i próg nosowy w czaszce kaukazoidalnej miał hamować przepływ zimnego europejskiego powietrza, by nie dotarło zbyt szybko do płuc).

Wiedziałem już więc, że kości te należały do czarnoskórej kobiety, z pewnością dorosłej, nie wiedziałem jednak, czy miała lat osiemnaście, czy też raczej osiemdziesiąt. By się tego dowiedzieć, musiałem zbadać szwy kostne czaszki.

Większość ludzi uważa, że czaszka to jedna kopulasta kość – jeśli przesuniemy dłonią po głowie, to z pewnością odniesiemy takie właśnie wrażenie. Jednak w rzeczywistości sklepienie czaszki to skomplikowana struktura złożona z siedmiu oddzielnych kości: kości czołowej; pary kości ciemieniowych, które tworzą górną i tylną część czaszki; kości skroniowych, położonych niżej, po obu stronach czaszki; kości klinowej tworzącej część środkową podstawy czaszki oraz kości potylicznej, ciężkiej tylnej i dolnej części czaszki, która opiera się na pierwszym kręgu szyjnym i wprowadza rdzeń kręgowy do czaszki. (Schemat czaszki znajduje się w Aneksie I, Kości ludzkiego szkieletu).

Miejsca, w których poszczególne kości czaszki łączą się ze sobą, nazywane są szwami, co odnosi się do ich wyglądu, przypominają bowiem nierówne, ząbkowane szwy utrzymujące w całości monstrum stworzone przez doktora Frankensteina. Kiedy się rodzimy, połączenia te zbudowane są z chrząstki, jednak w miarę upływu czasu chrząstka kostnieje, a szwy stają się coraz gładzsze, by po wielu latach niemal całkowicie zniknąć.

Szew wieńcowy tej kobiety – czyli szew znajdujący się na szczycie głowy – zaczął już zanikać; to oznaczało, że musiała mieć co najmniej dwadzieścia osiem lat, bo szew ten kostnieje jako ostatni. Jednak fakt, że połączył się z kośćmi tylko częściowo, wskazywał, że prawdopodobnie miała niewiele ponad trzydzieści lat – co najwyżej trzydzieści cztery, jak przypuszczałem.

Na razie szło mi całkiem nieźle: znałem już trzy elementy Wielkiej Czwórki – płeć, rasę i wiek.

Został tylko wzrost. Już przed wiekami artyści oraz naukowcy zauważyli, że choć ludzie mogą znacznie różnić się od siebie wzrostem i posturą, ich proporcje – na przykład stosunek długości nogi do całkowitego wzrostu – są mniej więcej takie same. Słynny rysunek autorstwa Leonarda da Vinci ukazuje nagiego mężczyznę wrysowanego w koło i kwadrat; wyprostowane ręce mężczyzny przedstawione są w dwóch pozycjach (jedna para rozłożona poziomo na boki, druga uniesiona tak, by czubki palców znajdowały się na tej samej wysokości co wierzchołek jego głowy), podobnie jak wyprostowane nogi (jedna para ze złączonymi stopami, druga ze stopami rozstawionymi na odległość kilkudziesięciu centymetrów). Pod ilustracją znajduje się tekst sporządzony pismem lustrzanym, którym często posługiwał się da Vinci. Z tekstu wynika, że rysunek stanowi komentarz do fragmentu traktatu Witruwiusza, w którym ten starożytny architekt opisuje proporcje ludzkiego ciała: „Przyroda bowiem w ten sposób stworzyła ciało ludzkie, że czaszka od brody do górnej części czoła i do korzeni włosów wynosi jedną dziesiątą długości ciała; podobnie jedną dziesiątą stanowi odległość od przegubu dłoni do końca średniego palca; głowa od brody do najwyższego punktu czaszki stanowi ósmą część długości ciała; odległość od górnej części klatki piersiowej i nasady szyi do korzeni włosów wynosi jedną szóstą, a odległość od klatki piersiowej do najwyższego punktu czaszki jedną czwartą. (...) Stopa odpowiada jednej szóstej wysokości ciała, łokieć jednej czwartej, klatka piersiowa również jednej czwartej. (...) Jeśli się bowiem odmierzy odległość od stóp do czubka głowy i potem tę miarę przeniesie na rozłożone ręce, to otrzyma się szerokość równą długości”<sup>1</sup>.

W 1950 roku badaczki Mildred Trotter, antropolog, oraz Goldine Gleser, statystyk, zajęły się tą starożytną koncepcją proporcjonalności i przeprowadziły szeroko zakrojone badania, by zweryfikować jej trafność. Po zmierzeniu setek szkieletów Trotter i Gleser opracowały wzory pozwalające obliczyć wzrost na podstawie długości którejkolwiek z tak zwanych kości długich szkieletu – kości rąk (kości ramiennej, promieniowej lub łokciowej) lub nóg (kości udowej, piszczelowej lub strzałkowej). Najlepsze wyniki zapewniał pomiar kości udowej, i zapewne właśnie dlatego agenci KBI przywieźli mi tę kość.

Umieściwszy kość na desce osteometrycznej – rozsuwanym drewnianym przyrządzie, który przypomina parę podpórek do książek połączonych linijką – zmierzyłem jej długość i otrzymałem wartość 47,2 centymetra. Potem wstawiłem ją do wzoru Trotter i Gleser odnoszącego się do kobiet rasy negroidalnej:  $(47,2 \times 2,28) + 59,76$ . Wynik końcowy, czyli 167,38, określał wzrost kobiety w centymetrach z dokładnością do około dwóch centymetrów.

Znałem więc już wszystkie cztery elementy: płeć – kobieta; rasa – czarna; wiek – trzydzieści do trzydziestu czterech lat; wzrost – około stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrów. Przypuszczałem, że znalezienie odpowiedzi na kolejne pytanie – kim była ta kobieta? – nie będzie już takie łatwe. Zwykle gdy otrzymuję czaszkę z pełnym uzębieniem, istnieje spora szansa na dokonanie identyfikacji. W tym celu należy porównać istniejące już zdjęcia rentgenowskie uzębienia z wypełnieniami i mostkami zwłok lub innymi unikatowymi cechami zębów, takimi jak ich kształt, struktura lub ustawienie.



Oczywiście, aby tego dokonać, trzeba dysponować zdjęciami rentgenowskimi zaginionych osób, których wiek, płeć i rasa pasują do badanych kości. Nie zawsze jest to możliwe, ale dentyści zaskakująco często są w stanie dostarczyć dokumentację konieczną do identyfikacji.

W tym przypadku sprawa nie była taka prosta: zęby zmarłej kobiety nie nosiły żadnych śladów leczenia dentystycznego, choć gdyby jeszcze żyła, bez wątpienia takowe by się jej przydało. Miała wielkie ubytki w dwóch dolnych i pięciu górnych zębach, a także mniejsze dziury w większości pozostałych zębów. Co gorsza, w jednym z górnych zębów mądrości rozwinął się ropień. Brak opieki dentystycznej oznaczał, że prawdopodobnie była biedna, a jeśli tak długo wytrzymała z zaniedbanymi zębami i znosiła ból ropnia, to musiała też być prawdziwą twardzielką. Poza tym zauważyłem jeszcze jedną charakterystyczną cechę jej uzębienia: gdy przyłożyłem żuchwę do czaszki, nie mogłem ustawić jej dokładnie pod górną szczęką. Żuchwa przekrzywiła się o jakieś pół centymetra na prawo, więc kobieta musiała mieć za życia zgryz krzyżowy, który uwidaczniał się wyraźniej przy każdym szerszym uśmiechu.

Bez dokumentacji dentystycznej nie mogłem jednoznacznie zidentyfikować ciała. Mogłem za to dokonać identyfikacji opartej jedynie na przypuszczeniach. 10 sierpnia, czyli nieco ponad trzy tygodnie wcześniej, zgłoszono zaginięcie pewnej kobiety z Atchison w stanie Kansas – małego miasteczka odległego o jakieś trzydzieści kilometrów od miejsca, w którym znaleziono ciało. Nazywała się Mary Louise Downing; była czarnoskóra, miała trzydzieści dwa lata i sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Nie mogłem stwierdzić z całkowitą pewnością, że czaszka i kość udowa, które przed chwilą zbadałem, należały właśnie do niej, ale nie znajdowałem też niczego, co mogłoby przeczyć tej tezie. Właściwie gotów byłem założyć się o kwotę, którą wydałem na nową kuchenkę, że była to właśnie Mary Louise.

W sobotę 8 września napisałem raport i wysłałem go do agenta KBI prowadzącego tę sprawę, a kopię przesłałem dyrektorowi KBI urzędującemu w Topeka. Tekst z pojedynczą interlinią zajmował niecałe dwie strony.

W sumie informacje, które mogłem podać KBI, ograniczały się do jej płci, rasy, wieku, wzrostu i kiepskiego stanu uzębienia. Na czaszce i kości udowej nie widniały żadne ślady, które pozwoliłyby określić, jaką śmiercią zginęła. Najwyraźniej jednak KBI dysponowało większą ilością danych niż ja, bo po zapoznaniu się z moim raportem agenci byli pewni, że znaleźli właśnie Mary Louise Downing. Na podstawie faktu, że jej ciało znaleziono na dnie rzeki, w miejscu odległym od Atchison, uznano również, że została zamordowana.

I na tym koniec. Kto ją zabił, dlaczego, gdzie i kiedy – odpowiedzi na te pytania znały tylko dwie osoby, zabójca i Mary Louise, a żadna z nich nie była skora do rozmowy.

Po przesłaniu raportu przyjrzałem się jeszcze raz jej czaszce. Po obu jej stronach, na kościach policzkowych i żuchwie, mniej więcej w odległości czterech centymetrów od linii pośrodkowej, znajdowały się cztery maleńkie otwory, przez które przechodziły niegdyś nerwy twarzowo–czaszkowe

z jej mózgu. Małe wiązki włókien elektrochemicznych zamieniały jej smutek na grymas zatroskania, jej radość w lekko przekrzywiony uśmiech. Była czyjąś córką, czyjąś żoną, czyjąś matką, teraz stała się tylko sprawą, która nigdy nie zostanie rozwiązana.

W sierpniu w miejscowej gazecie ukazała się tylko krótka wzmianka dotycząca jej zaginięcia; odkrycie jej ciała na początku września opisane zostało w jednej, pięciocentymetrowej kolumnie. Wydawało się, że zarówno za życia, jak i po śmierci Mary Louise pozostawała niezauważona, pomijana, nieistotna.

A jednak. Spędziliśmy razem już czterdzieści lat, Mary Louise i ja. Była niemal we wszystkich salach wykładowych, w których kiedykolwiek się pojawiłem; podróżowała ze mną na konferencje i seminaria na terenie całych Stanów Zjednoczonych; odwiedziła Akademię FBI w Quantico w Wirginii, szkolenia ATF (Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych) w sześciu stanach oraz Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Armii USA w Honolulu na Hawajach. Za życia Mary Louise prawdopodobnie nigdy nie wyjeżdżała poza Atchison ani nie dokonała niczego, co byłoby naprawdę godne uwagi. Jednak po śmierci zjeździła pół świata, nauczała tysiące studentów i pomogła wyszkolić setki antropologów sądowych, oficerów śledczych, techników laboratoryjnych i lekarzy sądowych.

Sprawa zabójstwa Mary Louise prawdopodobnie nigdy nie zostanie rozwiązana. Lecz dzięki niej rozwiązano wiele innych spraw – a wiele innych jeszcze zostanie wyjaśnionych. Moim zdaniem to czyni z niej niezwykłą kobietę, bohatera nauk sądowych.

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Można wręcz powiedzieć, że czuję to w kościach.

## Podejrzany wujek

W grudniu 1970 w drzwiach mojego gabinetu w Muzeum Historii Naturalnej Uniwersytetu Kansas w Lawrence stanął zastępca szeryfa. Pół roku później już nie znalazłby mnie w Kansas. W owym czasie przyjąłem już propozycję pracy na Uniwersytecie Tennessee w Knoxville i zamierzałem przeprowadzić się tam w maju następnego roku.

Zastępca szeryfa złapał mnie przy biurku, za którym spędzałem jesienie, zimy i wiosny minionej dekady. W tym czasie Uniwersytet Kansas stworzył jeden z najlepszych wydziałów antropologii fizycznej w kraju. Jego siłę napędową stanowiło trzech młodych, pomysłowych antropologów fizycznych – w tym moja skromna osoba – uznanych specjalistów w zakresie nauk sądowych. Ja sam zbadałem już wówczas kilkadziesiąt spraw dla różnych organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, od lokalnych biur szeryfów po KBI – zastępca dyrektora tej instytucji, Harold Nye, został moim dobrym przyjacielem.

W tamtych latach Harold uchodził w kręgach policji i agencji śledczych za swego rodzaju znakomitość. Odegrał kluczową rolę w wytropieniu dwóch byłych więźniów, którzy w 1959 roku zamordowali czteroosobową rodzinę w zachodnim Kansas. Sprawa ta – morderstwo rodziny Clutterów oraz śledztwo prowadzone przez KBI – stała się podstawą jednej z najśłynniejszych powieści kryminalnych, książki *Z zimną krwią* Trumana Capote'a wydanej w 1966 roku.

Capote opisał, jak Nye zmagając się z uporczywą gripą w ciągu sześciu tygodni poprzedzających ujęcie zabójców, byłych więźniów Dicka Hickocka i Perry'ego Smitha. Pomimo choroby Harold pracował niestrudzenie jako szef zespołu czterech agentów KBI przydzielonego do tej sprawy. Idąc tropem Perry'ego Smitha, trafił do taniego hotelu w Las Vegas, gdzie Smith przebywał tuż przed napadem na Clutterów; co więcej, dowiedział się, że morderca ma tam jeszcze wrócić po swoje rzeczy. W Meksyku – jednym z wielu miejsc, do których podróżowali Smith i Hickock po dokonaniu zbrodni – Harold zdołał odszukać lornetkę i radio tranzystorowe, które ukradli z domu Clutterów i oddali w zastaw za kilka dolarów. Podczas procesu dowody te odegrały ważną rolę, świadczyły bowiem o tym, że obaj mężczyźni przebywali na miejscu zbrodni.

Harold znalazł także inny kluczowy dowód na samym miejscu zbrodni. Dwa wyraźne odciski butów, niewidoczne dla ludzkiego oka, pojawiły się na wykonanych przez Harolda zdjęciach z piwnicy

Clutterów. Kiedy aresztowano zabójców, okazało się, że ich buty pasują idealnie do tych śladów. Dzięki skrupulatności Harolda oraz pozostałych agentów KBI mężczyźni zostali aresztowani, uznani za winnych morderstwa z premedytacją i powieszeni.

Harold nie przepadał za powieścią Capote'a; uważał, że jego opis za bardzo odbiega od rzeczywistości. Nie miał też najlepszego zdania o samym autorze: gdy poszedł go kiedyś przesłuchać, Capote otworzył mu drzwi pokoju hotelowego ubrany w koronkowy peniuar. Harold, człowiek zacny i skromny, musiał przeżyć wtedy prawdziwy szok, lecz nie opowiadał o tym nikomu. Dopiero wiele lat później podzielił się tą opowieścią z George'em Plimptonem, który pisał biografię Capote'a.

Choć wówczas żaden z nas nie miał o tym pojęcia, Harold przyczynił się także do powstania Trupiej Farmy. Pewnego wiosennego dnia 1964 roku zadzwonił do mnie z niezwykłym pytaniem: Czy mógłbym zbadać pewien szkielet i podać w przybliżeniu datę śmierci? Jak się okazało, rzeczony szkielet należał do krowy; od czasu do czasu złodzieje bydła lub wandy zostawiają na prerii martwe, okaleczone zwierzęta. Ponieważ w Kansas jest znacznie więcej krów niż ludzi, agenci KBI poświęcają sporo czasu sprawom związanym z kradzieżą bydła. W tym przypadku złodzieje nie uprowadzili zwierząt, lecz po prostu zabili je i oporzędzili na miejscu, zabierając ze sobą mięso i zostawiając kości.

Kilka dni później, po konsultacjach z uniwersyteckim paleontologiem, wysłałem Haroldowi list: „Nie znamy żadnych metod, które pozwoliłyby nam określić, ile czasu upłynęło od śmierci tej krowy” – pisałem. „Mogę powiedzieć ci, ile miała lat, ale nie mam pojęcia, kiedy została zabita”.

Lecz jego prośba dała mi do myślenia. „Mam jednak pewną propozycję” – kontynuowałem.

Jak się zapewne domyślasz, do tej pory nie prowadzono żadnych badań w tej materii, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Jeśli znasz jakiegoś farmera, który byłby gotów zabić krowę i zostawić ją na polu, moglibyśmy przeprowadzić eksperyment, to znaczy sprawdzić, jak długo rozkłada się jej ciało, i zebrać na tej podstawie jakieś informacje. Jednak tempo rozkładu jest inne latem, a inne zimą, obawiam się więc, że musielibyśmy poświęcić co najmniej dwie krowy albo i więcej, by zgromadzić wystarczającą ilość danych.

Harold nigdy nie przystał na mój pomysł; przypuszczam, że był to dla niego naukowy odpowiednik Trumana Capote'a w damskim peniuarze – odrobinę zbyt ekstrawagancki jak na jego gust. Nie próbowałem jednak realizować go za wszelką cenę. Prawdę mówiąc, całkiem o nim zapomniałem niemal na czterdzieści lat – odkryłem go ostatnio przypadkiem, w zakurzonym pliku dokumentów upchniętym za jakimś starym zdjęciem rentgenowskim.

Jednak choć wówczas szybko odsunąłem od siebie tę myśl i zająłem się innymi sprawami, gdzieś w mojej podświadomości ziarno zostało zasiane – ziarno, które miało zakiełkować piętnaście lat później i wydać naukowy owoc, zrodzony nie na krowich truchłach, lecz ludzkich zwłokach: Trupią Farmę.

Ale uprzedzam nieco wypadki. Trupia Farma należała wtedy jeszcze do odległej przyszłości – był grudzień 1970, a detektyw z pobliskiego miasteczka Olathe odległego o czterdzieści kilometrów od

Lawrence wszedł do mojego biura z papierowym pudłem pod pachą. W pudle znajdowały się drobne szczątki kostne. Już na pierwszy rzut oka mogłem stwierdzić, że należały do małego dziecka, co najwyżej dwu- lub trzyletniego. Zastępca szeryfa detektyw Jerry Foote powiedział mi, że tydzień wcześniej znaleźli je na prerii myśliwi polujący na przepiórki. Szkielet był mocno zdekompletowany, zapewne za sprawą różnego rodzaju padlinożerców, na szczęście czaszka zachowała się niemal w całości, jeśli nie liczyć braku większości zębów.

Przeprowadziłem wstępne badanie w moim gabinecie, dzieląc się swoimi spostrzeżeniami z detektywem Foote'em. Już na początku mojej długiej współpracy z policją przekonałem się, że większość policjantów chce pogłębiać swoją wiedzę w tej dziedzinie; chętnie słuchają, co mam do powiedzenia, gdy badam ciało lub szkielet, nawet jeśli są to tylko bardzo ogólne informacje.

Przyjrząwszy się bliżej tej małej czaszce, stwierdziłem, że musiała leżeć na prerii już od miesięcy. Zauważyłem też, że lewa strona wyblakła niemal do białości, co oznaczało, że czaszka leżała na prawym boku, wystawiając lewy na działanie słońca i deszczu. Po prawej stronie znalazłem kilka pasm cienkich blond włosów przywierających do czoła oraz do podstawy czaszki i kręgów szyjnych. Włosy potwierdziły to, na co wskazywał również kształt czaszki: dziecko prawdopodobnie było białe.

Większość zębów dawno już wypadła z obu szczęk, bez wątplenia jednak dziecko miało już niemal kompletne uzębienie, łącznie z pierwszymi zębami trzonowymi, które nadal tkwiły na swoim miejscu; dzięki temu wiedziałem, że prawdopodobnie miało co najmniej dwa lata. Korzenie kłów nie były jeszcze w pełni uformowane, co oznaczało z kolei, że dziecko nie osiągnęło jeszcze wieku trzech lat. Trzy lata: dla większości dzieci to czas wyliczanek, pluszaków, zabawy w chowanego i kredek. Dla tego dziecka był to czas śmierci i prawdopodobnie morderstwa.

Był to chłopiec czy dziewczynka? W przypadku szkieletów osób, które osiągnęły już wiek dojrzenia, określenie płci jest stosunkowo łatwe, głównie za sprawą wyglądu miednicy: kobiety mają szerszą miednicę i znacznie dłuższą kość łonową, co pozwala im na rodzenie dzieci. Jednak miednice małych dzieci praktycznie niczym nie różnią się od siebie. W każdym wieku dziewczynki są zazwyczaj nieco mniejsze od chłopców, lecz jeśli nie znamy dokładnego wieku dziecka – gdy dysponujemy taką informacją, to prawdopodobnie znana jest nam też tożsamość dziecka – nie będziemy w stanie określić jego płci.

Detektyw Foote stwierdził, że z dużym prawdopodobieństwem może określić płeć tego dziecka. Osiem miesięcy wcześniej zgłoszono zaginięcie dwuipółletniej Lisy Elaine Silvers. Jej dwudziestojednoletni wuj, Gerard Silvers, opiekował się Lisą oraz jej maleńką siostrzyczką 22 kwietnia, gdy rodzice dziewczynek wybrali się do kina. Gerald powiedział policji, że zdrzemnął się na chwilę, a gdy się obudził, Lisy już nie było. Poszukiwania prowadzone przez policję i sąsiadów nie przyniosły żadnego rezultatu.

Po przesłuchaniu Gerald opuścił Kansas i wyjechał do Kalifornii – w policyjnym samochodzie. Przeprowadzając rutynowe czynności śledcze po zniknięciu Lisy, detektyw Foote dowiedział się, że

młody Gerald jest poszukiwany za rozbój oraz ucieczkę z miejsca wypadku w „Złotym stanie” – z pewnością nie należał do ludzi, którym powierzyłbym opiekę nad swoimi dziećmi. Nie musiało to jednak oznaczać, że był również mordercą. Właściwie, dysponując jedynie szczątkami, które leżały w pudle na moim biurku, nie mogliśmy nawet stwierdzić z całą pewnością, że znaleźliśmy ciało Lisy. Nie znaleźliśmy płci niezidentyfikowanego dziecka, a jego kości nie nosiły żadnych śladów zaleczonych urazów czy złamań, które dzięki porównaniu ze zdjęciami rentgenowskimi mogłyby potwierdzić jego tożsamość. Co więcej, nie dysponowaliśmy również dokumentacją dentystyczną, bo Lisa żyła tak krótko, że nie zdążyła nawet wybrać się z pierwszą wizytą do dentysty. Miałem przed sobą około pół setki kości, ale żadnego punktu zaczepienia. Spisałem na miejscu wszystko, co udało mi się ustalić, wręczyłem raport detektywowi Foote’owi i życzyłem mu powodzenia w rozwiązaniu tej sprawy.

Kilka miesięcy później fortuna rzeczywiście uśmiechnęła się do niego: dwaj współwięźniowie Geralda Silversa z Kalifornii donieśli na niego, gdy pochwalił się, że zgwałcił i zabił własną bratanicę. Gerald został postawiony w stan oskarżenia przez wielką ławę przysięgłych z Kansas i przewieziony ponownie do Olathe, gdzie miał odbyć się proces. Gdy jednak zbliżał się termin rozprawy, detektyw Foote zadzwonił do mnie, spanikowany. Ponieważ nie byliśmy w stanie zidentyfikować ciała Lisy, obrońcy Geralda mogli bez trudu obalić zarzuty prokuratora. Mieliśmy ciało, owszem, ale nie potrafiliśmy udowodnić, że należało ono do Lisy, ani że ta została zgwałcona i zamordowana przez własnego wuja.

Foote niemal błagał mnie na kolanach: czy naprawdę nie da się w jakiś inny sposób zweryfikować tych informacji?

– Ma pan zdjęcie Lisy? – spytałem w nadziei, że dostrzegę na nim jakąś charakterystyczną cechę twarzy dziewczynki, którą będę mógł odnieść do jej czaszki. Owszem, miał, i obiecał mi je przysłać.

Jakiś czas później otrzymałem kopertę ze zdjęciem ukazującym śliczniutką jasnowłosą dziewczynkę, która uśmiechała się dumnie do aparatu. Zwróciłem uwagę na jej zęby; choć sam nie wiedziałem jeszcze dlaczego, dostrzegłem w tym szerokim uśmiechu promyk nadziei. Zadzwoniłem do detektywa Foote’a.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o miejscu, w którym znaleziono ciało – poprosiłem. Wcześniej Foote mówił mi, że myśliwi, którzy je znaleźli, brodzili w wąskim, płytkim strumieniu płynącym przez pastwisko około piętnastu kilometrów od Olathe. – Potrzebujemy wszystkich jej zębów – mówiłem. – Nie tylko trzonowych.

Detektyw Foote dość sceptycznie odniósł się do mojego pomysłu. Powiedział mi, że przeszukiwali teren przez kilka godzin, a wszystkie szczątki, które udało im się znaleźć, pokazał mi już wcześniej. Nie wierzył, by cokolwiek przeoczyli. Jednak ja w owym czasie miałem już spore doświadczenie w poszukiwaniu ludzkich szczątków – odkopałem ich już ładnych parę tysięcy – i byłem w tym naprawdę dobry. Owszem, większość tych szkieletów pochodziła z nienaruszonych indiańskich grobów, ale całkiem spora mniejszość – co najmniej kilkaset – została rozczłonkowana w taki czy

inny sposób przez zwierzęta, burze, erozję lub też przez innych ludzi. W tych przypadkach kości układały się zazwyczaj zgodnie z pewnymi prawidłowościami – miałem nadzieję, że i tym razem było podobnie.

– Zęby będą w tym samym miejscu, gdzie znaleźliście ciało – powiedziałem detektywowi. – Chodźmy tam i poszukajmy ich.

Była już połowa kwietnia, minęło pięć miesięcy od dnia, gdy myśliwi natknęli się w strumieniu na ludzkie szczątki, miałem jednak nadzieję, że od tej pory dno strumienia nie zostało w jakiś znaczący sposób naruszone. Gdyby przez ten teren przeszło stado krów, praktycznie nie mielibyśmy szans na odnalezienie jakichkolwiek kości. Na szczęście gdy przyjechaliśmy na miejsce, nie dostrzegłem w pobliżu śladów bydła. Wiosna była dość ciepła i sucha, więc strumień miał zaledwie kilkanaście centymetrów głębokości. Coraz mocniej wierzyłem w powodzenie mojego planu.

Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że kości leżące na dnie strumienia będą się przemieszczać wraz z nurtem. Trudniej było odgadnąć, jaką odległość mogły pokonać w ciągu kilku miesięcy. Zwykle woda niesie mniejsze i lżejsze kości dalej niż czaszkę czy kości długie. Sprawę komplikuje nieco fakt, że im dalej w dół strumienia czy rzeki przemieści się kość, tym bardziej może przesunąć się w bok. Gdyby sporządzić schemat tej zależności, miałaby ona kształt wydłużonej kropli, której ostry kształt znajdowałby się najwyżej w górze strumienia. Im większy strumień i im szybszy prąd, tym większa byłaby powierzchnia tej kropli.

Przeszedłem około piętnastu metrów w dół strumienia od miejsca, gdzie znaleziono czaszkę i większość kości, by potem przesuwać się w górę strumienia, pod prąd. Zaczynając pracę poza obszarem, na którym spodziewałem się znaleźć kości, miałem pewność, że przez przypadek nie zgmiotę którejś z nich ani nie wepchnę jej głębiej w błoto. Poza tym poruszony przeze mnie muł oddalał się od miejsca, ku któremu zmierzał, a nie zbliżał do niego. Kiedy już o tym pomyślimy, wydaje nam się to całkiem proste i oczywiste, ale nawet nie przypuszczacie, jak często ludzie przeszukujący rzeki czy strumienie kręcą się bezmyślnie w kółko, zdeptując dno i mącąc wodę.

W odległości około dziesięciu metrów od miejsca, gdzie znaleziono czaszkę, wyczułem w mule jakieś drobne kamyki. Tyle że to wcale nie były kamyki, lecz maleńkie kości – kręgi oraz kości dłoni i stóp. I zęby – w sumie znaleźliśmy ich aż czternaście! Brakowało jedynie pary dolnych siekaczy. Czułem się tak, jakbym natrafił na żyłę złota. Gdy wracałem do swojego gabinetu w Lawrence, byłem pełen nadziei, że gdzieś pośród tych kości i zębów znajdę coś, co pozwoli mi stwierdzić jednoznacznie: „To jest – to była – Lisa Silvers”.

Z pewnością mogłem liczyć na to, że zęby pomogą mi określić bliżej wiek zmarłego dziecka. Zamierzałem posłużyć się wynikami badań naukowców z Uniwersytetu Harvarda, którzy starannie opisali etapy rozwoju kilku rodzajów zębów mlecznych. Wykonałem zdjęcia rentgenowskie dolnego kła, pierwszego dolnego zęba trzonowego i drugiego dolnego zęba trzonowego; porównawszy te

zdjęcia z harvardzkimi badaniami, mogłem określić wiek dziecka na około 2,1 roku. Kiedy posłużyłem się inną miarą i zbadałem pierwszy stały ząb trzonowy z dolnej szczęki, wynik oscylował między 2,9 i 3,9 roku. Jeszcze inna miara wskazywała przedział wiekowy od 2,5 roku do 3 lat.

Oczywiście najłatwiejszym sposobem identyfikacji zmarłej osoby jest porównanie jej zębów z dokumentacją dentystyczną. Niestety, ponieważ Lisa nigdy nie była u dentysty, nie dysponowaliśmy taką dokumentacją. Z drugiej strony, ponieważ żaden z tych zębów nie miał wypełnień, mogliśmy nadal bezpiecznie zakładać, że należały właśnie do Lisy.

Wpatrywałem się w drobne dziecięce zęby przez wiele godzin. Mogłem zamknąć oczy i nadal widzieć ich zarys. Choć byłem pewien, że wykorzystałem już wszystkie dostępne mi rodzaje badań i analiz naukowych, nadal uparcie im się przyglądałem, obracałem je w dłoniach i umyśle. Wciąż powracał do mnie widok siekaczy. Było w nich coś, co mnie intrygowało, i co niemal już dostrzegałem, nadal jednak nie mogłem do końca uchwycić. Może przyglądałem im się zbyt intensywnie. Jeśli kiedykolwiek obserwowaliście rozgwieżdżone niebo, przekonaliście się zapewne, że kątem oka możecie dojrzeć gwiazdy, których nie zobaczycie, gdy znajdą się pośrodku waszego pola widzenia. Jeśli więc chcecie odszukać wyjątkowo bladą gwiazdę, patrzcie nieco na bok od miejsca, w którym spodziewacie się ją znaleźć.

W tym przypadku również mogłem zrobić coś, co pozwoliłoby mi zmienić perspektywę i zobaczyć to, czego do tej pory nie mogłem dostrzec. Cofnąłem się więc o krok: zamiast oglądać każdy ząb z osobna, włożyłem je do odpowiednich zębodołów w czaszce, po czym porównałem ten widok ze zdjęciem Lisy Silvers, żywej i uśmiechniętej od ucha do ucha. I wtedy właśnie dostrzegłem dwie rzeczy, które umykały mi do tej pory. Po pierwsze, między dwoma górnymi środkowymi siekaczami znajdowała się niewielka szpara – furтка, jak nazywają to niektórzy. Zauważyłem ją, gdy włożyłem zęby do szczęki, a była również doskonale widoczna na zdjęciu.

Po drugie – i ten szczegół wydał mi się znacznie istotniejszy – wszystkie cztery górne siekacze były nieco ścięte z jednej strony. Zęby nie zostały ukruszone, lecz wyrosły w takiej postaci. Była to anomalia genetyczna, która mogła stanowić klucz do identyfikacji ciała. Kiedy ponownie spojrzałem na zdjęcie, poczułem dreszczyk podniecenia. Zadzwoiłem do detektywa Foote’a.

– Mamy dowód, że to ciało Lisy Silvers – powiedziałem mu.

To było w kwietniu. Od tego czasu sporo się wydarzyło.

Największą zmianą w moim życiu była przeprowadzka do Tennessee, która miała miejsce pod koniec maja. Lata spędzone w Kansas były dla mnie okresem niezwykle intensywnego rozwoju. Wakacyjne prace wykopaliskowe zmuszały mnie do dużego wysiłku, ale dawały też ogromną satysfakcję; rok akademicki pozwalał czerpać przyjemność zarówno z rozwiązywania spraw zleczanych przez policję i KBI, jak i z codziennego nauczania. Kiedy staję przed grupą ludzi – nieważne, czy są to studenci pierwszego roku, doktoranci, świeżo upieczeni agenci FBI czy emeryci – czuję się tak, jakby



ktoś wstrzyknął mi nagle olbrzymią porcję adrenaliny. Wyginam się na różne idiotyczne sposoby, by pokazać, jak działa szkielet; opowiadam dowcipy, zwykle dość nieprzyzwoite, w związku z czym przynajmniej raz w semestrze zostaję wezwany na dywanik. Miałem jednak wrażenie, że olbrzymia większość studentów lubi i docenia mój styl nauczania: zajęcia o nazwie „Wstęp do antropologii”, które prowadziłem w Kansas, każdej jesieni przyciągały ponad tysiąc studentów. Aby poradzić sobie z takim zalewem chętnych, dziekan musiał przenieść nas ze zwykłej sali wykładowej do głównego audytorium uniwersyteckiego.

Ten sielankowy obraz był jednak tylko pozorem, gdyż w obrębie Wydziału Antropologii pogłębiał się trwający od lat konflikt. Kiedy przyjechałem do Kansas w 1960 roku, wydział składał się wyłącznie z archeologów i antropologów kulturowych. Potem w krótkich odstępach czasu zatrudniono trzech antropologów fizycznych. Wkrótce nasza trójka zaczęła cieszyć się uznaniem w całym kraju, głównie za sprawą naszych badań sądowych – poza tym uczyliśmy większość studentów, którzy wybierali zajęcia z antropologii. W końcu antropolodzy kulturowi zaczęli odnosić się do nas z coraz większą niechęcią. Atmosfera zgęstniała do tego stopnia, że wszyscy trzej antropolodzy fizyczni zaczęli szukać nowej pracy.

Ja opuściłem okręt jako pierwszy. Uniwersytet Tennessee chciał stworzyć silny Wydział Antropologii, który liczyłby się w całym kraju – podobny do tego, który zaczęliśmy budować w Kansas. Kiedy zaproponowali mi, bym stanął na czele tego projektu – i zatrudnił dwóch dodatkowych pracowników, których sam wybiorę – nie mogłem odrzucić takiej propozycji.

W ciągu roku dwaj pozostali antropolodzy z Kansas również przenieśli się do miejsc, które oferowały im większe szanse rozwoju – a przynajmniej bardziej przyjazną atmosferę – a Uniwersytet Kansas stracił wykwalifikowany zespół pracowników, który budował przez dziesięć lat.

Gdy 1 czerwca 1971 przybyłem do Knoxville, przekonałem się, że nowa rzeczywistość wcale nie wygląda tak różowo. Do tej pory garstka antropologów pracowała w niewielkim muzeum archeologicznym uniwersytetu. Żeby stworzyć naprawdę silny wydział – i uruchomić studia magisterskie – potrzebowaliśmy więcej przestrzeni, o wiele więcej. Okazało się, że od niedawna uniwersytet dysponuje wolnym miejscem – ponurym budynkiem wciśniętym pod trybuny Neyland Stadium, olbrzymiego stadionu, na którym odbywają się mecze Południowo-wschodniej Konferencji ligi uniwersyteckiej futbolu amerykańskiego (jest to trzeci co do wielkości stadion w Stanach Zjednoczonych).

Posępne gmaszysko, dobudowane w latach czterdziestych, służyło najpierw jako akademik dla piłkarzy i innych sportowców. Później, gdy było już dla nich zbyt stare i zniszczone, uniwersytet zbudował im nowy dom studencki, a do pomieszczeń pod trybunami przeniósł innych studentów. Teraz, gdy pomieszczenia te nie nadawały się już zupełnie do mieszkania, uczelnia łaskawie oddała je jednemu ze swych wydziałów. Mojemu.

Nieważne jednak, w jakim miejscu się pracuje; ważna jest praca, jaką w tym miejscu wykonujemy.

Projekt Manhattan, dzięki któremu Stany Zjednoczone stworzyły pierwszą bombę atomową na świecie, również startował pod stadionem. Pod trybunami Stagg Field, w budynku należącym do Uniwersytetu Chicago, zespół fizyków prowadzony przez Enrico Fermiego zbudował prymitywny reaktor jądrowy, przekroczył masę krytyczną uranu i doprowadził do reakcji łańcuchowej, która zmieniła świat.

Gdy zaczynaliśmy nasz projekt w Knoxville, mieliśmy do dyspozycji osiem biur, całkiem pustych, jeśli nie liczyć telefonu, który stał na podłodze w jednym z pomieszczeń. Żadnych biurek, krzeseł, półek ani szaf na dokumenty. Gdy tylko to zobaczyłem, zaczęliśmy ściągać i pożyczać skąd się dało meble, sprzęt i materiały. Nigdy nie przestaliśmy tego robić. Rozwijaliśmy się w takim tempie, że potrzeby zawsze przewyższały nasz budżet; z początkowych ośmiu pokoi Wydział Antropologii rozrósł się do ponad stu pięćdziesięciu i nadal rośnie. Pomieszczenia, którymi dysponujemy, są jeszcze starsze i bardziej zniszczone niż w 1971 roku, ale pod trybunami stadionu nadal znajduje się masa krytyczna wiedzy antropologicznej, a reakcja łańcuchowa nie ustaje ani na moment.

Wkrótce po zniknięciu Lisy Silvers jej wuj Gerald został przewieziony z powrotem do Tracy w Kalifornii i osadzony na „nieokreślony” czas w więzieniu Deuel Vocational Institute za rozbój oraz ucieczkę z miejsca przestępstwa, które popełnił tam kilka lat wcześniej.

Zeznania Geralda od początku budziły podejrzliwość policji w Kansas. Lisa nigdy wcześniej nie oddalała się sama od domu, trudno więc było uwierzyć, że zrobiła to w nocy, pod nieobecność rodziców. Wiadomo też nie od dziś, że w większości przypadków dzieci porywają ich krewni lub znajomi. W miarę rozwoju śledztwa policjanci byli coraz bardziej przekonani o winie Geralda. Gdy jego dwaj współwięźniowie z Deuel donieśli, że Gerald przyznał się do zgwałcenia i zabicia swojej małej siostrzenicy, detektywi byli już pewni, że mieli jednak rację.

Proces miał zacząć się 16 czerwca w Olathe w stanie Kansas. Oskarżyciel, Mark Bennett, chciał, bym zeznawał rankiem 18 czerwca, w piątek.

„Jeśli przyleci pan samolotem, dopilnuję, by ktoś odebrał pana z lotniska, proszę tylko poinformować mnie wcześniej o terminie przylotu” – napisał do mnie. Odpisałem, że muszę wybrać się samochodem i odebrać jeszcze kilka pudeł, których nie udało nam się upchać w furgonetce przewożącej nasze rzeczy do Knoxville.

Ledwie zdążyłem rozpakować walizki i zabrać się do urządzania nowego domu, a już musiałem wsiąść do samochodu i ruszyć w długą drogę powrotną do Kansas. Gdy jechałem na zachód autostradą międzystanową I-40 moim nowym niebieskim fordem mustangiem cabrio – prezencie, który sam sobie sprawiłem za przenosiny do nowej pracy i dużą podwyżkę – miałem sporo czasu na rozmyślanie o tej smutnej sprawie.

Dotarłem na miejsce późnym popołudniem, zmęczony dwunastogodzinną jazdą i niespokojny o przebieg czekającego mnie nazajutrz przesłuchania. Raz jeszcze przejrzałem wszystkie raporty

i przećwiczyłem w myślach prezentację, która miała w przystępny i zrozumiały sposób objaśnić ławie przysięgłych naukowe dane i wnioski.

Następnego ranka, zgodnie z harmonogramem, zostałem zaprzysiężony. Mark Bennett sprawnie poprowadził przesłuchanie, dzięki czemu mogłem pokrótce opisać moje odkrycia oraz metody, których używałem do określenia wieku, a potem skupić się na szczelinie między przednimi zębami oraz nierównych siekaczach, które widoczne były również na zdjęciu Lisy.

Ku mojej wielkiej uldze obrońca nie próbował podważyć tych hipotez. Wytknął jednak kilka oczywistych słabych punktów w linii oskarżenia, czego się zresztą spodziewałem: Czy mogłem określić przyczynę śmierci? Nie, nie mogłem. Czy szczątki nosiły jakieś ślady urazów lub użycia przemocy? Nie, nie nosiły. Czy mogłem stwierdzić, że Lisa została zgwałcona? Nie, nie mogłem. Wiedziałem, kim była, wiedziałem, że jej szczątki leżały w strumieniu przez dłuższy czas, wiedziałem też, że to ogromna ludzka tragedia i niepowetowana strata, lecz nic ponadto.

Proces trwał tydzień. Nim dobiegł końca, ja byłem już z powrotem w Knoxville, rozpakowywałem pudła z osobistymi rzeczami i zebrałem, gdzie tylko mogłem, o meble biurowe. Mark Bennett przesłał mi artykuł z pierwszej strony dziennika „The Kansas City Star”: Silvers oczyszczony z zarzutu zabójstwa bratanicy. Obrona podważyła wiarygodność dwóch więźniów, którzy donieśli, że Gerald przyznał się do zgwałcenia i zabicia Lisy. Obaj mężczyźni, jak zeznali świadkowie, byli homoseksualistami.

Po procesie Earl Silvers, ojciec Lisy, chwalił obrońcę Geralda. „Był bardzo dobry” – mówił reporterowi miejscowej gazety. „Ciągle pracował, siedem dni w tygodniu, codziennie do dziewiątej, dziesiątej wieczorem”. Charles Silvers, dziadek Lisy, wyraził nadzieję, że po odsiedzeniu wyroku w Kalifornii Gerald wróci do domu, do Kansas. „Kalifornia to nie jest miejsce, w którym powinno się zaczynać nowe życie” – powiedział dziennikarzom.

Szcątki Lisy zostały pochowane wkrótce po zakończeniu procesu. Gdyby żyła, miałyby teraz trzydzieści kilka lat. Być może miałyby też własne dzieci. Może jasnowłosą dziewczynkę z niewielką szparą między czterema wyraźnie ściętymi zębami pośrodku szerokiego promiennego uśmiechu.

# Sprawa bezgłowego ciała

To musiał być naprawdę nudny, pozbawiony jakichkolwiek innych wiadomości dzień: trudno inaczej wytłumaczyć eksplozję zainteresowania mediów moim drobnym błędem w obliczeniach.

Właściwie już od dwóch tygodni nie działo się nic ciekawego. Cała historia zaczęła się w czasie kilku spokojnych dni dzielących Boże Narodzenie od Nowego Roku. Uniwersytet był zamknięty ze względu na przerwę świąteczną, większość moich studentów porozeżdżała się do swoich domów. Mój najstarszy syn Charlie, który miał wtedy dwadzieścia jeden lat, przyjechał z Uniwersytetu Arizony, gdzie studiował – a cóż by innego? – antropologię, ze szczególnym uwzględnieniem antropologii sądowej. (Działo się to, zanim jeszcze uświadomił sobie, że nie chce przez całe życie utrzymywać się z nauczycielskiej pensji).

Późnym popołudniem, w czwartek 29 grudnia 1977, zadzwonił do mnie pracownik biura szeryfa hrabstwa Williamson. Ponieważ byłem antropologiem stanowym Tennessee – a do tego oficjalnym konsultantem Biura Śledczego Tennessee (TBI) – pracownicy wszystkich organów ścigania znali numer mojego telefonu domowego. W związku z tym telefon mógł zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, a im mniej odpowiednia pora, tym większe było prawdopodobieństwo, że chce się ze mną skontaktować ktoś, kto ma jakieś zwłoki do zbadania.

Tym razem owym ktosiem był detektyw kapitan Jeff Long, który dzwonił do mnie z Franklin, miejscowości oddalonej o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Nashville. Franklin było w tym czasie małym, liczącym kilka tysięcy mieszkańców miasteczkiem, lecz wiele gwiazd muzyki country oraz lekarzy z Nashville miało tam swoje rezydencje i stadniny, więc sporą część populacji stanowili ludzie stosunkowo zamożni i dobrze wykształceni.

Do najzamożniejszych i najlepiej wykształconych należeli lekarz Ben Griffith i jego żona Mary. Griffithowie kupili właśnie posiadłość o nazwie Dwie Rzeki, pochodzącą jeszcze sprzed wojny secesyjnej, i zaczęli odrestaurowywać dom. Jak opowiadał kapitan Long, rankiem w Wigilię Bożego Narodzenia pani Griffith oprowadzała przyjaciółkę po majątku, gdy nagle zauważyła coś niepokojącego.

Za domem znajdował się małeńki rodzinny cmentarz, gdzie w XIX i na początku XX wieku pochowano ośmioro członków rodziny Shyów, pierwotnych właścicieli posiadłości. Pani Griffith

zauważyła, że najokazalszy z grobów został naruszony. Na liczącym ponad sto lat nagrobku znajdował się następujący napis: Lt. Col. Wm. Shy, 20<sup>th</sup> Tenn. Infantry, C.S.A., Bom May 24, 1838, Killed At Battle of Nashville, Dec. 16, 1864 (co można przetłumaczyć jako: Podpułkownik William Shy, 20. Pułk Piechoty Tennessee, Skonfederowane Stany Ameryki, ur. 24 maja 1838, zginął w bitwie pod Nashville 16 grudnia 1864).

Ziemia pod kamieniem nagrobnym była rozkopana do głębokości około metra. Pani Griffith pomyślała, że była to zapewne sprawka złodziei szukających cennych przedmiotów z czasów wojny secesyjnej. Nie widziała żadnych śladów trumny ani na ziemi, ani w grobie – być może złodzieje wystraszyli się czegoś i uciekli, nim do niej dotarli – zadzwoniła jednak do szeryfa Fleminga Williamsa.

Jak nietrudno się domyślić, większość podwładnych szeryfa Williamsa zajmowała się tym samym, co większość z nas: spędzała wolny czas z rodziną. Szeryf przyjechał na miejsce przestępstwa, obejrzał je pobieżnie i, uznawszy, że sprawa nie jest pilna, obiecał zająć się nią po świętach. Pomyślał, że nie warto przejmować się zbytnio okradzionym grobem na jakimś starym maleńkim cmentarzu.

Jednak gdy wrócił do Dwóch Rzek kilka dni później, 29 grudnia, szybko zmienił zdanie. Tuż pod powierzchnią świeżo przekopanej ziemi znalazł coś, co wyglądało na ciało ofiary całkiem niedawnego morderstwa. Dokładnie rzecz biorąc, znalazł większość ciała, gdyż było ono pozbawione głowy.

Szeryf Williams wezwał przez radiostację koronera hrabstwa Williamson, Clyde'a Stephensa, który przyjechał szybko do posiadłości Griffithów i dołączył do rosnącej z godziny na godzinę chmary policjantów. Postępując według wskazówek koronera, rozkopywali ostrożnie grób, by nie zniszczyć żadnych dowodów, które mogły okazać się przydatne podczas procesu.

Zwłoki należały do młodego mężczyzny odzianego w elegancki smoking. Choć roztaczało wokół siebie paskudny zapach, ciało wydawało się nienaruszone, a jego skóra wciąż była różowa. Uznano jednogłośnie, że leżało w ziemi nie dłużej niż kilka miesięcy. Dlaczego jednak zostało pogrzebane – przynajmniej częściowo – w grobie z czasów wojny secesyjnej?

To proste, pomyślał koroner: czy można znaleźć jakąś lepszą kryjówkę dla zwłok – drugich zwłok – niż grób? Ktoś postanowił wykorzystać w dość makabryczny sposób stare powiedzenie o tym, że najciemniej jest zawsze pod latarnią. Najwyraźniej jednak zabójca nie zdążył do końca zakopać swej ofiary. Naruszenie starego grobu to jedna sprawa: domniemane morderstwo to zupełnie co innego. Podczas zwołanego na przędkę zebrania szeryf i koroner uznali, że przyda im się pomoc specjalisty. Właśnie wtedy detektyw kapitan Long zadzwonił do mnie.

Powiedziałem kapitanowi Longowi, że spotkam się z nim w biurze szeryfa następnego ranka, i że przywiozę ze sobą asystenta: mojego syna Charliego. Podczas gdy jego koledzy ze studiów jeździli na nartach i bawili się w najlepsze, Charlie miał brać udział w śledztwie w sprawie morderstwa i zdobywać cenne doświadczenie – był to naprawdę godny pozazdroszczenia prezent dla każdego

początkującego antropologa...

Wczesnym rankiem ruszyliśmy moim mustangiem cabrio na zachód, autostradą międzystanową 1–40. Był zimny dzień, więc nie składaliśmy dachu. Kilka miesięcy po tym, jak kupiłem ten samochód, Charlie – który w odróżnieniu ode mnie uwielbiał szybkość, a poza tym był wówczas jeszcze nastolatkiem – wjechał na lewy pas prostej drogi wiodącej przez prerię, tuż przed tym, jak wyprzedzany przez niego farmer skręcił w lewo. Po tym doświadczeniu mustang już nigdy nie był taki sam.

W ten szary grudniowy poranek to ja siedziałem za kierownicą – nie dlatego, że nie ufałem Charliemu, lecz dlatego, że gdy nie prowadzę, często cierpię na chorobę lokomocyjną. Podczas kilkugodzinnej jazdy do Franklin rozmawialiśmy o studiach Charliego w Arizonie. Jego nauczyciel, Walter Birkby, był moim studentem na Uniwersytecie Kansas, więc chciałem dowiedzieć się czegoś więcej nie tylko o postępach mego syna, ale i o karierze Waltera. Podróż minęła nam nadspodziewanie szybko.

Dotarliśmy do Franklin około wpół do jedenastej, a potem pojechaliśmy za kapitanem Longiem do Dwóch Rzek. Piętrowy dom, liczący ponad sto dwadzieścia pięć lat, bez wątplenia wymagał remontu, ale i tak robił naprawdę duże wrażenie: ściany z czerwonej cegły, czarne okiennice i wysokie kominy z każdej strony. Dziedziniec frontowy porastały wielkie dęby i klony.

Z tyłu, za domem, grunt opadał łagodnie w stronę rzeki Harpeth. Na tej pochyłości, w połowie drogi między domem a rzeką, stały nagrobki znaczące cmentarz rodziny Shy'ów. Tuż za kamieniem nagrobnym pułkownika Shy'a znajdował się stary dąb, a tuż przed tymże kamieniem – błotnista dziura w ziemi. Kiedy zbliżyliśmy się do grobu, zauważyłem, że darń została starannie usunięta i odłożona na bok. Przypuszczałem, że ktoś, kto wykopał tę dziurę, zamierzał dokładnie zatrzeć ślady, lecz coś – szczekanie psa, światło na werandzie, a może nawet pani Griffith przechadzająca się rano po ogrodzie – wystraszyło go i zmusiło do ucieczki.

Dół wykopany przed nagrobkiem miał około metra kwadratowego powierzchni i około metra głębokości. Gdy zajrzałem do wnętrza otworu, zobaczyłem odsłonięte ciało i kości. Wraz z Charliem zacząłem odrzucać na bok rozkopaną ziemię i odsłaniać ciało. Ziemia była wilgotna i błotnista. Początkowo leżeliśmy na kawałku sklejki przysuniętym do krawędzi grobu i sięgaliśmy kielniami do wnętrza dołu. Choć przeszkadzały nam nieco zimno i deszcz, praca nie była ciężka, bo ziemia została już uprzednio poruszona. Gdy już powiększyliśmy i pogłęбилиśmy otwór, wszedłem do jego wnętrza. Do tej pory, licząc prace wykopaliskowe na indiańskich cmentarzyskach, byłem już w około 5000 grobów. Przypuszczam, że nim umrę, zostanę nieoficjalnym rekordzistą w kategorii „ciało, które przebywało we wnętrzu największej liczby grobów”.

Zwłoki znajdowały się w stanie zaawansowanego rozkładu, dokładnie tak, jak opisał to przez telefon kapitan Long. Niektóre stawy już przegniły, nogi oddzieliły się od miednicy, a ręce od tułowia. Jednak kolana i łokcie wydawały się nienaruszone, nadal okryte były ubraniem, podobnie jak

większość tułowia. Spoglądając na elegancką czarną marynarkę i białą plisowaną koszulę, zastanawiałem się, czy ofiara była kelnerem w jakiejś drogiej restauracji w Nashville lub Franklin, czy też drużbą weselnym, który zbyt otwarcie flirtował z jakąś druhną – albo panną młodą.

Ciało ułożone było w pozycji siedzącej, na wieku trumny zakopanej w 1864 roku. Dzięki doświadczeniu zdobytemu podczas rozkopywania grobów Indian Wielkich Równin w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wiedziałem, że pogrzebanie zgiętego ciała wymaga mniej kopania niż ułożenie go w pozycji horyzontalnej. To również świadczyło o tym, że ktoś starał się w pośpiechu ukryć ślady zbrodni.

Kiedy pogłębiliśmy jeszcze bardziej dół, zauważyłem spory otwór w wieku starej trumny, która wykonana była z żeliwa – w latach sześćdziesiątych XIX wieku z pewnością była to prawdziwa rzadkość. Otwór, mierzący mniej więcej trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów, mógł zostać wybity przez kilof lub łopatę, która uderzyła w kruchy metal. Gdy ponownie zabrałem się do kopania, kilka grud ciężkiej wilgotnej ziemi osunęło się na ciało, a miednica oraz dolna część kręgosłupa wpadły do wnętrza starej trumny. Musiałem się sporo natrudzić, by potem wydobyć te szczątki.

W końcu zacząłem ostrożnie wyjmować z ziemi poszczególne części ciała oraz ubrań i podawać je Charliemu, który układał wszystko w anatomicznym porządku na sklejce. Gdy przekazałem mu już wszystkie elementy, które udało mi się znaleźć, Charlie powkładał je do foliowych torebek i opisał. Oprócz ciała znalazłem również dwa niedopałki papierosów, które mój syn również zamknął w foliowych torebkach.

Na przestrzeni lat wielokrotnie miałem okazję się przekonać, że mordercy często palą na miejscu zbrodni. Podczas pewnego śledztwa – jak się później okazało, właściciel warsztatu, w którym demontowano skradzione samochody, zastrzelił donosiciela ze strzelby myśliwskiej – znalazłem całą stertę niedopałków w miejscu, gdzie zabójca przez kilka godzin czekał na swą ofiarę. Te niedopałki miały plastikowe końcówki, które przygryzał z taką siłą, że zostawił na nich odciski zębów; szczęśliwie udało mi się dopasować je później do gipsowego odlewu jego zębów. Przypuszczam, że w takich okolicznościach palenie nie jest niczym dziwnym – zabójca bardzo się denerwuje i próbuje w ten sposób rozładować napięcie – ale i niczym rozsądnym, bo nawet na papierowych niedopałkach pozostają czasem odciski palców oraz kropelki śliny zawierające DNA, a więc dowody, które mogą wysłać zabójcę do celi śmierci. (Uwaga dla palaczy: to kolejny dowód na potwierdzenie tezy, że palenie może zabijać).

Gdy wydobyłem już wszystkie szczątki ofiary, pożyczyłem od kapitana latarkę i poprosiłem go, by wraz z Charliem potrzywał mnie za nogi i opuścił do dołu, tak bym mógł zajrzeć do wnętrza trumny. Nie zobaczyłem tam niczego ciekawego – tylko cienką warstwę śmierdzącej brei na dnie – ale i nie spodziewałem się, by po ponad wieku od pogrzebu zostało tam coś wartego uwagi. Kilka lat wcześniej odkopywałem cmentarz z tego samego okresu, to jest z drugiej połowy XIX wieku. Cmentarz ten składał się z niemal dwudziestu grobów, lecz znalazłem na nim ledwie garść kości: pokruszyły się

całkowicie w wilgotnej glebie Tennessee. Dlatego też byłbym zdumiony, gdybym ujrzał w świetle latarki kości pułkownika Shy'a. Postępując ciężko, Charlie i kapitan wyciągnęli mnie z grobu.

Charlie i ja byliśmy już przemoczeni i przemarznięci do szpiku kości. Zdjęliśmy ubłocone kombinezony i włożyliśmy je do bagażnika mustanga, wraz ze szczątkami i ubraniami, które wcześniej powkładaliśmy do foliowych torebek. Przed powrotem do Knoxville musieliśmy jeszcze wstąpić do stanowego laboratorium kryminalistycznego w Nashville i oddać technikom TBI do badania fragmenty ubrań oraz niedopałki, które mogły okazać się pomocne w ustaleniu tożsamości ofiary oraz jej zabójcy.

Dotarliśmy do laboratorium późnym popołudniem, tuż przed zamknięciem. Ubrania były mokre i cuchnące, więc pracownicy TBI nie przywitali nas z otwartymi ramionami. By nie zasmrodzić całego laboratorium, postanowili w końcu rozłożyć je w ogrzewanym garażu, by tam wyschły i nieco się przewietrzyły.

Wróciliśmy do Knoxville późno w nocy. Wjechałem do garażu – na szczęście nie był połączony z domem, więc nie musieliśmy wahać zamkniętego w nim ciała – po czym poszedłem wziąć prysznic i porządnie się wyspać przed weekendem wypełnionym rodzinnymi rozrywkami. Nie przypuszczałem, by facet zamknięty w mustangu gdzieś się w tym czasie wybrał, bo zabrałem kluczyki ze sobą.

W poniedziałek rano zawiozłem szczątki do pomieszczeń Wydziału Antropologii pod trybunami stadionu i włożyłem je do kilku wielkich garnków z gorącą wodą, by potem bez problemu usunąć tkankę z kości. (Po wielu latach i zakupie dwóch nowych kuchenek nauczyłem się już, że nie należy robić tego w domu). Proces sortowania, czyszczenia i badania kości miał potrwać kilka dni, choć szkielet nie był kompletny.

Jak się okazało, brakowało nie tylko czaszki, ale także obu stóp i jednej dłoni. Podobny los często spotyka ciała leżące na otwartej przestrzeni: psy, kojoty, sępy i szopy pracze często żywią się zwłokami, a dłonie oraz stopy to fragmenty, które najłatwiej oderwać i odciągnąć na bok. Jednak w tym przypadku nie wiedziałem, co właściwie o tym myśleć, bo ciało było przecież zakopane, przynajmniej częściowo. Co ciekawe, kiedy znaleźliśmy zwłoki, pozostała przy nich dłoń wciąż tkwiła w białej rękawiczce, co tylko umacniało mnie w przekonaniu, że ofiara była kelnerem w jakiejś wytwornej restauracji lub drużbą weselnym.

Od samego początku byłem pewien, że to mężczyzna; jednak okolice narządów płciowych uległy daleko posuniętemu rozkładowi, musiałem więc ustalić płeć na podstawie wyglądu miednicy oraz innych części szkieletu. Kości łonowe były krótkie i ostro zakończone – taki kształt miednicy nie sprzyja rodzeniu dzieci. Bez wątplenia nasze tajemnicze zwłoki należały do mężczyzny.

Mostkowy koniec obojczyka, czyli miejsce, gdzie obojczyk łączy się z mostkiem, był całkiem zrośnięty, co oznaczało, że mężczyzna miał co najmniej dwadzieścia pięć lat. Spojenie łonowe – czyli połączenie kości łonowych – miało nierówną, pofałdowaną powierzchnię, to zaś dowodziło, że



w chwili śmierci ofiara liczyła nie więcej niż trzydzieści lat. Aby sprawdzić poprawność swoich obliczeń, przywołałem sześciu studentów – sporo moich podopiecznych wróciło już z przerwy świątecznej – i poprosiłem, by ocenili wiek mężczyzny. Wszyscy podali ten sam przedział, to jest od dwudziestu sześciu do dwudziestu dziewięciu lat.

Głowa kości udowej miała pięćdziesiąt milimetrów średnicy, wielkość typową dla mężczyzny. Lewa kość udowa mierzyła czterysta dziewięćdziesiąt milimetrów, a prawa czterysta dziewięćdziesiąt dwa. Wykorzystując wzór opracowany przez antropolog Mildred Trotter i statystyk Goldine Gleser w 1958 roku, obliczyłem, że nasz tajemniczy zmarły miał niegdyś od stu siedemdziesięciu trzech do stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu – to znaczy, nim jeszcze rozstał się ze swoją głową.

Proces czyszczenia i badania kości nie przyniósł żadnych danych, które pozwoliłyby nam określić przyczynę śmierci. Tkanka miękka była już tak przegniła, że nawet gdyby widniały w niej ślady pchnięcia nożem, i tak byśmy ich nie zauważyli, zaś same kości nie nosiły śladów żadnych nacięć lub innych urazów kostnych. Sądząc po stopniu rozkładu, denat nie żył od kilku miesięcy, ale z pewnością nie dłużej niż od roku.

Policja w hrabstwie Williamson i w Nashville sprawdziła rejestry zaginionych osób sporządzone w ciągu ostatniego roku. W hrabstwie Williamson nie zgłoszono w tym czasie żadnych zaginięć, a żadna z osób zaginionych w Nashville nie pasowała do fizycznego opisu tego ciała: biały mężczyzna w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

Miejskowe gazety szukające jakichś ciekawych wiadomości, które ożywiłyby nieco senną poświąteczną atmosferę, dowiedziały się o tajemniczym znalezisku i zaczęły na bieżąco relacjonować postępy w śledztwie. Bezgłowe ciało znalezione we Franklin – głosił nagłówek w noworocznym wydaniu jednego z dzienników. Artykuł rozesłany za pośrednictwem Associated Press po całym kraju opowiadał o tym, jak na trumnie pułkownika Shy'a znaleziono siedzące ciało. Opisywał również „elegancką koszulę, kamizelkę i marynarkę” i przytaczał moje spekulacje dotyczące czasu śmierci: „Wydaje się, że mężczyzna nie żyje od dwóch miesięcy do roku”, powiedziałem wówczas, „choć rok to może w tym przypadku nieco za długi okres”. W rozmowie z innym dziennikarzem jeszcze zawęziłem ten przedział, od dwóch miesięcy do pół roku.

Dwa dni później jakiś przedsiębiorczy reporter zaczął analizować niewyjaśnione przypadki śmierci z minionego roku i znalazł wśród nich podobny do naszego: niecałe dwa miesiące wcześniej na terenach rolnych tuż pod Knoxville znaleziono ciało mężczyzny bez głowy. Czy te dwie sprawy mogły się ze sobą łączyć, czy mogło to być dzieło seryjnego zabójcy? Powiedziałem mu, że moim zdaniem raczej nie. Ofiara morderstwa z Knoxville została rozczłonkowana i okaleczona – ktoś odrąbał jej głowę, odciął ręce i nogi, a nawet wyciął genitalia. Ciało z Franklin – a przynajmniej dostępne nam części – nie nosiło żadnych śladów okaleczeń. Sprawa tułowia niezwiązana z drugim ciałem bez głowy – głosił nagłówek w kolejnym wydaniu gazety.

3 stycznia sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej: przyjechał do mnie jeden z zastępców szeryfa hrabstwa Williamson, który przywiózł ze sobą czaszkę i żuchwę. Okazało się, że koroner wraz zastępcami szeryfa wrócili do grobu, pogłębili dół i wydobyli z wnętrza trumny czaszkę. „Moim zdaniem ktoś wpychał ciało do trumny pułkownika, zaczynając od głowy” – powiedział koroner dziennikarzowi z UPI. Następnego dnia w gazecie ukazał się artykuł zatytułowany Tajemnica grobu pułkownika wciąż daleka od rozwiązania, a jego pierwsze zdanie brzmiało: „Jak informuje policja, z trumny pułkownika armii konfederatów wydobyto głowę, stopy i dłoni niezidentyfikowanego ciała, które znaleziono w jego grobie”.

Przyczyna śmierci nie stanowiła już żadnej tajemnicy: pocisk z broni palnej uderzył z ogromną siłą w czoło ofiary, jakieś pięć centymetrów nad lewym okiem; wylot rany – jeśli można tak to nazwać – znajdował się z tyłu głowy, w pobliżu podstawy czaszki. Piszę „czaszka”, ale nie jest to całkiem precyzyjne określenie. Siła uderzenia była tak duża, że rozerwała głowę nieszczęśnika na siedemnaście części. Musiałem je posklejać, by określić miejsce oraz wielkość rany wlotowej i wylotowej. Sądząc po rozmiarach uszkodzeń, strzał oddany został z broni dużego kalibru, prawdopodobnie z małej odległości. Nasz tajemniczy mężczyzna zginął gwałtowną, natychmiastową śmiercią.

Oprócz tego pojawił się jeszcze jeden duży znak zapytania: otóż w odróżnieniu od reszty ciała czaszka mężczyzny była całkiem pozbawiona tkanki i miała ciemnobrązową, czekoladową barwę, podobnie jak czaszki Indian, które wykopywałem w Dakocie Południowej. Zęby pozbawione były plomb, choć miały liczne ubytki, niektóre całkiem spore; w trzecim dolnym zębie trzonowym po lewej stronie zaczynał tworzyć się ropień. Nic nie wskazywało na to, by ten elegancko odziany dżentelmen kiedykolwiek postawił stopę w gabinecie dentystycznym lub by kiedykolwiek korzystał z jakiejś formy opieki dentystycznej – a przynajmniej współczesnej opieki dentystycznej.

Zaczęło mnie dręczyć pewne nieprzyjemne podejrzenie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Był to technik ze stanowego laboratorium kryminalistycznego w Nashville.

– Doktorze Bass, te ubrania, które nam pan przywiózł, są naprawdę dziwne – powiedział. – Wszystkie materiały są w stu procentach naturalne, czysta bawełna i jedwab, bez żadnych syntetyków.

Technik dodał również, że na ubraniach nie było żadnych metek, a sznurowane z boku nogawki nie przypominały żadnych spodni, jakie kiedykolwiek widział. Buty o kanciastych czubkach weszły w modę kilka lat wcześniej – ale były również modne przed stu laty.

W końcu zadał pytanie, którego obawiałem się już od kilku chwil:

– Myśli pan, że to może jednak być ciało pułkownika Shy’a?

– Zaczynam tak podejrzewać – przyznałem. Cieszyłem się, że nie widzi, jak moja twarz pokrywa się szkarłatnym rumieńcem wstydu. – Potrzebuję jeszcze odpowiedzi na kilka pytań, na przykład czy

w 1864 roku mieli taśmę elastyczną, jaka jest w tych butach? – ale wydaje mi się to coraz bardziej i bardziej prawdopodobne.

Pewna stara i sprawdzona zasada filozoficzna zwana brzytwą Ockhama mówi, że najprostsze wyjaśnienie, które pasuje do wszystkich faktów, jest zazwyczaj prawdziwe. W ciągu mej długoletniej praktyki miałem już do czynienia z pokręconymi sprawami, w których brzytwa Ockhama mogła wprowadzić mnie w błąd, jednak w tym przypadku wydawała się jak najbardziej na miejscu. Jeśli ciało znajdujące się w moim laboratorium należało do pułkownika Shy'a, to miałbym gotowe odpowiedzi na wiele pytań: Dlaczego nie miał plomb w zębach? Dlaczego jego ubrania wydawały się nie tylko eleganckie, ale i staroświeckie? Dlaczego nie zawierały żadnych włókien syntetycznych, nie miały żadnych metek ani oznaczeń?

Kiedy znaleźliśmy ciało siedzące na trumnie, wyglądało tak, jakby włożono je do grobu, a nie wyciągnięto przez niewielki otwór w wieku trumny. Założywszy, że nie są to zwłoki pogrzebane przed laty w tym miejscu, wyciągnęliśmy logiczny wniosek: musi to być ofiara morderstwa, i to popełnionego stosunkowo niedawno. Następną figurą naszej dedukcyjnej gimnastyki – wyjaśnienie nieobecności ciała w trumnie – była stosunkowo łatwa w świetle moich doświadczeń z wykopalisk na równie starym cmentarzu. (Clyde Stephens, koroner, wyjaśnił brak ciała w inny sposób, wyrażając głośno wątpliwości co do tego, czy pułkownik Shy kiedykolwiek leżał w tej trumnie: „Przypuszczałem, że znajdziemy tam sprzączkę od pasa, guziki albo coś w tym rodzaju” – powiedział dziennikarzowi z Nashville. – „Ale nie znaleźliśmy niczego”).

Przynajmniej nie znaleźliśmy niczego tam, gdzie spodziewaliśmy się to znaleźć. Ku zażenowaniu wszystkich związanych z tą sprawą – a przynajmniej wszystkich cytowanych w prasie – okazało się, że to pułkownik Shy we własnej osobie ukrywał się pod przysłowiową latarnią. Ciało siedzące w grobie nie należało do ofiary niedawnego morderstwa, którą ktoś chciał wcisnąć do trumny, lecz do starego żołnierza, którego wyciągano na zewnątrz, przypadkiem urywając mu przy tym głowę i fragmenty kończyn. Roztrzaskana czaszka także doskonale pasowała do tego nowego wyjaśnienia: pułkownik Shy zginął, gdy żołnierze Unii otoczyli i zdobyli szczyt wzgórza, na którym schronił się 20. Pułk Piechoty Tennessee. Pułkownik poniósł śmierć podczas zażartej walki wręcz, postrzelony śmiertelnie pociskiem typu Minie z bardzo małej odległości.

Tymczasem historia nieszczęsnego pułkownika przekroczyła granice hrabstwa i za sprawą Associated Press wzbudziła zainteresowanie na całym świecie: tajemnicze ciało wprawia policję w zakłopotanie; policjanci zwracają się o pomoc do znanego naukowca; naukowiec popełnia spektakularną pomyłkę; żołnierz zabity przed ponad wiekiem triumfuje. Sądząc po listach i telefonach, które odbierałem w tym czasie, pisały o tym gazety na całym świecie. Jeden z moich byłych studentów przysłał mi fragment z angielskojęzycznej gazety wydawanej w Bangkoku.

Kilka tygodni później pułkownik Shy został ponownie pochowany w swoim grobie. Miejscowy zakład pogrzebowy ofiarował nową trumnę, a w uroczystości wzięła udział licząca ponad sto osób

grupa rekonstrukcji historycznej w pełnym umundurowaniu z czasów wojny secesyjnej. Gdy pastor zakończył przemówienie nad grobem, niebo przecięła błyskawica, rozległ się ogłuszający grzmot, a na żałobników posypał się grad – według historycznej relacji dokładnie tak samo wyglądał pogrzeb pułkownika przed stu trzynastoma laty! Mieliśmy tylko nadzieję, że tym razem żołnierz armii konfederatów rzeczywiście będzie spoczywał w pokoju.

Jednak mnie nie dane było zaznać spokoju. Choć identyfikacja ciała pułkownika Shy'a pozwoliła znaleźć odpowiedzi na kilka istotnych pytań, to podniosła też inną, znacznie istotniejszą kwestię: Jak mogłem pomylić się w ocenie czasu śmierci o całe sto trzynaście lat?

Okazało się, że to pytanie ma kilka odpowiedzi. Pierwsze i najprostsze rozwiązanie znaleźliśmy po poddaniu próbki tkanki analizie chemicznej. Okazało się, że ciało pułkownika zostało zabalsamowane – zabieg taki przed stu laty nie był stosowany równie często jak teraz, ale nie był też czymś wyjątkowo zaskakującym w przypadku oficera i dżentelmena o wysokiej pozycji społecznej i sporym majątku. Człowiek pokroju Shy'a musiał też zostać pochowany w swoim najlepszym ubraniu – tej samej czarnej marynarce i plisowanej koszuli, którą później rozpoznaliśmy na ostatnim znanym zdjęciu pułkownika Shy'a, wykonanym na początku lat sześćdziesiątych XIX wieku.

Odtworzenie następnego fragmentu układanki wymagało znajomości chemii i metalurgii. Jak zapewne pamiętacie, trumna wykonana była z żeliwa, tak solidnego, że zatrzymywało wodę przez ponad sto lat. Grube żelazo powstrzymywało również muchy trumienne – wytrwałe muszki wielkości komarów, które potrafią wkopać się głęboko w ziemię, przewiercić przez drewniane trumny i przecisnąć przez maleńkie otwory w trumnach metalowych. Poza tym, ponieważ ta konkretna trumna była hermetycznie zamknięta, bakterie trawiące tkanki miękkie ciała miały bardzo mało tlenu – stąd różowa skóra, która wprowadziła nas w błąd i nasunęła przypuszczenie, że mężczyzna znaleziony w grobie zmarł zaledwie pół roku wcześniej.

W rzeczywistości jednak były to tylko częściowe odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie. Bardziej wyczerpująca odpowiedź była jednocześnie bardziej niepokojąca: po prostu wiedziałem za mało – zdecydowanie za mało – o procesach, które zaczynają się w chwili, gdy kończy się ludzkie życie. To stwierdzenie dotyczyło nie tylko mnie: wszyscy niewiele o tym wiedzieliśmy. Antropolodzy, patolodzy, koronerzy, policjanci – żaden z nas nie miał większego pojęcia o tym, co dzieje się z ludzkim ciałem po śmierci, jak i kiedy.

Pułkownik Shy – wspomagany przez kilku dziennikarzy i moje gadulstwo – skutecznie odślonił zarówno głębię mojej ignorancji, jak i olbrzymią lukę w naukach sądowych. Jako zwykły człowiek byłem zawstydzony, jako naukowiec zaintrygowany, przede wszystkim jednak zamierzałem koniecznie coś z tym zrobić.

Od tego momentu wszystko miało się zmienić w sposób, jakiego nie byłem sobie w stanie wyobrazić.

## Miejsce zbrodni

Z powodów, których nie do końca rozumiem, nauki sądowe stały się nagle jednym z najpopularniejszych tematów w telewizji. Dzień po dniu popełniane są kolejne morderstwa i dzień po dniu sprawy te zostają szybko i sprytnie rozwiązane. W większości telewizyjnych seriali naukowiec jest praktycznie bogiem, obdarzonym błyskotliwym intelektem i wyposażonym w najnowocześniejsze cuda techniki.

Z bólem serca muszę przyznać, że nie dorównuję inteligencją tym telewizyjnym superdetektywom, podobnie jak – z całym szacunkiem – większość moich kolegów po fachu. Nie jesteśmy geniuszami, a nasze przyrządy nie potrafią odpowiedzieć na każde pytanie ani zdemaskować każdego złoczyńcy. Lecz choć telewizja kreuje czasem nierealistyczne oczekiwania dotyczące tempa i skuteczności policyjnych śledztw, niektóre filmy oddały nam wielką przysługę, podkreślając rolę, jaką naukowcy sądowi – nawet ci zwyczajni, prawdziwi – mogą odegrać w wykrywaniu sprawców przestępstw. Poza tym praktycznie wszystkie te seriale mają słuszość w jednej kwestii: badanie miejsca przestępstwa rzeczywiście ma kluczowe znaczenie dla rozwiązania danej sprawy.

Co zaskakujące, wielu spośród moich kolegów, antropologów sądowych – prawdopodobnie dziewięciu na dziesięciu – nigdy nie pracowało na miejscu przestępstwa. Chętnie badają kości na stole laboratoryjnym lub pod mikroskopem, lecz nie brudzą sobie rąk ani butów błotem, brudem i krwią, których pełno zwykle na miejscu zbrodni. Dzięki temu co prawda są czysti i pachnący, ale przeoczają również mnóstwo dowodów, które mogłyby ujawnić prawdę o tym, co stało się z ofiarą morderstwa – ofiarą taką jak James Grizzle, którego historia należy do najbardziej zdumiewających i szokujących, z jakimi spotkałem się w swej karierze.

Pewnego zimnego styczniowego poranka zadzwonił do mnie detektyw z biura szeryfa hrabstwa Hawkins w stanie Tennessee z prośbą o pomoc przy poszukiwaniach ciała mężczyzny, który prawdopodobnie spłonął w swoim własnym domu kilka dni wcześniej. Zgodziłem się i zwerbowałem do pomocy trzech spośród moich najlepszych studentów – Steve’a Symesa, Pata Willeya oraz Davida Hunta – którzy następnego ranka mieli wyruszyć wraz ze mną do odległego o sto pięćdziesiąt kilometrów hrabstwa Hawkins.

W owym czasie mijало już dziesięć lat, odkąd zajmowałem się w Tennessee badaniem miejsc

zbrodni i nieszczęśliwych wypadków. W tym okresie wykształciłem własną metodę pracy, która sprawdzała się całkiem nieźle. Gdy policja, prokuratura lub FBI prosiły mnie o pomoc przy poszukiwaniu, odkopywaniu lub identyfikacji ludzkich szczątków, wysyłałem na miejsce czteroosobowy zespół: członka kadry naukowej (w tamtym czasie byłem to zwykle ja, teraz zajmują się tym również inni pracownicy naukowcy) oraz trzech studentów specjalizujących się w osteologii, czyli identyfikacji ludzkich kości.

Nie korzystałem już ze swojego samochodu. Wydział Antropologii dysponował teraz własnym pick-upem, który zawsze wypakowany był sprzętem przydatnym podczas pracy w terenie, takim jak łopaty i kielnie, gęste sita do oddzielania drobnych kości od ziemi, worki do transportu ciał, papierowe torebki na drobniejsze kości, łuski po nabojach, niedopałki, butelki po piwie, noże i wszelkie inne materiały dowodowe zebrane na miejscu zbrodni, trzydziestometrowa taśma miernicza do pomiaru odległości dzielących ciała lub kości od stałych elementów krajobrazu, na przykład drzew, słupów lub budynków; czerwone lub pomarańczowe chorągiewki do oznaczania położenia każdej kości lub innego dowodu oraz co najmniej dwa aparaty fotograficzne.

Uważałem aparaty za najważniejszy element naszego wyposażenia, niezbędny do dokumentowania wyglądu miejsca zbrodni, poszukiwań oraz, przede wszystkim, procesu wydobywania ludzkich szczątków. Znam tylko dwa rodzaje badań naukowych, które wymagają całkowitego zniszczenia samego przedmiotu badań: wykopaliska archeologiczne oraz oględziny miejsca przestępstwa. Nim badanie dobiegnie końca, wszystkie jego elementy zostaną usunięte i rozebrane, więc lepiej dopilnować, by każdy szczegół utrwalony został na filmie; nie można wrócić na miejsce i sprawdzić czegoś, co przeoczyło się za pierwszym razem – na przykład śladów stóp na powierzchni grobu – gdy ziemia została już rozkopana lub zdeptana.

Żywa legenda kansaskiego oddziału FBI, Harold Nye, nauczył mnie jednej z podstawowych rzeczy dotyczących badania miejsca zbrodni: „Strzelaj bez przerwy, kiedy wchodzisz i kiedy wychodzisz”. Choć brzmi to jak uproszczony plan brutalnego napadu na bank, Harold mówił wyłącznie o strzelaniu zdjęć. „Kiedy przyjedziesz na miejsce i wysiądziesz z samochodu, zrób zdjęcie domu czy samochodu, w którym ktoś zginął” – mówił. – „Kiedy podejdziesz bliżej, zrób następne zdjęcia. Sfotografuj grunt, zanim wejdziesz na niego; sfotografuj wszystkich, którzy tam są; zrób zdjęcia butów, które noszą policjanci. Zrób zdjęcia ciała, zanim je poruszysz albo choćby dotkniesz”.

Harold strzelał bez przerwy zdjęcia, wchodząc do domu Clutterów tej nocy, gdy odkryto w nim ciała. Gdyby tego nie zrobił – albo gdyby którykolwiek inny z członków ekipy śledczej postawił stopę w piwnicy, nim Harold sfotografował jej zakurzoną podłogę – KBI nigdy nie zobaczyłoby utrwalonych na filmie śladów, które później połączono z odciskami butów zabójców. Dzięki temu, że Harold z wielką starannością dokumentował wygląd miejsca zbrodni, ślady butów stały się ważnym elementem materiału dowodowego, a zabójcy zostali skazani.

Trudno określić cenę ludzkiego życia i sprawiedliwości; błona fotograficzna jest bardzo tania.

W ciągu minionych dziesięcioleci wykonałem setki tysięcy zdjęć na miejscach przestępstw i nigdy nie żałowałem ani jednej klatki. Ponieważ aparaty fotograficzne oferują coraz więcej możliwości – fotografowanie w podczerwieni i termowizyjne, zdjęcia cyfrowe wysokiej rozdzielczości, a nawet współpraca z odbiornikami GPS, które automatycznie określą dokładne położenie obiektu według długości i szerokości geograficznej – fotografia umożliwi jeszcze dokładniejsze badanie miejsca przestępstwa.

Jeden członków naszego czteroosobowego zespołu zawsze pracował jako fotograf. Podczas przeszukiwania spalonego domu w hrabstwie Hawkins miał zajmować się tym Steve Symes, jeden z moich doktorantów. Steve wykazywał niezwykły talent w tym kierunku; jego zdjęcia często ukazywały znacznie więcej szczegółów niż obrazy wykonane przez profesjonalnych fotografów policyjnych. Tego dnia – choć wówczas o tym nie wiedziałem – Steve musiał pracować w wyjątkowo trudnych warunkach. Rankiem obudził się z potężnym kacem, zziębnięty i przemoknięty do suchej nitki. W środku nocy, gdy odurzony Steve pogrążył się już we śnie, jego łóżko wodne zaczęło przeciekać, a litry wody wypływały na podłogę i przesiąkały przez sufit sąsiada z dołu. Na szczęście okablowanie jego koca elektrycznego było wodoszczelne, inaczej mógłby się usmażyć. Tak czy inaczej, czuł się naprawdę fatalnie, a podróż po krętych górskich drogach wschodniego Tennessee wcale nie poprawiła mu samopoczucia.

Półtorej godziny po wyjeździe z Knoxville dotarliśmy do biura szeryfa hrabstwa Hawkins w Rogersville. Stamtąd pojechaliśmy za zastępcą szeryfa – porucznikiem Alvisem Wilmotem, który prowadził śledztwo – krętą drogą ciągnącą się wzdłuż północnej odnogi rzeki Holston.

Okolice miasteczka Rogersville, liczącego całe 4000 mieszkańców, to prawdziwe odludzie, przysłowiowy koniec świata. Gdy skręciliśmy na zwirową drogę dojazdową odległą o jakieś czterdzieści kilometrów od miasta, znajdowaliśmy się w dolinie tak słabo zaludnionej – lub tak nieufnej względem obcych – że gdy doszło tu do pożaru, nikt tego nie zgłosił. Sprawa wyszła na jaw dopiero wtedy, gdy przyjechał tu z Wirginii krewny właściciela domu i zobaczył jedynie pogorzeliśko. Posiadłość znajdowała się na stromym, gęsto zalesionym zboczu, które zbiegało ku czystym zielonym wodom północnego dopływu rzeki Hoston. Wszyscy wysiedliśmy z auta i rozprostowaliśmy nogi. Steve wziął kilka wyjątkowo głębokich oddechów.

Jak twierdził porucznik Wilmot, pożar miał miejsce osiem dni wcześniej. Z zeznań najbliższych sąsiadów wynikało, że wybuchł około drugiej w nocy. Gdy w końcu ogień przygasł, z domu została tylko sterta gruzu, obwiedziona prostokątem poczerniałych cegieł. Większy kopiec cegieł pośrodku pogorzeliśka znaczył miejsce, gdzie niegdyś stał komin.

Dom i otaczający go teren zakupione zostały zaledwie miesiąc wcześniej przez niejakiego Jamesa Grizzle’a z Wirginii, który pochodził z regionu jeszcze bardziej górzystego i wyludnionego niż ten. Grizzle wprowadził się do domu w grudniu, by rozpocząć remont. Pożar wybuchł 15 stycznia; sześć dni później ojciec Jamesa, który nie mógł skontaktować się ze swoim synem, przyjechał do niego,

a ujrawszy w miejscu domu jedynie pogorzeliśko, zadzwonił szybko do szeryfa. Naszym celem było stwierdzenie, czy ciało Grizzle'a leży gdzieś w spalonych ruinach.

Z punktu widzenia specjalisty od kryminalistyki miejsce po pożarze stanowi interesujące połączenie różnych okoliczności i wyzwań. Podobnie jak w przypadku każdego innego miejsca przestępstwa lub wypadku, należy odnaleźć i zebrać wszystkie ludzkie szczątki, jednak w przypadku pożaru często bywa to trudne ze względu na dramatyczne zmiany, jakim ulega ciało człowieka w wysokiej temperaturze.

Na pierwszy ogień idą ręce i nogi. Stosunkowo cienkie i otoczone tlenem są niczym podpałka, łatwo się zapalają i szybko płoną. W temperaturze zaledwie kilkuset stopni skóra szybko czernieje, tłuszcz pod nią zaczyna skwierczeć, a po kilku zaledwie minutach skóra pęka i zaczynają palić się mięśnie. Wtedy też dzieje się coś niezwykłego i przedziwnego. Kończyny zaczynają się poruszać – dłonie zaciskają się w pięści, palce u nóg zginają w dół, ręce podnoszą się do ramion, a nogi rozsuwają lekko i uginają w kolanach. To wynik siły mięśni i właściwości biomechanicznych ludzkiego ciała: zginacze, czyli mięśnie, które zginają ręce i nogi, są silniejsze od prostowników, czyli mięśni prostujących kończyny. Gdy ogień wysusza mięśnie i ścięgna, te kurczą się niczym stek na grillu, a zginacze pokonują prostowniki.

W rezultacie ułożenie ciała przypomina pozycję, jaką przyjmuje bokser na ringu, dlatego też nazywamy je „postawą bokserską”. Zjawisko takie jest bardzo typowe – równie typowe dla ofiar pożarów jak fioletowy i spuchnięty język w przypadku wisielców – i zachodzi zawsze, gdy tylko kończyny ofiary mogą się swobodnie wyginać. Ręce związane lub ułożone za plecami nie mogą się zginać, więc jeśli znajdziemy spalone ciało z wyprostowanymi rękami, może to oznaczać, że ofiara została w jakiś sposób skrępowana lub unieruchomiona.

Inna bardzo dramatyczna zmiana dotyczy głowy. Czaszka jest ściśle zamkniętym naczyniem, wypełnionym w większości płynem i miękką tkanką mózgu. W krótkim czasie cała ta wilgoć osiąga punkt wrzenia i wytwarza wysokie ciśnienie we wnętrzu czaszki: im gorętszy ogień, tym wyższe ciśnienie. Jeśli w czaszce znajduje się jakaś droga ujścia dla tego ciśnienia – na przykład otwór po kuli – kości pozostają nienaruszone. Jeśli jednak brakuje takiej drogi, czaszka może dosłownie eksplodować i rozerwać się na drobne kawałki wielkości monety. Odnalezienie i rekonstrukcja czaszki zniszczonej podczas pożaru to jedno z najbardziej nużących zadań, przed jakimi staje antropolog sądowy. Nawet gdy uda mu się już odtworzyć zniszczoną kość, nie może mieć pewności, że dostrzeże ślady uderzenia pośród miriadów pęknięć i drobnych ubytków powstałych w wyniku rozerwania czaszki.

Szczęśliwie dla naukowców badających miejsce zbrodni, trudno całkowicie spalić ludzkie ciało; nawet po kremacji pozostają fragmenty kości, które później trzeba mechanicznie sproszkować. Z drugiej jednak strony ogień może poważnie uszkodzić nawet najbardziej wytrzymałe kości



ludzkiego ciała, takie jak kość udowa i piszczelowa w nodze oraz kość ramienna w ręce. Ogień o stosunkowo niskiej temperaturze nada kościom długim barwę czarną lub brązową, lecz nie naruszy ich struktury. Jednak podczas pożaru będącego wynikiem podpalenia – gdy przestępca użył benzyny lub jakiejś innej substancji łatwopalnej – ogień może osiągnąć temperaturę nawet 1100°C; w tak ekstremalnych warunkach kość ulega przemianie chemicznej i strukturalnej. Podobnie jak pozostałe części ciała, kość zawiera węgiel, który w bardzo wysokiej temperaturze po prostu się wypala. Kość, która przetrwa taki proces, nazywana kością kalcynowaną, może zachować swój kształt – tak jak rafa koralowa zachowuje swój pierwotny kształt, nawet gdy wymarły już organizmy, które ją stworzyły – będzie jednak bardzo lekka, szara, poznaczona mnóstwem pęknięć i otworów powstałych pod wpływem wysokiej temperatury i tak krucha, że może rozsypać się w dłoni, a już z pewnością rozsypie się pod naciskiem stopy. (Niedawno skontaktowałem się ze mną pewien prawnik, który przygotowywał się do powtórnego procesu w sprawie o morderstwo. Powiedział mi, że kluczowy dowód oskarżenia – kalcynowany fragment czaszki ofiary – upadł na podłogę, a sędzia przypadkiem nastąpił na niego i rozgniół na miazgę).

Pomimo swej niszczycielskiej mocy ogień zostawia zwykle zaskakująco dużo materiałów dowodowych, choć trzeba wiedzieć, gdzie i jak ich szukać. Właściwie polubiłem już tego rodzaju wyzwania, naukową układankę polegającą na odtwarzaniu w wyobraźni wyglądu danego miejsca sprzed pożaru. Te guziki, zatrzaski, haftki i zamki błyskawiczne zagrzebane w kupce popiołu? To proste: komoda wypełniona niegdyś koszulami, bielizną i spodniami. Ta sterta rozbitego szkła i porcelany obok osmolonego żyrandola? Kiedyś była to serwantka z porcelaną w pokoju jadalnym.

Kluczem do udanej mentalnej rekonstrukcji spalonego domu jest ostrożne i staranne przeszukanie warstwy popiołu o grubości co najmniej kilkunastu centymetrów – pozostałości sufitu i podłogi. Pod tą warstwą leży całe bogactwo wiedzy o pierwotnym stanie tego miejsca. Na przykład większość krzeseł wykonana jest z drewna, lecz w ich nogach znajdują się zwykle metalowe stopki, które później mogą wskazywać ich pozycję podczas pożaru. Biurko może się spalić, lecz spinacze i zszywki wskażą miejsce, w którym niegdyś stało; igły, szpilki i nożyczki rozsypane na niewielkiej przestrzeni mogły leżeć w koszu na robótki.

Najcenniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek znalazłem na pogorzeli, był diamentowy naszyjnik o wartości 12 000 dolarów. Był to gwiazdkowy prezent, który pewna kobieta dostała od swojego męża, zaledwie kilka miesięcy przed tym, jak zginęła podczas pożaru w swojej własnej rezydencji, w dość podejrzanych okolicznościach. Kiedy znalazłem naszyjnik – tuż przy ścianie, pod warstwą popiołu – spięty był agrafką. Zdumiony tym faktem, jak i umiejscowieniem naszyjnika, spytałem krewnych zmarłej, czy potrafiliby to jakoś wyjaśnić. Powiedzieli mi, że lubiła przyczepiać biżuterię do fałd zasłon; gdy zaciągała zasłony, biżuteria była doskonale widoczna, a gdy je rozsuwała, biżuteria kryła się w fałdach. Rzeczywiście, znalazłem naszyjnik pod oknem. Wyjaśnienia rodziny pasowały do tego, co znaleźliśmy w miejscu pożaru.

Czasami to, czego nie znajdujemy na miejscu pożaru, może być równie istotne jak to, co tam odkryliśmy. Pewnego razu rozkopywałem pogorzelisko zbadane wcześniej przez policjantów oraz biegłego prowadzącego dochodzenie popożarowe, którzy nie zauważyli tam jednak niczego podejrzanego. Gdy wydobywałem stamtąd spalone ciało, zastanowił mnie fakt, że w kuchni nie było żadnych naczyń ani sztućców, w szafach żadnych wieszaków, a na ścianach żadnych ram. (Obrazy i zdjęcia się spalały, podobnie jak drewniane ramy, ale ramki metalowe oraz małe wkręty, gwoźdźniki i druty znajdujące się z tyłu obrazów nie spłonęły, lecz spadły na podłogę u podstawy ściany). Byłem pewien, że przed pożarem dom został ogołoceny ze wszystkich cennych rzeczy prócz mebli i bardzo ciężkich przedmiotów, co jednoznacznie wskazywało na podpalenie. Okazało się jednak, że historia przestępstwa była znacznie dziwniejsza, niż moglibyśmy przypuszczać: mężczyzna, który zginął w pożarze, nie był właścicielem domu, lecz wynajętym przez niego podpalaczem; wyglądało na to, że gdy rozlewał w pustych wnętrzach benzynę – podczas gwałtownej burzy, jak się później dowiedzieliśmy – w dom uderzył piorun, który podpalił opary benzyny i wywołał potężną eksplozję, zabijając pechowca na miejscu. Był to jeden najlepszych przykładów niefortunnego wyboru czasu przestępstwa, z jakim kiedykolwiek się spotkałem. W tym przypadku okazało się, że rzeczywiście doszło do naruszenia prawa, nie było nim jednak morderstwo, lecz podpalenie i próba wymuszenia ubezpieczenia.

Zawsze gdy jestem wzywany do oględzin pogorzeliska, staram się odnaleźć wszystkie ludzkie szczątki, lecz nie poprzestaję na tym; staram się również zrekonstruować przebieg wszystkich wydarzeń, które miały miejsce przed pożarem i w jego trakcie. Szczególną uwagę zwracam na identyfikację biżuterii, zębów i kości, sprawdzam jednak także inne przedmioty i biorę pod uwagę wszystkie dowody, nim zacznę wyciągać wnioski dotyczące okoliczności pożaru.

Tym, co niszczy najwięcej materiałów dowodowych znajdujących się w miejscu pożaru, nie jest wcale sam ogień, lecz niewyszkolony, nadgorliwy śledczy uzbrojony w grabie. Śledczy, który nie ma pojęcia o ludzkiej osteologii i nie wie, jak zidentyfikować spalone fragmenty kości, może dokonać naprawdę ogromnych zniszczeń. Irytująco często zdarza się, że policjanci szukający ciała wchodzą na pogorzelisko z grabiami i zgarniają zgliszczka w pryzmy lub długie wały, ułożone w odległości około metra od siebie. Proszę tylko pomyśleć: jeśli chcemy znać umiejscowienie ciała i jego ułożenie w chwili, gdy zaczął się pożar – i jeśli chcemy znać położenie innych ważnych przedmiotów, takich jak broń, nóż lub pociski – to czy uda nam się cokolwiek ustalić w sytuacji, gdy miejsce przestępstwa zostanie wcześniej starannie zagrabione?

Pewnego razu przyjechałem ze swoim zespołem na miejsce pożaru, by szukać ciała domniemanego samobójcy, lecz komendant straży pożarnej powiedział mi, że nie powinienem nawet zwracać sobie tym głowy. Pogorzelisko było ogromne, składało się z pozostałości domu, stajni oraz kilku innych budynków gospodarczych; nim tam przyjechaliśmy, strażacy oraz biegły zajmujący się dochodzeniem popożarowym usunęli za pomocą koparko-ładowarki znaczną większość zgliszcz.

Uznałem, że najbardziej obiecującym miejscem poszukiwań będzie dom, ale kiedy podzieliłem się tą myślą z komendantem, ten parsknął tylko drwiąco.

– Przegrabiliśmy ten dom pięć razy – powiedział.

Gdy odparłem, że skoro już jesteśmy na miejscu, to mimo wszystko chcielibyśmy obejrzeć ten dom, strażak pokręcił tylko głową i odszedł w przekonaniu, że ma do czynienia z idiotami.

W zgarniętej na jedno miejsce masie popiołu i spalonych szczątków udało nam się odszukać kilka fragmentów ludzkiej czaszki. Była to zaledwie garść drobnych kawałków – jeśli ktoś przejedzie po kalcynowanych kościach koparką, a potem jeszcze przeczesze je pięć razy grabiami, z pewnością uda mu się niemal wszystkie sproszkować – wystarczyła jednak, by stwierdzić, że zmarły mężczyzna podłożył ogień pod swoje gospodarstwo, a potem się zabił.

Na szczęście w przypadku pożaru w hrabstwie Hawkins pracownik biura szeryfa zadzwonił do nas, nim jeszcze pogorzelnisko zostało naruszone. Wkrótce miał dołączyć do nas biegły prowadzący dochodzenie popożarowe, my mogliśmy jednak zbadać zgliszcza jako pierwsi. Jeśli gdzieś pośród nich znajdowały się spalone kości, powinniśmy byli je znaleźć, prawdopodobnie też wszystkie leżały jeszcze blisko siebie.

Po wschodniej stronie farmy, czyli od strony zbocza opadającego ku rzece, dom miał dwa poziomy; strona zachodnia wpuszczona była częściowo w grunt, a ponad pochyłość wyrastał tylko jeden poziom. Porucznik Wilmot twierdził, że sypialnia, w której prawdopodobnie spał Grizzle, znajdowała się na północnym krańcu pierwszego piętra, a przynajmniej tak wynikało z opisu poprzednich właścicieli. Teraz oczywiście nie było już żadnego piętra: podczas pożaru przepaliły się legary, a strop i ściany runęły na betonową płytę ciągnącą się pod całym budynkiem. Ta betonowa płyta, swoją drogą, była naszym przyjacielem. Gładka, twarda powierzchnia obramowana niskim murkiem z popękanych cegieł była teraz jedną wielką tacą z materiałami dowodowymi, zachowanymi specjalnie dla nas.

Zaczęliśmy od wschodniej strony około 10.30 i przesuwaliliśmy się powoli w stronę środka domu, przeszukując starannie pogorzelnisko. Około 11.15 bystre oko Steve'a Symesa, choć zapuchnięte i przekrwione, wypatrzyło kość wystającą spod sterty cegieł, pozostałości po fragmencie zrujnowanego komina. Gdy podnieśliśmy cegły, znaleźliśmy kości obu nóg i większość kręgosłupa. Niektóre stawy były jeszcze częściowo złączone lub utrzymywane w całości przez więzadła lub chrząstki, lecz spora część samych kości rozpadła się na drobne kawałki. Kompletnie wypalone okruchy przerwanego życia uderzały o siebie z brzękiem niczym skorupy rozbitego ceramicznego kubka. To ciało niemal doszczętnie się spaliło.

Stan kości wskazywał, że ogień miał bardzo wysoką temperaturę. Potwierdzał to również stan instalacji elektrycznej: miedź się stopiła i spłynęła na betonową podłogę. Temperatura topnienia miedzi wynosi około 1083°C, więc ogień musiał być jeszcze gorętszy. Co więcej, tak wysoka

temperatura wskazywała na obecność substancji przyspieszającej spalanie; stwierdzono doświadczalnie, że jeśli do podpalenia nie używa się benzyny lub innej cieczy łatwopalnej, temperatura ognia podczas zwykłego pożaru domu zwykle nie przekracza 900°C.

Kości leżały w odległości około trzydziestu centymetrów od wschodniej ściany domu – ściany najbliższej rzece – oraz w odległości ponad metra na północ od ściany z pustaków dzielącej dom na część południową i północną. Gdy usuwaliśmy kości, znaleźliśmy większą ilość spalonej tkanki spoczywającej na kawałku białej bawełnianej tkaniny, pozostałości po bokserkach, oraz na zwęglonych szczątkach ciemnozielonych spodni.

W tym momencie byliśmy już niemal całkiem pewni, że znaleźliśmy ciało mężczyzny, prawdopodobnie zaginionego Jamesa Grizzle'a. Wkrótce przekonaliśmy się jednak, że okoliczności jego śmierci mogą być bardziej intrygujące, niż nam się wydawało.

Pozycja nóg, miednicy i kręgosłupa wskazywała na to, że ciało leżało na plecach; nogi były zgięte lub przerzucone nad tułowiem tak, że kolana sięgały nad ramiona i zajmowały miejsce, gdzie powinna być znajdować się głowa. Szukaliśmy jej przez dłuższy czas w bezpośrednim otoczeniu kości, lecz bezskutecznie. W końcu, gdy dotarliśmy do kolejnej sterty cegieł, położonej mniej więcej dwa metry dalej, znaleźliśmy kości rąk, kilka żeber, czaszkę i żuchwę. Kości te, podobnie jak szczątki dolnej części ciała, były dziwnie ułożone i mocno zniszczone, prawdopodobnie przez ogień.

Dlaczego jednak leżały aż dwa metry od pozostałych dwóch trzecich ciała? Szukając odpowiedzi na to pytanie, wziąłem pod uwagę fakt, że dom był piętrowy. Miałem już do czynienia z sytuacjami, gdy w podobnych budynkach część spalonego ciała spadła przez dziurę w podłodze na niższy poziom, zaś inna część znalazła się ostatecznie gdzie indziej, na innej stercie gruzu. Czy i tutaj mogło wydarzyć się coś podobnego?

Spojrzałem ponownie na nogi i miednicę. Oprócz resztek tkaniny pozostałej po bieliźnie i spodniach pod kośćmi widać było jedynie kawałek płyty kartonowej, płytkę podłogową i nagi beton. Niewiele więcej można było znaleźć pod głową, rękami i żebrami. Gdyby jedna część spalonego ciała spadła przez dziurę w podłodze, a reszta zwłok pozostała na piętrze do momentu, gdy cały budynek się zawalił, powinniśmy byli znaleźć sporo gruzu pod jedną grupą kości: resztki legarów, podkładu podłogowego i samej podłogi, może nawet osmolone sprężyny i spalony materac, oczywiście przy założeniu, że o 2.00 w nocy, gdy wybuchł pożar, ofiara spała. Fakt, że pod szczątkami znajdowało się tak niewiele innych materiałów, dowodził, że całe ciało prawdopodobnie leżało już na dole, gdy podłoga pierwszego piętra przepaliła się i spadła na kamienną płytę.

Jeśli tak się jednak stało, to dlaczego górna część ciała znalazła się tak daleko od dolnej? Widziałem już wiele przypadków, gdy wysoka temperatura doprowadziła do pęknięcia i rozsypania się czaszki, nigdy jednak nie słyszałem, by siła takiej eksplozji mogła oderwać całą głowę oraz górną część tułowia i odrzucić ją na drugi koniec pokoju.

Stojąc pośród rozrzuconych kości, drapiąc się bezradnie po głowie i zastanawiając głośno nad

przyczyną takiego stanu rzeczy, powiedziałem:

– Jedyne, co mogłoby to wyjaśnić, to jakiś wybuch o stosunkowo dużej sile.

Gdy tylko wyrzekłem te słowa, odezwał się porucznik Wilmot:

– Ciekawe, że pan o tym wspomina. Jeden z sąsiadów twierdzi, że nim wybuchł pożar, słyszał jakąś eksplozję.

Oszczędziłbym sobie trochę trudu, gdyby porucznik zechciał podzielić się ze mną tą wiedzą nieco wcześniej, z drugiej jednak strony pozbawiłbym się wówczas przyjemności, jaką było sformułowanie tej egzotycznej teorii. Ponownie przyjrzałem się kościom. Powierzchnia mostka była popękana i podziurawiona; kręgosłup przerwał się tuż pod czaszką, dokładnie tam, gdzie uszkodziłaby go eksplozja, która rozerwała również klatkę piersiową.

Nie tylko fragmentacja ciała świadczyła o tym, że w spalonym domu doszło wcześniej do aktów przemocy. Kilkanaście centymetrów od kręgosłupa, na wysokości kręgów piersiowych i żeber, znaleźliśmy podłużny ołowiany krążek, który mierzył około dwudziestu pięciu milimetrów długości oraz szesnastu milimetrów szerokości, a do tego miał spłaszczony wierzchołek. Na spodniej części krążka widniał odcisk splotu tkaniny. Nie trzeba było szczególnej wiedzy ani intelektu, by domyślić się, że jeszcze przed pożarem i przed eksplozją padł tutaj strzał z pistoletu. Pocisk wystrzelony z odległości zaledwie kilku metrów trafił prawdopodobnie w serce mężczyzny.

Kilka pytań pozostawało jeszcze bez odpowiedzi, lecz jedna sprawa była oczywista: jeśli odrzucimy dość karkołomną hipotezę, że przed śmiercią ofiara oblała cały dom benzyną, przywiązała sobie do piersi laskę dynamitu, podpaliła lont, a potem strzeliła sobie prosto w pierś, to bez wątpienia mamy do czynienia z zabójstwem dokonany przez kogoś, kto zadał sobie wiele trudu, by zatrzeć ślady przestępstwa. Jak się okazało, bezskutecznie.

Trzymając się wyznaczonych wcześniej ról – David Hunt i ja przekopywaliśmy zgłiszcza, Pat Willey opisywał wszystkie znaleziska i wkładał szczątki do papierowych torebek, a Steve Syme robił zdjęcia – wydobywaliśmy z popiołów kolejne zęby i fragmenty kości. Gdy chłodny zimowy dzień zaczął się już chylić ku zachodowi, ruszyliśmy w drogę powrotną do Knoxville. Z tyłu samochodu leżało około dwudziestu papierowych torebek ze spalonymi szczątkami, a w powietrzu wisały dwa intrygujące pytania: Czy były to szczątki Jamesa Grizzle’a? A jeśli tak, to kto go zabił i dlaczego?

Znalezienie odpowiedzi na pierwsze pytanie wymagało starannego zbadania kości i zębów. Już na miejscu pożaru byliśmy przekonani, że spalone szczątki należały do mężczyzny. Kości długie były dość duże, a u podstawy czaszki, choć w znacznym stopniu zniszczonej, dało się zauważyć całkiem sporą guzowatość potyliczną zewnętrzną, niemal jednoznaczną oznakę męskości. Pomiary dokonane w laboratorium potwierdziły nasze przypuszczenia: głowa kości udowej – kuliste zgrubienie wciśnięte w panewkę stawu – w przypadku mężczyzny mierzy zazwyczaj co najmniej czterdzieści pięć milimetrów średnicy; głowy kości udowej naszej ofiary miały aż pięćdziesiąt milimetrów średnicy.

Obwód trzonu kości udowej również był imponujący, wynosił bowiem dziewięćdziesiąt cztery milimetry; w przypadku kobiety wartość ta rzadko przekracza osiemdziesiąt jeden milimetrów.

Aby określić rasę zmarłego, musieliśmy zbadać strukturę jego twarzy. Choć czaszka była w znacznym stopniu zniszczona, szczęki zachowały się w stanie, który umożliwiał przeprowadzenie odpowiednich badań. Obszary zębodołowe żuchwy oraz szczęki górnej były płaskie, zaś same zęby ułożone pionowo, a nie wystające do przodu. Innymi słowy, szczęki należały do białego człowieka.

Człowiek, który zginął w pożarze, bez wątplenia był dorosły. Jego obojczyki całkowicie się już zrosły, wiedzieliśmy więc, że miał co najmniej dwadzieścia pięć lat. W dolnej części kręgosłupa widać było zaczątki wyrostki kostnych – nierównych, postrzępionych zgrubień wyrastających z krawędzi kręgów – co świadczyło, że mężczyzna miał ponad trzydzieści lat. Z drugiej jednak strony wyrosła te były na tyle nieduże, że prawdopodobnie nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Porucznik Wilmot powiedział nam wcześniej, że Grizzle miał trzydzieści sześć lat, więc jak dotąd mogliśmy śmiało zakładać, że istotnie były to jego szczątki. Aby mieć pewność, musieliśmy jednak zajrzeć do jego dokumentacji dentystycznej.

Nim przeprowadził się do Pasa Biblijnego w Tennessee, Grizzle był hutnikiem w Pasie Rdzy w Indianie. Jako pracownik Bethlehem Steel, olbrzymiego przedsiębiorstwa zajmującego się między innymi produkcją stali, korzystał z bardzo przyzwoitej opieki medycznej i dentystycznej – oraz usług skrupulatnego dentysty z La Porte w stanie Indiana, który kilka lat wcześniej wykonał zdjęcia rentgenowskie jego uzębienia.

Żuchwa, czyli szczęka dolna, zbudowana jest z gęstszej kości niż szczęka górna, więc zachowała się w lepszym stanie. Jednakże wysoka temperatura sprawiła, że większość zębów w obu szczękach popękała i rozpadła się do miejsca, gdzie szkliwo spotyka się z korzeniem. W związku z tym nie mogliśmy porównywać wypełnień, lecz musieliśmy szukać podobieństw w strukturze i geometrii korzeni zębów oraz samych szczęk.

Zdjęcie rentgenowskie żuchwy Grizzle'a pokazało nam, co następuje: lewy trzeci ząb trzonowy – ząb mądrości – nie był w pełni rozwinięty; brakowało pierwszego lewego zęba trzonowego, przy czym kość zaczynała już zarastać pusty zębodoł; podobnie rzecz się miała z zębodołami pozostałymi po pierwszym i drugim zębie trzonowym z prawej strony. (Grizzle mógł co prawda korzystać z opieki dentystycznej, ale najwyraźniej nie robił tego zbyt często; jego higiena jamy ustnej, a przynajmniej ogólny stan uzębienia, pozostawiały wiele do życzenia).

Zdjęcie górnej szczęki pokazało, że pierwszy ząb przedtrzonowy po lewej stronie miał dziwny korzeń w kształcie litery S; na wewnętrznej powierzchni tego zęba znajdowało się również wypełnienie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że pierwszy górny ząb przedtrzonowy po lewej stronie był jednym z tych nielicznych, które nie rozsypały się w ogniu; w jego koronie rzeczywiście znajdowało się wypełnienie, dokładnie w tym samym miejscu, które widać było na zdjęciu. Pozostałe cechy –

brakujące zęby trzonowe, zębodoły zarastające kością oraz korzeń w kształcie litery S – również idealnie do siebie pasowały. Zadzwoiłem do porucznika Wilmota, by powiedzieć mu, że zidentyfikowaliśmy ofiarę jako Jamesa Grizzle’a.

Szukaniem odpowiedzi na pozostałe pytania – kto zabił Grizzle’a i dlaczego – musiał zająć się porucznik Wilmot oraz jego koledzy. Uwinęli się z tym całkiem szybko.

Jeden z sąsiadów Grizzle’a – tych troskliwych, przyjaznych ludzi, którzy nie poinformowali nikogo o pożarze ani o eksplozji – powiedział policjantom, że wkrótce po zakupie domu Grizzle zatrudnił kogoś, kto miał pomóc mu przy remoncie. Ów robotnik, niejaki Stephen Leon Williams, wprowadził się do domu wraz z Grizzlem, a do tego przywiózł tam swoją dziewczynę.

Ojciec Grizzle’a zeznał, że jego nieszczęsny syn miał w banku sporo pieniędzy – około 30.000 dolarów na rachunku bieżącym i kolejne 9.000 oszczędności. Najwyraźniej Grizzle nieopatrznie pochwalił się tym Williamsowi, bo prokurator oskarżył Williamsa o sfałszowanie podpisu Grizzle’a na czekach przedstawionych w banku dzień po zniknięciu tego ostatniego.

Jakby tego było mało, pewnego wieczora, wkrótce po odkryciu zmasakrowanego ciała Grizzle’a, na jaw wyszły kolejne szokujące fakty. Pewien znajomy Williamsa, niejaki Anthony Layne Flynn, urządził sobie popijawę w pewnej knajpie w Kingsport, zwanej Barem Alpha. Rozochocony kolejnymi piwami Flynn zanadto się rozgadał i wyjawiał swym zdumionym kompanom, że Williams zwrócił się do niego o pomoc, a dokładnie rzecz biorąc, poprosił go, by przyprowadził swego dobermana do domu Grizzle’a i nakarmił zwierzę jego ciałem. Jednak albo pies nie był wystarczająco głodny, albo zwłoki nie dość apetyczne, bo pies nie dał się skusić na to niecodzienne danie.

Właśnie wtedy Williams postanowił uciec się do dynamitu. Lecz zamiast rozerwać ciało na strzępy, eksplozja tylko je przepołowiła. W końcu, w akcie desperacji, polał cały dom benzyną i podpalił go. Był zapewne pewien, że strzelające w niebo płomienie całkowicie zetrą jego ślady i zniszczą wszelkie dowody popełnionej przezeń zbrodni. W rzeczywistości jednak to właśnie ogień przyciągnął ku niej uwagę innych. Był niczym latarnia, światło prawdy płonące w ciemnym lesie i przekazujące jednoznaczną wiadomość: Miejsce zbrodni – badać z najwyższą ostrożnością.

W październiku 1980 Stephen Leon Williams został uznany winnym zamordowania Jamesa Grizzle’a. Współoskarżony Anthony Layne Flynn, właściciel wybrednego dobermana, został uniewinniony i wypuszczony na wolność.

Ponieważ popełnił morderstwo z premedytacją, a potem w szokujący sposób sprofanował ciało Grizzle’a, Williams został skazany na śmierć na krześle elektrycznym. Termin egzekucji wyznaczono na 16 kwietnia 1982. Prawnicy Williamsa szybko wnieśli apelację od wyroku. Kolejne odwołania, a potem ogólnokrajowe moratorium na wykonywanie kary śmierci wciąż opóźniały egzekucję.

W 1999 roku Williams wytoczył mi z za kratek proces. Wraz ze mną na liście pozwanych znaleźli się śledczy, telewizyjna firma produkcyjna oraz kanał Discovery Channel, który przedstawił sprawę

Grizzle'a w filmie dokumentalnym. Byłem zdumiony, że nasz system prawny w ogóle dopuszcza do podobnej sytuacji: wiele lat po procesie skazany prawomocnie zabójca pozywa do sądu ludzi, którzy odkryli jego zbrodnię. Na szczęście Williams dobrowolnie wycofał pozew.

Ponad dwadzieścia lat po ogłoszeniu wyroku, który skazywał go na śmierć za morderstwo, rozczłonkowanie i spalenie Jamesa Grizzle'a, Williams żyje sobie całkiem nieźle w więzieniu w Tennessee. Tymczasem miejsce zbrodni dawno już zostało zaanektowane przez las. Gdzieś na stromym zboczu, ponad zieloną wstęgą rzeki, coraz grubsza warstwa zgniłych liści i szlamu żywi rosnącą kolonię chwastów, pnączy i młodych drzew. Pod tym wszystkim kryją się coraz mniej widoczne sterty cegieł oraz osmolona betonowa płyta. To właśnie tutaj prawdziwi naukowcy sądowi przeszukali zgliszczka spalonego domu, rozwiązali prawdziwą zagadkę kryminalną i odkryli prawdę.



# Pole śmierci: narodziny Trupiej Farmy

Jeśli ofiara nie żyje już od dłuższego czasu, głowa i twarz będą spuchnięte, skóra i włosy odpadną, usta będą otwarte, oczy wybaluszone, a we wnętrznościach zalęgnie się robactwo.

Kiedy uświadomiłem sobie, że mylnie

Sung Tz'u, Zmywanie krzywd, chiński tekst medycyny sądowej opublikowany w 1247 roku<sup>2</sup>.

oszacowałem czas śmierci pułkownika Williama Shy'a – i to o ponad sto dwanaście lat – w pierwszej chwili czułem przede wszystkim głębokie zawstydzenie. W rozmowach z dziennikarzami, którzy śledzili tę historię, wygłaszałem z ogromną pewnością siebie opinie, które później musiałem odszczekać – opinie, które drukowały gazety od Tennessee po Tajlandię.

Jednak upokarzające doświadczenia mogą stać się zacynem największych życiowych osiągnięć, jeśli tylko gotowi jesteśmy wyciągać z nich wnioski. Wkrótce moje zakłopotanie ustąpiło miejsca zawodowej ciekawości. Sprawy kryminalne pociągały mnie zawsze między innymi ze względu na wyzwania, jakie przede mną stawiają; często są to tragiczne zbrodnie, a zarazem naukowe zagadki wymagające rozwiązania. Nigdy nie lubiłem polować – idea zabijania zwierząt wyłącznie dla sportu w ogóle do mnie nie przemawia – lecz podniecenie towarzyszące rozwiązywaniu naukowej łamigłówki przypomina zapewne dreszcz emocji, jaki odczuwa myśliwy tropiący grubego zwierza.

Lecz gdzie tkwiła zagadka w tym przypadku – czego miałem szukać? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej ekscytująca wydawała mi się odpowiedź: będę ścigał samą śmierć. Aby w pełni zrozumieć, co stało się z pułkownikiem Shy'em – i co ostatecznie dzieje się z nami wszystkimi – musiałem tropić śmierć na jej własnym terytorium, badać jej nawyki żywieniowe, obserwować ruchy i zwyczaje.

Ponad siedemset lat temu pewien chiński urzędnik, Sung Tz'u, opracował niezwykle podręcznik dla ekspertów kryminalistyki. Książka o tytule tłumaczonym często jako Zmywanie krzywd (ang. *The Washing Away of Wrongs*), opisuje imponujący wachlarz badań i testów, które należy przeprowadzić w krótkim okresie – w ciągu kilku godzin lub dni – po podejrzanej śmierci. Przedstawia również w bardzo opisowy sposób zmiany, jakim ulega martwe ciało w dłuższym okresie – w ciągu tygodni i miesięcy potrzebnych do tego, by zwłoki zamieniły się w nagie kości.

Jednakże na przestrzeni ponad siedmiuset lat, które upłynęły od czasów Tz'u, nie odkryto ani nie

napisano praktycznie niczego o tym, co w dłuższym okresie dzieje się z człowiekiem po śmierci. Gdy badałem zwłoki pułkownika Shy'a w 1977 roku, nie miałem wcale do dyspozycji większego zasobu wiedzy niż Sung Tz'u w roku 1247.

Już od jakiegoś czasu – nim jeszcze poznałem pułkownika Shy'a – gdzieś w głębi mojego umysłu kiełkowała idea naukowych badań nad rozkładem ludzkiego ciała. Ziarno zostało zasiane w 1964 roku, gdy napisałem do Harolda Nye'a z KBI i zaproponowałem, byśmy znaleźli jakiegoś farmera, który pomoże mi zbadać proces rozkładu krowy („Jeśli znasz jakiegoś farmera, który byłby gotów zabić krowę i zostawić ją na polu...”). Ziarno nadal spoczywało w uśpieniu w roku 1971, gdy przeprowadziłem się do Knoxville, by objąć kierownictwo nad Wydziałem Antropologii na Uniwersytecie Tennessee. Przeprowadzka do Tennessee przyniosła mi nie tylko nową posadę nauczycielską, ale i nominację polityczną na poziomie stanu: zostałem pierwszym (i jak dotąd jedynym) stanowym antropologiem sądowym w Tennessee. List z oficjalną nominacją dotarł do mnie w czasie, gdy segregowałem i układałem setki pudeł z kośćmi Indian Arikara pod trybunami Neyland Stadium. Było to świadectwo siły oddziaływania wzajemnych kontaktów.

Dwa lata wcześniej jeden z moich doktorantów na Uniwersytecie Kansas, Bob Gilbert, poprosił lekarzy sądowych z całego kraju o kości łonowe. Bob badał różnice kostne między mężczyznami i kobietami – szczególnie stopniowe zmiany zachodzące w kobiecej kości łonowej, to jest w miejscu, gdzie spotykają się ze sobą dwie kości łonowe. U młodych kobiet powierzchnia spojenia jest nierówna, pofałdowana; u kobiet, które osiągnęły wiek trzydziestu pięciu lat, kość jest już znacznie gęstsza, a jej faktura gładsza; po przekroczeniu pięćdziesiątki powierzchnia spojenia zaczyna niszczyć. Celem pracy doktorskiej Boba był szczegółowy opis tych zmian, by antropolodzy mogli precyzyjniej oceniać wiek. Aby tego dokonać, potrzebował kości łonowych, i to jak najwięcej.

Niektórzy lekarze sądowi, z którymi się skontaktowałem, byli zszokowani jego prośbą i odmówili. Jednak doktor Jerry Francisco, główny lekarz sądowy Tennessee, był zaintrygowany tymi badaniami i doceniał wkład, jaki mogą wnieść do nauk sądowych. Przesłał Bobowi sporą porcję kości łonowych i został moim dobrym przyjacielem – często wymienialiśmy się różnymi ciekawymi historyjkami podczas spotkań i konferencji naukowych.

Kiedy powiedziałem Jerry'emu, że przeprowadzam się do Tennessee, spytał, czy gotów byłbym przyłączyć się do jego zespołu jako stanowy antropolog sądowy. Nie była to szczególnie intratna posada – stała stawka wynosząca sto pięćdziesiąt dolarów za sprawę – ale sama praca zapowiadała się fascynująco. Propozycja ta ogromnie mi schlebiała, więc od razu się zgodziłem. Wkrótce potem otrzymałem również odznakę specjalnego konsultanta TBI. Jakiś czas później uświadomiłem sobie, że gdybym nie rozwiązywał tych spraw jako urzędnik stanowy, mógłbym pobierać ogromne honorarium za każdą godzinę specjalistycznych konsultacji. Niestety, nim zdałem sobie z tego sprawę, zbyt mocno przywiązałem się do budzącego szacunek tytułu i lśniącej odznaki, by oddać je za coś tak pospolitego jak pieniądze. Pewna szczególnie skomplikowana sprawa kryminalistyczna, którą rozwiązywałem

w latach dziewięćdziesiątych, pochłonięła setki godzin mojej pracy; w tym wypadku stawka równa stu pięćdziesięciu dolarom przekładała się na kilkadziesiąt centów za godzinę. Ale co tam, dzięki tej posadzie mogłem korzystać z wielu innych przywilejów, choćby występować co jakiś czas w sądzie i zbierać ciągi od prawników. Adwokaci uwielbiają odwoływać się do przypadku pułkownika Shy'a, nawet jeśli nie ma on żadnego związku ze sprawą ich klienta, by zasiać w ten sposób ziarno wątpliwości w umysłach przysięgłych. („Czyż nie jest prawdą, doktorze Bass, że szacując czas śmierci w tym przypadku, pomylił się pan niemal o sto trzysta lat!?”)

Nie zdążyłem jeszcze zadomowić się na dobre na Uniwersytecie Tennessee, gdy zaczęły do mnie napływać wezwania, sprawy i ludzkie szczątki. Wkrótce odkryłem znaczącą różnicę między ciałami z Kansas i z Tennessee. Zwłoki z Kansas miały zwykle postać czystych, wyblakłych od słońca szkieletów, jakie można czasem zobaczyć w hollywoodzkich westernach. Typowe zwłoki z Tennessee, o czym przekonałem się bardzo szybko, wyglądały raczej jak gnijąca, wypełniona robactwem papka. Aż pięć spośród pierwszych dziesięciu ciał, które przywieźli mi do badania policjanci z Tennessee, było wyjedzonych od środka przez czerwie.

Różnica ta wynikała z uwarunkowań geograficznych i demograficznych: Kansas jest niemal dwukrotnie większe od Tennessee – ma ponad 212 000 kilometrów kwadratowych powierzchni, podczas gdy Tennessee tylko niecałe 109 000 – ale o połowę mniej mieszkańców. Statystycznie rzecz ujmując, szanse na znalezienie świeżego ciała w Kansas są cztery razy mniejsze niż w Tennessee. (W rzeczywistości ta różnica jest jeszcze większa, bo mieszkańcy Tennessee umierają młodziej, a to za sprawą dwukrotnie wyższego wskaźnika zabójstw – tym problemem powinien zająć się już specjalista z innej dziedziny). Ponieważ w Tennessee jest znacznie więcej ciał, które czekają na odkrycie – często przez myśliwych buszujących po lasach – nietrudno wywnioskować, że znajduje się je częściej i szybciej niż nieliczne zwłoki rozrzucone po ogromnej spalonej słońcem prerii Kansas. Dlatego też martwi mieszkańcy Tennessee zwykle wyglądają i śmierdzą znacznie gorzej.

Dochodzenie sprawiedliwości było jednak sprawą nadrzędną. Poza tym antropolog sądowy – szczególnie oficjalny konsultant TBI i stanowy antropolog sądowy – nie mógł być przesadnie wrażliwy. Wszystkie zainteresowane strony wiedziały, że gotów jestem identyfikować ciała i ustalać przyczynę ich śmierci. Dlatego też chętnie przyjmowałem każdą sprawę i każde ciało, choć niektóre bardziej, a niektóre mniej chętnie – podobnie jak wszyscy pracownicy naszego wydziału pod trybunami stadionu. Jedynym, który w końcu się wyłamał, był woźny.

Pewien wędkarz znalazł topielca – pływające zwłoki – w rzece Emory, około osiemdziesięciu kilometrów od Knoxville, a zastępca szeryfa z hrabstwa Roane przywiózł mi to ciało do identyfikacji. Zmarły wciąż miał na sobie większość ubrań – niestety, nie miał już głowy. Ta okoliczność znacznie utrudniała, a może i uniemożliwiała dokonanie jednoznacznej identyfikacji.

– Musimy znaleźć głowę – powiedziałem zastępcy. Mogła leżeć na dnie rzeki, z dala od miejsca,

gdzie wędkarz natknął się na ciało, istniała jednak szansa, że ktoś znalazł czaszkę leżącą na brzegu i może nawet ją zabrał.

Ciało przywieziono w środę. W czwartek na pierwszej stronie miejscowego tygodnika „Roane County News” ukazał się artykuł o znalezieniu ciała i o tym, jak ważna jest brakująca czaszka. Autor artykułu prosił, by każdy, kto ostatnio widział lub nabył czaszkę, przyniósł ją do biura szeryfa. W ciągu kilku następnych dni dostarczono dwie czaszki, które zastępcy szeryfa przynieśli do mnie.

Pierwsza, która dotarła do mnie w piątek, była sucha i przykurzona, z pewnością nie należała do naszego topielca. Zaintrygowała mnie jednak z dwóch powodów: tożsamości etnicznej oraz wielkiej dziury wybitej u podstawy. Nasz topielec był biały, a ta czaszka należała prawdopodobnie do Japończyka lub Chińczyka, których nie tak często spotyka się we wschodnim Tennessee. Zadzzwoniłem do biura szeryfa i spytałem o historię tego znaleziska. Okazało się, że przyniósł je właściciel złomowiska. Kilka dni wcześniej kupił stary samochód od miejscowego właściciela ziemskiego. W puszce po farbie schowanej w bagażniku leżała ta właśnie czaszka.

Okazało się, że posiadacz samochodu oddanego na złom walczył w rejonie Pacyfiku podczas drugiej wojny światowej. Spacerując po plaży w Okinawie, natknął się na rozbity japoński samolot Zero; w środku znajdowała się czaszka martwego pilota, którą nasz dzielny wojak zabrał do domu jako trofeum wojenne. (Później jeszcze wielokrotnie natykałem się na tego typu trofea z czasów drugiej wojny światowej, przy czym prawie wszystkie należały do Japończyków, a prawie żadna do Europejczyka, co stanowi interesujący komentarz do naszego podejścia do zmarłych z innych kultur). Gdzieś między rokiem 1945 a 1973 otwór w podstawie czaszki japońskiego pilota – tak zwany otwór wielki – został znacznie powiększony, by do wnętrza czaszki można było włożyć żarówkę; w ten sposób martwy wojownik zamienił się w zwykłą dekorację na Halloween.

Czaszka numer dwa, należąca do Indianina, również była sucha, zakurzona i znacznie starsza niż nasz topielec. Musieliśmy więc kontynuować poszukiwania brakującej głowy. Tymczasem nierozwiązana tajemnica zaczęła śmierdzieć – dosłownie. Większość miast posiada prosekoria z chłodniami, w których można przechowywać ciała, dopóki nie zostaną zidentyfikowane i przejęte przez krewnych lub pogrzebane przez miejscowe władze. Nie dotyczy to małych miasteczek, takich jak Kingston, stolica rolniczego hrabstwa Roane, gdzie wynurzył się nasz topielec, gdy tylko gazy rozkładowe w jego brzuchu wezbrały na tyle, by wynieść go na powierzchnię. Zastępca szeryfa nie chciał zabierać śmierdzącego ciała z powrotem do Kingston, zgodziłem się więc zatrzymać je na uniwersytecie. Problem polegał na tym, że ja również nie miałem chłodni. Ponieważ zaczynał się właśnie weekend, owinałem ciało folią, najszczelniej jak potrafiłem, po czym włożyłem je do schowka ze szczotkami w toalecie obok mojego gabinetu. Nie wiem, ilu ludzi było w budynku, gdy w sobotę przyszedł woźny, by posprzątać korytarze, przypuszczam jednak, że wszyscy obecni wówczas na wydziale – oraz prawdopodobnie kilku kierowców na zewnątrz – usłyszało go, gdy otworzył śmierdzący schowek i zobaczył, co jest w środku. W poniedziałek rano wytłumaczył mi

nadzwyczaj jasno i dobitnie – językiem zrozumiałym zarówno dla naukowców, jak i marynarzy – że bez względu na to, że jestem szefem wydziału, nie wolno mi pod żadnym pozorem przechowywać gnijących ciał w jego schowku na szczotki ani gdziekolwiek indziej w budynku. O ile dobrze rozumiałem, choćby jedno naruszenie tej zasady mogło skutkować umieszczeniem w schowku mojego własnego bezgłowego ciała, i to w bardzo nieodległym terminie.

Wziąwszy sobie do serca uwagi woźnego, postanowiłem zwrócić się o pomoc do mojego szefa, czyli dziekanacollege'u. Wyjaśniłem mu, na czym polega nasz mały dylemat, on zaś odniósł się do niego ze spokojem i zrozumieniem. Sięgnął po książkę telefoniczną, odszukał numer do Wydziału Rolnictwa, skontaktował się z jego szefem i rozwiązał mój problem: Wydział Rolnictwa miał kilka farm za miastem, a na jednej z nich stał pusty budynek, a dokładnie rzecz biorąc, pozbawiona jednej ściany obora. Jedynymi sąsiadami byli pensjonariusze miejscowego więzienia, którzy mieli zapewne ważniejsze powody do narzekań niż dolatujący ich czasem smrodek. Wydawało się, że to całkiem dobre miejsce na przechowywanie ciał do czasu, gdy będziemy mogli je oczyścić i zbadać kości.

System ten funkcjonował całkiem sprawnie przez kilka lat. Coraz częściej jednak zauważałem coś dziwnego: od czasu do czasu znajdowałem ciała w pozycji nieco innej od tej, w jakiej zostawiałem je kilka dni wcześniej. Znajdowałem również odciski stóp oraz inne ślady nieproszonych ludzkich gości. W końcu zrozumieliśmy, co się dzieje. Więźniowie z sąsiedztwa, którzy pracowali na farmie przynależącej do zakładu karnego, odkryli, że obora ma nowych mieszkańców i przychodzili ich pooglądać. Do tej pory nic nie zginęło, nie chciałem jednak ryzykować utratą ważnego elementu materiału dowodowego – na przykład czaszki zawierającej pocisk.

Gdy zastanawiałem się nad potrzebą wyszukania nowej powierzchni magazynowej dla naszych ciał, poznałem pułkownika Shy'a, który powiedział mi, że samo przechowywanie ciał nie wystarczy. Musiałem robić coś więcej, niż tylko usuwać gnijącą tkankę z kości; musiałem ją badać, obserwować, uczyć się wszystkiego, co mogła mi powiedzieć o śmierci i rozkładzie. Nie mogłem robić tego w starej, rozpadającej się oborze oddalonej o trzy kwadranse drogi od mojego gabinetu i laboratoriów. Potrzebowałem czegoś większego i położonego znacznie bliżej.

Był to szósty rok mojej pracy na stanowisku szefa Wydziału Antropologii. W tym czasie wydział znacznie się rozrósł, nasz program obejmował już nie tylko studia licencjackie, ale i magisterskie oraz doktoranckie, zaczynaliśmy przyciągać najlepszych i najbardziej obiecujących studentów z całego kraju. Krótko mówiąc, mieliśmy środki i możliwości, by dokonać czegoś, czego nie robiono nigdy wcześniej: stworzyć jednostkę badawczą, jakiej nie było na całym świecie – ośrodek zajmujący się systematycznymi badaniami ludzkich ciał, dziesiątków, a potem i setek zwłok; laboratorium, gdzie natura mogła swobodnie, we właściwym sobie tempie zająć się śmiertelnymi szczątkami, w różnorodnych eksperymentalnych warunkach. Naukowcy i studenci obserwowaliby każdy etap tego procesu, opisywali zmienne, takie jak temperatura i wilgotność, śledzili i notowali czas rozkładu ludzkiego ciała. Podjęlibyśmy tego typu badania w miejscu, gdzie przed wiekami zakończył je Sung

Tz'u.

Pomysł był prosty, lecz implikacje – i możliwe komplikacje – trudne do oszacowania. W świetle większości standardów i wartości kulturowych podobne badanie mogło wydawać się makabryczne, haniebne, szokujące. Jednak rektor w żaden sposób nie kwestionował jego celowości: na szczęście stale obserwował i podziwiał rozwój naszego wydziału, więc bez wahania udzielił nam wsparcia. Ponownie była to jedynie kwestia jednego telefonu.

Po drugiej stronie rzeki Tennessee, naprzeciwko głównego kampusu uniwersyteckiego – w odległości jednego długiego wybiecia piłki od naszego stadionu futbolowego – znajdowała się wolna działka o powierzchni jednego akra, czyli mniej więcej czterech dziesiątych hektara, położona na tyłach uniwersyteckiego centrum medycznego. Przez lata palono tutaj szpitalne śmieci, więc stan nieruchomości daleki był od ideału, ale chyba nie czułbym się tam dobrze, gdyby wyglądała o wiele lepiej.

Przez całe życie zaciskałem pasa, z trudem wiązałem koniec z końcem i radziłem sobie jakoś pomimo braku środków. Dorastałem w czasie Wielkiego Kryzysu i widziałem, jak rozważnie moja mama gospodarowała pieniędzmi, które dostawaliśmy z ubezpieczenia po ojcu. Podczas prac wykopaliskowych na Wielkich Równinach karmiłem wygłodniałych studentów masłem orzechowym z rządowych nadwyżek i kładłem ich spać na łóżkach potowych podarowanych nam przez wojsko. Po wprowadzeniu się do zniszczonego budynku pod trybunami stadionu – okna wychodziły na gęszcz dźwigarów podtrzymujących górną część trybun – odmalowałem łuszczące się ściany, polakierowałem zniszczone biurka i zreperowałem rozsypujące się szafki na dokumenty. Kiedy więc rektor oferował mi prawie pół hektara ziemi – choć zasłanej śmieciami – w odległości zaledwie pięciu minut drogi od mojego biura, przyjąłem ją z wdzięcznością; można powiedzieć, że było to moje własne poletko śmierci.

Jesienią 1980 roku zabrałem się wraz ze studentami do pracy. Usunęliśmy drzewa i zarośla z centralnej części działki i wysypaliśmy żwirową drogę, by mogły tam wjeżdżać samochody z ciałami i sprzętem; doprowadziliśmy bieżącą wodę i elektryczność ze szpitala. Korzystając niemal wyłącznie ze zwykłych narzędzi, oczyściliśmy i wyrównaliśmy obszar o powierzchni około dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, położony w cieniu drzew, po czym przykryliśmy ten obszar warstwą żwiru o grubości kilkunastu centymetrów. Gdy podkład był już gotowy, betoniarka wylała na niego beton, który wyrównaliśmy wspólnie ze studentami. Na tej betonowej płycie postawiliśmy niewielki budynek o drewnianej konstrukcji, prosty i pozbawiony okien, przykryty tanią dachówką bitumiczną. Budynek miał stanowić magazyn na narzędzia, takie jak łopaty i grabie; instrumenty – skalpele i nożyczki chirurgiczne oraz materiały, takie jak gumowe rękawice i worki na zwłoki. Magazyn ciągnął się wzdłuż całego boku betonowej płyty, miał więc pięć metrów długości, ale tylko dwa metry szerokości. Mieliśmy więc do dyspozycji swego rodzaju werandę o wymiarach trzy na pięć metrów, na której mogliśmy ułożyć nawet dwanaście ciał potrzebnych do prowadzenia naszych badań

nad rozkładem.

Wizyty więźniów z pobliskiej farmy uświadomiły mi, że zabezpieczenie działki jest istotne, postanowiłem ją więc ogrodzić choćby skromnym płotem.

Ludziom, którzy znają Trupią Farmę w dzisiejszym kształcie, wydaje się często, że od razu właśnie tak wyglądała, ale w rzeczywistości było całkiem inaczej. Początki były naprawdę skromne, a rozwój następował powoli, drobnymi krokami. Pytania, na które chcieliśmy znaleźć odpowiedź, wydawały się wręcz śmiesznie proste: Kiedy odpada ręka? Kiedy powstaje ta tłusta czarna plama pod ciałem i z czego się bierze? Kiedy zęby wypadają z czaszki? Ile czasu trzeba, by ciało zamieniło się w szkielet? By poznać te odpowiedzi, musieliśmy najpierw znaleźć obiekty badania. Mieliśmy farmę; teraz potrzebowaliśmy ciało. Rozesłałem listy do lekarzy sądowych i przedsiębiorców pogrzebowych z dziewięćdziesięciu pięciu hrabstw stanu Tennessee.

W końcu, pewnego czwartkowego popołudnia w środku maja 1981 pojechałem pick-upem z plandeką do Crosville – miasteczka położonego godzinę drogi na zachód od Knoxville, na Wyżynie Cumberland – i zabrałem pierwszy obiekt naszych badań, dar zakładu pogrzebowego Burris. Zwłoki należały do siedemdziesięcioletniego białego mężczyzny, nałogowego alkoholika, który cierpiał na rozedmę płuc i chorobę serca. Znaliśmy jego tożsamość – ciało ofiarowała nam jego córka – lecz dla zachowania dyskrecji przydzieliliśmy mu jego własny, unikatowy numer identyfikacyjny. Za życia miał rodzinę, imię i nazwisko; po śmierci znany był tylko jako 1–81: pierwsze ciało ofiarowane Wydziałowi Antropologii w 1981 roku. (Moje sprawy kryminalistyczne numerowane były za pomocą tej samej pary liczb, tyle że w odwrotnej kolejności; pierwsza sprawa z 1981 roku była więc oznaczona jako 81–1. Nie był to może zbyt wymyślny system, ale sprawdzał się).

Następnego ranka wraz z garstką studentów ułożyłem ciało 1–81 na betonowej płycie, którą wylaliśmy kilka miesięcy wcześniej. Ktoś zrobił zdjęcia. Aby uchronić 1–81 przed gryzoniami oraz drobnymi drapieżnikami, które mogły przedostać się przez ogrodzenie, przykryliśmy ciało drewnianą konstrukcją obitą drucianą siatką. Jeden po drugim opuszczaliśmy niewielką ogrodzoną działkę. Zamknąłem bramkę i zatrzasnąłem kłódkę. Jakaś zabłąkana mucha przeleciała mi tuż obok głowy. Ośrodek Badań Antropologicznych rozpoczynał właśnie swój pierwszy projekt badawczy. Narodziła się Trupia Farma.

# Robal w służbie nauki

Pewnego ciepłego słonecznego dnia 1981 roku, gdy zwłoki 1–81 rozkładały się w świeżo oddanym do użytku Ośrodku Badań Antropologicznych, niemal widocznym z położonego po drugiej stronie rzeki Wydziału Antropologii Uniwersytetu Tennessee, Bill Rodriguez i ja wyszliśmy spod trybun Neyland Stadium. Bill trzymał w dłoni szklaną fiolkę zawierającą pięć much. Na grzbiecie każdej z much widniała wymalowana pomarańczową farbą kropka, równie jaskrawa jak koszule piłkarzy drużyny uniwersyteckiej.

Przystanęliśmy na oblanym słońcem schodach przed budynkiem, a Bill otworzył fiolkę. Już po kilku sekundach wszystkie muchy zniknęły. Spojrzeliśmy po sobie i uśmiechnęliśmy się szeroko.

– Daj mi znać, jak coś się będzie działo – poprosiłem.

Później okazało się, że Bill rozpoczynał właśnie badania, które miały wywołać rewolucję w naukach sądowych i stać się jednym z najczęściej cytowanych opracowań antropologicznych wszech czasów. Wtedy oczywiście nie miałem o tym pojęcia. Wtedy wiedziałem jedynie, że musimy się jeszcze wiele nauczyć o ciałach i robakach.

Przeprowadziłem się do Knoxville dziesięć lat wcześniej, w 1971 roku. Przez pięć lat nauczałem w Kansas i rozkopywałem groby w Dakocie Południowej; w tym czasie widziałem około 5000 zwłok, stare szkielety Indian oraz ofiary popełnionych niedawno morderstw, które przywozili mi agenci KBI. Nim jeszcze przyjechałem do Tennessee, wydawało mi się, że widziałem już praktycznie wszystko. Myliłem się.

Podczas pierwszego roku mojego pobytu w Knoxville policjanci dostarczyli mi kilkanaście ciał do badania. Przynajmniej w połowie tych przypadków stanąłem twarzą w twarz z czymś, o czym wiedziałem bardzo niewiele – z czerwiami.

Czerwie to małe, przypominające robaki larwy, które wylęgają się z jaj złożonych na ciele przez muchy – zwykle, choć nie zawsze, przez połyskujące, zielonkawe owady zwane muchami plujkami. Tuż po wykluciu czerwie są mniejsze od ziaren ryżu; gdy osiągną dojrzałość, są równie długie i grube jak rurki makaronu. Tuczą się tak gnijącym ciałem – przynajmniej w Tennessee, w Kansas w znacznie mniejszym stopniu.



W Kansas panuje bardzo suchy klimat, więc ciała często ulegają mumifikacji – kurczą się i wysychają – nim czerwie zdążą się do nich dobrać. W Tennessee suma rocznych opadów jest dwa razy większa, a klimat bardzo wilgotny; latem właściwie wystarczy wystawić brokuły na zewnątrz, by ugotować je na parze. Cała ta wilgoć oraz cień lasów Tennessee – na wschód od Missisipi praktycznie nie ma już prerii – sprawia, że ciało pozostaje miękkie i świeże, a tym samym stanowi doskonały pokarm dla czerwi. Szybko nauczyłem się, że w Tennessee należy otwierać worki z ciałami na zewnątrz i na ziemi, by muchy i czerwie nie rozeszły się po całej kostnicy.

Już od czasów dzieciństwa łączyły mnie z muchami dziwne, symbiotyczne relacje. Wkrótce po śmierci ojca przeprowadziliśmy się z mamą do jej rodziców. Mieszkaliśmy na farmie, a tam gdzie są zwierzęta hodowlane, muszą być i muchy. Mama, która nienawidziła much, złożyła mi propozycję biznesową; za każde dziesięć much, której jej przynosiłem, dawała mi nagrodę w wysokości jednego centa.

Zachęcony w ten sposób do działania, stałem się sześciolletnią maszyną do zabijania much. Zauważyłem, że kiedy dziadek wracał z dojenia krów, muchy garnęły się do każdej kropli mleka, która wylała się z jego garnka. Pac– siedem za jednym uderzeniem! Wkrótce nauczyłem się wycyganiać od babci dodatkowe porcje mleka, nie musiałem więc czekać na porę dojenia. Gromadziłem coraz większe sterty muszych trucheł i jednocentówek.

Od tamtej pory – choć jako naukowiec nie powinienem się do tego przyznawać – gardzę muchami. Mocniej nienawidzę grzechotników, ale grzechotniki występują znacznie rzadziej, są znacznie bardziej płochliwe i znacznie łatwiej je zabić. Jak nauczyłem się w Dakocie Południowej, do pozabawienia grzechotnika preriowego głowy wystarczy pewna ręka i ostra jak brzytwa łopata. Muchy są jednak niez mordowane i zwykle występują w postaci nieprzeliczonych chmar. Jeśli w letni dzień położysz na ziemi świeże zakrwawione ciało, już po chwili będą się nad nim unosiły roje much. Gdy zamachniesz się porządnie łopata, niczym wielką packą, pewnie strącisz na ziemię kilka powolniejszych sztuk, ale w tym czasie przybędą im na pomoc dziesiątki kolejnych.

Przyglądając się jednak tym paskudnym owadom, doszedłem do wniosku, że musi być coś, czego mogą nas nauczyć. Na pewno istniał jakiś sposób, dzięki któremu mogły pogłębić nasze rozumienie śmierci, a szczególnie okresu zwanego postmortem interval (PMI), czyli czasu, jaki upłynął od śmierci do ujawnienia ciała.

Z pewnością nie byłem pierwszym naukowcem, który zauważył, jak szybko muchy wyczuwają zapach śmierci, jak mocno przyciąga je woń krwi. Dawno temu, w 1247 roku, chiński śledczy Sung Tz'u opisał sprawę pewnego morderstwa w swym pionierskim dziele *Zmywanie krzywd*.

Wszczęto dochodzenie w sprawie ciała mężczyzny zabitego przy drodze (...) Urzędnik prowadzący dochodzenie zapoznał się z okolicą, w której mieszkała ofiara. Potem posłał swoich ludzi do okolicznych domów. Najbliżsi sąsiedzi mieli przynieść mu swoje sierpy i oddać je do badania. Gdyby ktoś ukrył sierp, zostałby uznany za mordercę i poddany szczegółowemu śledztwu. Wkrótce przyniesiono mu siedemdziesiąt do osiemdziesięciu sierpów. Urzędnik ułożył je wszystkie na ziemi. Był to gorący dzień. Po chwili przyleciało kilka much, które usiadły na jednym tylko sierpie. Urzędnik wskazał na niego i spytał: „Czyj to sierp?”.

Jeden z mężczyzn przyznał, że to jego własność (...) Potem został poddany przesłuchaniu, ale nadal się nie przyznawał. Urzędnik ponownie wskazał na sierp i kazał też spojrzeć na niego mężczyźnie. „Na sierpach innych nie ma much. Ty zabiłeś człowieka. Na twoim sierpie są resztki krwi, więc muchy przylatują do niego. Tego nie da się ukryć”. Pozostali mężczyźni zamilkli ze zdumienia i wzdychali tylko z podziwem. Morderca uderzył czołem o ziemię i przyznał się do wszystkiego<sup>3</sup>.

Sześć wieków później, pod koniec XIX stulecia nowojorski entomolog Murray G. Motter zbadał sto pięćdziesiąt ciał ekshumowanych podczas przenosin pewnego cmentarza. Motter zauważył, że zwłoki dawały schronienie i pożywienie licznym gatunkom owadów na różnych stopniach rozwoju (larwy, poczwarki, osobniki dorosłe); ostatecznie niektóre z tych owadów padły w tych samych zwłokach, które je żywiły – przypuszczam, że same owady nie dostrzegły ani nie doceniły tej ironii losu.

Motter opublikował wyniki swych badań w branżowym periodyku „Journal of the New York Entomological Society” w tekście o niezwykle wyczerpującym tytule: Przyczynek do badań nad fauną grobu: badania stu pięćdziesięciu ekshumowanych zwłok wraz z komentarzami. Praca ta nie zainspirowała innych entomologów do pójścia w makabryczne ślady Mottera, przynajmniej nie w zakresie badań na ludzkich zwłokach. Jednakże sześćdziesiąt lat później inny entomolog – co ciekawe, pracujący w Knoxville – zbadał szczegółowo zachowania owadów w padlinie psa. Ów naukowiec z Knoxville nazywał się H.B. Reed, a pytanie, na które szukał odpowiedzi, dotyczyło nie tyle nauk sądowych, co ekologii: Jak padlina zmienia środowisko w małym ekosystemie, w którym się rozkłada? Aby zgłębić tę kwestię, w ciągu jednego roku Reed zbadał ciała czterdziestu pięciu psów uśpionych w miejscowym schronisku. Podczas gorącej pogody wykładał jedno ciało co dwa tygodnie, a w czasie chłódów wydłużał ten okres.

Reed poczynił szereg interesujących obserwacji. Przekonał się – co nie stanowiło żadnego zaskoczenia – że największa liczba owadów na ciele, w ciele i wokół niego gromadzi się latem; okazało się też jednak, że liczebność kilku pojedynczych gatunków wzrasta najbardziej w chłodnych okresach. Zauważył też, że choć w lasach żyje więcej insektów, rozkład postępuje szybciej na otwartej przestrzeni – prawdopodobnie z powodu wysokich temperatur, jak sądził. Co najważniejsze, Reed skrupulatnie opisał wszystkie gatunki owadów, zarówno larwy, jak i dorosłe osobniki, które miały jakiś związek z padliną psów.

W latach sześćdziesiątych XX wieku entomolog z Karoliny Południowej Jerry Payne wykonał podobne badania przy użyciu ciał prosiąt. Najważniejszym wkładem Payne’a w tę dziedzinę nauki był staranny opis sukcesji insektów; zanotował, kto i kiedy pojawiał się w nieustającym pochodzie owadów.

Tymczasem ja sam podczas letnich wykopalisk w Dakocie Południowej zauważyłem interesujące zjawisko dotyczące szczątków Indian Arikara. Niektóre groby zawierały liczne kokony larw, twarde, puste osłony, w których zamykają się larwy na czas przemiany w dorosłe muchy; jednak w innych liczba kokonów była znacznie mniejsza lub nie było ich w ogóle. W końcu znalazłem wyjaśnienie:

w czasie zimy muchy chowają się w ziemi, właściwie przestają latać zawsze, gdy temperatura spadnie poniżej 10°C. Groby Arikara pozbawione kokonów zawierały ciała ludzi, którzy zmarli i zostali pogrzebani w podczas zimniejszych pór roku. Fascynowała mnie wówczas myśl, że dwieście lat po fakcie mogliśmy stwierdzić, o jakiej porze roku dany wojownik Arikara poległ w bitwie. Nim stworzyłem Trupią Farmę, wiedziałem już, że jeśli uda mi się zainteresować jakiegoś studenta zachowaniem owadów w ludzkim ciele, będziemy w stanie poznać znacznie więcej informacji niż tylko tę, o jakiej porze roku ktoś umarł.

Bill Rodriguez był idealnym kandydatem do tego zadania – częściowo dlatego, że gotów był się nim zająć, a częściowo dlatego, że posiadał w tym zakresie wiedzę szerszą niż większość jego kolegów.

Bill miał tytuł licencjata w dziedzinie antropologii, a jako przedmiot dodatkowy studiował zoologię. Zajął się antropologią, by badać naczelne, pojechał nawet do Afryki z zespołem, który miał za zadanie przywrócić szympansy wychowane w laboratorium do życia na wolności. Zapisał się jednak również na mój kurs z osteologii i radził sobie na nim całkiem nieźle. Pewnego dnia, gdy szukałem kogoś, kto pojechałby ze mną zbadać ciało znalezione przez policję, Bill był pierwszym wykwalifikowanym asystentem, który nawinął mi się pod rękę. Mył właśnie okna w jednej z naszych sal lekcyjnych; ponieważ nasz budynek mieścił się pod betonowymi trybunami stadionu, opadało na niego mnóstwo kurzu i pyłu. Bill pracował oficjalnie jako asystent wykładowcy, co brzmiało dość wzniosłe, jednak funkcja ta łączyła się z wykonywaniem całkiem przyziemnych prac takich jak mycie okien.

– Jadę w teren i potrzebuję kogoś do pomocy – powiedziałem. – Może skończyłbyś to później?

Bill z największą ochotą przystał na moją prośbę.

To był zimny śnieżny dzień. Zwłoki odkryte przez robotników zbierających śmieci wzdłuż wiejskiej drogi były częściowo przykryte ziemią. Czaszka leżała jakieś trzy metry od ciała, które w znacznej części uległo już rozkładowi.

Poprosiłem Billa – zawsze prosiłem o to jednego ze studentów – by powiedział mi, jakie wnioski może wyciągnąć na podstawie oględzin ciała i jego otoczenia. Prawidłowo zidentyfikował czaszkę jako należącą do białego mężczyzny; szybko doszedł też do przekonania, że mężczyzna został postrzelony w głowę. Potem wskazał na coś, co jego zdaniem wyglądało jak uraz odniesiony przed śmiercią, i stwierdził, że zwłoki zostały zakopane tuż pod powierzchnią ziemi.

Ostatnie dwie uwagi wydawały się logiczne, w rzeczywistości jednak były błędne. Ślady, które Bill wskazał jako rany zadane jeszcze za życia ofiary, powstały już po jej śmierci; pozostawiły je jakieś gryzonie (prawdopodobnie szczury), które odciągnęły głowę i ogryzły ją do kości. Z kolei to, co wyglądało na płytki grób, było w rzeczywistości dnem płytkiego strumienia, który wysechł jakiś czas przed naszą wizytą; jednak w czasie okresów deszczowych błotnista woda naniosła na ciało warstwę szlamu.

Na czaszce znajdowało się także kilka innych interesujących śladów. Umieszczenie i wygląd wlotu rany po pocisku – otwór znajdował się tuż za prawym uchem, a okalający go układ pęknięć wskazywał, że morderca przyciskał lufę do kości – świadczyły o tym, że była to prawdopodobnie egzekucja. Jedna z kości jarzmowych była zdeformowana w sposób, który widziałem już wcześniej kilkakrotnie. Została złamana, przypuszczalnie podczas jakiejś bijatyki w barze – prawdopodobnie kijem bilardowym, sądząc po tym, jak wyglądały i jak goiły się urazy kilku poprzednich ofiar tego typu uderzeń, z którymi miałem do czynienia. Zęby miały sporo niezaleczonych ubytków i jeszcze więcej plam pozostałych po żuciu tytoniu, z pewnością więc nie należał do najwyższych sfer społeczeństwa.

Gdy zaczęliśmy odkopywać ciało, znaleźliśmy w nim oraz wokół niego liczne kokony; dzięki temu wiedziałem – podobnie jak w przypadku Indian Arikara, których groby tak mnie kiedyś zaintrygowały – że zginął w czasie, gdy panowała jeszcze ciepła pogoda. Potwierdzały to również pnącza i korzenie rosnące pod różnymi częściami ciała.

Policji nigdy nie udało się rozwiązać tajemnicy tego morderstwa, ale cała sprawa przyniosła jedną wymierną korzyść – Bill Rodriguez zainteresował się na dobre antropologią sądową. Prymatologia straciła w tamten zimny śnieżny dzień młodego obiecującego naukowca. Wkrótce potem Bill pomagał mi oczyszczać grunt, wysypywać go żwirem i wylewać beton w nowym Ośrodku Badań Antropologicznych. Kilka miesięcy później pojechał ze mną po nasz pierwszy obiekt badawczy, zwłoki 1–81. W tym czasie wiedział już, czego będzie dotyczyć jego praca magisterska. H.B. Reed opisywał zachowanie owadów w padlinie psów. Bill zamierzał przeprowadzić podobne badanie, tyle że przy użyciu ludzkich ciał, poczynając od 1–81.

Badanie owadów nie należało do szczególnie przyjemnych projektów. Oprócz 1–81 przywieźliśmy rozkładające się ciało z obory. Dodatkowo w ciągu kilku następnych miesięcy dostaliśmy jeszcze dwa ciała.

Bill ułożył je wszystkie na drucianych podstawach, byśmy mogli je obserwować i wybierać spod nich owady. Od tej pory każdego dnia przesiadywał przez kilka godzin na drewnianym stołku i śledził rozwój wydarzeń.

Pierwszą rzeczą, która dosłownie rzuciła mu się w oczy i dotyczyła wszystkich czterech obiektów badań, była obfitość plujek. Rozkładające się w ciepłe ciała w ciągu kilku minut przyciągnęły setki much. Krew wywołała tak gwałtowną reakcję żerujących owadów, jakiej Bill nie byłby sobie nawet w stanie wyobrazić. Już po chwili obsiadły go setki much szukających jakichkolwiek płynów organicznych, którymi mogłyby się karmić, oraz jakichkolwiek ciemnych i wilgotnych otworów (łącznie z nozdrzami Billa), w których mogłyby złożyć jaja. Nasz dzielny badacz szybko nauczył się, że musi owijać głowę jakąś cienką, przezroczystą tkaniną, by muchy nie wchodziły mu do oczu, uszu, nosa i ust.

Podczas jednego tylko ciepłego dnia, w ciągu kilku zaledwie godzin, nosy, usta i oczy martwych ciał wypełnione zostały ziarnistą, żółto-białą masą muszych jaj. Jedna samica plujki może złożyć naraz setki jaj, a wokół każdego z nieboszczyków krążyły dosłownie tysiące samic. W majowym i czerwcowym upale – bo w tych właśnie miesiącach ułożono na terenie ośrodka ciała 1-81 i 2-81 – w przeciągu zaledwie czterech do sześciu godzin ze stert jajeczek wykluły się tysiące larw.

Muchy nie były jednak jedynymi owadami, które gromadziły się wokół świeżego ciała. Już po kilku minutach pojawiły się także osy. Bill zauważył, że niektóre z nich karmiły się samym ciałem, inne zaś atakowały muchy, porywały je i odgryzały im głowy jednym szybkim kłapinięciem szczęk. Jeszcze inne jadły jajeczka much lub młode larwy wykluwające się w różnych otworach ciała.

Gdy populacja czerwi eksplodowała, Bill zauważył padlinożerne chrząszcze, które przychodziły do ciała, by karmić się nie tylko padliną, ale i larwami. Podobnie jak osa ucinająca głowę musze, chrząszcz zamykał swe potężne szczęki na wijącej się ofierze i przecinał ją gładko na pół. Bill opisywał mi te śmiertelne zmagania niezwykle barwnie i szczegółowo; nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem studenta tak bardzo zaangażowanego w projekt badawczy.

– To łańcuch pokarmowy w akcji – powiedział mi kiedyś, ogromnie podekscytowany. – To nie jest jakiś zbieg okoliczności, kwestia przypadku: to uporządkowana sekwencja, coś, co możemy zinterpretować i wykorzystać w kryminalistyce.

Badania Billa były powiewem świeżego powietrza w dziedzinie antropologii, ale nie w jego życiu domowym. Po dniu spędzonym na stołku w otoczeniu rozkładających się ciał i brzęczących owadów – wiele z nich siadało na nim, nakarmiwszy się uprzednio zwłokami, a niektóre nawet składały na nim jaja – wracał do domu otoczony smrodem rozkładu, który przenikał jego ubrania, skórę i włosy. Po pierwszym lub drugim dniu żona Billa, Karleen, wydała mu ścisłe instrukcje: miał rozbierać się w garażu, od razu wkładać ubrania do pralki, a potem natychmiast wchodzić pod prysznic. Wtedy i tylko wtedy miał prawo się do niej zbliżyć.

Na początku badania – zaledwie po kilku dniach – zastanawialiśmy się wspólnie z Billem, z jakiej odległości muchy mogą wyczuć ciało, i czy te same muchy wracały do niego i karmiły się nim dzień po dniu. Wtedy właśnie wpadliśmy na pomysł, by oznaczyć muchy pomarańczową farbą i próbować je śledzić.

Używając siatki, którą każdego dnia zbierał okazy różnych owadów, Bill schwytał pięć plujek krążących wokół 1-81. Przyniósł je do mojego gabinetu na wydziale i oznaczył tułów każdej z nich jaskrawopomarańczową farbą, by potem łatwo je było dostrzec w roju. Gdy wynieśliśmy fiolkę na zewnątrz i uwolniliśmy muchy, rozleciały się na wszystkie strony. Jednak nazajutrz na Trupiej Farmie Bill ponownie schwytał trzy z pięciu oznaczonych owadów.

11 lutego 1981, dziewięć miesięcy po rozpoczęciu badań, Bill zaprezentował ich rezultaty na dorocznym zebraniu Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych w Orlando w stanie Floryda. Wielka

sala bankietowa w dużym hotelu Hyatt wypełniona była po brzegi, gdy Bill rozpoczynał swą prezentację. Jednak już po kilku minutach, gdy pokazywał slajdy, które zrobił podczas badania, ludzie zaczęli opuszczać swoje miejsca i wychodzić z sali. Czyżby slajdy Billa – pierwsze publicznie pokazywane zdjęcia ludzkich ciał rozkładających się w naszym ośrodku badawczym – były zbyt odrażające nawet dla zaprawionych w bojach specjalistów od medycyny sądowej?

Minęło kilka kolejnych minut, a ludzie, którzy opuścili salę, zaczęli do niej wracać – w towarzystwie innych, ściągniętych z innych prezentacji odbywających się równolegle z wykładem Billa. „Musicie to zobaczyć” – brzmiała wiadomość, która tego dnia rozprzestrzeniła się niczym ogień po wszystkich salach konferencyjnych hotelu Hyatt.

Jesienią tego samego roku Bill opublikował wyniki swoich badań w czasopiśmie branżowym „Journal of Forensic Sciences”. Artykuł zatytułowany Zachowanie owadów w relacji do tempa rozkładu ludzkich ciał we wschodnim Tennessee stał się jedną z najczęściej cytowanych i przedrukowywanych publikacji w historii tego czasopisma. W wydanej w 1998 roku broszurze uświetniającej pięćdziesiątą rocznicę powstania Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych prezentacja Billa została uznana za jedno z najważniejszych wydarzeń w historii tej organizacji – a jego artykuł nazwano „pierwszą pracą o »robalach«”.

Jako jedna ze wschodzących gwiazd antropologii sądowej, po zakończeniu studiów Bill mógł przebierać w propozycjach pracy i wybrał na drodze swej kariery kilka naprawdę interesujących posad, współpracował między innymi z laboratorium kryminalistycznym w Luizjanie i z lekarzem sądowym w Syracuse w stanie Nowy Jork. Najciekawsze jednak wydaje się stanowisko, które piastuje teraz: jest antropologiem sądowym w biurze Lekarza Sądowego Amerykańskich Sił Zbrojnych, którego zadaniem jest identyfikacja, a w razie potrzeby także sekcja zwłok żołnierzy, dyplomatów, szpiegów, astronautów oraz wszelkich innych ciał przesłanych do badania przez rząd federalny oraz władze stanu i pomniejszych jednostek administracyjnych.

W kwietniu 1986, gdy Bill pracował jeszcze w laboratorium kryminalistycznym w Luizjanie, policjanci z Falls Church w stanie Wirginia poprosili go o zbadanie materiałów dowodowych zebranych z miejsca zbrodni półtora roku wcześniej.

W sierpniową niedzielę 1984 roku osiemnastoletnia Lisa Rinker wyszła z domu około 10.30, informując swoją matkę, że wybiera się na spacer po okolicy. Nie wróciła na noc, a następnego ranka matka zgłosiła na policję zaginięcie dziewczyny. Policja, rodzina i przyjaciele zaczęli przeszukiwać miasteczko i okolice, niczego jednak nie znaleźli.

W następną sobotę wieczorem jeden z przyjaciół Lisy – a właściwie najlepszy przyjaciel jej chłopaka – przyniósł ojcu dziewczyny parę różowych kłapek, które znalazł podobno na skrzyżowaniu za miastem, gdy rozklejał plakaty z informacją o jej zaginięciu. Jej siostra Nancy potwierdziła, że kłapki należały do Lisy.

Pan Rinker zwołał grupę krewnych i przyjaciół, którzy nazajutrz wybrali się do lasu w pobliżu skrzyżowania. Poszukiwania przebiegały w ponurej, pełnej złych przeczuć atmosferze, bo w powietrzu unosił się wyraźny zapach śmierci. W końcu odnaleźli ciało Lisy ułożone w gęstych krzewach, w odległości około sześćdziesięciu metrów od drogi. Była ubrana w ciemnoniebieskie sztruksy z białymi wykończeniami na kieszeniach – te właśnie spodnie nosiła w dniu zaginięcia – oraz porwany obcisły top bez ramiączek. Jej tułów pokryty był robactwem; czerwie wyjadły jej twarz i wnętrzności. Skóra na dłoniach i stopach zaczęła się zsuwać z kości. Jej stopy były bose, lecz choć teren dokoła był nierówny i porośnięty gęstą roślinnością, na podszwach nie widniały żadne ślady zadrapań lub zasinień. Brak jakichkolwiek urazów na stopach, a także inny odcień skóry na palcach i podbiciu świadczyły o tym, że prawdopodobnie miała na sobie jakieś obuwie zarówno w chwili śmierci, jak i jakiś czas po niej.

Dwa dni później miejscowy lekarz sądowy przeprowadził sekcję. Ze względu na zaawansowany stopień rozkładu nie był w stanie określić, co ją zabiło. Oficjalnie przyczyna śmierci Lisy pozostała więc nieznana, a zrozpaczeni rodzice pochowali jej ciało.

Lecz detektywi policyjni nie zamierzali zamykać tej sprawy. Wiedzieli, że w noc przed zaginięciem Lisa pokłóciła się ze swoim chłopakiem Bernie Woodym. Zdaniem policji Lisa zdradzała go – ze swoim własnym szwagrem, Dale'em Robinsonem – a świadkowie zeznali, że Bernie jej groził. Pojawiły się również informacje, że w noc zaginięcia w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ciało Lisy, widziano samochód Danny'ego Heatha, który był przyjacielem Berniego i znalazł sandały należące do zmarłej.

Policjanci postanowili ponownie przesłuchać chłopaka Lisy i jego kumpla. Stwierdzili, że podczas badania wariografem Danny prawdopodobnie kłamał, odpowiadając na pytania o śmierć Lisy. Jednak ze względu na brak informacji o przyczynie śmierci i skromny materiał dowodowy, oparty jedynie na poszlakach wskazujących na zabójstwo, prokurator okręgowy nie postawił zarzutów Berniemu Woody'emu ani Danny'emu Heathowi.

Tymczasem sprawą zainteresował się żywo nowy śledczy Rick Daniele. Daniele przesłał zdjęcia ciała oraz klapki znalezione przy drodze doktor Louise Robbins, antropolog sądowej z Karoliny Północnej. Doktor Robbins, specjalistka w dziedzinie analizy śladów stóp i butów, poinformowała Daniele'a, że odbarwienia na palcach stóp i podbiciu świadczą, że klapki tkwiły na nogach Lisy jeszcze kilka dni po jej śmierci. Doktor Robbins znalazła również kawałek skóry przyklejony do jednego z klapków – kolejny dowód na to, że ciało było już w stanie rozkładu, gdy ktoś zdjął z niego obuwie.

Wtedy właśnie detektyw Daniele skontaktował się z Billem Rodriguezem i poprosił go o przeanalizowanie dowodów. Oprócz zdjęć wysłał mu próbki ziemi zebrane na miejscu przestępstwa oraz zakonserwowane czerwce pobrane z ciała Lisy. Bez wątplenia śledczy bardzo przyłożyli się do pracy, gromadząc materiał dowodowy w tej sprawie; mniej oczywisty, lecz równie znaczący był fakt,

że entomologia stała się uznanym narzędziem kryminalistycznym, w dużej mierze dzięki badaniom, które Bill przeprowadził pięć lat wcześniej na Trupiej Farmie.

Przeglądając zdjęcia ciała Lisy, Bill natychmiast zwrócił uwagę na zaawansowany stopień rozkładu, szczególnie w okolicach klatki piersiowej i dłoni. Twarz Lisy zniknęła całkowicie, to jednak nie wydawało się szczególnie zaskakujące; wilgotne otwory w twarzy to miejsca, w których muchy plujki najchętniej żerują i składają jaja – zazwyczaj. Jednak nie wtedy, gdy gdzieś indziej na ciele jest krew.

Każdy antropolog sądowy, który widział ciało osoby ugodzonej nożem lub takiej, której podejrzięto gardło, wie, jak mocno krew ofiary przyciąga muchy i sprzyja rozwojowi czerwi. Jeśli jest ciepło – jak w sierpniu 1984 roku, gdy umarła Lisa Rinker – niezliczone larwy wylęgające się w krwawych ranach wyjadają tkankę znacznie szybciej, niż robiłyby to w innych okolicznościach. Zjawisko to, zwane zróżnicowanym rozkładem, natychmiast uruchamia dzwonek alarmowy w głowie każdego doświadczonego antropologa sądowego.

Biorąc pod uwagę rozmiary zróżnicowanego rozkładu w klatce piersiowej i brzuchu Lisy, Bill był niemal całkowicie pewien, że dziewczyna została ugodzona nożem właśnie w te miejsca. Uszkodzenia tkanki miękkiej na jej dłoniach dowodziły, że została zraniona także i tam, prawdopodobnie gdy próbowała się bronić. Bill zadzwonił do detektywa Daniele'a, aby go o tym poinformować.

Powołując się na analizę Billa, Daniele odzyskał ubrania Lisy przechowywane wraz z dokumentacją i innymi materiałami dowodowymi sprawy, po czym przesłał je do laboratorium Billa w Wirginii. Wyniki analizy potwierdziły przypuszczenia Billa; na poplamionych częściach spodni Lisy stwierdzono obecność krwi – dużych ilości krwi, które wsiąkły w tkaninę. Daniele zwrócił się do rodziny i prokuratora okręgowego z prośbą ekshumację ciała Lisy, by Bill mógł zbadać jej szkielet.

Trzy miesiące później, w zimny styczniowy dzień, Bill przybył na cmentarz, gdzie pochowano Lisę. Grabarze przebili się przez warstwę zamrożonej ziemi, wyjęli trumnę i włożyli ją do karawanu, który miał zawieźć szczątki dziewczyny do prosektorium hrabstwa Fairfax. Tam Bill wyjął z trumny klatkę piersiową, brzuch i obie dłonie, włożył je do wielkiego garnka i gotował przez godzinę, by usunąć tkankę miękką. Następnie wyjął kości z garnka i starannie je oczyścił.

Lisa Rinker rzeczywiście została zasztyletowana. Bill znalazł w sumie siedem śladów uderzeń nożem – kilka w różnych częściach klatki piersiowej (na żebrach i mostku) oraz kilka na dłoniach. Z badań wynikało również, że ciosy zostały zadane nożem o wąskim ostrzu. Jak twierdzi policja, Danny Heath często nosił duży scyzoryk w pochwie przypiętej do pasa, przestał go jednak nosić po śmierci Lisy. Przyczyna śmierci na akcie zgonu Lisy została oficjalnie zmieniona z „Nieznanej” na „Zabójstwo”.

Niestety, zabójca Lisy pozostaje na wolności. Pomimo dowodów znalezionych przez Billa oraz licznych podejrzeń w stosunku do Berniego Woody'ego i Danny'ego Heatha, prokurator okręgowy



hrabstwa Fairfax nie zamierza zajmować się tą sprawą.

Antropolodzy i owady mogą wyjawiać, co naprawdę stało się na miejscu przestępstwa, nie mogą jednak poruszyć trybów biurokratycznej maszyny ani zagwarantować, że sprawiedliwości stanie się zadość. Mogą jedynie przemawiać w imieniu ofiary i liczyć na to, że ich głos zostanie usłyszany.

## Postępy i protesty

15 maja 1981, gdy ułożyliśmy pierwszy obiekt badawczy, 1–81, na betonowej płycie w zamkniętym Ośrodku Badań Antropologicznych, temperatura maksymalna w ciągu dnia wynosiła zaledwie 15°C. Jednak w ciągu kilku następnych dni sięgała już dobrze powyżej 25°C. Kilka miesięcy wcześniej równie dobrze mogliśmy włożyć zwłoki do zamrażarki, lecz gdy nadeszła w końcu ciepła pogoda, zachodzące w nich zmiany były szybkie i zasadnicze. W ciągu kilku dni zniknęła niemal całkowicie skóra z twarzy, zjedzona przez czerwie wylęgające się w ustach, nosie, oczach i uszach. Bill Rodriguez opisywał skrupulatnie zachowanie owadów, lecz zmiany zachodzące w samym ciele również były fascynujące – i makabryczne.

Proces rozkładu ciała dzieli się z grubsza na cztery etapy: fazę świeżą, etap rozděcia, etap gnicia i etap wysuszenia. Niektórzy naukowcy rozbijają te fazy na jeszcze drobniejsze odcinki, ale ja staram się nie grzęznąć w różnego rodzaju definicjach. (Wśród badaczy można rozróżnić dwie grupy: tych, którzy dzielą, i tych, którzy grupują. Nigdy nie identyfikowałem się z tą pierwszą: w głębi serca wolę łączyć).

Podczas fazy świeżej 1–81 bezzębna górna szczęka i wypełniona żółtymi zębami żuchwa rozciągnęły to, co zostało z twarzy, w szerokim uśmiechu. Rozmnażające się błyskawicznie owady wyjadły oczy, zostawiając puste, wpatrzone w przestrzeń oczodoły. Skóra i włosy utrzymywały się na czaszce, lecz po kilku dniach wyraźnie zaczęły się zsuwać.

Pod koniec pierwszego tygodnia zwłoki zaczęły nabrzmiwać. W miarę jak bakterie wyjadały żołądek i jelita, wytwarzane przez nie gazy zaczęły wypełniać i wydymać brzuch niczym balon. Tymczasem skóra przybierała intensywny, czerwony kolor. Tkanka tłuszczowa pod skórą zaczęła się rozkładać, nadając zwłokom szklisty połysk, zupełnie jakby zostały oblane polewą i upieczone w piekarniku.

Gdy skóra przybrała barwę karmelu, zaczęła pokazywać się na niej sieć fioletowo–szkarłatnych linii przypominająca satelitarną mapę rzek. W rzeczywistości był to układ krążenia; krew w żyłach i tętnicach zaczęła gnić, rozdmymając je i nadając im ciemniejszą barwę, przez co wyglądały tak, jakby ktoś wymalował je na ciele flamastrem.

Zarówno studenci, jak i ja przyglądaliśmy się temu z fascynacją. O ile mi było wiadomo, żaden

naukowiec nie przeprowadził jeszcze podobnego eksperymentu; nie zostawił ludzkich zwłok na widoku, by potem przysiąść obok nich, obserwować je i notować skrupulatnie, co i kiedy się z nimi dzieje. Wielu naukowców – a nawet artysta Michał Anioł – badało ciała, skupiali się jednak na ludzkiej anatomii; przeprowadzali sekcje zwłok w nadziei, że dzięki temu dowiedzą się czegoś więcej o ciałach i kościach żywych ludzi. Mnie interesowała sama śmierć.

Po dwóch tygodniach przemiany 1–81 ze świeżego ciała w nagi szkielet, jego czaszka była już całkowicie odsłonięta. Włosy zsunęły się z kości niczym zmierzwiona peruka, podtrzymywane w całości jedynie resztkami tkanki. Leżały w kałuży ciemnej tłustej brei otaczającej głowę. Rozdęty brzuch zapadł się do środka, skóra przywarła do wystających żeber, co oznaczało, że zwłoki przeszły z etapu rozdęcia do etapu gnicia. Po kolejnym tygodniu odsłoniły się same żebra oraz fragmenty kręgosłupa, podobnie jak kości miedniczne w okolicy genitaliów wyjedzonych przez żarłoczne owady.

Kończyny rozkładały się wolniej. Pozbawione wilgotnych ciemnych otworów, które można znaleźć na twarzy i w kroczu, ręce i nogi nie były już tak atrakcyjnym terytorium dla owadów kolonizujących ciało. Jednakże same dłonie i stopy zmarłego uległy fascynującej i spektakularnej przemianie: mniej więcej po tygodniu skóra zaczęła mięknąć i schodzić wielkimi płatami, jakby 1–81 doznał rozległych oparzeń słonecznych. Początkowo skóra oddzielona od zwłok była miękka i elastyczna, co ciekawe, linie papilarne na palcach u nóg i rąk wciąż były doskonale widoczne, o czym poinformowałem jednego z moich przyjaciół z wydziału policji w Knoxville, Arthura Bohanana, który był doskonałym specjalistą w dziedzinie daktyloskopii. Po kilku dniach skóra wyschła i pomarszczyła się jak opadłe liście. Jednak gdy Art zabrał jedną z tych wysuszonych łupin do swojego laboratorium, zdołał ją zwilżyć i rozwinąć, potwierdzając ponownie tożsamość 1–81 na podstawie czegoś, co niedoświadczony badacz mógłby uznać za zwiędły liść.

Miesiąc po przybyciu do ośrodka 1–81 był już właściwie tylko szkieletem. Trochę pomarszczonej skóry pozostało jeszcze na jego klatce piersiowej i czaszce, gdzie słońce wysuszyło ją i zmumifikowało, upodabniając do wyprawionej skóry zwierzęcej. Jednak ukryta poniżej tkanka miękka została w całości zjedzona przez mikroby i owady. Pozwoliłem, by jego kości suszyły się na słońcu jeszcze przez kilka miesięcy, po czym zebrałem je i zaniósłem do szpitalnej kostnicy, by tam poddać je „obróbce”, czyli oczyścić z ostatnich fragmentów wysuszonej skóry i chrząstek. Następnie zmierzyłem kości i zapisałem najważniejsze wymiary: długość kości udowej, średnicę głowy kości udowej, długość, szerokość i wysokość czaszki, odległość między oczodołami i mnóstwo innych informacji opisujących kościec tego człowieka.

Pomiary szkieletów były częścią większego planu, który od miesięcy, a może i lat nabierał kształtu w mojej głowie; chciałem stworzyć największy zbiór szkieletów – współczesnych szkieletów w Stanach Zjednoczonych. Istniało już kilka olbrzymich kolekcji tego rodzaju. Terry Collection, która mieściła się pierwotnie w Saint Louis na Uniwersytecie Waszyngtońskim, potem jednak została przekazana do Instytutu Smithsona, obejmowała ponad 1700 ludzkich szkieletów. Z własnego

doświadczenia wiedziałem, że inne kolekcje przechowywane w tymże instytucie liczą znacznie więcej eksponatów, choćby te tysiące szkieletów, które przesyłałem, prowadząc letnie wykopaliska w Dakocie Południowej. Były to jednak kości stare, więc nieprzydatne do badań sądowych.

Można powiedzieć, że pod pewnymi względami ludzie wyrwali się z kręgu rozwoju ewolucyjnego. Weźmy za przykład mnie. Jestem krótkowidzem, muszę nosić okulary o ponad dwóch dioptriach. Gdybym żył 10 000 lat temu, nie dożyłbym nawet wieku, w którym mógłbym doczekać się potomstwa i przekazać mu swoją krótkowzroczność. Mrużąc oczy, być może dostrzegłbym tygrysa szablastozębnego tuż przed tym, jak otworzyłby paszczę i wbił swoje wielkie zębiska w moją szyję. Dziś, bez względu na to, czy spełniamy wymogi „Natury o krwawych szponach i pazurach”<sup>4</sup>, żyjemy i rozmnażamy się. (Dwaj spośród mych trzech synów, Jim i Charlie, odziedziczyli moją krótkowzroczność; środkowy, Billy, ma wzrok na tyle dobry, że został pilotem helikoptera wojskowego).

Jednak wbrew pozorom nadal ewoluujemy, a proces ten dotyczy także naszych szkieletów. Sto lat temu przeciętny Amerykanin płci męskiej mierzył sto siedemdziesiąt centymetrów; dziś wartość ta wzrosła do stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. W roku 1806, gdy Lewis i Clark po raz pierwszy zetknęli się z Indianami Arikara, przeciętna kobieta z tego plemienia miała sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu; dziś jest pięć do ośmiu centymetrów wyższa.

Kiedy w ręce policji trafiają szczątki jakiejś nieznannej ofiary – szczególnie jeśli jest to tylko kilka kości długich – jedynym sposobem na właściwe oszacowanie wzrostu jest porównanie wymiarów tychże kości z przeciętnymi wymiarami takich samych kości należących do ludzi o znanych nam rozmiarach. Jeśli wartości wykorzystywane do tych porównań są już przestarzałe, wynik może odbiegać od rzeczywistości nawet o kilkanaście centymetrów. W rezultacie, zamiast szukać białego mężczyzny o wzroście sto dziewięćdziesiąt centymetrów, policja będzie poszukiwała zaginionego o wzroście sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Pomiary szkieletu 1–81 mogły zapobiec takim pomyłkom.

Ten sam 1–81 miał służyć nam jeszcze przez długie lata jako pomoc naukowa. Zapamiętanie rozmiarów, kształtu i dotyku wszystkich kości ludzkiego ciała stanowi ogromne wyzwanie dla studentów antropologii. Aby mu sprostać, muszą przez długie godziny oglądać, dotykać i badać prawdziwe kości – kości prawdziwych ludzi, a nie plastikowe lub gipsowe odlewy. Studenci uczęszczający na moje zajęcia z osteologii musieli zdać osławiony test „czarnej skrzynki”. Wkładałem kilka kości do dużego tekturowego pudła z okrągłymi otworami wyciętymi po bokach – aby zdać test, student musiał sięgnąć do środka i powiedzieć mi, kierując się jedynie dotykiem, jakie kości (albo fragmenty kości, jeśli byłem danego dnia wyjątkowo okrutny) ukryte są w pudle. Nawet subtelne różnice w ciężarze i fakturze kości mogą mieć ogromne znaczenie. Na przykład czaszki ludzi rasy czarnej są gęstsze, cięższe i gładziej niż czaszki białych, to główny powód, dla którego mamy tak niewielu wybitnych czarnoskórych pływaków – muszą włożyć więcej wysiłku w samo utrzymanie się

na powierzchni wody. Jeśli w jakiejś sprawie kryminalnej dysponujemy tylko fragmentem czaszki, to właśnie na podstawie gęstości i ciężaru kości możemy określić, czy ofiara była biała, czy też czarna.

Nasz pierwszy obiekt badawczy, 1–81, umarł na skutek choroby, ale w przyszłości zamierzałem zbudować kolekcję szkieletów, która obejmowałaby również ofiary różnych wypadków i urazów. Dzięki temu, ucząc studentów o złamaniach przed- i pośmiertnych, mógłbym pokazywać, jak zrastały się kości złamane na długo przed śmiercią i jak wyglądają te złamane tuż przed śmiercią lub po niej. Podczas wykładów o ranach wlotowych i wylotowych studenci mogliby przekonać się na własne oczy, że rana wlotowa jest zazwyczaj ukośnie ścięta lub rozszerza się pod kątem, gdy kula przechodzi przez czaszkę, jak wyglądają drobiny ołowiu pozostałe we wnętrzu czaszki, o ile większa jest rana wylotowa, która również ścina kość pod kątem i rozszerza się w kierunku, w którym leciał pocisk.

Wiele spośród naszych pierwszych badań koncentrowało się wyłącznie na obserwacji i opisywaniu procesu rozkładu. Pułkownik Shy dał mi boleśnie do zrozumienia, jak bardzo ograniczona jest nasza wiedza na ten temat, pytania, które stawialiśmy sobie, przystępując do tych projektów, były proste, lecz ułożenie kompletnych odpowiedzi musiało trwać latami. Każda zmienna miała znaczenie. Czy ciało leżało w cieniu czy w słońcu? W ubraniu czy bez? Na zewnątrz czy w budynku – a może w samochodzie? W kabinie pasażerskiej czy w bagażniku? Na ziemi czy w wodzie? Jeden z pierwszych eksperymentów miał odpowiedzieć na pozornie proste pytanie: Z jakiej odległości ludzki nos wyczuje zapach śmierci?

Jak zwykle do szukania tej informacji skłoniła mnie konkretna sprawa. Rzecz wydarzyła się niemal na moim własnym podwórku. Właściwie podwórko to leżało zaledwie kilka kilometrów na północ od biur i laboratoriów Wydziału Antropologii, przy ruchliwej arterii noszącej nazwę Broadway. Zasadniczo było to nie tyle podwórko, co pusta działka między domami i ulicą, zarośnięta zielskiem i upstrzona stertami śmieci oraz ziemi. Latem 1976 roku właściciel jednego z domów przylegających do działki miał już dość patrzenia na ten bałagan i zadzwonił ze skargą do właściciela parceli. Ten już następnego dnia wynajął ekipę sprzątającą wraz z ładowarką, która miała zbierać ziemię, śmieci i krzewy.

Kilka godzin i kilka ciężarówek śmieci później, gdy robotnicy zbliżali się już do środka parceli, jeden z nich zauważył w trawie coś, co wyglądało jak ludzka czaszka. Przywołał swoich kolegów i odbył z nimi krótką naradę, oni zaś zgodzili się z jego wstępną analizą szkieletową. Rzecz jasna oznaczało to koniec sprzątania na ten dzień. Robotnicy wezwali policję, a policja wezwała mnie.

Pojechałem na plac przy Broadwayu w towarzystwie Pata Willeya, studenta, który prowadził laboratorium osteologiczne – moje laboratorium. Przekopaliśmy razem miejsce, w którym znaleziono czaszkę i znaleźliśmy jeszcze kilka kości, ale niezbyt wiele. Obaj przypuszczaliśmy, że reszta trafiła już na łyżkę ładowarki i została wywieziona.

Stan kości – były całkiem suche i wyblakłe od słońca – świadczył jednoznacznie o tym, że leżały

w tym miejscu od dłuższego czasu, prawdopodobnie od kilku lat. Wkrótce udało nam się też zidentyfikować szczątki; na górnej płytce sztucznej szczęki widniał napis Orval King, a tak właśnie nazywał się jeden z okolicznych mieszkańców, który zaginął przed dwoma laty. Siedemdziesięcioczerolatek, który spędził trochę czasu w okręgowym szpitalu psychiatrycznym, albo upadł w trawę na pustej działce, albo się na niej położył i umarł cichutko.

W tym przypadku nie musieliśmy dociekać, kim był, od jak dawna nie żyje, ani nawet dlaczego właściwie umarł. Tym razem intrygowało mnie pytanie, dlaczego nie został odnaleziony wkrótce po śmierci, a dokładniej rzecz biorąc, dlaczego nikt nie poczuł jego zapachu wkrótce po jego śmierci? Kiedy ciało dorosłego mężczyzny ulega rozkładowi, dokoła unosi się nieznosny smród, który łatwo możecie sobie wyobrazić, jeśli kiedykolwiek przechodziliście lub przejeżdżaliście obok zwierzęcej padliny w ciepły letni dzień.

Wiedzieliśmy, że w czasie gdy mężczyzna umarł, dom sąsiadujący z działką był zamieszkały. Wiedzieliśmy też, że po chodniku ciągnącym się wzdłuż drogi i parceli chodziło całkiem sporo ludzi, a sam Broadway był jedną z najruchliwszych ulic Knoxville. Jednak nikt niczego nie poczuł, a przynajmniej niczego, co wzbudziłoby podejrzenia lub skłoniło kogoś do złożenia skargi.

Jeśli więc zapach śmierci nie docierał do domów ani chodnika, to jak daleko właściwie sięgał? Albo, ujmując to inaczej, skoro ludzki nos nie wyczuł martwego ciała z takiej odległości, to z jakiej odległości wyczuwał smród rozkładu? Uznałem, że odpowiedź na to pytanie przyda się nie tylko mnie, ale i policjantom, strażakom oraz ratownikom na całym świecie.

Orval King postawił przed nami interesujące pytanie. W naszym ośrodku badawczym było dość miejsca, by znaleźć na nie odpowiedź za pomocą eksperymentu naukowego. Potrzebowałem jedynie martwego ciała i żywych królików doświadczalnych.

Ciało znalazło się szybko – nieodebrane zwłoki z pracowni miejscowego lekarza sądowego. Króliki doświadczalne? Łatwizna. Studenci z młodszych roczników zrobią wszystko za dodatkowe punkty. Aby zwerbować ochotników do tego doświadczenia, ogłosiłem na moich zajęciach z antropologii, że każdy, kto chce zarobić dodatkowych dziesięć punktów, powinien przyjść do ośrodka badawczego w sobotę rano. Frekwencja była nieprawdopodobna. Niemal stu studentów zwlokło się z łóżek w sobotni poranek – wszystkimi kierował bez wątpienia bezinteresowny zapał do nauki.

Eksperyment był dziecinnie prosty: ukryłem rozdęte i cuchnące ciało za drzewami i krzewami, które rosły nieopodal drogi przecinającej ośrodek. Poprzedniego dnia ustawiłem znaczniki w dziesięciometrowych odstępach od ciała – to znaczy pierwszy w odległości dziesięciu metrów, drugi dwudziestu, potem trzydziestu, czterdziestu i pięćdziesięciu. Następnie prowadziłem mych studentów, jednego po drugim, wzdłuż tej wonnej ścieżki.

– Powiedz mi, gdy coś poczujesz. – Tak brzmiała jedyna instrukcja, jaką dawałem królikom doświadczalnym. Następnie stawiałem znaczek w kolumnie odpowiadającej odległości, jaką wskazał

każdy ze studentów. Kiedy prowadziłem ich w stronę zwłok, zaczęli wciągać głęboko powietrze i koncentrować się. Większość z nich nie reagowała, dopóki nie zbliżyliśmy się na odległość dwudziestu, a nawet dziesięciu metrów do zwłok. Potem marszczyli nos i mówili:

– Fuj, ależ tu coś cuchnie.

Eksperyment przebiegł szybko i sprawnie. Nie było to z pewnością badanie, które zamierzałbym dokładnie opisać i opublikować w „Journal of Forensic Sciences”, ale wystarczająco przekonujące, bym zrozumiał jedno: owszem, może się zdarzyć tak, że umrzesz i zgnijesz na pustej działce między czyimś domem i ulicą, a nie poczuje cię żaden z tysięcy ludzi przechodzących piętnaście metrów dalej.

Pierwsze lata naszych badań były czasem ekscytującego postępu. Niemal co tydzień dostawaliśmy ciała od lekarzy sądowych i dawców. Po jakimś czasie betonowy taras całkiem się wypełnił, musieliśmy więc dołożyć trzy półki – prycze dla zmarłych – przy ogrodzeniu<sup>5</sup>.

Obserwowałem stały rozwój naszego programu badawczego z dumą i przejęciem. Prawdą jest jednak to, co mówi stare przysłowie: Pycha prowadzi do zguby. Gdy pewnego wiosennego dnia 1985 roku przyjechałem do ośrodka, zobaczyłem, że moje królestwo przecina szereg kolorowych kołków, jakie stawiają geodeci. Z boku stał buldożer, którego silnik terkotał złowieszczo na jałowym biegu. Dorwałem jednego z geodetów i spytałem, co się dzieje. Powiedział mi, że powiększają szpitalny parking. Jak się okazało, Wydział Rolnictwa podarował mi więcej ziemi, niż w rzeczywistości posiadał; zamiast dwóch akrów miałem tylko jeden. Żadne prośby ani apele z mojej strony nie mogły powstrzymać buldożerów, równiarek i rozścielaczy do asfaltu.

Wkrótce okazało się, że utrata połowy ziemi to najmniejsze z moich zmartwień. Kilka dni później zostałem wywołany z zajęć – środek drastyczny, praktycznie bez precedensu – przez Annette, sekretarkę wydziału. Czy wiedziałem o proteście na Trupiej Farmie? Nie, nie wiedziałem. Wskoczyliśmy z Annette do samochodu i pojechaliśmy na szpitalny parking, gdzie zaparkowałem na odległym, nierzucającym się w oczy miejscu.

Miejscowa grupa poparcia ochrony zdrowia nosząca nazwę Solutions to Issues of Concern to Knoxvilleans (co można przetłumaczyć jako: Rozwiązania spraw, które niepokoją mieszkańców Knoxville) – w skrócie S.I.C.K. – pikietowała mój ośrodek badawczy. Na ogrodzeniu widniał ogromny banner z napisem: This makes us S.I.C.K!<sup>6</sup>. Choć to mój ośrodek był celem protestu, nie mogłem powstrzymać śmiechu na widok tego napisu. Był zabawny i inteligentny, a do tego zapewnił im spore zainteresowanie dziennikarzy.

Cóż jednak ściągnęło na moją biedną głowę gniew S.I.C.K.? Wyglądało na to, że jeden z geodetów wyznaczających parking postanowił któregoś dnia zjeść lunch w cieniu drzew i nagle ujrzał przed sobą ciała rozkładające się na naszym tarasie. Poszedł do domu i poskarżył się swojej matce, która była jednym z liderów S.I.C.K. Oburzona kobieta postąpiła tak, jak postąpiłaby każda zatroskana matka na

jej miejscu, i szybko zorganizowała protest.

Kiedy wyjaśniłem, czemu służy ten ośrodek – badaniom nad rozkładem, które mają pomóc policji w śledztwach dotyczących morderstw – grupa przyznała, że owszem, takie prace mają swoją wartość naukową, ale dlaczego musiałem prowadzić je właśnie tutaj, praktycznie pod nosem mieszkańców? Czy nie moglibyśmy przenieść ośrodka, powiedzmy, jakieś trzydzieści kilometrów na zachód, do wielkiego, zalesionego i pilnie strzeżonego rezerwatu rządowego w Oak Ridge?

Do diabła, zaledwie rok wcześniej przenieśliśmy się tu właśnie z miejsca odległego o trzydzieści kilometrów. Jednym z elementów niezbędnych do uruchomienia naszego programu badawczego było znalezienie działki położonej w pobliżu wydziału antropologii. Zadzwoiłem do rektora uniwersytetu Jacka Reese'a i opisałem mu cały problem. Nie chciałem przysparzać uniwersytetowi żadnych problemów, ale byłbym też niepoczyszony, gdybym stracił ten ośrodek i musiał się przenieść. Jack był mądry jak Salomon i hojny jak Carnegie. zaproponował, że opłaci z własnego budżetu ogrodzenie półhektarowej działki, która pozostała w naszych rękach, by ludzie nie zbliżali się przypadkiem do ciał.

Kilka dni później nowe ogrodzenie już stało, a kryzys dobiegł końca. Robert Frost miał rację: Mur to rzeczywiście gwarancja dobrego sąsiedztwa<sup>2</sup>. Potem przekonałem się jednak, że nie był to wcale ostatni kryzys – ani najgorszy.



# Gruby Sam i Joe Cadillac

W pewien majowy czwartek otrzymałem telefon, który sprawił, że zamknąłem drzwi mojego gabinetu. Zdarzało się to wyjątkowo rzadko. Zwykle zostawiałem drzwi otwarte – częściowo dlatego, że chciałem widzieć, co dzieje się na wydziale; częściowo po to, by studenci i pracownicy czuli, że mogą swobodnie porozmawiać ze mną o każdym drobnym problemie, z którym nie mogli sobie poradzić (zanim zrobi się z tego duży problem); częściowo zaś po to, by nikt nie zastanawiał się, co właściwie doktor Bass robi za zamkniętymi drzwiami. Kiedy więc studenci i pracownicy obecni na wydziale usłyszeli dzwonek telefonu, a potem zobaczyli, że zamykam drzwi, domyślili się od razu, że to jakaś wyjątkowo poważna i delikatna sprawa. Tak było w istocie.

Dzwonił Arzo Carson, dyrektor TBI. Powiedział mi, że pracują wspólnie z FBI nad sprawą, która zaczęła się od porwania, a skończyła morderstwem. Carson nie musiał mi mówić, że skoro FBI patrzy mu na ręce, to stawka jest naprawdę duża, a w TBI panuje ogromne napięcie.

Podczas gdy za drzwiami gromadzili się zaintrygowani studenci, którzy próbowali podsłuchać choćby strzępki rozmowy, dyrektor Carson opisał mi pokrótce całą sprawę. Okoliczności – ba, nawet prezwiska przestępców – należały do najdziwniejszych, z jakimi spotkałem się w swojej karierze. „Gruby Sam”. „Joe Cadillac”. „Funky Don”.

Po zakończeniu rozmowy otworzyłem drzwi i przywołałem dwóch spośród najlepszych studentów, którzy jeździli ze mną w teren, Pata Willeya i Steve’a Symesa. Nie zdradzając im żadnych szczegółów sprawy, spytałem, czy zechcą pomóc mi w pracy w przyszłym tygodniu. Obaj natychmiast się zgodzili, ciekawi zapewne, cóż to za tajemnica i jakie może być jej rozwiązanie. Pięć dni po telefonie dyrektora wsiedliśmy wszyscy trzej do mojego kombi i pojechaliśmy autostradą międzystanową 1–40 na zachód, do Nashville. Po drodze wprowadziłem ich obu w sprawę.

Czternaście miesięcy wcześniej doszło do wyjątkowo zuchwałego porwania; pewne młode małżeństwo, Liz i Monty Hudsonowie, zostali uprowadzeni w biały dzień na parkingu przed hotelem w Nashville. Hotel, Holiday Inn, znajdował się w bezpiecznej części miasta, przylegającej do kampusu Uniwersytetu Vanderbilta. Na oczach kilku świadków – jeden z nich miał nawet aparat, którym sfotografował porwanie – Hudsonów zaatakowało trzech uzbrojonych napastników. Dwóch porywaczy zmusiło Monty’ego, by wsiadł do swego własnego samochodu, trzeci wepchnął Liz do innego auta, po

czym oba pojazdy wyjechały z parkingu przed hotelem.

Kilka dni później Liz Hudson została wypuszczona w centrum Nashville. Do tego czasu porwanie zostało oczywiście zgłoszone na policję, a na hotelowym parkingu roіło się od agentów TBI i FBI szukających jakichś śladów. Właśnie wtedy sprawa przybrała nieoczekiwany i dziwny obrót.

Liz odmówiła współpracy z FBI. Powiedziała agentom, że porwanie było zwykłym nieporozumieniem i że Monty wyjechał już z miasta w podróż służbową. Nie wiedziała, dokąd pojechał ani kiedy wróci, zapewniła ich jednak, że jej mąż ma się dobrze i że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Gdy doszło do porwania, Liz była w szóstym miesiącu ciąży. Trzy miesiące później urodziła dziecko, lecz Monty wciąż nie wracał z podróży służbowej.

Minęły kolejne dwa miesiące. Wtedy na policję dotarła informacja o miejscu pobytu Monty'ego. Wynikało z niej, że służbowa podróż Monty'ego zakończyła się w płytkim grobie odległym o jakieś sto dwadzieścia kilometrów na południe od Nashville, na farmie w pobliżu granicy z Alabamą.

Zachodnie Tennessee to kraina bawełny. Nashville to kraina muzyki. Hrabstwo Lawrence było w 1980 roku krainą „Grubego Sama” Passarrelli. Myśląc o gangsterach, przeciętny Amerykanin wyobraża sobie zwykle cwanych facetów z Jersey, Chicago lub Vegas. Miasteczko Lawrenceburg w stanie Tennessee prawdopodobnie nie kojarzy się nikomu z przestępczością zorganizowaną, a powinno. Cóż, może nie tyle z przestępczością zorganizowaną, co zdezorganizowaną.

Gruby Sam nie zawsze nosił takie przezwisko. Mama nadała mu imiona Sam John, ale było to wiele lat i jakieś sto osiemdziesiąt kilogramów temu. Sam dorastał w Nowym Jorku, najwyraźniej jednak wpadł tam w złe towarzystwo, bo rodzina wysłała go na południe, by tam nabrał rozumu. Jego ciotka Louise była właścicielką lokalnej firmy telekomunikacyjnej w Lawrence oraz filarem miejscowej społeczności. Rodzina miała nadzieję, że pod jej pozytywnym wpływem Sam sporządnieje i sam zrobi karierę w biznesie.

I zrobił. Do 1980 roku Sam rozwinął działalność biznesową w wielu dziedzinach, takich jak fałszerstwa, pranie brudnych pieniędzy, uprawianie marihuany, handel narkotykami i paserstwo. Ten szeroki wachlarz nielegalnych przedsięwzięć zwrócił na niego uwagę połączonych sił TBI i FBI, a dokładnie rzecz biorąc, specjalnej jednostki zajmującej się przestępczością zorganizowaną. Jednostka ta zgromadziła gruby plik dokumentów opisujących działalność Grubego Sama i jego kohorty, do której należeli: „Funky Don” Parsons, Howard „Big Daddy” Turner, Elvin „Bank Robber” (czasami skracane do „B.R.”) Haddock oraz Earl (bez przezwiska) Carroll.

Po zniknięciu Monty'ego Hudsona jednostka specjalna zaczęła powoli zaciskać sieć wokół gangu Grubego Sama. Gdy Sam został oskarżony o fałszerstwo, jego kompani zrozumieli, że w każdej chwili może ich spotkać to samo. Jeden z nich, Earl Carroll – uznawszy zapewne, że kto pierwszy zacznie donosić, ten zyska najwięcej – skontaktował się z agentem FBI z Nashville Richardem Knudsenem i zaproponował, że opowie mu o wszystkich sprawkach Grubego Sama, łącznie z porwaniem

i zabójstwem Monty'ego Hudsona.

Carroll przedstawił FBI przedziwną historię. Twierdził, że Monty Hudson był złodziejem i oszustem, i nosił przezwisko „Joe Cadillac”, bo najchętniej kradł samochody tej właśnie marki. Lecz samochody nie były jedynym gorącym towarem, który przywłaszczył sobie Monty. Jak twierdził Carroll, Monty skontaktował się z Grubym Samem i zaproponował mu kupno sporej liczby sztab srebra, w sumie ponad trzydziestu, przy czym każda mierzyła niemal pół metra długości, piętnaście centymetrów szerokości i dziesięć grubości, co przekładało się na czterdzieści pięć kilogramów wagi. Każda ze sztab zaopatrzona była również w znak menniczy i numer seryjny potwierdzający jej autentyczność. W owym czasie cena srebra wynosiła około 1700 dolarów za kilogram – mniej więcej dziesięć razy więcej niż teraz – więc srebrne sztaby Monty'ego były warte około 80 000 dolarów. Ponieważ jednak musiał sprzedać je szybko i dyskretnie, bez zbędnych pytań, gotów był zaproponować Samowi niezwykle korzystny układ: 20 000 dolarów w gotówce za całość.

Gruby Sam był zainteresowany, ale nie na tyle łatwowierny, by uwierzyć Monty'emu na słowo. Jeden z jego kumpli, Funky Don, znał się trochę na metalach szlachetnych, więc Gruby Sam poprosił go, by oznaczył próbę jednej ze sztab. Funky Don spełnił jego prośbę i ustalił, że sztaba wykonana jest z czystego srebra. Sam zapłacił dwadzieścia kawałków, a Monty przekazał mu srebro. Kiedy jednak Gruby Sam ponownie zbadał sztaby, okazało się, że wcale nie jest to srebro, lecz cynk – inny ciężki srebrzysty metal, którego cena wynosiła zaledwie kilka centów za uncję. Innymi słowy, za swoje 20 000 dolarów Sam kupił stertę metalowych belek wartych niecałe sto dolarów. Gangster był wściekły przede wszystkim na Monty'ego, ale i na Funky'ego Dona, który albo źle oznaczył próbę, albo sam należał do spisku.

Wtedy właśnie uprowadził Monty'ego i Liz, w chwili gdy ci zamierzali wyjechać z miasta. Liz została przewieziona do jakiejś kryjówki, a Gruby Sam i Big Daddy Turner, który w rzeczywistości był drobnym mężczyzną, zabrali Monty'ego na przejażdżkę jego własnym cadillakiem. Monty, który siedział na tylnej kanapie, wygłosił jakiś złośliwy komentarz. Była to ostatnia rzecz, jaką powiedział w życiu: jeden z mężczyzn siedzących z przodu – nie wiadomo do końca, który – odwrócił się i zastrzelił go.

Pozostał im jeszcze problem w postaci Liz, żony Monty'ego. Nie widziała samego morderstwa, ale z pewnością mogła oskarżyć ich o porwanie. Gruby Sam nie miał serca jej zabić, wezwał więc prawdziwego twardziela, płatnego zabójcę z Alabamy. Podobno wynajęty morderca spojrział tylko raz na Liz – piękną kobietę w dobrze już widocznej ciąży – i oznajmił: „Może i jestem pieprzonym sukinsynem, ale nie zabiję kobiety w ciąży”. W związku z tym, opowiadał Carroll, Gruby Sam uwolnił Liz i kazał swoim kumplom wykopać dwa groby za granicami Lawrenceburga: jeden dla Monty'ego, a drugi dla... jego cadillaca!

Słyszałem już w swojej karierze różne dziwaczne historie, ale ta opowiedziana przez Earla Carrola przebijała wszystko. Najwyraźniej jednak FBI i TBI uwierzyły kapusiowi, bo wkrótce potem

znalazłem się w samochodzie jadącym do Nashville na poszukiwania Monty'ego Hudsona. Wraz ze mną jechali Steve, Pat i cały zestaw łopat, kielni, metalowych siatek oraz worków na materiały dowodowe.

Spotkaliśmy się z agentem Knudsenem z FBI, kilkoma agentami TBI oraz prokuratorem stanowym przy śniadaniu, które zjedliśmy w restauracji sieci Shoney's po południowej stronie Nashville, potem zaś wsiedliśmy do ich aut i pojechaliśmy na terytorium Grubego Sama. Agenci byli wyraźnie zdenerwowani i uznali zapewne, że włączenie do konwoju mojego kombi jest nazbyt ryzykowne. Przez godzinę jechaliśmy autostradą międzystanową 1-65 na południe, potem zaś zjechaliśmy do miejscowości Pułaski, innego małego miasteczka położonego w pobliżu granicy z Alabamą. Tam, na parkingu przy Wal-Marcie, zabraliśmy jeszcze jednego agenta TBI: Billa Colemana, pracującego na co dzień w Lawrenceburgu. Bill zajmował się sprawą Grubego Sama i badał różne jego ciemne sprawy.

Zabrawszy Colemana, wyjechaliśmy z miasteczka Pułaski (warto wspomnieć, że tu właśnie powstał Ku Klux Klan) i znaleźliśmy się na wsi. Po piętnastu kilometrach zjechaliśmy z czteropasmowej autostrady na zwykłą dwupasmową szosę, a potem na zwirową drogę, którą niegdyś wożono z lasu ścięte drzewa. Droga kończyła się na łące porośniętej pnączami kapryfolium, krzewami jeżyn i młodymi drzewkami.

Gdy tylko samochody się zatrzymały, agenci TBI i FBI wyskoczyli na zewnątrz z bronią gotową do strzału, na wypadek gdyby zasadził się tu na nas Gruby Sam ze swoim gangiem. Po raz pierwszy żałowałem, że nie skorzystałem z propozycji dyrektora TBI i wraz z odznaką konsultanta nie przyjąłem od niego służbowej broni. Prawdę mówiąc, byłem nawet kiedyś na strzelnicy i poradziłem sobie na tyle dobrze, że mógłbym tę broń otrzymać – na dobitkę byłem tam w nocy! – uznałem jednak, że byłoby to naprawdę głupie. Po pierwsze, gdy zostaję wezwany na miejsce przestępstwa, zastaję tam zwykle martwe ofiary, a nie ich morderców. Po drugie, zwykle pracuję w pozycji, która i tak wyklucza skuteczną obronę – z nosem przy ziemi i tyłkiem w górze.

Właściwie w tym przypadku także nie miałem się czym martwić, otaczało mnie bowiem sześciu lub siedmiu agentów stanowych i federalnych, którzy rozstawili się szybko wokół polany, by zapewnić nam bezpieczeństwo. Zastanawiała mnie nieobecność miejscowych policjantów, później jednak Bill Coleman wyjaśnił mi, że jednostka zajmująca się przestępczością zorganizowaną nie ufała niektórym z nich. TBI i FBI chciały, byśmy przyjechali na to miejsce niezapowiedziani i, w miarę możliwości, niezauważeni. Ja miałem tylko nadzieję, że wyjedziemy stamtąd nieuszkodzeni.

Agent FBI Knudsen był już kiedyś na tej polanie wraz z Earlem Carrollem, który pokazał mi, jak się tam dostać. Carroll podszedł wówczas do miejsca odległego o jakieś piętnaście metrów od zwirowej drogi, spojrział w dół i zaczął przeklinać. „Kiedyś to było tutaj” – powiedział, zwracając się do Knudsena i wskazując płytkie zagłębienie w ziemi, gdzie wraz z innym kumplem Grubego Sama zakopał ciało.

Knudsen zaprowadził mnie do tego samego miejsca. Było zarośnięte trawą, cierniami, krzewami i pnączami sumaka jadowitego, od razu jednak zorientowałem się, że ziemia w tym miejscu została niedawno przekopana. Na niewielkim poletku świeżo rozsypanej ziemi leżała kłoda drewna i ułożone obok siebie patyki. Sama gleba przemieszana była z jakimś białym miałkim materiałem; Carroll powiedział Knudsenowi, że to wapno, którym przysypali ciało Monty'ego w mylnym przekonaniu, że w ten sposób przyspieszą jego rozkład. (Wydaje się że ten błędny pogląd jest dość powszechny wśród morderców. Wapno rzeczywiście tłumi zapach rozkładu, ale zmniejsza również jego tempo. W rezultacie posypane wapnem ciało może nie będzie bardzo cuchnąć, ale dłużej zachowa swój kształt).

Zabraliśmy się do pracy, filmowani przez jednego z agentów FBI. Najpierw Steve Symes sfotografował wskazane przez Carrolla miejsce z kilku punktów, zaczynając od samochodów, a potem podchodząc coraz bliżej. Następnie Pat Willey i ja zaczęliśmy usuwać krzewy, pnącza i trawę. Nim jeszcze przystąpiliśmy do kopania, dokonaliśmy ważnego odkrycia. W gąszczu chwastów i liści leżała ludzka kość łokciowa z prawego przedramienia.

Ktoś, kto przeniósł ciało – prawdopodobnie Gruby Sam lub jego kolesie – zrobił to bardzo niestarannie, ale też trudno było mu się dziwić. Postawcie się tylko na jego miejscu, a zrozumiecie szybko, dlaczego: zamierzacie wydobyć z ziemi ciało i ukryć je w jakimś innym miejscu. Pamiętajcie, że to ciało już od kilku miesięcy rozkłada się w płytkim grobie, więc paskudnie śmierdzi i prawdopodobnie jest już mocno przegniłe. Wstrzymujecie oddech, chwytnie rękę trupa, ciągniecie za nią... a ręka urywa się i zostaje wam w dłoniach. Jeśli nie jesteście wyjątkowo skrupulatni i nie macie żołądka z żelaza, to w tym momencie, pomiędzy kolejnymi głębokimi wdechami, zbieracie tylko co większe części ciała – głowę, tułów, nogi, większość rąk – a potem wynosicie się stamtąd najszybciej, jak potraficie. Szczęśliwie dla mnie, większość zbirów zmuszonych do przenoszenia gnijącego ciała nie wie albo nie dba o to, że zęby mogą wypaść z czaszki już po kilku tygodniach, dłonie mogą się oderwać lub zostać odgryzione, zaś pociski mogą wysunąć się z ciała i zostać w ziemi.

Ponieważ grób wydawał się płytki, rozkopywaliśmy go ostrożnie kielniami, a nie łopatami. Po dwóch godzinach pracy dokopaliśmy się do warstwy nienaruszonej ziemi. Do tej pory znaleźliśmy jeszcze kilka interesujących rzeczy. Dwa kręgi piersiowe. Piętnaście zębów. Cztery fragmenty kości potylicznej z roztrzaskanej czaszki. Pięć kości z palców u rąk i nóg. Fragment kości długiej, prawdopodobnie piszczeli. Ludzkie włosy. Puste kokony pozostawione przez larwy, które przemieniły się w muchy. Kawałki materiału. Pocisk.

Zapakowaliśmy zęby i kości do torebek, by poddać je dokładnej analizie na Wydziale Antropologii, zaś fragmenty tkaniny i pocisk oddaliśmy do badania agentom TBI. Potem wsiedliśmy do aut, wróciliśmy do Nashville i rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, cali i zdrowi.

Po powrocie do Knoxville zaczęliśmy przeglądać zebrane kości, by określić Wielką Czwórkę:

płeć, wiek, rasę i wzrost, co przy tak niewielkiej ilości materiału dowodowego nie było wcale łatwe. Ustalenie płci utrudniał brak kości łonowej, miednicznej i twarzy. Kość łokciowa była jednak masywna, prawdopodobnie należała więc do mężczyzny. Przypuszczenie to potwierdzały fragmenty kości potylicznej: guzowatość potyliczna zewnętrzna – zgrubienie kostne u podstawy czaszki – była bardzo wyraźna, nosiła ślady przyczepów dużych mięśni, charakterystycznych dla mięśni szyjnych mężczyzny.

Trudniejsze było określenie wieku, gdyż jedyny wyznacznik stanowiła tu obecność wyrośli kostnych. Na kości łokciowej, w okolicy stawu łokciowego, widać było początki („pierwszy etap”) takiej wyrośli, podobnie na kościach palców i kręgach piersiowych. To oznaczało, że mężczyzna miał od trzydziestu do pięćdziesięciu lat – więc być może około czterdziestu – bo tylko tyle mogliśmy stwierdzić na podstawie posiadanych przez nas kości.

Bez twarzy i sklepienia czaszki nie mogliśmy również określić płci ofiary. Włosy były ciemne i mocno zmierzwione, lecz jedynie na podstawie ich wyglądu nie dało się stwierdzić, czy ofiara była kobietą, czy mężczyzną. Odłożyliśmy próbkę owłosienia, by potem poddać je dokładniejszej analizie.

Ustalenie wzrostu mogło się okazać nieco łatwiejsze. Mieliśmy jedną kość długą, kość łokciową, a na podstawie jej wymiarów mogliśmy obliczyć w przybliżeniu wzrost zmarłego. Jedyny problem polegał na tym, że dystalny (dolny) koniec kości został odgryziony przez jakiegoś drapieżnika, musieliśmy więc najpierw ustalić, ile mierzyła ta część szkieletu, nim coś skróciło ją do długości dwudziestu dziewięciu centymetrów i pięciu milimetrów. Porównując ją z kilkoma innymi kośćmi łokciowymi, doszliśmy do wniosku, że brakująca część stanowiła nie więcej niż pięć procent całkowitej długości, to zaś oznaczało, że ta pierwotna długość wynosiła około trzydziestu jeden centymetrów. Po podstawieniu tej wartości do wzoru opracowanego w latach pięćdziesiątych przez antropolog Mildred Totter dowiedzieliśmy się, że ofiara miała od stu osiemdziesięciu pięciu do stu osiemdziesięciu ośmiu centymetrów wzrostu.

W 1981 roku nasze badania nad relacją stopnia rozkładu do czasu, jaki upłynął od śmierci, dopiero się zaczynały, nie mieliśmy więc jeszcze zbyt wielu danych, które moglibyśmy odnieść do kości znalezionych na polanie. Na niektórych z nich zostały resztki wysuszonej tkanki; woń rozkładu była wyraźna, ale znośna; pomiędzy kośćmi znajdowało się też sporo pustych kokonów. Korzystając z mojego dwudziestopięcioletniego doświadczenia w badaniu ciał na różnych etapach rozkładu, oszacowałem czas, który upłynął od śmierci tego człowieka, na rok do trzech lat.

Miałem nadzieję, że kluczowym elementem identyfikacji ciała będą zęby. Spośród piętnastu zębów, które znaleźliśmy na polanie, w siedmiu – a więc niemal połowie – były wypełnienia, niektóre całkiem spore i wyraźne. Gdyby udało nam się zdobyć zdjęcia rentgenowskie uzębienia Monty’ego Hudsona – przy założeniu, że takowe w ogóle istniały – moglibyśmy dość szybko przekonać się, czy historia opowiedziana przez Earla Carrolla była prawdziwa.

W tym czasie FBI powiedziało już Liz Hudson, że Monty prawdopodobnie nie żyje. Owdowiała żona i matka zgodziła się pomóc w śledztwie na tyle, na ile tylko będzie mogła. Jej dotychczasowa wstrzeźliwość wynikała z jak najlepszych intencji – gdy została uwolniona w Nashville, nie wiedziała, że Monty już nie żyje, miała więc nadzieję, że jej milczenie go ocali. Można powiedzieć, że była nieco naiwna, ale z pewnością także bardzo dzielna i lojalna. Teraz Liz powiedziała agentowi Knudsenowi wszystko, co pamiętała z porwania, zasugerowała też, gdzie można by znaleźć dokumentację dentystyczną męża.

Monty przez długi czas mieszkał w Tulsie, jak zeznała Liz, więc Knudsen zaczął kontaktować się z tamtejszymi dentystami. Całkiem szybko trafił pod właściwy adres: doktor R. Jack Wadlin potwierdził, że Monty Hudson był jego pacjentem, i zgodził się przesłać dokumentację dentystyczną oraz cztery zdjęcia rentgenowskie jego zębów. Wypełnienia, jamy miazgi zębowej i wewnętrzne struktury ze zdjęć doktora Wadlina idealnie pasowały do wypełnień i zdjęć zębów, które wydobyliśmy z płytkiego grobu w Tennessee. Teraz mieliśmy więc pewność, że rzeczywiście był to Monty Hudson – a przynajmniej jego drobny fragment.

Kilka miesięcy po naszej wyprawie na leśną polanę Gruby Sam i dwaj jego partnerzy stanęli przed sądem za porwanie Monty’ego i Liz Hudsonów. Big Daddy Turner został również oskarżony o zamordowanie Monty’ego. Wszyscy trzej zostali uznani za winnych uprowadzenia małżeństwa i skazani. W tym czasie Passarella odsiadywał już wyrok za fałszerstwo; sędzia orzekający w sprawie porwania dołożył do tego jeszcze dwadzieścia lat. Słyszałem, że Gruby Sam stał się w więzieniu bardzo religijny, a do tego został znakomitym ogrodnikiem i botanikiem amatorem. Słyszałem również, że stare przezwisko nadal do niego pasuje.

Big Daddy Turner skończył najgorzej z całej trójki. Gdy zaproponowano mu zaledwie dwa lata odsiadki za przyznanie się do pomniejszych zarzutów, odrzucił tę ofertę i postanowił stanąć przed ławą przysięgłych. Ten ryzykowny krok sporo go kosztował: został skazany na czterdzieści lat za porwanie – wyrok dwukrotnie dłuższy niż w przypadku Grubego Sama – oraz na dożywocie za zabójstwo. Po serii apelacji przyznał się podwójnego porwania oraz do „podżegania” do zabójstwa drugiego stopnia, za które to przestępstwa został ostatecznie skazany na czterdzieści pięć lat. Można powiedzieć, że Turner wybrał to, co kryło się za bramką numer dwa, a były to więzienne kraty, wieloletni wyrok i sam Turner. Tymczasem Earl Carroll – kapuś – zgodnie ze swymi oczekiwaniami poniósł zdecydowanie najmniejsze szkody. Przeczytałem w gazecie, że skazano go zaledwie na dwa lata. Moi przyjaciele z wymiaru sprawiedliwości informują mnie, że od tego czasu co najmniej dwukrotnie wracał do więzienia, obecnie jednak znalazł się w końcu na prostej drodze i to całkiem dosłownie, bo pracuje jako kierowca ciężarówki.

Jak się później okazało, cadillac Monty’ego został zakopany kilka kilometrów dalej, na polu, na którym Gruby Sam uprawiał później marihuanę. TBI urządziło nalot na tę uprawę i zniszczyło wszystkie rośliny. Za sprawą zdumiewającego zbiegu okoliczności agent TBI Bill

Coleman przysiadł na kopcu ziemi, obserwując niszczenie krzewów – kopcu, w którym krył się cadillac Monty’ego. Samochód został odkopany i zaholowany do laboratorium kryminalistycznego TBI pod Nashville. Okazało się, że Gruby Sam wcale nie musiał zadawać sobie tyle trudu i ukrywać auta: technicy nie znaleźli w środku żadnych plam krwi ani jakichkolwiek innych obciążających dowodów.

Nigdy nie dowiedziałem się, gdzie spoczęła reszta ciała Monty’ego. Podobno po tym, jak Earl i B.R. zakopali Monty’ego w płytkim grobie, Gruby Sam pojechał obejrzeć wyniki ich pracy i uznał je za nieodpowiednie; ciało było niemal całkowicie odsłonięte. Jak słusznie głosi stara prawda, jeśli chcesz, by coś zostało zrobione naprawdę porządnie, musisz zrobić to sam. Gruby Sam nie był może wystarczająco skrupulatnym grabarzem, ale z pewnością potrafił lepiej trzymać język za zębami niż Earl Carroll.

Trzydzieści jeden „srebrnych” sztab, które doprowadziły ostatecznie do zabójstwa, wydobyto jakiś czas potem z dna strumienia w hrabstwie Giles, kilka kilometrów od pierwszego grobu Monty’ego. Leżały dokładnie w tym miejscu, które wskazał Earl Carroll. Agent TBI, Bill Coleman, obecnie na emeryturze, zabrał sobie jedną z nich na pamiątkę. Liz Hudson, piękna wdowa po Montym, zamieszkała w Nashville, zatrudniła się w jednej z miejscowych firm związanych z przemysłem muzycznym i wyszła za kompozytora piosenek country. Wydaje mi się, że to odpowiednie zakończenie tej historii. Teraz czekam tylko, kiedy po włączeniu radia usłyszę przygnębiającą balladę o Grubym Samie i Joe Cadillacu. Jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, Monty być może w końcu zbije fortunę – może nie do końca w taki sposób, o jakim marzył, ale za to na znacznie większą skalę. Za sprawą alchemii muzyki country te jego cynkowe sztaby zamienią się może pewnego dnia w złoto, a może nawet platynę. Myślę, że to by mu się spodobało.



# Badanie gruntu

Nigdy nie przestanę mnie zdumiewać motywy, dla których ludzie dokonują morderstw, ani sposoby, w jakie to robią – podobnie jak nowe techniki, które opracowują naukowcy sądowi, by rozwiązać tajemnice tych zbrodni. Z dumą stwierdzam, że niektóre z tych technik są dziełem moich byłych studentów.

20 września 1991 zadzwonił do mnie Jim Moore, agent TBI z Crossville, małego miasteczka odległego o jakieś sto kilometrów na zachód od Knoxville. W piwnicy domu na obrzeżach Crossville znaleziono jakieś kości, prawdopodobnie ludzkie. Agent Moore pytał, czy mógłbym tam przyjechać następnego dnia ze swoim zespołem, by wykopać kości i określić, czy rzeczywiście należą do człowieka.

Powiedziałem mu, że niestety nie mogę przyjechać; wczesnym rankiem wyjeżdżałem do Waszyngtonu, by prowadzić w Instytucie Smithsona zajęcia z antropologii dla lekarzy sądowych z całego kraju oraz dla agentów FBI. Mogłem jednak przysłać mu doświadczony zespół badaczy.

W tym czasie zespoły badań sądowych działały już jak dobrze naoliwiona maszyna, nawet beze mnie. Zebrałem studentów, którzy byli pod telefonem – Billa Granta, Samanthę Hurst i Bruce'a Wayne'a – i przekazałem im instrukcje agenta Moore'a: mieli spotkać się z nim nazajutrz o 12.30 w jego biurze, w budynku Sądu Okręgowego Hrabstwa Cumberland, a potem pojechać z nim na miejsce badań. Gdy wychodzili już z mojego gabinetu, przypomniałem im raz jeszcze:

– Nie zapomnijcie próbek ziemi Arpada!

Nowa rewolucyjna technika miała właśnie po raz pierwszy znaleźć zastosowanie w sprawie morderstwa.

W ciągu dziesięciu lat, które upłynęły od chwili, gdy zaczęliśmy badać rozkład ludzkiego ciała w naszym ośrodku, wykonywaliśmy dziesiątki analiz i eksperymentów dotyczących w większości różnych zmiennych, które wpływają na tempo rozkładu. Widzieliśmy ciała, które trwały w niemal nienaruszonym stanie przez całą zimę i znaczną część wiosny, a wraz z nadejściem gorącego lata w ciągu dwóch tygodni zamieniały się w szkielety. Porównywaliśmy ciała ułożone w cieniu z tymi, które leżały na słońcu, i przekonaliśmy się, że te ostatnie ulegają zwykle mumifikacji, ich skóra staje się twarda jak łyko i stanowi nieprzebytą zaporę dla czerwi. Porównywaliśmy ciała leżące na

powierzchni ziemi z tymi, które zostały zakopane w grobach, zarówno płytkich, jak i głębokich; ciała pogrzebane głęboko rozkładały się nawet osiem razy dłużej niż ciała ułożone na powierzchni. Porównywaliśmy ciała grube z chudymi – grube zamieniały się w szkielety znacznie szybciej, bo ich tkanka stanowiła pożywienie dla olbrzymich armii robactwa. Podczas jednego z ostatnich eksperymentów badaliśmy codziennie utratę wagi różnych ciał i w przypadku jednego z nich, wyjątkowo grubego, zanotowaliśmy ubytek aż osiemnastu kilogramów w ciągu doby – jestem pewien, że żadna z modnych teraz diet nawet nie zbliży się do tego rekordu.

Wszystkie te badania dostarczały nam istotnych danych dotyczących rozkładu ludzkiego ciała, wszystkie jednak opierały się na obserwacji widocznych, rażących zmian. (Słowem „rażący” określam tutaj zmiany na dużą skalę). Chociaż czyniliśmy wszelkie wysiłki, by szczegółowo opisać i rozróżnić te zmiany, ich interpretacja nadal była sprawą w dużym stopniu subiektywną, a więc nieprecyzyjną. Określanie czasu, który upłynął od śmierci ofiary, wciąż pozostawało nauką niedokładną i frustrującą.

Potem, kilka lat po rozpoczęciu naszego ambitnego projektu, zgłosił się do mnie pewien młody naukowiec, który złożył mi śmiałą i ambitną propozycję uczynienia tejże nauki naprawdę ścisłą. Nazywał się Arpad Vass i pracował w prywatnym laboratorium zajmującym się analizą materiałów dowodowych dla policji i innych organów ochrony porządku publicznego. Arpad zaproponował przyłączenie się do naszego programu doktoranckiego i opracowanie ilościowej, precyzyjnej techniki pozwalającej określić na podstawie danych biochemicznych czas, który upłynął od śmierci. Innymi słowy, proponował wynalezienie zegara, który działałby wstecz, počawszy od chwili, w której znaleziono ciało. Punkt, w którym zatrzymałby się ów zegar – czyli dotarłby do zera – wyznaczałby czas śmierci ofiary morderstwa.

Arpad ukończył studia licencjackie na wydziale biologii (jako przedmiot dodatkowy wybrał chemię) oraz studia magisterskie w dziedzinie nauk sądowych – świetne przygotowanie do zawodu kryminologa. Jednak chciał robić coś więcej, niż tylko pracować w laboratorium kryminalistycznym; chciał przesuwac granice techniki sądowej. Pomysł był naprawdę fascynujący. Gdyby udało się go zrealizować, powstałby całkiem nowy, rewolucyjny sposób – ilościowy i obiektywny – znajdowania odpowiedzi na pierwsze i najważniejsze pytanie, jakie zadają detektywi prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa: Od jak dawna ta osoba nie żyje?

Miałem tylko dwie istotne wątpliwości dotyczące propozycji Arpada. Po pierwsze, w jaki sposób zdefiniować projekt chemiczny jako badanie antropologiczne, po drugie zaś – i to było pytanie zasadnicze – czy rzeczywiście uda mu się opracować taką technikę.

Zawsze byłem wielkim zwolennikiem twórczej wymiany myśli i doświadczeń. Każde badanie kryminalistyczne jest działaniem zespołowym, a im większe doświadczenie – i więcej różnych rodzajów doświadczenia – tym lepiej, przynajmniej moim zdaniem. Nie wszyscy moi koledzy po fachu podzielali ten pogląd: podczas gdy ja improwizowałem we wnętrznościach stadionu

piłkarskiego, niektórzy antropolodzy zaszywali się w przysłowiowych wieżach z kości słoniowej i patrzyli z góry na nasze nieortodoksyjne metody. Jednak na przestrzeni lat moja wiedza antropologiczna została w ogromnym stopniu poszerzona dzięki informacjom nabytym od ludzi, którzy trafili do tego zawodu okrężnymi drogami.

Dobrym przykładem będzie tutaj Emily Craig. W odróżnieniu od większości kandydatów na studia magisterskie nie przysłała do nas ze świeżo wydrukowanym dyplomem licencjata w dziedzinie antropologii; miała już ponad czterdzieści lat, gdy złożyła podanie o przyjęcie na studia doktoranckie. Emily skończyła studia magisterskie w dziedzinie ilustracji medycznej i przez wiele lat pracowała w klinice ortopedycznej w Georgii, ilustrując artykuły medyczne oraz instrukcje procedur chirurgicznych. Z racji swego zawodu spędzała mnóstwo czasu w towarzystwie lekarzy i widziała mnóstwo kości, przypuszczałem więc, że jej podejście do studiów antropologicznych może się okazać interesujące. Myliłem się – rzeczywistość znacznie przerosła moje oczekiwania.

W pierwszym semestrze swoich studiów Emily brała udział w zajęciach dotyczących identyfikacji ciał. W trakcie kursu studenci uczą się, jak na podstawie wyglądu szkieletu określać Wielką Czwórkę: płeć, wiek, rasę i wzrost. Co tydzień przynosiłem im inny szkielet – dobrze mi znany, często pochodzący ze spraw kryminalnych, które zleciła mi policja.

Po sześciu tygodniach – mniej więcej wtedy, gdy studenci zaczynali już wierzyć we własną nieomylność – zawsze podsuwałem im prawdziwą zagwozdkę. Przed laty pewien czarnoskóry staruszek oddalił się od domu opieki w Winchester w stanie Tennessee i przepadł bez wieści. Gdy w okolicy znaleziono szkielet, policja poprosiła mnie, bym sprawdził, czy jest to właśnie ten zaginiony mężczyzna. Po pierwszych badaniach uznałem, że to mało prawdopodobne: czaszka nie była negroidalna, zęby i szczęki nie wysuwały się do przodu jak u większości czarnoskórych ludzi. Pat Willey, student, który prowadził wówczas moje laboratorium osteologiczne, zgodził się z moimi wnioskami. Tydzień później otrzymaliśmy zdjęcia rentgenowskie zaginionego Murzyna – pasowały do szkieletu, który uznaliśmy za kościec białego człowieka.

Co roku na zajęciach z identyfikacji ludzkiego ciała prowadziłem studentów po tej samej zwodniczej ścieżce, na którą sam niegdyś wszedłem. Zwiedzeni faktem, że czaszka zmarłego nie była prognatyczna, w rubryce „Rasa” wszyscy studenci wpisywali „kaukazoidalna”, podobnie jak i ja przed laty.

Kiedy sprawdzałem test Emily, doznałem szoku – jako jedyna spośród wszystkich studentów, których kiedykolwiek nauczałem, uznała, że szkielet należał do człowieka rasy negroidalnej. Wezwałem ją do mojego gabinetu i od razu przeszedłem do rzeczy:

– Proszę mi powiedzieć, kto pani zdradził, że to szkielet negroidalny – zażądałem. Od lat nabierałem studentów na tę sztuczkę, a potem kazałem im przyrzekać, że nikomu tego nie zdradzą, by kolejny rocznik nie miał ułatwionego zadania. Wydawało się, że ktoś jednak nie dotrzymał obietnicy.

– Nikt mi tego nie mówił – odparła. Wydawała się zaskoczona i oburzona.

– Więc skąd pani o tym wiedziała? – naciskałem. – Wszyscy popełniają ten błąd. Wystarczy, że raz spojrzą na czaszkę i już są pewni, że to biały.

– Ja nie patrzyłam na czaszkę – odpowiedziała Emily. – Patrzyłam na kolano.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

– O czym pani mówi?

Moja studentka wyjaśniła wtedy swojemu nauczycielowi – certyfikowanemu specjalście Amerykańskiej Rady Antropologów Sądowych – że kolana ludzi rasy czarnej charakteryzują się większym odstępem między kłykcami – szerokimi, zakrzywionymi końcówkami kości tworzącymi zawias kolana – niż w przypadku kolan ludzi białych.

– Dlatego właśnie chirurdzy wolą operować kolana czarnych, a nie białych sportowców. Mają wtedy znacznie więcej przestrzeni. Wszyscy specjaliści medycyny sportowej o tym wiedzą.

W owym czasie miałem za sobą już ponad trzydziestoletnią karierę, jednak ta informacja była dla mnie kompletną nowością.

– Żaden z antropologów nie ma o tym pojęcia – odpowiedziałem. Uderzywszy się z łoskotem w piersi i pozbierawszy myśli, dodałem: – To byłby świetny temat na dysertację.

Emily posłuchała mojej rady. Nie tylko zbadała, potwierdziła i opublikowała to, co wiedziała już o kolanach żyjących sportowców, lecz posunęła się także o krok dalej: zauważyła, że do identyfikacji rasy niezidentyfikowanych ciał można również wykorzystać inną subtelną różnicę w budowie kolan czarnych i białych ludzi. Kąt ułożenia tylnej powierzchni kości udowej – zwanej linią Blumensaata na cześć niemieckiego lekarza, który jako pierwszy zauważył ją na bocznych zdjęciach rentgenowskich – jest inny u czarnych niż u białych. Po wykonaniu setek zdjęć rentgenowskich i pomiarów kości udowych, Emily opracowała wzór, który pozwalał rozróżnić z dziewięćdziesięcioprocentową trafnością kość udową negroidalną od kaukazoidalnej. Ponieważ do tej pory rasę ustalano jedynie na podstawie wyglądu czaszki, był to naprawdę duży postęp.

Gdyby Emily nie trafiła na antropologię jako była ilustratorka medyczna, być może nigdy byśmy się tego nie dowiedzieli i nie poznalibyśmy techniki, która okazała się kluczowa w identyfikacji kilku nieznanymi ofiar morderstw.

Właśnie tego rodzaju międzydyscyplinarną wymianę myśli proponował Arpad Vass w swoim planie wykorzystania danych biochemicznych do określenia czasu śmierci. W jego przypadku sprawa nie dotyczyła jednak kości, lecz bakterii.

Kiedy Arpad powiedział mi, jak zamierza zamienić bakterie w kryminalistyczny stoper, pomyślałem, że być może jego badania pasowałyby bardziej do innego wydziału niż antropologiczny. Wiedziałem, że są zbyt praktyczne i zbyt mocno związane z naukami sądowymi, by znaleźć uznanie na wydziale biologii lub chemii. Wiedziałem również, że nie mogę z czystym sumieniem włączyć go do programu badań antropologicznych. Nie mogłem jednak przestać myśleć o tym, jakie korzyści

przyniosłaby nam ta rewolucyjna technika.

– Zrobimy tak – stwierdziłem w końcu. – Postaram się pana przyjąć, jeśli tylko połączy pan ściśle swoje badania z rozkładem ludzkich zwłok i jeśli rzeczywiście jest pan pewien, że to się uda.

Arpad zapewnił mnie, że uda mu się odpowiednio ukierunkować badania i że jest pewien sukcesu.

Wkrótce udowodnił, że poważnie traktuje pierwszy wymóg. Już po kilku dniach pracował w ośrodku badawczym, pobierał próbki rozkładających się ciał, czerwi i gleby. Zgromadziwszy odpowiednią ilość materiału, zniknął na kilka dni w laboratorium chemicznym, by po jakimś czasie wyjść na zewnątrz i ponownie pobrać próbki śmierdzącej brei.

Znacznie trudniejsze okazało się zrealizowanie drugiej części naszej umowy – stworzenie skutecznego mechanizmu określania czasu śmierci. Arpad tłumaczył mi wcześniej, że podczas rozkładu ciała tkanką karmią się po kolei różne rodzaje bakterii, podobnie jak owady. Mówi się, że świny pchają się do koryta, Arpad miał nadzieję, że to samo odnosi się do robali, zarówno tych większych, jak i tych mikroskopijnych.

W teorii jego pomysł był całkiem prosty, w praktyce okazał się znacznie bardziej skomplikowany. Każda z pobranych przez Arpada próbek wyglądała jak zdjęcie lotnicze placu Świętego Piotra podczas wielkanocnego kazania papieża; w polu widzenia tłoczyły się niezliczone ilości stworzeń o przeróżnych kształtach i rozmiarach.

Wtedy nie przyznał mi się do tego, lecz Arpad spędził długie tygodnie przy mikroskopie, wpatrując się w mikroby i rozpaczając. Potrzebowałyby olbrzymiego laboratorium i około pięćdziesięciu pracowników, by zidentyfikować i śledzić rzesze bakterii gromadzących się w obiektach badania, pożerających ich tkankę i zostawiających za sobą tłuste kałuże odchodów. W końcu jednak przyszła mu do głowy inna myśl: badanie samych mikrobów może być zbyt trudne, lecz tłusta breja, którą po sobie zostawiają – produkty uboczne i odchody powstające podczas trawienia tkanki miękkiej – zawiera prawdopodobnie jakieś ważne informacje.

Arpad ponownie przyjrzał się swoim próbkom – tym razem nie skupiał się na samych mikrobach, lecz na śmierdzącej zupie, w której pływały. Na podstawie analizy chemicznej stwierdził, że ciecz znajdująca się pod gnijącymi ciałami i wokół nich to mieszanka różnych składników, głównie lotnych kwasów tłuszczowych powstałych w wyniku rozpadu tłuszczu i DNA. Badając próbki, które zbierał na przestrzeni tygodni i miesięcy, uświadomił sobie, że stosunek ilościowy składników tej substancji zmienia się wraz z upływem czasu i stopniem rozkładu ciała. Innymi słowy, próbka pobrana spod ciała A pięć dni po jego śmierci różni się znacząco od próbki pobranej pięćdziesiąt dni po śmierci. Arpad był jeszcze bardziej podekscytowany, gdy odkrył, że ten sam schemat – ten sam zmieniający się profil chemiczny – dotyczy nie tylko ciała A, lecz również ciała B, C i tak dalej.

W tym momencie wiedział już, że jest na tropie powtarzalnego zjawiska naukowego, które mógł zmierzyć i wykorzystać. Musiał jedynie dokładnie zbadać przemiany zachodzące w czasie rozkładu, a potem opracować procedury pobierania próbki z miejsca przestępstwa, określania zawartości

lotnych kwasów tłuszczowych w tej próbce z uwzględnieniem średnich dziennych temperatur, a także porównywania otrzymanych wyników z wartościami, które otrzymał, badając skład substancji w określonych odstępach czasowych. Aha, i jeszcze opracować wzór lub równanie pozwalające na szybkie i łatwe obliczenie czasu, który upłynął od śmierci ofiary, poprzez porównanie składu próbek pobranych z miejsca przestępstwa z próbkami, które analizował podczas dwuletnich badań na Trupiej Farmie.

Niełatwo wyjaśnić, na czym dokładnie polega ta koncepcja – do diabła, sam ledwie ją rozumiem, bo przecież też nie jestem chemikiem – być może jednak prosta analogia nieco ją rozjaśni. Powiedzmy, że wiemy, iż niejaki Joe Blow codziennie jada na śniadanie jajecznicę z jednego jaja, czasami wkraja też ugotowane jajo do puszki z tuńczykiem i przygotowuje sobie w ten sposób lunch, a jeśli jest w odpowiednim nastroju, może sobie upiec trochę piegusków z czekoladą, używając do tego kolejnych dwóch jaj. Jeśli pogrzebiemy w jego śmieciach, będziemy w stanie określić na podstawie stosunku liczby skorupki po jajach do liczby puszek po tuńczykach i torbach po półproduktach do wypieku ciastek, od ilu dni Joe zbierał te śmieci.

Zastanawiacie się, być może, co to wszystko ma wspólnego z jakimiś kośćmi – prawdopodobnie ludzkimi – które znaleziono pod domem w Crossville w stanie Tennessee? Miałem nadzieję, że całkiem sporo, i dlatego właśnie chciałem, by mój zespół nie zapomniał pobrać próbek gleby.

Dom należał do niejakiego Terry’ego Ramsburga. Terry nie był jednak u siebie: właściwie nikt nie widział go już od ponad dwóch lat, łącznie z jego żoną Lillie Mae.

Zasadniczo Lillie Mae była już jego byłą żoną. Zgłosiła zaginięcie Terry’ego 16 stycznia 1989. Mówiła, że pewnego dnia wyszedł z domu do pracy w swoim warsztacie blacharsko– lakierniczym i nie wrócił do domu noc. Gdy nie pojawiał się przez kilka kolejnych dni, Lillie Mae zadzwoniła w końcu na policję.

Wkrótce po zgłoszeniu zaginięcia Lillie wniosła o rozwód, twierdząc, że Terry ją zostawił. Po zakończeniu odpowiedniej procedury otrzymała rozwód i wyszła ponownie za mąż. Pozostała w tym samym domu na wypadek, gdyby Terry jednak wrócił, a jej nowy mąż zamieszkał z nią oraz jej dwiema córkami.

Ojciec Terry’ego Robert Ramsburg nie do końca wierzył w historię Lillie Mae. Wiedział, że przed zaginięciem w domu panowała nerwowa atmosfera – Terry chciał, by nastoletnie córki Lillie pomagały mu w pracy, a im wcale się to nie podobało – nie wierzył jednak, by jego syn opuścił miasto bez słowa pożegnania. Gdy Lillie Mae ponownie wyszła za mąż, Robert nabrał jeszcze większych podejrzeń. Myślami wciąż wracał do domu swego syna, aż w końcu postanowił wybrać się tam osobiście. Pewnego wrześniowego dnia, gdy w domu nikogo nie było, Robert otworzył drewniany właz prowadzący do piwnicy. Przechadzał się z latarką w dłoni po pustym wnętrzu, szukając czegoś, co mogłoby mieć jakiś związek ze zniknięciem jego syna.

W końcu znalazł coś takiego w najdalszym rogu piwnicy: kawałek czerwonej tkaniny wystający z ziemi. Wydawało się, że otaczający ją fragment podłoga był naruszony, miększy niż twarda, ubita glina w innych częściach podziemia. Pociągnął lekko za tkaninę i odsłonił większy fragment materiału, po czym zaczął rozkopywać ziemię gołymi rękami. Stopniowo czerwona tkanina przybierała znajomy kształt kałesonów. Po chwili Robert zobaczył, że wystaje z nich coś, co wygląda na kość. Natychmiast przestał kopać, wszedł do wnętrza domu i zadzwonił do biura szeryfa. Kilka godzin później moi studenci jechali już na miejsce.

Od lat nasze zespoły badawcze woziły ten sam zestaw narzędzi: łopaty, kielnie, grabie, papierowe torebki na dowody, plastikowe torebki na ciała, sita z metalowej siatki, aparaty fotograficzne. Teraz moi wysłannicy dołożyli do tego niepozorny, lecz istotny drobiazg: dwie zamykane plastikowe torebki na próbki ziemi – jedną spod ciała, a drugą z nieskażonego miejsca położonego trzy metry dalej.

Agent Moore czekał w gmachu sądu, podobnie jak Lillie Mae, która zgodziła się wcześniej na przeszukanie domu. Przejechali do odległego o dwa kilometry domu niewielką karawaną złożoną z trzech samochodów; jako pierwszy jechał sedan TBI, za nim auto Lillie Mae, a na końcu uniwersytecki pick-up. Bill Grant z właściwą sobie skrupulatnością zapisał numery rejestracyjne Lillie: RNW-016. Przed domem stało już kilka innych samochodów. Niektóre przywiozły policjantów i zastępców szeryfa, lecz w jednym siedziała również milcząca para cywilów: ojciec i matka Terry'ego Ramsburga. Lillie Mae trzymała się od nich z daleka.

Bill, Samantha i Bruce zebrali szybko swoje narzędzia i weszli do piwnicy. Agent Moore zainstalował tam już lampy, więc wewnątrz piwnicy było dobrze oświetlone. Bill tylko zerknął na kość i od razu zrozumiał, że jest to kość biodrowa – ludzka kość. Podeszedł do włazu, wypełzył na zewnątrz i podeszedł do grupy policjantów. Robert Ramsburg wysiadł ze swego samochodu i przyłączył się do grupy; Lillie Mae również przysunęła się bliżej.

– To z pewnością ludzkie kości – powiedział Bill. Ojciec Terry'ego zwiesił głowę. Lillie Mae obróciła się na pięcie i odeszła.

– Bzdura – warknęła. – Pieprzona bzdura.

Wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i uruchomiła silnik.

Bill spojrzał na Jima Moore'a i spytał najtaktowniej, jak potrafił:

– Na pewno chce pan pozwolić jej odjechać?

Moore zachował niewzruszony spokój.

– Ona nigdzie nie pojedzie – odparł z pewnością stróża prawa, który wie, na co stać podejrzanego.

Bill ponownie wszedł do piwnicy, a zespół badawczy zabrał się do pracy. Zarządzał nim Bill, który miał największe doświadczenie. Kazał Samancie odkopywać nogi, a Bruce'owi lewą stronę, sam zaś przeszedł do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć czaszkę.

Już po kilku minutach kopania odsłonił tylną część czaszki, co świadczyło o tym, że ciało zostało

zakopane twarzą w dół. Po prawej stronie głowy znajdował się mały okrągły otwór o brzegach ściętych tak, że był nieco większy od wewnątrz niż na zewnątrz. Od otworu odchodziło pęknięcie, ciągnące się przez całą czaszkę do jej lewej strony.

– Wygląda na to, że mamy ranę wlotową – powiedział Bill Samancie i Bruce’owi.

Delikatnie odgarnął ziemię, by odkryć czaszkę, lecz jej nie poruszyć. Gdy odsłonił lewą stronę głowy, zobaczył kolejne pęknięcia w pobliżu czoła – a właściwie sieć pęknięć zbiegających się w jednym, wygiętym ku przodowi miejscu – lecz nie dostrzegł otworu.

– Słuchajcie, kula może być jeszcze w środku – stwierdził z podnieceniem. Po kilku minutach całkowicie odsłonił czaszkę. Chrzątka łącząca ją z kręgiem szyjnym dawno już się rozłożyła, Bill sięgnął więc do dołu i podniósł ją. Gdy odwrócił czaszkę, by spojrzeć na twarz, usłyszał ciche grzechotanie w jej wnętrzu: pocisk kalibru .22 zamknięty w przestrzeni powstałej po wyschnięciu i skurczeniu się mózgu.

Otrzeźwiająca powaga sytuacji uderzyła ich dopiero wtedy, gdy skończyli wydobywać szczątki, zebrali próbki gleby i przygotowali wszystko do transportu do Knoxville. Włożyli szczątki ciała, ubrania i próbki ziemi do kartonowego pudła mierzącego trzydzieści centymetrów szerokości i wysokości oraz metr długości. Gdy Samantha wyszła na powierzchnię z pudłem w rękach, Robert Ramsburg natychmiast ruszył w jej stronę. Spanikowana odwróciła się do Billa Granta.

– Co mam zrobić? – wyszeptała. – Myślisz, że będzie chciał obejrzeć szczątki?

– To dowody – odparł Bill. – Nie może. Nic nie mów. Nawet na niego nie patrz.

Wpatrując się uparcie w ziemię, Samantha przeszła do pick-upa. Widząc jej zbolałą minę i opuszczony wzrok, Robert Ramsburg domyślił się zapewne, co zawierało pudło.

Miał rację. Był to jego syn.

Nikt z zaangażowanych w tę sprawę ludzi nie był zaskoczony, kiedy badania antropologiczne wykazały, że szczątki kostne należą do białego mężczyzny w wieku od dwudziestu ośmiu do trzydziestu czterech lat, mierzącego od stu sześćdziesięciu pięciu do stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu. Nikt też nie zdziwił się, gdy zdjęcia rentgenowskie potwierdziły, że ofiarą był Terry Ramsburg, trzydziestotrzyletni mężczyzna mierzący sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu.

9 października przesłałem kopie raportu z badań do TBI, szeryfa hrabstwa Cumberland i biura prokuratora okręgowego. Tego samego dnia Lillie Mae Ramsburg Davis została oskarżona o morderstwo z premedytacją i aresztowana.

Proces został wyznaczony na lipiec 1992. Lillie twierdziła przez długie miesiące, że jest niewinna, lecz na tydzień przed rozpoczęciem procesu poszła na ugodę i przyznała się do morderstwa drugiego stopnia. Śledczy powiedzieli mi, że zastrzeliła męża, gdy spał na sofie, potem zaciągnęła go do piwnicy i pogrzebała. Co równie szokujące, przez kolejne dwa i pół roku nadal mieszkała w tym domu



ze swoimi dwiema córkami, dokładnie nad rozkładającym się ciałem Terry'ego Ramsburga; przez połowę tego okresu jej nowy mąż również sypiał nad szczątkami swego poprzednika.

Lillie Mae została skazana na trzydzieści lat, z prawem do zwolnienia warunkowego już po dziesięciu latach. Podczas rozprawy w sprawie zwolnienia warunkowego Robert Ramsburg, były teść Lillie, wygłosił żarliwe przemówienie, w którym sprzeciwiał się uwolnieniu morderczynie, a komisja postanowiła zatrzymać ją w więzieniu.

Ponieważ Lillie Mae przyznała się do zabójstwa, z prawnego punktu widzenia kwestia czasu, jaki upłynął od śmierci Terry'ego, nie miała już znaczenia, nadal jednak była istotna dla nauki. Ciało Terry'ego Ramsburga uległo niemal całkowitemu rozkładowi, nie licząc sporych ilości tłuszczowosku znajdujących się pod klatką piersiową i brzuchem (tłuszczowosk, nazywany również trupim woskiem, to tłusta, przypominająca mydło substancja, która powstaje w sytuacji, gdy tłuszcz rozkłada się w wilgotnym środowisku). Stopień rozkładu i obecność tłuszczowosku świadczyły o tym, że Terry Ramsburg leżał w piwnicy przez długi, długi czas, prawdopodobnie od dnia morderstwa.

Czy analiza gleby przeprowadzona przez Arpada mogła potwierdzić te przypuszczenia albo jeszcze precyzyjniej określić czas, który upłynął od śmierci? Cóż, jak to często bywa z nowymi technikami, w tym przypadku dowiedzieliśmy się więcej o samej technice niż o sprawie, w której została zastosowana.

Zawartość wszystkich lotnych kwasów tłuszczowych, które badał Arpad, spadła poniżej granicy wykrywalności, a granica ta i tak była bardzo niska: dwadzieścia dwie części na milion. Mówiąc prościej, ciało leżało tam tak długo, że żywiące się nim bakterie dawno już przeniosły się na bujniejsze pastwiska, a substancje, które wydzielały w czasie rozkładu, wyparowały bez śladu. Pomiar temperatury wykonane w piwnicy wskazywały, że ciało mogło osiągnąć taki stan po jedenastu miesiącach, podczas gdy w rzeczywistości od czasu śmierci Terry'ego upłynęło trzy razy więcej czasu. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że technika stworzona przez Arpada sprawdza się w przypadku ciał, które wciąż się rozkładają.

Po sprawie Ramsburga Arpad Vass nadal doskonalił technikę analizy gleby umożliwiającą szacowanie czasu, który upłynął od śmierci. Opracował również inne metody wykorzystania chemii do chwytania zabójców. Ostatnio wynalazł podobną technikę, opartą na analizie małych próbek tkanki pobranych z wątroby, nerek, mózgu i innych organów ofiary. Jeśli ciało nie rozkłada się dłużej niż od kilku tygodni, technika ta umożliwia określenie czasu śmierci z dokładnością do kilku dni, a nawet godzin. Obecnie Arpad pracuje nad wyizolowaniem oraz identyfikacją cząsteczek, które tworzą charakterystyczną woń śmierci – cząsteczek, na które reagują psy ratownicze – co umożliwiłoby skonstruowanie przenośnych systemów do wyszukiwania ukrytych grobów. Takie urządzenie z pewnością ogromnie przysłużyłoby się policji oraz obrońcom praw człowieka.

Pierwsze z przełomowych dokonań Arpada – analiza próbek gleby określająca czas, który upłynął od śmierci – dowiodło swej przydatności i precyzji w dziesiątkach spraw. Śledztwo dotyczące jednej

z tych spraw rozpoczęło się zaledwie trzy miesiące po tym, jak Lillie Mae przyznała się do zabicia Terry'ego Ramsburga i pogrzebania go pod domem. Określenie czasu, który upłynął od śmierci, odegrało znaczącą rolę w sprawie morderstw „Faceta z Zoo”.

# Morderstwa Faceta z Zoo

W październiku wzgórza wschodniego Tennessee na sześć tygodni stroją się w olśniewającą wielobarwną suknię. Derenie okrywają się szkarłatem, klony jaskrawymi odcieniami czerwieni i oranżu, tulipanowce lśnią żółcią, a dęby pyszną się brązami i czerwienią.

Piętnaście kilometrów na wschód od centrum Knoxville, niedaleko mostu na autostradzie 1–40 nad rzeką Holston, barwy jesieni ożywiają gęsty las ciągnący się wzdłuż autostrady. Las leży na końcu krótkiej ślepej drogi Cahaba Lane, która biegnie przez jakieś osiemset metrów równoległe do nitki autostrady prowadzącej na wschód. Zarówno droga, jak i autostrada widoczne są z okien kilku domów, przyczep kempingowych oraz kościoła baptystycznego East Sunnyview położonych wysoko na trawiastym zboczu. Na południu, z dala od autostrady, między drzewami wije się niewielki strumyk.

Cahaba Lane kończy się przy ogromnym billboardzie – „Komfortowe noclegi, śniadanie i pościel w cenie” – wspartym na pięciu rdzewiejących dwuteownikach. Pomiedzy dwoma z nich przechodzi wąska ścieżka prowadząca w górę zbocza. Na ścieżce i obok niej walają się puste puszki po piwie, opakowania po batonach, kartony po jajach, buty oraz całe mnóstwo innych śmieci. Poszycie lasu zasłane jest również żołądziami, które żywią wielką populację wiewiórek.

20 października 1992 pewien myśliwy – który zamierzał nieco zredukować liczebność wiewiórek – wszedł do lasu zaśmieconą ścieżką. Jakiś czas później, gdy znalazł się już w gęstwinie, zauważył zniszczony materac, pod który częściowo wepchnięty był manekin sklepowy. Kiedy podszedł bliżej i odrzucił na bok śmieci, przekonał się, że „manekin” był w rzeczywistości młodą kobietą – jasnowłosą, częściowo obnażoną i całkiem martwą kobietą, z rękami związanymi pomarańczowym sznurkiem rolniczym. Myśliwy pobiegł czym prędzej do telefonu i wezwał policję. Kilka minut później na Cahaba Lane pojawiły się samochody z wydziału policji w Knoxville i biura szeryfa hrabstwa Knox. Jeden z policjantów, którzy przybyli do lasu, rozpoznał w zmarłej Patricię Anderson, trzydziestodwuletnią białą kobietę, której poszukiwał od tygodnia.

Patricia Anderson była dobrze znana policji, miała już nawet swoją kartotekę. Była prostytutką i narkomanką uzależnioną od kokainy, a przy tym naprawdę ładną kobietą, która uwielbiała się stroić. Była również w pierwszych tygodniach ciąży, o czym nie wiedział prawie nikt spośród jej koleżanek i klientów. Powiedziała poręczycielowi kaucji, że próbuje łączyć pieniądze na aborcję,

poszukiwania gotówki prawdopodobnie zaprowadziły ją do tego ponurego ślepego zaułka.

Lekarz sądowy hrabstwa Knox szybko potwierdził to, czego domyślali się policjanci, patrząc na obitą, siną twarz Anderson, jej posiniaczoną szyję i wytrzeszczone oczy: ktoś najpierw ją związał, a potem pobił i udusił. Co ciekawe, zaledwie o rzut kamieniem od tego miejsca przechodziły setki ludzi – jeśli wzywała pomocy, to jej krzyki prawdopodobnie i tak zagłuszył nieustający ryk przejeżdżających obok samochodów.

Anderson widziano po raz ostatni 13 października; nazajutrz jej chłopak zauważył swój samochód – chevroleta malibu, który od niego pożyczyła – zaparkowany przed motelem, w którym często pracowały prostytutki z Knoxville. Jednak sama Anderson zniknęła. Policjanci, którzy dobrze znali ciemną stronę swojego miasta, na widok zmalretowanego ciała kobiety natychmiast wytypowali podejrzanego. Człowiek ten lubił znęcać się nad prostytutkami i robił to przy Cahaba Lane już co najmniej dwa razy. Nazywano go Facetem z Zoo.

Osiem miesięcy przed zabójstwem Patty Anderson, 27 lutego, pewna prostytutka z Knoxville zadzwoniła na policję i powiedziała, że jakiś „frajer” wynajął ją i wywiózł na Cahaba Lane. Gdy już tam dojechali, zaprowadził ją do lasu, tam zaś okradł, zgwałcił i pobił. Potem związał ją i zostawił nagą w lesie, w środku zimy. Udało jej się uwolnić z więzów, dotrzeć do pobliskiego salonu kosmetycznego i zadzwonić na policję.

Śledczy z wydziału policji w Knoxville Tom Pressley tego samego dnia pojechał z nią na Cahaba Lane, by obejrzeć miejsce przestępstwa. Na końcu drogi stał zaparkowany stary buick lesabre.

– To on! To jego samochód! – wykrzyknęła kobieta.

Pressley zaparkował i ruszył do lasu, prowadząc ze sobą prostytutkę. Przeszedłszy jakieś sto metrów, kobieta zaczęła drżeć. Chwyciła Pressleya za ramię, wskazała na coś ręką i wyszeptała:

– Jest tam!

Widok był szokujący: w lesie stał mężczyzna ze spodniami spuszczoneymi do kolan; przed nim klęczała szlochająca kobieta. Policjant wyciągnął pistolet i niepostrzeżenie zbliżył się do nich.

Pressley kazał mężczyźnie położyć się twarzą do ziemi. Potem skuł go kajdankami, zaprowadził do radiowozu i wezwał przez krótkofalówkę wsparcie. Jeden z przybyłych na miejsce funkcjonariuszy odwiózł obie kobiety do miasta, Pressley zaś zabrał skutego mężczyznę i aresztował go.

Mężczyzną schwytanym z opuszczonymi spodniami był Thomas Dee Huskey, lat trzydzieści dwa, który mieszkał ze swoimi rodzicami w przyczepie kempingowej w Pigeon Forge, miasteczku położonym czterdzieści kilometrów na wschód od Knoxville. Huskey został oskarżony o gwałt i kradzież. (Portfel należący do kobiety, która zaprowadziła Pressleya na Cahaba Lane, znaleziono na podłodze buicka lesabre). Jednak ława przysięgłych odrzuciła zeznania pierwszej kobiety. Druga kobieta wyjechała z miasta i w ogóle nie pokazała się w sądzie. Po kilku miesiącach spędzonych w więzieniu Tom Huskey wyszedł na wolność.

Dwa tygodnie po opuszczeniu więzienia Huskey został zatrzymany ponownie, tym razem za nakłanianie do nierządu policjantki działającej w przebraniu. Został pozwany i ukarany karą grzywny, potem zaś ponownie zwolniony. Pozostał jednak więźniem żądy i gniewu, które nadal kierował ku prostytutkom. Wkrótce zyskał sobie wśród nich bardzo kiepską reputację oraz łatwe do zapamiętania przezwisko: „Facet z Zoo”. Wcześniej pracował przez dwa lata w zoo w Knoxville jako opiekun słońca, został jednak zwolniony za znęcanie się nad zwierzętami. Ta posada nie była jednak jedynym powodem, dla którego tak go nazywano. Zarówno w czasie, gdy pracował w zoo, jak i później, Huskey lubił zabierać prostytutki do pustej stajni w pobliżu ogrodu zoologicznego. Plotki głosiły, że lubił też wiązać kobiety i bić je. Nim nadszedł rok 1992, wszystkie prostytutki w Knoxville wiedziały już, że należy trzymać się z dala od Faceta z Zoo.

Nie wszystkie wzięły sobie do serca te słowa. Pewnego niedzielnego popołudnia, we wrześniu 1992, Huskey wynajął kolejną prostytutkę i zabrał ją na Cahaba Lane, obiecując jej siedemdziesiąt pięć dolarów – prawie dwa razy więcej, niż wynosiła jej normalna stawka. Jednak gdy tylko znaleźli się w lesie – jak zeznała później na policji – Huskey związał jej ręce za plecami, a potem pobił i zgwałcił. Podobnie jak w przypadku poprzedniej ofiary zostawił ją związaną na ziemi.

Zaledwie kilka tygodni później, tego samego dnia, gdy znaleziono ciało Anderson, policja aresztowała Toma Huskeya w Pigeon Forge, w przyczepie kempingowej, którą dzielił ze swymi rodzicami. W trakcie przeszukania policjanci znaleźli w sypialni Huskeya kawałek pomarańczowego sznurka rolniczego – takim samym sznurkiem były związane ręce Patty Anderson. Znaleźli również kolczyk, który, jak się później okazało, był jej własnością. Na kolczyku wisiał jasny włos. Ponieważ pozbawiony był korzenia i mieszka, nie zawierał DNA, które można by porównać z DNA ofiary. Jednak analiza chemiczna przeprowadzona w laboratorium kryminalistycznym FBI wykazała, że włos był zafarbowany tym samym barwnikiem, co włosy Patty Anderson.

Następnym etapem poszukiwań materiału dowodowego było przeszukanie dwóch miejsc, do których Huskey zabierał kobiety: stajni przy zoo w Knoxville oraz lasu przy Cahaba Lane. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaginęło sześć lub siedem miejscowych prostitutek, a jeśli Huskey zabił jedną z nich, na co wskazywały dowody, to być może zabił też inne.

Oczywiście sam fakt, że prostytutka znika nagle z miasta, nie oznacza wcale, że została zabita. Kilkakrotnie brałem udział w rozwiązywaniu spraw związanych z prostytutkami i wiem, że wiele z tych kobiet prowadzi nieustabilizowane, koczownicze życie. Po pierwsze, często uciekają przed wymiarem sprawiedliwości, a po drugie, tam gdzie są jeszcze nowe, mogą żądać wyższych cen. Być może te zaginione prostytutki zmieniły tylko miejsce pracy; z drugiej jednak strony być może niektóre z nich już nie żyły, a ich ciała rozkładały się w lesie albo starej stajni. Niestety, budynek stajni spłonął podczas letniego pożaru, a pogorzelnisko zostało wyrównane. Był to przypadek czy podpalenie? Wszelkie dowody, które być może tam leżały, łącznie z kośćmi, uległy zniszczeniu. Zostawała więc Cahaba Lane.

Sześć dni po odnalezieniu ciała Patty Anderson zadzwonił do mnie urzędnik biura szeryfa hrabstwa Knox. Zastępca szeryfa poinformował mnie, że przy Cahaba Lane znaleziono ciała kolejnych dwóch kobiet, i spytał, czy mógłbym je obejrzeć. Zebrałem zespół złożony z Billa Granta (później pracował jako antropolog sądowy dla wojska), Lee Meadows i Murraya Marksa (oboje nauczają teraz na Uniwersytecie Tennessee, prowadzą badania sądowe i zarządzają Trupią Farmą), po czym wsiedliśmy wszyscy do białego uniwersyteckiego pick-upa i pojechaliśmy na wschód. W Knoxville działał seryjny zabójca, który polował na bezbronne kobiety – kobiety, które z racji swego zawodu musiały oddawać swe ciało – i życie – w ręce obcych ludzi.

Minęło już sporo lat, odkąd pracowałem przy sprawie seryjnego zabójcy, dobrze jednak pamiętałem stres i niepokój, które temu towarzyszyły. W połowie lat osiemdziesiątych na południowym wschodzie zamordowano osiem kobiet, a ich ciała porzucone zostały przy głównych autostradach. Trzy ciała znaleziono w Tennessee. Wiele spośród tych ofiar miało rude włosy, więc sprawę nazwano zabójstwami rudowłosych. Większość z tamtych kobiet była prostytutkami; wtedy właśnie dowiedziałem się, że kobiety uprawiające ten zawód przenoszą się z miasta do miasta, gdy ich zarobki zaczynają maleć.

Sprawa zabójstw rudowłosych nie została nigdy rozwiązana. Miałem nadzieję, że tym razem będziemy mieli więcej szczęścia. Oczywiście w takich przypadkach trudno mówić o szczęśliwym zakończeniu, liczyłem jednak, że dzięki naszej wyteżonej pracy i łutowi szczęścia tym razem będzie mniej zbrodni, a więcej kary.

Gdy zaparkowałem auto na końcu Cahaba Lane i wysiadłem z niego, spojrzałem przypadkowo w dół i zobaczyłem, że do opony lewego koła przykleił się wilgotny kondom. Policjanci zaprowadzili nas w głąb lasu. Pierwsze ciało leżało około pięćdziesięciu metrów na prawo od billboardu – praktycznie w zasięgu wzroku ludzi chodzących chodnikiem. Ta kobieta, podobnie jak Patty Anderson, była częściowo ubrana, choć ściągnięte spodnie odsłaniały jej pośladki i genitalia. Była czarna, a jej ciało znajdowało się dopiero w pierwszym etapie rozkładu: niewielkie przebarwienie, brzuch nie rozdęty, nikła aktywność owadów. Po części było to spowodowane krótkim czasem, który upłynął od śmierci, a po części niską temperaturą. Muchy plujki nie latają, kiedy temperatura spada poniżej 10°C.

– To ciało jest dla mnie za świeże – oznajmiłem. – Musi ją obejrzeć lekarz sądowy.

Ponieważ zrezygnowałem już z badania tego ciała, starałem się go nie dotykać.

Przyjrząwszy się jednak posiniaczonej szyi i wykrzywionej twarzy kobiety, byłem pewien, że została uduszona.

Zastępca szeryfa zapytał mnie, od jak dawna nie żyje. Kierując się tylko jej wyglądem i nie biorąc pod uwagę okresu chłodów, które trwały już od jakiegoś czasu, odparłem:

– Niedługo, może parę dni.

Ta nieprzemyślana uwaga, zapisana przez zastępcę i zacytowana później w gazetach, miała mnie prześladować jeszcze przez wiele miesięcy i lat.

Zaprowadzili mnie do drugiego ciała. To leżało znacznie dalej niż pierwsze, około ośmiuset metrów od billboardu, za szczytem wzgórza, na zboczu po jego drugiej stronie. W odróżnieniu od poprzednich ciał to było całkiem nagie, satynowa bielizna – body na ramiączkach – leżała pognieciona pośród liści trzy metry dalej. Ofiarą również była czarna kobieta, co dało się od razu ustalić na podstawie włosów i odsłoniętych zębów. To ciało znajdowało się już w stanie zaawansowanego rozkładu. Skóra była odbarwiona, brzuch rozdęty, kości lewej nogi wyszły na wierzch, brakowało obu stóp. Zwłoki leżały z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, wciśnięte krocem w małe drzewo. Widok pnia wyrastającego pionowo w górę prosto z genitaliów nagiego gnijącego ciała ofiary morderstwa, sprawiał, że zbrodnia wydawała się jeszcze bardziej szokująca, jeszcze bardziej odrażająca.

Gdy przyjrzałem się ułożeniu ciała, stwierdziłem, że nie było to miejsce śmierci – innymi słowy, kobieta nie została zabita w tym właśnie miejscu. Rozejrzawszy się dokoła, zauważyłem ciemną tłustą plamę położoną kilka metrów wyżej, w miejscu gdzie z ciała wypłynęły lotne kwasy tłuszczowe. Leżało tam również trochę jej włosów. Najwyraźniej tam właśnie spoczywało pierwotnie jej ciało, nim zostało przesunięte niżej przez kogoś lub coś.

Brakowało obu stóp ofiary, odgryzionych na końcach piszczeli i kości strzałkowej, mocno pogryzione było również udo. Domyślałem się, co tutaj zaszło: gdy minął mniej więcej tydzień od morderstwa, ciało zamordowanej kobiety paskudnie już cuchnęło – dla człowieka, bo dla psa zaczynało dopiero interesująco pachnieć.

Zauważyłem, że psy nie lubią jeść na otwartej przestrzeni; boją się, że ktoś zaskoczy je od tyłu. Najchętniej jedzą oparte grzbietem o jakąś kłodę, głaz lub skałę, by nikt nie mógł podkraść się do nich niepostrzeżenie. Jeśli pies ważący dwadzieścia pięć lub trzydzieści kilogramów będzie próbował przeciągnąć sześćdziesięciokilogramowe ciało w jakieś bezpieczne miejsce, to z pewnością nie będzie ciągnął go pod górę; złapie je raczej za nogę i pociągnie w dół, by wykorzystać również siłę ciężkości. W tym wypadku ciało przesunęło się tylko kilka metrów, nim na jego drodze stanęło młode drzewo. Utknęło tam na dobre, a pies musiał zadowolić się jedynie kawałkiem uda i stopami.

Zwłoki leżały twarzą do góry – tyle że twarzy już nie było. Zniknęła również tkanka miękka z szyi, choć ramiona i dłonie pozostały praktycznie nienaruszone.

Nie byłem zaskoczony brakiem twarzy, często ta właśnie część ciała znika jako pierwsza. Muchy plujki składają jaja w wilgotnych ciemnych miejscach, więc usta, nos, oczy i uszy nadają się do tego najlepiej – podobnie jak genitalia i odbył, jeśli tylko muchy mogą się do nich dostać. Jedynym miejscem, w którym samica plujki złożyłaby jaja chętniej niż w naturalnym otworze ciała, jest zakrwawiona rana.

O ile jednak brak twarzy był czymś normalnym, o tyle zniknięcie szyi wydawało się zaskakujące, szczególnie w zestawieniu z dobrym stanem ramion i rąk. Był to klasyczny przykład czegoś, co nazywamy rozkładem zróżnicowanym, a obecność takiego zjawiska zawsze stanowi swego rodzaju sygnał ostrzegawczy, istotną wskazówkę. Przyspieszony rozkład w okolicy szyi świadczył o tym, że doszło tam do jakiegoś urazu. Może kobieta miała poderżnięte gardło, co zwabiłoby całe stada much, a może została uduszona, a paznokcie jej mordercy przecięły skórę i wywołały krwawienie. Tak czy inaczej, coś sprawiło, że jej szyja stała się równie atrakcyjna dla much i czerwi co wilgotne otwory w głowie.

Gdy przyglądałem się ciału, Arthur Bohanan, specjalista z laboratorium kryminalistycznego wydziału policji w Knoxville, zwrócił się do mnie z prośbą:

– Bill, podaj mi rękę.

Pracowałem z nim od lat, wiedziałem więc, że bynajmniej nie szuka u mnie oparcia. Chciał, żebym usunął jedną z dłoni ofiary i podał mu ją.

Art był najlepszym specjalistą wydziału policji w Knoxville w dziedzinie daktyloskopii, właściwie uchodził już za jednego z najlepszych specjalistów w kraju, z jego usług korzystało czasem nawet FBI. Nie był tylko technikiem, który zdejmuje odciski palców z miejsca przestępstwa, był badaczem, który szukał nowych sposobów odkrywania ukrytych śladów na powierzchniach, na których nigdy wcześniej ich nie widziano, takich jak tkanina, a nawet skóra ofiary zabójstwa. W ciągu swej kariery Art wielokrotnie pracował przy sprawach dotyczących morderstw i uprowadzeń dzieci. Zauważył, że odciski dziecięcych palców znikają – na przykład z wnętrza samochodu porywacza – znacznie szybciej niż odciski dorosłych. Dlaczego? Postanowił to zbadać. W końcu odkrył, że nim dziecko wejdzie w wiek dojrzewania, w jego odciskach nie ma tłuszczów, które nadają trwałość odciskom palców dorosłych.

Człowiekowi z zewnątrz prośba Arta – „Podaj mi rękę” – wydawałaby się przerażająca. Dla antropologa sądowego była rutyną. W sprawach dotyczących morderstw zdarza się nieraz, że śledczy odcinają palce lub nawet całe dłonie, by zabrać je do swojego laboratorium lub przesłać je FBI. W sytuacji, gdy tożsamość ofiary jest nieznana, należy spróbować każdej możliwej techniki, by powiązać ze sobą odciski i nazwisko. W przypadku seryjnych morderstw, takim jak ten, stawka była wyjątkowo wysoka: nie żyły już co najmniej trzy kobiety i należało zakładać, że jeśli zabójca działa podobnie jak inni seryjni mordercy, to nie przestanie zabijać, dopóki nie zostanie schwytany. Po prostu nie mieliśmy czasu na to, by zachowywać się zgodnie z ogólnie przyjętymi normami przyzwoitości.

Przyjrzałem się dłoniom ofiary. Skóra była rozmoczona, wyglądało na to, że lada moment zsunie się z kości, wiedziałem jednak, że to nie powstrzyma Arta przed zdjęciem odcisków; słysząc z tego, że potrafił włożyć własne palce w skórę palców ofiary, by przywrócić im naturalny kształt i pobrać odciski. Z mojego punktu widzenia najważniejsze było pytanie, czy na dłoniach kobiety znajdują się



jakieś ślady wskazujące na rodzaj śmierci i jej czas. Gdy obejrzałem je uważnie, nie dostrzegłem żadnych nacięć, ofiara nie broniła się więc przed atakiem nożem, nie zauważyłem również śladów sznura ani żadnych innych urazów.

Wyjąwszy nóż z mojej torby z narzędziami, odciąłem jedną dłoń, a potem drugą, by zwiększyć szanse na pobranie i dopasowanie odcisków. Zapakowałem je do plastikowego worka i wręczyłem Artowi, który ruszył w kierunku swojego samochodu. Po drodze przystanął jeszcze, by zdjąć odciski palców ze świeżych zwłok przy drodze, po czym również zamknął te ślady w małym woreczku.

Ja potrzebowałem znacznie większego worka. Na ziemi obok ciała ułożyliśmy worek na zwłoki, rozsunęliśmy go i delikatnie wsunęliśmy ciało do środka. Potem, trzymając mocno worek za oba końce i w środku, wynieśliśmy je z lasu i ułożyliśmy na pick-upie.

Dokładnie w chwili gdy to robiliśmy, odezwało się policyjne radio. Art Bohanan zidentyfikował już jedną z ofiar. Nie tę, której dłońe zabrał ze sobą – to wymagało znacznie więcej pracy – ale tę świeżą. Nazywała się Patricia Ann Johnson; miała trzydzieści jeden lat i pochodziła z Chattanooga, a w Knoxville przebywała od kilku tygodni. Nigdy nie została aresztowana za prostytutkę, ale widziano wiele razy, jak kręciła się w miejscach, w których pracowały prostytutki w Knoxville. Art przekazał również dwie inne ciekawe informacje: Patricia cierpiała na epilepsję, a na jej szyi znajdowało się kilka odcisków palców, które odkrył, pokrywając całe jej ciało superklejem i posypując je proszkiem ultrafioletowym. Niestety, odciski nie były na tyle wyraźne, by udało się zidentyfikować osobę, która ścisnęła jej szyję.

Teraz ja musiałem zabrać się do pracy i zebrać jak najwięcej informacji o ofierze numer trzy.

Dojechaliśmy do Trupiej Farmy tuż przed zmierzchem. Gdy tylko wprowadziłem pick-upa na teren ośrodka, wyjęliśmy worek, ułożyliśmy go na ziemi i rozsunęliśmy zamek, by wyjąć ciało i oczyścić je z tkanki.

Kiedy wsuwaliśmy zwłoki do worka, widzieliśmy niewiele larw – ledwie garstkę. Teraz było ich tam całe mrowie, dosłownie dziesiątki tysięcy. Jeden ze studentów zapytał, skąd się tam wzięły. Czy w ciągu czterdziestopięciominutowej podróży powrotnej na uniwersytet mogło dojść do jakiegoś masowego wylęgu? Wyjaśniłem, że czerwie były tam od początku, a w tym przypadku chodziło tylko o błędną ocenę pory dnia. Czerwie nie lubią słońca, więc jeśli ciało leży na otwartej przestrzeni, w ciągu dnia chowają się pod skórą. Gdy zamknęliśmy ciało w nieprzejrzystym czarnym worku, larwy uznały, że zapadła już noc, więc wyszły żerować na zewnątrz.

Jeszcze jedna interesująca, choć odrażająca uwaga o czerwiach: Mimo iż chłód powstrzymuje muchy od latania, nie przeszkadza im potomstwu, czerwiom. Choć myślimy o owadach jako o istotach „zmiennocieplnych”, gdy czerwie trawią ludzką tkankę, chemiczny rozkład ciała wytwarza zdumiewające ilości ciepła; w zimne poranki na Trupiej Farmie widać nieraz parę, która unosi się nad skłębioną masą czerwi cisnących się do siebie w poszukiwaniu ciepła. Jak zauważył mój kolega po

fachu, Murray Marks, mieszkańcy Trupiej Farmy wcale nie są tacy zziębnięci i samotni, jak mogłoby się wydawać.

Przymocowaliśmy metalowe znaczki identyfikacyjne do ręki i nogi ciała. Był to dwudziesty siódmy obiekt naszych badań w 1992 roku, więc kobieta otrzymała numer 92-27. Aby oszacować jej wiek, obejrzelśmy dokładnie kilka struktur kostnych: szwy czaszkowe, obojczyki i miednicę. Kości miednicy były gęste i gładkie, co oznaczało, że należały do dojrzałej, lecz młodej kobiety, prawdopodobnie w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat. Jej obojczyki nie były jednak w pełni dojrzałe. Środkowy, czyli mostkowy koniec obojczyka jako ostatni fragment kości ludzkiego ciała zrasta się z trzonem; fakt, że nasada kości nie uległa jeszcze całkowitemu skostnieniu, mógł świadczyć o tym, że kobieta nie skończyła dwudziestu pięciu lat. Na szczęście mogliśmy to określić z jeszcze większą dokładnością. Badania wykonane przez jednego z moich byłych studentów z Kansas wskazywały, że ofiara miała prawdopodobnie od osiemnastu do dwudziestu trzech lat. Poza tym szew podstawny czaszki – miejsce, gdzie kość potyliczna (tył głowy) łączy się z kością klinową (podstawa czaszki) – był tylko częściowo zrośnięty, co również wskazywało, że nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat. Zebrawszy wszystkie te dane, byłem pewien, że ofiara miała od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat.

Aby określić jej wzrost, zmierzaliśmy długość lewej kości udowej – czterdzieści cztery centymetry i cztery milimetry – po czym wstawiliśmy tę wartość do wzoru opracowanego jeszcze w latach pięćdziesiątych, lecz udoskonalonego całkiem niedawno przez mojego współpracownika z Uniwersytetu Tennessee doktora Richarda Jantza. Richard, jeden ze światowych autorytetów w dziedzinie pomiarów kostnych, zgromadził olbrzymią bazę danych z wynikami takich pomiarów, opracował również potężny pakiet oprogramowania komputerowego, który na podstawie kilku prostych pomiarów kostnych może precyzyjnie określić płeć, rasę i wzrost niezidentyfikowanych zwłok. Obliczenia wykonane na podstawie długości kości udowej wynoszącej 44,4 centymetry pozwoliły nam określić wzrost kobiety na około 160 centymetrów.

Znaliśmy już płeć, rasę, wiek i wzrost. Teraz musieliśmy poszukać dowodów wskazujących na rodzaj śmierci. Sprawdziliśmy wszystko wielokrotnie. Na dostępnych nam kościach nie znaleźliśmy śladów żadnych urazów – żadnych pęknięć, nacięć lub innych uszkodzeń. Nie mieliśmy jednak wszystkich kości. Brakowało stóp, ale akurat ta część ciała zapewne nie pomogłaby nam ustalić przyczyny śmierci. Nie mieliśmy jednak jeszcze jednej kości, a w tym wypadku była to być może kość najważniejsza. Pochodziła z miejsca, gdzie doszło do przyspieszonego rozkładu, co natychmiast obudziło moje podejrzenia. Tą brakującą częścią była kość gnykowa – jedyna kość, która może w wiarygodny sposób dowieść, czy ktoś został uduszony. Kość ta zawieszona jest nad krtanią i pod żuchwą, ma kształt cienkiej podkowy. Jeśli lekko odchylicie głowę do tyłu, położycie dłoń na tchawicy i poruszacie dłonią do przodu i do tyłu, prawdopodobnie uda wam się wyczuć kość gnykową. Biorąc pod uwagę jej położenie oraz grubość, nie trudno zrozumieć, dlaczego tak często ulega

złamaniu podczas duszenia.

Ponieważ dwie pozostałe ofiary zostały uduszone, znalezienie kości gnykowej miało kluczowe znaczenie. Przeszukaliśmy uważnie worek na ciało, na wypadek gdyby kość zsunęła się na dno, lecz niestety bez rezultatu. Przywołałem do siebie czwórkę studentów.

– Musicie wrócić na Cahaba Lane i znaleźć tę kość – powiedziałem im. Wydawali się skonsternowani i przekonani o bezcelowości poszukiwań, ja jednak nie zamierzałem się jeszcze poddawać. Wiele już razy miałem okazję przekonać się ze zdumieniem, ile dowodów kostnych można zebrać na miejscu przestępstwa nawet wiele miesięcy lub lat po morderstwie: kości, pociski, zęby, nawet paznokcie.

– Zaczynajcie od miejsca, w którym ją znaleźliśmy – przykazałem studentom. – Potem posuwajcie się w górę, do miejsca gdzie leżały jej włosy. Musi tam gdzieś być.

Wrócili po kilku godzinach, z kością gnykową i triumfalnymi uśmiechami na ustach. Rzeczywiście, kość wypadła (lub została wyciągnięta przez jakiegoś padlinożercę) w pobliżu miejsca śmierci, a potem przykryły ją opadające liście.

Kość przedzielona była na trzy części, ale to nie musiało oznaczać, że została złamana; u niektórych ludzi kość ta nigdy nie zrasta się do końca, tworząc jedną łukowatą całość. Zdarza się – jak w przypadku tej kobiety – że dwie boczne części zwane rogami większymi połączone są chrząstką z częścią centralną, czyli trzonem. Być może rogi zostały odłamane, ale można było również przypuszczać, że chrząstka w tych miejscach po prostu uległa rozkładowi. Aby przekonać się, która z tych wersji jest prawdziwa, musiałem przyjrzeć się fragmentom kości dokładniej – znacznie dokładniej.

Zaniósłem je do laboratorium z elektronowym mikroskopem skaningowym na wydziale inżynierii. Gdy powiększyłem obraz dwudziestokrotnie, dojrzałem ślady uszkodzenia na kości: małe pęknięcia liniowe i awulsyjne (będące wynikiem oderwania) na powierzchni, do której przyczepiona była chrząstka. Powiększyłem obraz jeszcze bardziej. Przy powiększeniu stukrotnym i dwustukrotnym uszkodzenia były doskonale widoczne: liczne mikroskopijne pęknięcia liniowe, które kończyły się w miejscu oderwania kości.

Nie był to może spektakularny widok, ale stanowił kluczowy dowód: świadczył o tym, że chrząstka została oderwana od kości przez jakąś potężną siłę – na przykład parę silnych dłoni, ściskających bezlitośnie szyję kobiety do chwili, gdy przestała walczyć, gdy przestała oddychać. Stało się to prawdopodobnie od dziesięciu do dwudziestu dni temu. Oszacowałem ten czas na podstawie zaawansowanego stanu rozkładu, który zestawiałem z wykresem nocnych i dziennych temperatur na przestrzeni ostatnich kilku tygodni.

Aby określić ten czas nieco precyzyjniej, zwróciłem się o pomoc do mojego byłego doktoranta, doskonałego chemika Arpada Vassa, który prowadził obecnie badania w wieloprogramowym laboratorium Oak Ridge National Laboratory. Wysłałem mu dwie próbki: jedną pobraną pod ciałem

ofiary, gdzie lotne kwasy tłuszczowe wsiąkły w ziemię, oraz drugą, niezanieczyszczoną próbkę ze zbocza wzgórza, pobraną w odległości około pięciu metrów od miejsca śmierci. W przypadku Ramsburga – mężczyzny zastrzelonego przez własną żonę i pogrzebanego w piwnicy własnego domu – Arpad nie mógł się wykazać, gdyż od śmierci ofiary upłynął zbyt długi czas. Tym razem okoliczności pozwalały na skuteczne zastosowanie jego techniki. Najpierw Arpad zbadał stężenie względne substancji powstałych podczas rozkładu, potem uwzględnił wartości i zmiany temperatury z ostatnich dni. Nowatorska metoda sprawdziła się doskonale: z obliczeń Arpada wynikało, że od śmierci upłynęło czternaście do siedemnastu dni. Na podstawie stopnia rozkładu ustaliłem, że morderstwa dokonano między 6 a 16 października; dzięki badaniom Arpada zawęziliśmy ten przedział czasowy do czterech dni, to jest od 12 do 15 października, a więc do okresu, w którym zniknęła Patty Anderson.

Dla pewności śledczy z biura szeryfa zwrócili się z prośbą o ustalenie przybliżonego czasu śmierci każdego z ciał do entomologa sądowego Neala Haskella, który kilka lat wcześniej prowadził ciekawe badania na Trupiej Farmie. Neal opracowywał technikę wiernego odtwarzania okoliczności śmierci przy użyciu ciał świń, które zastępowały ofiarę morderstwa – martwe świnie były tu swego rodzaju dublerami, tyle że innego gatunku. Neal pozwalał, by natura traktowała je we właściwy sobie sposób do momentu, aż owady na świńskiej padlinie osiągnęły taki sam stan rozwoju jak na ludzkich zwłokach. Liczył, że dzięki temu będzie w stanie określić czas śmierci z przybliżeniem do dnia lub dwóch. Jednak aby mieć pewność, że świńskie ciało może zastąpić w takiej roli ciało człowieka, musiał przeprowadzić badania porównawcze aktywności owadów w tkankach obu gatunków. Jedynym miejscem, gdzie mógł to zrobić, był oczywiście Ośrodek Badań Antropologicznych Uniwersytetu Tennessee. Chętnie przyjąłem tam Neala: gdyby wymyślona przezeń technika okazała się skuteczna – a badania wykazały, że tak właśnie jest, przynajmniej w ciągu kilku pierwszych tygodni po śmierci – można by ją wykorzystywać we wszelkiego rodzaju miejscach zbrodni.

Gdy tylko Neal został wezwany do sprawy morderstw przy Cahaba Lane, natychmiast pobrał żywe czerwie z ciał, by określić, ile czasu potrzebują jeszcze do przemiany w dorosłe muchy. Entomolodzy sprawdzają w ten sposób, kiedy zostały złożone jaja, podobnie jak oblicza się czas poczęcia dziecka na podstawie daty jego narodzin.

Neal ułożył również kilka zabitych na poczekaniu świń w lesie przy Cahaba Lane; pilnowali ich zastępcy szeryfa, którzy mieli również dokonywać pomiarów temperatury w określonych porach. Na podstawie szacowanego czasu przemiany czerwi w muchy oraz obserwacji świńskich ciał Neal obliczył, że muchy plujki zaczęły składać jaja w ciele tej kobiety pomiędzy 9 a 13 października. Wynikało z tego, że trzech różni naukowcy posługujący się trzema różnymi technikami byli zadziwiająco zgodni co do daty śmierci ofiary.

Ostatnią kwestią, z którą musiałem się uporać, było ustalenie tożsamości tej kobiety. Wiedziałem, że jeśli dopisze mi szczęście, dowiem się tego z jej własnych ust. Uzębienie zamordowanej było

prawdziwym studium kontrastu. Z jednej strony ktoś włożył naprawdę sporo pracy w utrzymanie tych zębów w należyтым stanie: aż w czternastu z nich znajdowały się wypełnienia z amalgamatu. Z drugiej jednak strony, jeden z zębów, pierwszy ząb trzonowy z lewej strony żuchwy, był niemal całkiem spróchniały. Ubytek sięgał już do komory miazgi zęba i zaczął naruszać samą kość żuchwy.

Widziałem już tego rodzaju kontrasty, szczególnie u kobiet. Niemal zawsze wskazywały na jakąś dramatyczną odmianę losu ofiary. Dziewczyna dorasta, opuszcza dom i nie radzi sobie sama w świecie; starsza kobieta zostaje porzucona, wdowieje lub się rozwodzi. Bez względu na przyczyny tych trudności postawiona w dramatycznej sytuacji ofiara oszczędza na wszystkim, na czym tylko może, a opieka dentystyczna staje się luksusem, na który jej nie stać.

Lecz choć 92-27 przeżywała trudne chwile, gdzieś istniały rentgenowskie zdjęcia jej uzębienia pochodzące z czasów, gdy jeszcze dobrze jej się powodziło. Wiedziałem, że je znajdę, choć mogło to trochę potrwać. Na szczęście oszczędzono mi tego trudu.

Podczas gdy ja i moi koledzy po fachu badaliśmy kości, zęby, substancje chemiczne i owady, mistrz daktyloskopii z wydziału policji w Knoxville Art Bohanan pracował nad dłońmi, które przekazałem mu na miejscu przestępstwa. Miejskowa policja nie dysponowała odciskami, które pasowałyby do śladów pobranych z dłoni zmarłej, więc jeśli kiedykolwiek została aresztowana, musiało mieć to miejsce gdzieś poza Knoxville. Nie odpowiadała również żadnemu z policyjnych profili lub opisów znanych im prostytutek. Jednak ogólny rysopis – czarnoskóra kobieta, wiek od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, wzrost sto sześćdziesiąt centymetrów – pasował do zgłoszenia o zaginięciu, które złożyła siostra jednej z okolicznych mieszkanek. Zaginioną kobietą, którą widziano po raz ostatni 14 października, była Darlene Smith, dwudziestodwuletnia Murzynka mierząca sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu – a więc bardzo podobna do kobiety, której szczątki znaleźliśmy w lesie.

Dzięki temu zgłoszeniu Art znał adres Darlene Smith, wynajęte mieszkanie we wschodniej części Knoxville, niedaleko miejsca, w którym często pracowały prostytutki. Okolica nie należała może do szczególnie atrakcyjnych, ale za to była tania. Siostra Darlene wpuściła Arta do jej mieszkania i odszukała kopię umowy najmu. Art spryskał dokument ninhydryną, substancją chemiczną, która silnie reaguje z aminokwasami obecnymi w odciskach palców. Po chwili na kartce pojawiły się jasnioletowe smugi i odciski.

Art stwierdził, że ślady pozostawione zostały przez dwie pary rąk. Jedna z tych par należała do mężczyzny – właściciela mieszkania, o czym przekonał się wieczorem, pobrawszy jego odciski. Drugi zestaw śladów pozostawionych na umowie Darlene Smith pasował do rąk, które odciąłem od zwłok leżących w lesie przy Cahaba Lane.

Rankiem 27 października telefon zadzwonił ponownie. Policja właśnie znalazła w lesie czwartą ofiarę. Wezwałem Billa Granta i Lee Meadows, którzy pracowali ze mną poprzedniego dnia, oraz Emily

Craig, doktorantkę, która uświadomiła mi, czym różnią się kolana kaukazoidalne od negroidalnych. Razem pojechaliśmy ponownie na miejsce przestępstwa.

Czwarte ciało leżało w odległości około czterystu metrów na prawo od billboardu, na brzegu niewielkiego strumyka wypływającego z lasu. Szerokie i płaskie koryto strumienia przez większą część roku było suche, teraz jednak płynęła nim woda o głębokości kilku centymetrów.

Ciało uległo w znacznym stopniu rozkładowi, resztki tkanki zachowały się jedynie na nogach, pośladkach oraz lewej ręce i dłoni. Puste oczodoły czaszki ułożonej twarzą do góry pośród dębowych liści patrzyły na nas z niemym wyrzutem. Kręgosłup był całkowicie odsłonięty, leżały na nim jedynie pojedyncze liście i gałązki. Brakowało całej prawej ręki, prawdopodobnie odgryzionej przez psy. Lewa dłoń leżała jednak w korycie strumienia, przykryta wodą i mułem. Gdy odkopałem ją ostrożnie kielnią, stwierdziłem z miłym zaskoczeniem, że część tkanki okrywającej palce pozostała nietknięta.

Zapakowaliśmy szczątki do worka i przewieźliśmy je do uniwersyteckiego centrum medycznego. Najpierw zatrzymaliśmy się w szpitalu, gdzie za pomocą przenośnego aparatu rentgenowskiego sprawdziliśmy, czy w szczątkach nie kryją się pociski, ostrze lub jakiegokolwiek inne przedmioty, które mogłyby okazać się istotne dla śledztwa. W szkielecie obiektu 92–28 nie znaleźliśmy jednak niczego prócz metalowych wypełnień zębów. Następnie przejechaliśmy do Trupiej Farmy, gdzie ułożyliśmy worek na ziemi, otworzyliśmy go i zaczęliśmy oczyszczać szczątki.

Art Bohanan przyjechał za nami z Cahaba Lane. Wiedziałem, czego chce, ale tym razem mógł się rozczarować. Dysponowaliśmy tylko jedną dłonią, a do tego niekompletną. Brakowało całego kciuka, a także połowy palca wskazującego oraz środkowego. W całości zachował się jedynie palec serdeczny, mały palec oraz część wnętrza dłoni. Jeśli jednak ktokolwiek był w stanie zdjąć z gnijącej dłoni kompletne, umożliwiające identyfikację odciski palców, to właśnie Art.

Ponieważ szczątki były już w stanie niemal całkowitego rozkładu, potrzebowałem mniej czasu niż zwykle, by oczyścić kości i przygotować je do badania. Już w lesie, gdy zobaczyliśmy szkielet po raz pierwszy, wiedziałem, że należał do kobiety. Miednica wyglądała jak podręcznikowy przykład kobiecych kości: szersze biodra, podniesiony staw krzyżowo–biodrowy, szerokie wcięcie kulszowe i większy kąt łonowy – wszystkie elementy potrzebne do tego, by podczas porodu głowa dziecka przesunęła się przez miednicę. Czaszka również miała cechy charakterystyczne dla kobiety. Górne krawędzie oczodołów były ostre, broda spiczasta, a sklepienie czaszki gładkie i pozbawione śladów po zaczepekach dużych mięśni.

Określenie rasy również nie stanowiło problemu. Na ziemi obok czaszki znaleźliśmy włosy, które zsunęły się z czaszki; jasnobrązowe i lekko falowane. Zarówno włosy, jak i kształt ust – zęby ustawione pionowo, niewychylone do przodu – świadczyły o tym, że kobieta należała do rasy białej.

Aby ocenić wiek zmarłej, zbadaliśmy kilka różnych struktur kostnych: górną szczękę, obojczyki i miednicę. Podobnie jak w przypadku 92–27 kości miedniczne 92–28 były gęste i gładkie, innymi słowy, były to kości dojrzałej, lecz młodej kobiety, prawdopodobnie w wieku od dwudziestu pięciu do

trzydziestu pięciu lat. Jej obojczyki były w pełni dojrzałe: końce środkowe lub mostkowe kości zrosły się całkowicie z trzonami, to zaś oznaczało, że ofiara miała co najmniej dwadzieścia pięć lat. Z kolei szwy czaszkowe – łącznie z tymi w podniebieniu twardym, zwanymi szwami międzyszczękowymi – nie były jeszcze całkowicie zrosnięte. Zwykle szwy te zrastają się dopiero pod koniec czwartej dekady życia, więc górna granica wieku wynosiła w tym przypadku około trzydziestu pięciu lat. W sumie mogłem więc jedynie powiedzieć, że ofiara mogła liczyć od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat.

Można by pomyśleć, że skoro szkielet pozbawiony był jedynie ręki, to aby określić wzrost zmarłej, wystarczyło jedynie ułożyć szczątki na stole laboratoryjnym i zmierzyć je taśmą mierniczą. Niestety, nie jest to takie proste. Po śmierci chrząstki się rozkładają i kurczą, czasami nawet o kilka centymetrów. Poza tym czaszka nie była połączona z resztą ciała. Ze względu na te dwa problemy pomiar taśmą mierniczą byłby po prostu niedokładny.

Skorzystaliśmy więc z tej samej metody, której użylibyśmy w sytuacji, gdyby udało nam się odnaleźć jedynie kość udową. Zmierzyliśmy jej długość i wstawiliśmy do wzoru. Ta kość udowa była dłuższa niż poprzednia; mierzyła 47,8 milimetrów. To oznaczało, że 92–28 miała od stu sześćdziesięciu ośmiu do stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

Określiwszy wzrost zmarłej, zacząłem szukać śladów urazów, które mogłyby wskazywać na przyczynę jej śmierci. Niestety, choć przez wiele godzin przeszukiwaliśmy liście i ziemię, nie udało nam się znaleźć kości gnykowej, nie mogłem więc stwierdzić, czy została uduszona.

Jednakże inna kość wyjawiała nam pewną uderzającą – w dosłownym tego słowa znaczeniu – prawdę. W dolnej części lewej łopatki widniało duże pęknięcie. Łopatka to duża, wytrzymała kość, chroniona przez duże mięśnie. Pęknięcie musiało być wynikiem potężnego uderzenia – być może kopnięcia zadanego ciężkim butem, albo też ciosu wymierzonego kijem bejsbolowym lub grubą belką.

Kształt pęknięcia wskazywał na to, że uderzenie zadane zostało od tyłu. Kość nie nosiła również śladów gojenia, a więc została zadana tuż przed śmiercią ofiary. Innymi słowy, prawdopodobnie uciekała, kiedy morderca ją dogonił. Pamiętajcie, że była bosa, a jej oprawca z pewnością nosił buty. Rzucił ją na ziemię, a potem usiadł na niej i zabił ją.

Im dłuższy czas upłynął od śmierci, tym trudniej go określić, przynajmniej na podstawie szczątków kostnych. Ponieważ zwłoki uległy niemal całkowitemu rozkładowi, mogliśmy śmiało założyć, że choć 92–28 została znaleziona jako ostatnia, umarła jako pierwsza. Wziąwszy pod uwagę zaawansowany stan rozkładu, dzienne temperatury we wrześniu i październiku oraz stan tkanki miękkiej zanurzonej w wodzie – wiedziałem, że w tych warunkach rozkład postępuje dwa razy wolniej – uznałem, że 92–28 nie żyła od czterech do ośmiu tygodni. Był to dość szeroki przedział czasowy, który obejmował niemal cały wrzesień. Miałem jednak nadzieję, że analiza owadów i gleby pozwoli określić czas śmierci z większą precyzją.

Moja nadzieja okazała się uzasadniona. Analiza lotnych kwasów tłuszczowych wykonana przez Arpada pozwoliła zawęzić ten okres do przedziału od trzydziestu do trzydziestu siedmiu dni, co oznaczało, że kobieta została zamordowana w tygodniu między 22 i 29 września. Badania entomologiczne Haskella przyniosły niemal dokładnie ten sam wynik – między 22 a 26 września. Jeśli rzeczywiście zginęła pod koniec września – w okresie, na który wskazywały wszystkie trzy niezależne od siebie analizy – to odstępy między kolejnymi zabójstwami pasowały do wzorca, zgodnie z którym działa większość seryjnych zabójców, dokonujących zbrodni w coraz szybszym tempie; między pierwszym a drugim morderstwem upłynęły dwa lub trzy tygodnie, między drugim i trzecim kilka dni, a między trzecim i czwartym zaledwie dzień lub dwa.

Uzębienie tej ofiary, podobnie jak zęby Darlene Smith, nosiło ślady starannej opieki medycznej z czasów młodości i zaniedbań z ostatnich lat – innymi słowy, kolejne usta, którym przestało się dobrze wieść. W sześciu zębach znajdowały się wypełnienia, lecz w lewym dolnym siekaczu widniały dwa ubytki. Jeden był mały, drugi jednak ciągnął się od górnej powierzchni zęba aż w głąb jamy zębowej. W otworze tym prawdopodobnie znajdowała się kiedyś plomba, później jednak wypadła, a ząb stał się jeszcze bardziej podatny na próchnicę niż poprzednio. Infekcja sięgnęła samej szczęki, tworząc duży ropień na powierzchni kości. Kiedy wziąłem czaszkę do ręki, jeszcze na miejscu śmierci, zauważyłem, że dziura w zębie wypełniona została watą. Powiedziałem wtedy do Artu Bohanana:

– Bolał ją ząb, kiedy umarła.

Myślałem wówczas, że wacik pozostawił dentysta, który przygotowywał się do leczenia kanałowego. Później okazało się jednak, że nieszczęsna kobieta próbowała leczyć się sama za pomocą nietypowego środka przeciwbólowego: nim włożyła watę do zęba, nasączała ją kokainą. Drastyczne sytuacje wymagają drastycznych środków.

Podobnie jak w przypadku Darlene Smith, Art Bohanan użył swej magii i trafił w dziesiątkę. Resztką skóry, która pozostała na dłoni zmarłej, była nasączona wodą, przegniła i bardzo delikatna. Art nasączył ją alkoholem, by stwardniała i pozbyła się wilgoci. (Gdyby musiał poradzić sobie z całkiem odmiennym problemem – gdyby skóra była sucha i sztywna – nasączyłby ją środkiem do zmiękczenia tkanin; producentów zmiękczaczy ucieszyłaby zapewne informacja, że ich wyroby nadają miękkość i przyjemny zapach nawet zmumifikowanej ludzkiej skórze). Dłoń była jednak w tak fatalnym stanie, że udało mu się zdjąć tylko jeden odcisk, przy czym nie był to nawet odcisk palca, lecz fragment dłoni spod małego palca.

Nie był to może imponujący wynik, ale okazał się wystarczający. Częściowy odcisk dłoni pasował do odcisku z policyjnej kartoteki w Knoxville; należał do Susan Stone, lat trzydzieści, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Była prostytutką i kokainistką, a historia jej upadku zaczęła się jakieś siedem lat wcześniej, gdy wyszła za handlarza narkotyków. Nim została dziwką, pracowała w różnych normalnych zawodach. Jeszcze pół roku przed śmiercią była recepcjonistką w pewnej



firmie informatycznej. Gdyby trzymała się tej pracy, utrzymałaby się też przy życiu.

Schwywanie seryjnego zabójcy to tytaniczny trud, wymagający na każdym kroku pracy zespołowej. Identyfikacja ofiar morderstw, określenie czasu oraz przyczyny śmierci i przygotowanie materiału dowodowego, który zaprowadził policję pod drzwi Faceta z Zoo, wymagało połączonych wysiłków policji, antropologa sądowego, niezależnego naukowca i entomologa sądowego. Ta sprawa to najlepszy ze znanych mi przykładów takiej pracy zespołowej. Postawienie seryjnego zabójcy przed sądem to równie tytaniczna praca, która może ciągnąć się jeszcze długo po czasie, gdy ktoś został aresztowany i oskarżony o morderstwa. Ta historia również jest najlepszym ze znanych mi przykładów takiego przeciągania sprawy. Gdy moi koledzy i ja staraliśmy się wyciągnąć jak najwięcej materiałów dowodowych z ciał zmarłych kobiet, policjanci starali się wyciągnąć zeznania od Toma Huskeya.

Dwa tygodnie po aresztowaniu podejrzanego ich wysiłki zaczęły przynosić w końcu owoce i to w spektakularny sposób. Podczas serii przesłuchań Huskey przyznał się do zamordowania wszystkich czterech kobiet. Podczas gdy magnetofon zapisywał na taśmie wszystkie drastyczne szczegóły, Huskey opowiadał detektywom, jak wsunął jedno ciało (Patty Anderson) pod materac i zabrał naszyjnik i kolczyki – przedmioty, które policja znalazła w jego pokoju. Opisał również swoją ostatnią ofiarę jako czarnoskórą kobietę, która była wysoka, chuda i „brzydka”. Mówił, że się przestraszyła i dostała jakiegoś ataku, „rzucała się” po ziemi. Ten szczegół pasował do opisu historii choroby Patricii Johnson, której ciało uznałem za zbyt świeże, bym mógł je badać.

Wkrótce jednak nagrywane na taśmach sesje zaczęły przybierać dziwny obrót. Gdy zaczynało się nagranie, Tom Huskey mówił cicho, niemal potulnie. Po chwili jednak jego głos ulegał gwałtownej przemianie: przybierał na sile, stawał się agresywny, wyzywający – i należał do kogoś innego, innej osobowości o imieniu Kyle, niktzemnego alterego Huskeya. Kyle chwalił się, że to on, a nie Thomas, dokonał morderstw. Potem pojawił się trzeci głos, dystyngowany, z brytyjskim akcentem. Głos mówił, że jest Phillipem Daxxem, Anglikiem urodzonym w RPA, którego zadaniem było chronić Toma przed złym Kyle’em. Początkowo wydawało się, że sprawa Huskeya jest prosta, i że nic nie może go już uratować. Jednak pojawienie się tych dziwacznych głosów ogromnie skomplikowało sytuację. Na rzecz Huskeya działał jeszcze jeden bardzo istotny czynnik: najtwardszy obrońca, jakiego kiedykolwiek widziałem. Herb Moncier słynął w Tennessee ze swojej agresywnej taktyki, z gotowości do zażartej walki w imieniu swoich klientów.

Moncier natychmiast przeszedł do ofensywy. Słał wnioski za wnioskiem i domagał się unieważnienia zeznań Huskeya; chciał również, by proces odbył się w innym miejscu – twierdził, że relacje prasowe i telewizyjne uniemożliwiły przeprowadzenie sprawiedliwego procesu w Knoxville. Wnioskował również o to, by uznać Huskeya za niezdolnego umysłowo do czynnego udziału w procesie; domagał się, by sędzia wycofał się ze sprawy; żądał więcej czasu, kolejnych diagnoz

psychiatrycznych, więcej pieniędzy na obronę.

Przygnieciona zmasowanym ostrzałem wniosków sprawa morderstw stanęła w miejscu. Ja jednak byłem zbyt zaabsorbowany czym innym, by zauważyć, czy ława przysięgłych skazała Faceta z Zoo na śmierć, czy też pozwoliła mu żyć. Byłem zaabsorbowany inną, znacznie mi bliższą walką na śmierć i życie.

Przez dziesięciolecia pracowałem ramię w ramię ze śmiercią. Czułem się niemal tak, jakbym zakładał jakiś czarodziejski płaszcz nietykalności za każdym razem, gdy wchodziłem do ciemnej doliny. Mieliśmy umowę, kostucha i ja; szedłem jej śladami, a ona dawała mi spokój. Nasze stosunki były bliskie, ale czysto zawodowe. Nagle pewnego dnia zamieniły się w sprawę osobistą. Niestety, nie chodziło jej o mnie. Sięgnęła po osobę, która stała u mojego boku od czterdziestu lat.

Jesienią 1951 roku umysły większości młodych Amerykanów zajmowała wojna koreańska, a w szczególności bitwy o Bloody Ridge i Heartbreak Ridge. Jako świeżo upieczony absolwent Uniwersytetu Wirginii miałem wkrótce zostać wcielony do wojska. 15 listopada zgodnie z rozkazami zgłosiłem się do wojskowej komisji rekrutacyjnej w Martinsburgu, w Wirginii Zachodniej. Byłem jednym z około dwustu rekrutów, którzy stawali tego dnia przed komisją. Sierżant prowadzący rekrutację wyczytał pierwszych piętnaście nazwisk na liście – lista była alfabetyczna, więc moje nazwisko znajdowało się pod drugim lub trzecim numerem – i przydzielił nas do piechoty morskiej. Byłem załamany. Największe straty w ludziach podczas wojny koreańskiej ponosiła właśnie piechota morska, więc myślałem, że już po mnie.

Nieoczekiwanie zainterweniował porucznik. Zauważył w moich dokumentach, że skończyłem Uniwersytet Wirginii i że uczyłem matematyki oraz nauk ścisłych. Uznawszy, że jestem stosunkowo inteligentny (albo że nie nadaję się na komandosa), polecił sierżantowi, by przydzielił mnie do bardziej „naukowej i profesjonalnej” jednostki armii USA. Sierżant się sprzeciwił: porucznik obstawał przy swoim. Gdy sierżant nadal się spierał – na oczach kilkunastu rekrutów – porucznik przypomniał mu w końcu, kto z nich jest wyższy stopniem, i warknął: „To rozkaz, sierżancie”.

Byłem uratowany. Zamiast na Półwysep Koreański wysłano mnie do Wojskowego Laboratorium Badań Medycznych (Army Medical Research Lab, w skrócie AMRL) w Fort Knox w stanie Kentucky, gdzie pomagałem badać, jak hałas i drżenie – powodowane przez ciężarówki, czołgi i artylerię – wpływają na żołnierzy używających tych maszyn. Resztę wojny spędziłem w otoczeniu lekarzy, naukowców, atrakcyjnych pielęgniarek i ogłuszających, potężnych maszyn. Życie było piękne. Potem stało się jeszcze piękniejsze: poznałem porucznik Owen.

W Pentagonie pracowała stara przyjaciółka mojej matki, pułkownik Hilda Lovett, dietetyk odpowiadający za całą sieć szpitali wojskowych. Pułkownik Lovett obiecała mojej mamie, że zaopiekuje się mną, i dotrzymała słowa. Gdy dowiedziała się, że przydzielono mnie do AMRL, zaczęła szukać mi odpowiedniej dziewczyny. Jej wybór padł na młodą inteligentną dietetyczkę, która

szkoliła się w Szpitalu Wojskowym imienia Waltera Reeda; porucznik Mary Ann Owen. Porucznik Owen miała zostać wysłana do Fort Lee w Wirginii, jednak czy to za sprawą przypadku, czy też nacisków na najwyższych szczeblach władzy w Pentagonie, otrzymała nowe rozkazy i pojechała do Fort Knox. Ja otrzymałem inne rozkazy: miałem odwiedzić panią porucznik i dopilnować, by czuła się dobrze w nowym miejscu.

Pewnego jesienno popołudnia 1952 roku zjawiłem się o wyznaczonej porze pod drzwiami jej mieszkania. Jak zwykle przyszedłem za wcześnie, a Ann nie była u siebie; poszła pogawędzić z sąsiadką, inną dietetyczką. Kiedy usłyszała, że pukam do jej drzwi, natychmiast do mnie pobiegła. Gdy usłyszałem kroki i odwróciłem się, nie zobaczyłem porucznik Owen maszerującej w mundurze; ujrzałem dziewczynę o imieniu Ann w ślicznej czerwonej sukience. Gdy tylko zobaczyłem, jak biegnie w moją stronę, pomyślałem: „To jest dziewczyna, z którą się ożenię”.

I miałem rację. Niecały rok później pobraliśmy się w moim rodzinnym mieście w Wirginii, w obecności mojej mamy, ojczyma, hordy przyjaciół i krewnych oraz osoby, która nas wyswatała, pułkownik Hildy Lovett.

Przez następne czterdzieści lat Ann i ja budowaliśmy wspólnie życie. W sumie zdobyliśmy cztery stopnie naukowe i spłodziliśmy trzech synów. Życie nie zawsze nas rozpieszczało: między naszym pierwszym dzieckiem, Charliem, a drugim, Billym, Ann aż pięciokrotnie poroniła. W sumie jednak byliśmy zadowoleni, zapracowani i szczęśliwi.

Wielokrotnie się przeprowadzaliśmy – z Fort Knox do Lexington, potem do Filadelfii, Nebraski, Kansas i Tennessee. Spędziliśmy dwanaście letnich wakacji w Dakocie Południowej, gdzie zajmowałem się wykopywaniem martwych Indian Arikara spod ziemi, a Ann starała się nie dopuścić, by żywi Siuksowie trafili pod ziemię, i pomagała im walczyć z cukrzycą za pomocą lepszej diety. Nim się obejrzelśmy, nasi synowie dorośli, a w sierpniu 1990 urodziło się nasze pierwsze wnuczę. Zaczynał się nowy rozdział naszego życia. Nie skończył się jednak tak, jak tego oczekiwaliśmy ani jak chcieliśmy. Rok później Ann zachorowała.

Zaczęło się od bólu brzucha – najpierw sporadycznego, potem ciągłego. Ann poszła do naszego lekarza rodzinnego, który zrobił jej zdjęcie rentgenowskie brzucha. Radiolog zauważył coś, co wyglądało jak zator na samym skraju zdjęcia, w dolnej części układu pokarmowego, więc Ann pojechała do szpitala, wypita tę paskudną papkę barytową i poddała się fluoroskopii. Patolog powiedział nam, że to rak, i to zaawansowany: w trzecim stadium, co oznaczało, że prawdopodobnie rozprzestrzenił się już po innych częściach ciała.

Ann chciała z nim walczyć. Miała sześćdziesiąt lat, była jeszcze stosunkowo młodą kobietą, chciała zobaczyć kolejne wnuki, więc poddała się agresywnej chemioterapii. Znosiła ją bardzo źle, ale nie poddawała się i walczyła, dopóki nie było już za późno. W marcu 1993, osiemnaście trudnych miesięcy po tamtej pierwszej wizycie u lekarza, Ann zmarła.

Przez dziesięciolecia codziennie miałem do czynienia ze śmiercią, udawało mi się jednak

izolować od otaczającej mnie tragedii. Byłem naukowcem: dla mnie rozkładające się ciała i połamane kości były ciekawymi przypadkami, naukowymi łamigłówkami, intelektualnym wyzwaniem – niczym więcej. Nie oznacza to, że miałem serce z kamienia, że nie współczułem ludziom, którzy stracili swoich ukochanych; współczułem im, szczególnie rodzicom zamordowanych dzieci. Lecz to były tylko przemijające fale ubolewania. Teraz, gdy śmierć w końcu trafiła mnie w czuły punkt, tonąłem w oceanie żalu.

Sprawa Faceta z Zoo ciągnęła się przez cały okres choroby Ann i znacznie dłużej, lecz proces o zabójstwa nadal nie mógł się rozpocząć. Tymczasem na policję zgłaszały się inne kobiety, które twierdziły, że Huskey na nie napadł. Pod koniec 1995 i w 1996 roku Huskey odpowiadał przed sądem za serię brutalnych gwałtów dokonanych w latach 1991–1992.

Moncier przegrał tę sprawę, a o ile dobrze pamiętam, była to jedna z jego nielicznych porażek w tak głośnym procesie. Huskey został uznany za winnego licznych gwałtów, kradzieży oraz porwań i skazany na sześćdziesiąt sześć lat więzienia. Jednak sprawa morderstw nadal tkwiła w miejscu, skutecznie powstrzymywana przez niezliczone wnioski i manewry Monciera. W końcu w styczniu 1999 roku – ponad sześć lat po tragicznej śmierci czterech kobiet znalezionych przy Cahaba Lane – zaczęto dobierać ławę przysięgłych do procesu o morderstwa. Moncierowi nie udało się przenieść procesu do innego miasta; zdołał jednak przekonać sąd, by sprowadził przysięgłych z innych okolic. Liczył, że dzięki temu będą wolni od uprzedzeń, jakich mogli nabrać za sprawą relacji przedstawianych w prasie i telewizji Knoxville.

Najpierw wybrano grupę trzystu czterdziestu potencjalnych przysięgłych, potem zmniejszono ją do sześćdziesięciu. Niektórzy z wybranych chcieli koniecznie, by zwolniono ich z tego obowiązku, inni równie mocno pragnęli brać udział w procesie. Prokurator okręgowy Randy Nichols zasugerował, że będzie domagał się kary śmierci, zrezygnowano więc także z tych kandydatów, którzy byli zdeklarowanymi przeciwnikami kary głównej. Po kilku tygodniach przesłuchań prowadzonych w Nashville przez oskarżenie i obronę, wybrano dwunastu przysięgłych oraz czterech zastępców, kazano im się spakować i zawieziono ich do Knoxville. Przez następne dwa tygodnie spędzali całe dni na sali sądowej, a noce w hotelu niedostępnym dla ludzi z zewnątrz.

26 stycznia 1999 rozpoczął się w końcu proces o morderstwa popełnione przez Faceta z Zoo. Podstawą oskarżenia były zeznania złożone przez samego Huskeya, w których szczegółowo opisał poszczególne zabójstwa. Zeznania nie pozostawiały wątpliwości, że Huskey – czy też Kyle, jak mówił o sobie danego dnia – udusił cztery kobiety, lecz te same nagrania dawały też silne argumenty obronie. Trzy głosy i imiona odtwarzane wielokrotnie na sali sądowej mogły łatwo przekonać postronnych słuchaczy, że Facet z Zoo był naprawdę szalony. Moncier powołał licznych świadków, od psychiatry i psychologa – obaj stwierdzili, że Huskey cierpi na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości – po pracowników z więzienia okręgowego hrabstwa Knox, którzy zeznali, że rozmawiali z nikczemnym

alter ego Huskeya, Kylem. Co ciekawe, matka Huskeya zaprzeczyła, by wiedziała cokolwiek o Kyle'u lub Daxxie. Tom był zawsze Tomem, mówiła. To wszystko: nie było tam nikogo innego.

Obrona nie kwestionowała mojej analizy pęknięcia łopatki. Inaczej przedstawiała się sprawa kości gnykowej. Obrazy mikroskopowe nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że kość została złamana, Moncier kwestionował jednak moją tezę, że wskazuje to na uduszenie. Powołał własnego eksperta, patologa z Atlanty – który był lekarzem, owszem, ale nie certyfikowanym. Patolog stwierdził, że być może na kość nastąpił jeleń, który ją złamał. Moncier dopytywał mnie, czy to możliwe. Cóż, wszystko jest możliwe. Niewykluczone, że na kości wylądował marsjański statek kosmiczny, ale jedynym wyjaśnieniem, które podpowiadały zarówno zdrowy rozsądek, jak i analiza kości, było uduszenie.

Sam proces trwał dwa tygodnie, potem zaczęła się narada ławy przysięgłych. Narada ciągnęła się przez cały dzień, potem drugi i trzeci. W końcu przysięgli poinformowali, że wszyscy zgadzają się co do tego, iż Huskey zabił trzy z czterech kobiet znalezionych przy Cahaba Lane. W przypadku czwartego morderstwa jedenastu przysięgłych było przekonanych o jego winie, lecz dwunasty nie wykluczał, że zabójstwo miało miejsce już po aresztowaniu Huskeya 22 października. (Choć analiza entomologiczna Neala Haskell wskazała, że morderstwa dokonano 21 lub 22 października, Moncier bezustannie odwoływał się do mojej luźnej uwagi, że Patricia Johnson prawdopodobnie nie żyje od „paru dni”). Pomimo licznych argumentów i nacisków ze strony pozostałych przysięgłych, dwunasty uparcie trwał przy swoim zdaniu.

Ostatecznie okazało się jednak, że główną przeszkodą nie jest kwestia winy lub niewinności Huskeya, lecz jego poczytalności. Po trzydniowych naradach przysięgli podzielili się na trzy grupy: pięć osób uważało, że Huskey jest zdrowy na umyśle i powinien odpowiedzieć za morderstwa; cztery osoby uważały, że jest szalony, a trzy pozostałe nie mogły się zdecydować. W końcu, piątego dnia przysięgli powiadomili sędziego, że znaleźli się w impasie.

Po sześciu długich latach śledztwa, po tysiącach godzin różnego rodzaju analiz i prawniczych zmaganiach, które pochłonęły pół miliona dolarów, sędzia Richard Baumgardner uznał proces za nierozstrzygnięty. Dla policji, oskarżenia i rodzin ofiar był to bolesny cios. Okazało się jednak, że czeka ich jeszcze większe rozczarowanie. W lipcu 2002 sędzia Baumgardner – działając na podstawie wniosku obrony – zakazał korzystania z zeznań złożonych przez Huskeya. Dwukrotnie podczas przesłuchań – w dniu aresztowania i tydzień później – Huskey poprosił o spotkanie z prawnikiem, lecz śledczy z biura szeryfa hrabstwa Knox oraz TBI nadal go przesłuchiwali.

W chwili gdy piszę te słowa, ponowny proces Toma Huskeya o zabójstwo czterech kobiet został przełożony – znów – a sąd apelacyjny uchylił część wcześniejszych wyroków dotyczących gwałtów oraz porwania i zmniejszył karę do czterdziestu czterech lat więzienia. Niektórzy prawnicy twierdzą, że proces o morderstwa być może w ogóle nie dojdzie do skutku, jeśli zeznania Huskeya zostaną wyłączone z materiału dowodowego. Młyny sprawiedliwości mielą powoli... a czasami całkiem się zatrzymują. Z drugiej jednak strony, człowiek, który przyznał się do zabicia czterech kobiet, pozostaje

za kratkami, przynajmniej na razie, i ma tam pozostać jeszcze przez czterdzieści lat. Jedyne ciała, które znaleziono przy Cahaba Lane w ciągu tych minionych dziesięciu lat, należały do kilku pechowych wiewiórek. Jednak przy Magnolia Avenue pracuje już nowe pokolenie kobiet. Ciekaw jestem, ile z nich słyszało o Facecie z Zoo. Ciekaw jestem, czy są świadome, jak łatwo je skrzywdzić. I zastanawiam się, czy ta świadomość mogłaby im w czymkolwiek pomóc.

## W nieznanym kierunku

Dzwonek telefonu brutalnie wdarł się w ciszę. Był lipiec, uniwersytet świecił pustkami. W opuszczonych korytarzach budynku pod trybunami Neylad Stadium panował półmrok. Większość studentów i pracowników wyjechała w maju i miała powrócić dopiero pod koniec sierpnia. Co zrozumiałe, wykorzystywali każdą okazję, by wyrwać się z trzewi stadionu. Tymczasem ja spędzałem niemal całe dni w moim ciemnym, zakurzonym gabinecie. Od śmierci Ann minęło już kilka miesięcy, lecz nadal nie mogłem znieść pustki panującej w naszym domu. W pracy otaczało mnie mnóstwo ludzi. Większość z nich co prawda nie żyła, ale ich obecność i tak dodawała mi otuchy. Niegdyś podzielili się ze mną swoimi historiami i znaleźli sobie miejsce w moim życiu: byli towarzyszami, którzy nigdy mnie nie opuszczą. Poza tym wiedziałem, że wcześniej czy później ktoś zadzwoni do mnie z jakąś interesującą sprawą. Kiedy więc rozległ się dzwonek telefonu, natychmiast sięgnąłem po słuchawkę.

Dzwoniła moja sekretarka Donna, której biuro znajdowało się, całkiem dosłownie, w odległości stadionu futbolowego od mojego prywatnego sanktuarium wciśniętego głęboko pod wschodnie trybuny. Zapowiedziała, że połączy mnie za moment z kapralem Jamesem J. Kelleherem z policji stanowej New Hampshire.

– Halo, mówi doktor Bass – przemówiłem do słuchawki. Kapral Kelleher przedstawił się. Wyjaśnił, że pracuje w wydziale ciężkich przestępstw, i że prowadzi właśnie śledztwo w sprawie, w której mogło dojść do zabójstwa. Przeczytał o mnie w książce Kości autorstwa Douga Ubelakera, mojego byłego studenta, który obecnie pracował w Instytucie Smithsona. (Jedną z rzeczy, która sprawia mi ogromną przyjemność, gdy spoglądam wstecz na swoją karierę, jest fakt, że trzech spośród antropologów fizycznych pracujących w Instytucie Smithsona – Ubelaker, Doug Owsley i Dave Hunt – byli moimi doktorantami, i że należałem do komisji przewodu doktorskiego czwartego z nich, Dona Ort nera).

Kelleher zaczął opisywać swoją sprawę, a ja sporządzałem notatki. Na podwórku w Alexandrii, małej smutnej osadzie w środku stanu, znaleziono garstkę spalonych fragmentów kości. Lekarz sądowy uważał, że to kości psa, lecz Kelleher przypuszczał, że należały do człowieka. Jeśli miał rację – jeśli rzeczywiście były to ludzkie szczątki – chciał poznać tożsamość zmarłej osoby, a jeśli to

możliwe, także przyczynę śmierci. Na koniec kapral zapytał, czy mogę mu pomóc.

– Myślę, że tak – odparłem. – Na pewno mogę spróbować.

Sześć dni później dostałem starannie opakowaną paczkę; pod grubą warstwą papieru i folii bąbelkowej znajdowało się pudełko zawierające fragmenty kości – setki niemal zupełnie spalonych odłamków. W ciągu swej dotychczasowej kariery badałem już dziesiątki spalonych ciał i tysiące spalonych kości; wydobywałem je z popiołów wypalonych samochodów, domów, a nawet ze zgliszcz wytwórni sztucznych ogni. Lecz poza szczątkami z krematorium nigdy jeszcze nie widziałem kości zniszczonych aż do tego stopnia.

Niemal każda sprawa kryminalna jest naukową układanką, mówiąc w przenośni. Ta była układanką w całkiem dosłownym znaczeniu. Paczka zawierała w sumie czterysta siedemdziesiąt pięć fragmentów kości, przy czym niektóre miały rozmiary ziarnka grochu. Ułożenie z tych drobiazgów czegoś, co choćby w zarysie przypominałoby ludzki szkielet, wymagało co najmniej kilku dni żmudnej pracy.

Zaniósłem paczkę na dół, do laboratorium kostnego, które mieści się w podziemiach stadionu. Laboratorium zapewniało dość przestrzeni do pracy, dobre oświetlenie i solidny zamek w drzwiach, który skutecznie powstrzymywał nieproszonych gości. Oczyszczywszy jeden ze stołów w pobliżu okien, przykryłem blat szarym papierem do pakowania i przykleiłem go taśmą w kilku miejscach. Następnie wypisałem mazakiem nazwy głównych części ciała – czaszka, ręce, żebra, kręgosłup, miednica, nogi – w ich normalnym anatomicznym położeniu. Posortowanie fragmentów kości według odpowiednich elementów miało mi ułatwić układanie tych zwęglonych szczątków, które niegdyś były ludzką istotą.

Przez kilka następnych dni pracowałem nad rekonstrukcją układanki naturalnych rozmiarów. Praca była wymagająca, nużąca i trudna: stanowiła dokładnie taki rodzaj naukowego wyzwania, jaki lubię najbardziej. Niektóre części okazały się stosunkowo łatwe.

Znalazłem cztery fragmenty prawej kości udowej, szczątki obu rzepek, kilkadziesiąt kawałków żeber i trzy uszkodzone kręgi. Jednak gdy wyjąłem i ułożyłem już wszystkie duże, oczywiste fragmenty, zostały mi jedynie setki maleńkich, trudnych cząstek. „To wyzwanie” – przypomniałem sobie w myślach. – „Zawsze powtarzasz, że lubisz wyzwania. Na przyszłość uważaj, co mówisz”.

Fragmenty pochodziły z wszystkich głównych części ciała – wszystkich prócz jednej, jak uświadomiłem sobie po jakimś czasie. Pośród czterystu siedemdziesięciu pięciu odłamków nie mogłem znaleźć ani jednego kawałka czaszki. Nie znaczy to, że ich tam nie było – ponad połowa spalonych drobin była tak mała i bezkształtna, że nie dało się przyporządkować ich do żadnej kości. Mimo to puste miejsce u góry schematu wyrysowanego na szarym papierze wydawało się być wynikiem czegoś więcej niż zwykłego zbiegu okoliczności. Co gorsza, oznaczało to również, że nie będę w stanie określić, kim była ta osoba ani jak umarła.

Po dziesięciu dniach, które spędziłem głównie na rozmyślaniu i drapaniu się w głowę, dotarła do



mnie kolejna paczka od Jima Kellehera, mniejsza od pierwszej, ale równie starannie opakowana. Zawierała duży, stosunkowo dobrze zachowany fragment kości, w którym od razu rozpoznałem trzon lewej kości udowej człowieka, szklaną fiolkę z ponad sześćdziesięcioma małymi odłamkami kości, oraz jeszcze jedną kość, tym razem nie spaloną, lecz pokrytą śladami zębów. Jakies zwierzęta, prawdopodobnie psy, odgryzły górną część, dolna została odłamana. W odróżnieniu od pozostałych kości ta z pewnością nie należała do człowieka. Wybrałem się z wizytą do jednego z moich kolegów, archeologa i zoologa Waltera Kippela. Walter natychmiast rozpoznał w pogryzionym odłamku kość piszczelową z tylnej nogi jelenia wirgińskiego.

Keheller poinformował mnie, że pierwsza partia spalonych szczątków została znaleziona 2 lipca w przydomowym palenisku, w którym palono chrust i śmieci. Szczątki z drugiej paczki odkryto 12 lipca, rozrzucone wzdłuż leśnej drogi za domem.

Niestety, nadal nie otrzymałem czaszki ani zębów, to zaś oznaczało, że prawdopodobnie nie będę w stanie zidentyfikować tych szczątków. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że na którejś z większych kości znajdę ślady zaleczonego złamania, które będzie można porównać ze zdjęciami rentgenowskimi wykonanymi za życia wytypowanej osoby. Wydawało się jednak, że w tym wypadku nie powinienem liczyć na tyle szczęścia.

Mimo to kości, choć spalone i rozczłonkowane, zawierały informacje, które mogły przydać się Kelleherowi. Jednym ze stosunkowo dobrze zachowanych fragmentów była głowa kości ramiennej, kuli znajdującej się na końcu ręki, która łączy ją z barkiem. Za pomocą suwmiarki zmierzyłem średnicę głowy. W latach siedemdziesiątych T. Dale Stewart – antropolog z Instytutu Smithsona, który dzięki bliskiej współpracy z FBI w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dał początek nauce zwanej antropologią sądową – przeprowadził dokładne badania rozmiarów głowy kości ramiennej mężczyzn i kobiet. Z badań tych wynikało, że jeśli głowa ma ponad czterdzieści siedem milimetrów średnicy, z pewnością należy do dorosłego mężczyzny. Wartości sięgające od czterdziestu czterech do czterdziestu sześciu milimetrów mogą wskazywać zarówno na kobietę, jak i mężczyznę. Średnica mniejsza od czterdziestu trzech milimetrów jednoznacznie wskazuje na kobietę. Głowa leżącej przede mną kości mierzyła czterdzieści dwa milimetry, co oznaczało, że nasza tajemnicza ofiara była kobietą. Potwierdzał to również charakterystyczny kształt kości miednicznej.

Ile miała lat, kiedy umarła? Określenie wieku jest proste, jeśli możemy zbadać spojenie łonowe. Niestety – tu także nie dopisało nam szczęście – nie miałem kości zawierających to spojenie. Musiałem więc polegać na kilku innych mniej precyzyjnych wyznacznikach wieku. Na podstawie faktu, że końcówki (nasady) wszystkich jej kości zrosły się z trzonami, mogłem stwierdzić, że przestała już rosnąć. Wiedziałem już więc, że była dorosłą kobietą. Mogłem również stwierdzić, że nie była staruszką, bo na jej kręgach widniały tylko niewielkie wyrośla kostne, które zaczynają się pojawiać na przełomie czwartej i piątej dekady życia. Powierzchnia innej kości, zwanej kością guziczną lub ogonową, wskazywała na przedział wiekowy od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu

lat.

Właściwie były to wszystkie informacje, jakie mogłem przekazać Kelleherowi. Nie potrafiłem nawet określić rasy zmarłej kobiety.

– Szkoda, że nie mamy czaszki – powiedziałem mu przy kolejnej rozmowie.

Piętnaście miesięcy później moje życzenie się spełniło. Pewnego zimnego październikowego wieczora 1994 roku wysiadłem z samolotu na smagane wiatrem lotnisko w Manchester w stanie New Hampshire. Kelleher czekał na mnie w budynku terminala, pomógł mi odebrać walizkę, a potem zawiózł mnie do hotelu w Concord, stolicy stanu. Następnego ranka zabrał mnie do laboratorium kryminalistycznego w piwnicach Komendy Głównej Policji Stanu New Hampshire.

Piwnice: Dlaczego laboratoria kryminalistyczne i prosktoria zawsze mieszczą się w podziemiach? Dlaczego nie na najwyższym piętrze, z wielkimi oknami wychodzącymi na miasto lub las? Fakt, że niektórzy z nas lubią oglądać martwe ciała i kości, nie oznacza jeszcze, że nie chcielibyśmy nacieszyć oczu jakimś miłym widokiem za oknem. Ale odchodzę od tematu.

W końcu uśmiechnęło się do nas szczęście. Kilka dni wcześniej robotnicy wycinający krzewy wzdłuż drogi w Alexandrii znaleźli foliową torbę na śmieci wrzuconą w trawę. W środku znajdowała się ludzka czaszka wraz z kilkoma innymi kośćmi. Niektóre, łącznie z czaszką, były lekko nadpalone, inne wydawały się nietknięte.

Porównanie uzębienia czaszki ze zdjęciami rentgenowskimi potwierdziło to, co Jim Kelleher podejrzewał już od jakiegoś czasu: zmarłą kobietą była Sheilah Anderson, biała kobieta w wieku czterdziestu siedmiu lat, która zaginęła przed szesnastoma miesiącami. Kiedy przez kilka dni z rzędu dorosła córka pani Anderson nie mogła się z nią skontaktować, zadzwoniła na policję i zgłosiła jej zaginięcie. Było to w czerwcu 1993, na dwa tygodnie przed tym, jak znaleziono pierwszą partię spalonych kości. Dlatego właśnie Kelleher poprosił mnie, bym sprawdził, czy szczątki rzeczywiście należały do psa, jak stwierdził lekarz sądowy. Mąż Sheili Jim Anderson, były policjant z Nowego Jorku, który odszedł ze służby w podejrzanych okolicznościach, powiedział śledczym, że jego żona po prostu odeszła pewnego dnia. Wyjechała, jak twierdził, w nieznanym kierunku.

Córka Sheili nie do końca wierzyła w opowieść swego ojczyma – podobnie jak policja stanowa, szczególnie po nieudanej próbie samobójczej Jima Andersona, która miała miejsce kilka dni po zniknięciu jego żony. Umieszczono go w szpitalu psychiatrycznym na obserwacji.

2 czerwca, w dniu, w którym miał zostać zwolniony, córka Sheili wybrała się wraz z policjantem do domu po czyste ubrania dla Jima. Kiedy była już na miejscu, postanowiła się trochę rozejrzeć. Na tyłach budynku, pod lasem, znalazła nadpaloną tenisówkę, która należała do jej matki.

Towarzyszący jej policjant zaczął wtedy dokładniej przeszukiwać okolice domu. Na frontowym podwórku znalazł popiół pozostały po stercie chrustu i śmieci, które Jim Anderson palił kilka tygodni wcześniej. Gdy zaczął rozgrzebywać popielisko, znalazł fragmenty kości – w sumie czterysta

siedemdziesiąt pięć odłamków, które trafiły później do mojego laboratorium. W tym właśnie momencie Jim Anderson wrócił do domu ze szpitala psychiatrycznego. Gdy zobaczył policjanta wyciągającego kości z popiołu, natychmiast zaczął pić. Wódkę za wódką.

Dziesięć dni później policja znalazła drugą partię kości – trzon kości udowej, piszczel jelenia i kilkadziesiąt drobnych fragmentów – rozrzuconych w lesie, w pobliżu miejsca, gdzie córka Sheili znalazła jej but. Dopiero po długiej, piętnastomiesięcznej przerwie odnalazła się ostatnia, najważniejsza część ciała, czyli czaszka. Dzięki temu Kelleher nie potrzebował już mojej pomocy, aby ustalić tożsamość ofiary, zdjęcia rentgenowskie pozwoliły mu tego dokonać w ciągu kilku godzin od chwili, gdy robotnicy znaleźli w trawie worek na śmieci. (Na kręgosłupie wciąż wisiał naszyjnik Sheili, dowód, który przekonałby największego niedowiarka).

Pokonałem 1600 kilometrów dzielących Knoxville od stolicy stanu New Hampshire, by określić, na ile to tylko możliwe, przyczynę śmierci Sheili Anderson. Wystarczyło jedno spojrzenie na czaszkę, bym zrozumiał, że nie przyjechałem tam na darmo. Tylna część czaszki była nadpalona, ale tylko w niewielkim stopniu. Mniej więcej w połowie wysokości, na prawo od linii środkowej, widniał okrągły otwór wielkości srebrnej monety jednodolarowej. Widziałem podobne otwory wielokrotnie: taki ślad pozostaje po bardzo silnym uderzeniu młotkiem w czaszkę. Cios nie tylko wypchnął fragment kości, lecz pokrył całą kość siecią rozchodzących się promieniście pęknięć.

We wnętrzu osmolonej czaszki, wokół otworu widniała nieregularna ciemna plama. Była to krew, która wypłynęła z rany, a potem ugotowała się w ogniu. Obecność krwi świadczyła o tym, że uraz czaszki nie mógł powstać w chwili, gdy torba na śmieci została wrzucona w trawę. Rany zadane po śmierci nie krwawią, gdy krew już stężeje, a ciało ulegnie stężeniu pośmiertnemu. Sheilah Anderson została zabita, a potem spalona.

Twarz czaszki nie była osmolona, lecz popękana; wypadły z niej trzy przednie zęby, wierzchołki obu kości nosowych były popękane, a żuchwa złamana w trzech miejscach. Właśnie takie obrażenia odniosłaby kobieta, która została uderzona od tyłu młotkiem, a potem upadła twarzą na podłogę piwnicy lub na drogę.

Tym, czego nie spodziewałem się zobaczyć, były urazy innych kości wydobytych z worka na śmieci. Kręgi piąty, szósty i siódmy nosiły ślady cięcia jakimś dużym, tęnym narzędziem. Kiedy złożyłem razem kręgi szyjne i piersiowe tak, jak musiały być ułożone za życia kobiety, ujrzałem zdumiewające i przerażające obrażenia: całkiem spory fragment kręgosłupa został odcięty od żeber. Żebra po prawej stronie zostały ucięte tuż przy kręgosłupie, zaś te po lewej nieco dalej, około pięciu centymetrów od kręgów. Większość kości w górnej części rąk została wyłamana, zaś nogi odcięte od miednicy w stawach biodrowych.

Kostna układanka nadal nie była kompletna. Pocieszałem się jednak myślą, że robię postępy: dopasowując nowe części do starej układanki, przekonałem się, że jeden z zachowanych fragmentów – proksymalny koniec kości promieniowej (koniec jednej z kości przedramienia bliższy łokciowi) –

pasował idealnie do nadpalonego fragmentu kości promieniowej, który otrzymałem wcześniej od kaprala Kellehera. Jeden z nowych fragmentów kości udowej pasował do trzonu kości udowej, który znalazł się w drugiej paczce wraz z innymi odłamkami znalezionymi za domem. (Ten sam trzon kości udowej dostarczył materiału DNA, który potwierdził identyfikację przeprowadzoną na podstawie zdjęć rentgenowskich uzębienia). Choć niektóre szczegóły nadal pozostawały niejasne – bardzo niejasne – jedna sprawa była całkowicie jasna: wszystkie trzy partie kości znalezione w trzech różnych miejscach w ciągu piętnastu miesięcy należały do Sheili Anderson, kobiety, która zdaniem jej męża wyjechała w nieznanym kierunku.

Okazało się jednak, że nieznanym był jej los, a nie kierunek, w którym wyjechała. A właściwie byłby nieznanym, gdyby Kelleher nie okazał się tak uparty. Była to jedna z najdziwniejszych spraw, z jakimi miałem do czynienia, a jeden z jej najbardziej kuriozalnych aspektów stanowił fakt, że Jim Anderson gotów był zabić i rozczłonkować swoją żonę... ale nie chciał złamać przepisu zakazującego palenia ognisk bez zezwolenia! Uzyskał więc zgodę na spalenie śmieci 12 czerwca; wiemy z całą pewnością, że palił wówczas ogień na podwórku, bo szef straży pożarnej z Alexandrii przejechał obok jego domu, by się upewnić, że wszystko jest pod kontrolą.

Wyobraźcie sobie tylko tę scenę: zbrodniczy mąż pali ciało swojej żony na podwórku, uśmiechając się i machając do przejeżdżającego obok szefa straży pożarnej. Gdyby jakiś scenarzysta zaproponował taką historię hollywoodzkiemu studiu, zostałby pewnie wyśmiany. Nie do śmiechu było jednak kapralowi Kelleherowi i prokurator Janice Rundles. Czy przysięgli z New Hampshire uwierzą w tak przedziwny scenariusz?

Podczas lotu powrotnego do Knoxville zastanawiałem się, czy z kości można by odczytać jeszcze jakieś dodatkowe informacje, które wzbogaciłyby materiał dowodowy. Powiedziałem już Kelleherowi i Rundles wszystko, co sam mogłem z nich wyczytać. Jedynym człowiekiem, który mógł jeszcze wydobyć cokolwiek z tych pociętych, zniszczonych kawałków, był Steve Symes, mój były student, a obecnie wielce poważany kolega po fachu. Po powrocie do Knoxville zadzwoniłem do Steve'a, by zaproponować mu spotkanie w bardzo nietypowym trójkącie: Czy mógłby wyrwać się na weekend i spędzić ten czas w górskiej chacie ze mną i Sheilą Anderson? Powiedział, że może. Umówiliśmy się na schadzkę w Parku Stanowym Montgomery Bell.

Montgomery Bell leży w połowie drogi między moim gabinetem w Knoxville i prosektorium Steve'a w Memphis, w odległości 600 kilometrów. Łagodne wzgórza porośnięte dębami i hikorami otaczały malownicze jezioro obfitujące w ryby („Zakaz połowu okoni poniżej 40 cm”

– ostrzegał znak ustawiony na brzegu jeziora). Na półwyspie stał pięciopiętrowy hotel z kamienia, zaś na zboczu wzgórza posadowiono sześć domków letniskowych. Zamieszkaliśmy w jednym z nich, z pięknym widokiem na okolicę. Blask słońca oświetlał kuchenny stół, na którym ułożyliśmy spalone i połamane kości Sheili Anderson. Analiza kości z malowniczym widokiem w tle.

Rozczłonkowanie ciała Sheili było jedną z najtrudniejszych i najbardziej zagadkowych spraw,

z jakimi Steve i ja mieliśmy kiedykolwiek do czynienia. Sądząc po pęknięciach w kościach rąk i nóg, jej kończyny zostały usunięte w brutalny, siłowy sposób. Jednak miednicę, żebra i kręgosłup rozcięto za pomocą jakiegoś ostrego narzędzia.

Steve, podobnie jak i ja przy pierwszych oględzinach, zwrócił uwagę na znaczące różnice w stanie kości. Fragmenty znalezione na podwórku w 1993 roku były spalone w znacznie większym stopniu niż te, które odkryto po kilku dniach na tyłach domu oraz ponad rok później w worku przy drodze. Steve wysunął przypuszczenie, że szczątki zostały spalone w dwóch etapach; najpierw morderca włożył całe ciało do ogniska, które widział szef straży pożarnej w czerwcu 1993 roku. Gdy okazało się, że ogień nie strawił wszystkiego, czaszka oraz inne części zostały usunięte i rozrzucone – niektóre za domem, niektóre przy drodze – zaś pozostałe fragmenty ponownie trafiły do ogniska, gdzie uległy niemal całkowitemu spaleniu.

Ogień zniszczył ślady cięcia na kościach z pierwszej grupy, lecz takie same uszkodzenia widoczne były na nietkniętych lub tylko częściowo spalonych fragmentach szkieletu z pozostałych dwóch grup. W odróżnieniu od szczątków innych poćwiartowanych ofiar, te kości nie nosiły żadnych śladów świadczących o niezdecydowaniu oprawcy, o nieudanych czy też wielokrotnych próbach cięcia. Zostały przecięte z wielką siłą, bardzo ostrym narzędziem. Morderca nie piłował ich, lecz odrąbywał, w większości wypadków jednym zdecydowanym uderzeniem. Narzędzie zbrodni było na tyle ostre, że miejscami odcinało gładko fragmenty kości – na przykład fragment jednego z kręgów – a zarazem dość ciężkie, by przepołować tak duże elementy jak kości biodrowe i udowe.

Prawdę mówiąc, żaden z nas nie wiedział, co myśleć o tym przypadku. Ślady na pociętych kościach twarzy również były dziwne. Ich kształt wskazywał na to, że zostały wykonane zakrzywionym ostrzem. Fakt ten sam w sobie nie był szczególnie dziwny, bo wiele narzędzi ogrodniczych ma zakrzywione ostrza, lecz w tym wypadku mieliśmy do czynienia z kształtem zaokrąglonym znacznie mocniej niż krawędź jakiegokolwiek znanej nam siekiery czy łopaty. Gdyby przedłużyć ów łuk i wrysować go w koło, miałoby ono około siedmiu centymetrów średnicy. Biorąc pod uwagę wielką siłę potrzebną do przecięcia kości, zastanawialiśmy się, czy narzędziem tym nie była specjalna łopata do kopania dołów pod słupy, którą morderca uderzał z góry i na którą napierał własnym ciałem – lecz nawet ostrze tego typu łopaty nie jest aż tak mocno zakrzywione.

Przez cały sobotni ranek i połowę popołudnia przyglądaliśmy się śladom cięcia, wysuwaliśmy różne hipotezy dotyczące narzędzia zbrodni, a potem wspólnie je odrzucaliśmy. Późnym popołudniem ktoś zapukał do drzwi. Kiedy je otworzyłem, stanąłem twarzą w twarz z leśnikiem. „Oho” – pomyślałem – „Będą kłopoty”. Starąłem się ustawić tak, by zasłonić własnym ciałem kości rozłożone na stole.

Wizyta leśnika rzeczywiście oznaczała kłopoty, choć niezwiązane wcale z faktem, że wykorzystywaliśmy domek letniskowy jako laboratorium sądowe. Jak wyjaśnił nasz niespodziewany

gość, dzwonił do mnie ktoś z Knoxville, a sprawa wydawała się pilna. Pozostawiwszy Steve'a z kośćmi, pospieszyłem do hotelu. Dzwoniła Dot Weaver, przyjaciółka, która opiekowała się moją dziewięćdziesięcioletnią mamą. Gdy oddzwoniłem, poinformowała mnie, że mama doznała właśnie kilku małych wylewów i została przewieziona do szpitala.

Powiedziałem Steve'owi, że będziemy musieli skończyć wcześniej nasze spotkanie. I tak nie mogłem już powiedzieć nic więcej o pociętych szczątkach. Obejrzelśmy raz jeszcze zmasakrowane kości Sheili Anderson, po czym zebraliśmy je ze stołu i zapakowaliśmy. Obaj mieliśmy nadzieję, że Janice Rundles, nowa prokurator stanowa New Hampshire, nie będzie musiała polegać jedynie na ogólnikowych wynikach naszych badań, by wygrać sprawę przeciwko Jimowi Andersonowi. Na szczęście nie było takiej potrzeby: tuż przed procesem Anderson – niegdyś nowojorski policjant – przyznał się do zamordowania swojej żony. Wkrótce po uwięzieniu wziął za zakładnika jednego ze strażników, przetrzymywał go przez kilka godzin i dotkliwie pobił. Może pewnego dnia powie, jakiego narzędzia użył do poćwiartowania żony.

Moje weekendowe spotkanie ze Steve'em nie przyniosło rezultatów, na które liczyłem, ale tak to już bywa z tego rodzaju sprawami: jedyne, co można zrobić, to uważnie oglądać dowody i słuchać kości. Kości nie zawsze opowiadają całą historię, ale kiedy już się tak stanie, historia ta może być przerażająca i fascynująca zarazem.

Steve przekonał się o tym na własnej skórze za sprawą niejakiej Leslie Mahaffey...

Poznałem Steve'a ćwierć wieku temu, w odległym zakątku Dakoty Południowej. Był wówczas chudym dwudziestoczteroletnim studentem z dyplomem licencjata antropologii. Po ukończeniu studiów dostał pracę przy katalogowaniu kości dla Boba Aleksa, archeologa stanowego Dakoty Południowej. Praca ta polegała głównie na sortowaniu i katalogowaniu tysięcy kości Siuksów i Indian Arikara z kolekcji W.H. Overa, zebranych przez archeologa samouka pod koniec XIX i na początku XX wieku.

W 1978 roku, gdy zaczęto zwracać Indianom północnoamerykańskim szczątki ich przodków, Bob Alex namówił rząd Dakoty Południowej do oddania kości z kolekcji Overa szczepom Siuksów i Arikara. Nim jednak doszło do zwrotu, pozwolił mi je zbadać.

Kolekcja mieściła się w byłym szpitalu wojskowym położonym na północno-zachodnich obrzeżach Rapid City. Późną wiosną 1978 roku przyjechałem z Knoxville moim fordem kombi z przyczepą, która miała zawieźć kości do Tennessee. Steve musiał dokończyć inwentaryzację i zapakować wszystkie eksponaty przed moim przybyciem. Na jego biurku zobaczyłem otwarty i mocno już zużyty egzemplarz mojego podręcznika Osteologia szczątków ludzkich. Badania w laboratorium i w terenie. (Z dumą donoszę, że począwszy od pierwszego wydania w 1971 roku, książka wznawiana była do tej pory dwadzieścia trzy razy i sprzedana się w 75 000 egzemplarzy, co czyni z niej prawdziwy bestseller wśród podręczników).

Przywitaliśmy się i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Widzę, że korzysta pan z mojej książki – zauważyłem.

– Cóż, próbowałem też kilku innych – odparł. – Ale tylko ta naprawdę przydaje się przy identyfikacji trudniejszych kości.

Bez wątpienia był to wyjątkowo inteligentny młody człowiek. Być może nawet geniusz.

Już po dziesięciu minutach rozmowy ze Steve'em zrozumiałem – i to nie tylko dlatego, że jego pochwała sprawiła mi przyjemność – że ma zadatki na świetnego antropologa. Znał się na rzeczy i był ciekawy, a do tego dojrzały, zdyscyplinowany i solidny – łączył w sobie cechy, które posiada znacznie mniej potencjalnych naukowców, niż wam się wydaje. W odróżnieniu od wielu współczesnych studentów nie zachłysnął się wyidealizowanym obrazem antropologii pokazywanym w serialach telewizyjnych lub hollywoodzkich filmach. Wiedział, że zawód ten wymaga ciężkiej pracy, i gotów był na każde poświęcenie. Nim skończyliśmy ładować pudła na przyczepę, przekonałem Steve'a, że powinien pójść na studia magisterskie i przedstawiłem cały szereg argumentów przemawiających za tym, by zrobił to właśnie w Tennessee. Niestety, w tym chytrym planie tkwił jeden mały szkopuł. Wszystkie miejsca na studiach magisterskich w nadchodzącym semestrze były już zajęte.

Mimo to cztery miesiące później Steve pojawił się w Knoxville, licząc, że niczym gracz rezerwowego zespołu piłkarskiego wskoczy w ostatniej chwili do podstawowego składu. Wcisnąłem go jakoś na zajęcia z archeologii i osteologii, w nadziei że wkrótce rzeczywiście zwolni się jakieś miejsce na antropologii sądowej – i że Steve nadal będzie wtedy zainteresowany podjęciem studiów.

Miejsce się znalazło, a Steve był zainteresowany. Szybko przyswoił sobie całą wiedzę zawartą w moim podręczniku i znalazł miejsce w naszym zespole badawczym. Opłaciło się zaryzykować i przyjechać w ciemno: został antropologicznym odpowiednikiem gracza uczelnianej reprezentacji. Podczas pracy w terenie Steve błyskawicznie zrozumiał, na czym polega badanie miejsca przestępstwa. Co równie istotne, był doskonałym fotografem. Jeśli chodzi o zdjęcia z miejsca przestępstw, to warto się kierować zasadą „im więcej, tym lepiej”, przy czym mam tu na myśli dobre, udane obrazy. Fotografie Steve zawsze były – nadal są – najlepszymi, jakie widziałem.

Po ośmiu długich latach studiów i pracy w terenie Steve zdał egzaminy doktorskie, a potem zatrudnił się jako antropolog sądowy w biurze lekarza sądowego w Nashville. Poza tym zamierzał prowadzić badania i pisać pracę doktorską. Tematem pracy była ocena wieku na podstawie badań mostkowego końca obojczyka („Obojczyk połączony jest... z mostkiem...”).

Potem nadszedł kolejny punkt zwrotny w życiu Steve'a Symesa. Podczas kilku tygodni, które obfitowały w Nashville w ciężkie przestępstwa, Steve miał do czynienia z trzema przypadkami rozczłonkowania ciała. Detektyw, który pracował nad jedną z tych spraw, wskazał nacięcie na kości i poprosił Steve'a, by powiedział mu o tym coś więcej. Zadowolony, że będzie mógł popisać się swoją wiedzą, Steve wyprostował się i oznajmił autorytatywnym tonem:

– Cóż, to ślad piły na kości ramiennej.

Gliniarz obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

– Wiem, że to ślad piły na kości ramiennej – parsknął, zde gustowany. – Pan jest doktorem od kości, więc niech pan mi powie, jakiej piły?

Steve nie wiedział, ale kiedy już przestał się czerwienić, postanowił zbadać sprawę – nie tylko ślady tej jednej piły, ale wszystkich rodzajów pił.

Muszę tutaj dodać, że od lat próbowałem – bez powodzenia – namówić któregoś z moich studentów do badania śladów piły. W połowie lat osiemdziesiątych w Knoxville miało miejsce sensacyjne zabójstwo połączone z poćwiartowaniem. W miłosnym trójkącie zrodziła się nienawiść, a kobieta i jeden z jej mężczyzn zabili drugiego, po czym pocięli go na kawałki i rozrzucili po całym mieście. Przy okazji tej sprawy uświadomiłem sobie, jak mało wiemy o śladach pozostawionych przez piły na kościach ofiar, choć ślady takie mogły stanowić ważny materiał dowodowy. Nikt jednak nie miał ochoty zająć się tym tematem, Steve także, aż do tego krwawego lata w Nashville, gdy zderzył się z tym problemem nie raz, lecz aż trzy razy.

Policja i sądy na całym świecie od dawna już uważają wyniki ekspertyz balistycznych za wiarygodny dowód. Pistolety tak jak ludzie zostawiają charakterystyczne, niepowtarzalne ślady: iglica pozostawia takie samo wgniecenie na każdym naboju, w który uderza; gwint lufy odciska swój ślad na każdym pocisku, który z niej wylatuje; mechanizm wyciągu rysuje lub wygina w taki sam sposób każdą łuskę, którą wyjmuje z zamka.

Skoro broń palna pozostawia charakterystyczne ślady, to dlaczego nie miałyby ich zostawiać piły? Steve i ja byliśmy pewni, że tak właśnie jest. W tamtym czasie należeliśmy jednak do mniejszości. Popularny pogląd głosił, że każde przesunięcie piły wymazuje znaki pozostawione przez poprzedni ruch; innymi słowy, że piły zacierają własne ślady. Steve postanowił udowodnić, że to nieprawda – że z nacięć pozostawionych przez piłę można wyczytać znacznie więcej, zgromadzić znacznie więcej dowodów.

Przez następne dwa lata Steve kupował lub pożyczał wszystkie rodzaje pił, jakie tylko wpadły mu w ręce: ramówki, poprzecznice, czopnice, płatnice, otwornice, piły japońskie i wiele innych. Spędził kilka weekendów w towarzystwie doktora Clelanda Blake’a, lekarza sądowego ze wschodniego Tennessee, który był także świetnym stolarzem – i badał setki ostrzy z kolekcji Clelanda, od maleńkich pił jubilerskich po ciężkie piły łańcuchowe.

Steve ujmował w imadło kości rąk i nóg przeznaczonych do badań, robił na nich tysiące nacięć i oglądał je pod mikroskopem. Początkowo nie mógł się dopatrzeć żadnych znaczących śladów, w końcu jednak znalazł klucz. Gdy przypatrywał się nacięciom przez mikroskop operacyjny i zmieniał kąt padania światła, zobaczył, jak przed jego oczami otwiera się cały świat trójwymiarowych szczegółów: olbrzymie kaniony i poszarpane urwiska wyrzeźbione w kości. Wykonał niezliczoną ilość



zdjęć mikroskopowych, plastikowych odlewów i pomiarów, skatalogował ślady pozostałe po ciągnięciu i po pchaniu ostrza, po cięciach obrotowych, po cięciach nieudanych, przerwanych i niepewnych oraz inne charakterystyczne ślady pozostawione przez piły na powierzchni ciętej kości.

Nigdy nie zapomnę, jak Steve zaciągnął mnie do laboratorium, podprowadził do mikroskopu i pokazał ślady pozostawione przez ostrze piły w kości udowej, którą zacisnął w imadle i przeciął na pół. Na przeciętej powierzchni wyryte zostały już na zawsze – równie wyraźne wtedy, jak i teraz, w moich wspomnieniach – zygzakowate ślady poszczególnych zębów przesuwających się do przodu i do tyłu, zmierzających uparcie ku drugiej stronie kości. Przyjąłem tę lekcję z dumą i pokorą zarazem. Uczeń – mój uczeń – przerósł nauczyciela, przynajmniej w tej jednej makabrycznej specjalizacji.

W końcu Steve mógł spojrzeć na kość ofiary morderstwa i zobaczyć znacznie więcej niż tylko „ślad piły na kości ramiennej”, w końcu potrafił rozróżnić drobne i niedostrzegalne dla innych szczegóły, na przykład zidentyfikować ślad pozostawiony przez piłę poprzeczną o czterech naprzemianległych zębach na centymetr i szerokości rzazu (nacięcia) równej dwóm milimetrom, tnącej przez pchnięcie ostrza – potrafił również stwierdzić, że podczas cięcia ostrze trzykrotnie wyskoczyło z rzazu, dwukrotnie nie mogło ruszyć z miejsca, a raz się zablokowało. Mąż ćwiartujący ciało swojej żony z pewnością nie chciałby pozostawić po sobie tak znaczących śladów, podobnie jak wynajęty strzelec nie chce zostawiać śladów balistycznych na swoich pociskach, ale jest to po prostu nieunikniona konsekwencja takiego doboru narzędzi zbrodni.

Steve nigdy nie napisał tej nudnej dysertacji o mostkowym zakończeniu obojczyka. Napisał za to Kształt śladów piły na ludzkich kościach. Identyfikacja cech charakterystycznych.

Choć tytuł brzmi dość sucho, jest to unikatowy i pionierski wkład w antropologię sądową i kryminalistykę.

Wkrótce po rozpoczęciu badań nad śladami pił Steve ponownie przeprowadził się na zachód, tym razem do Memphis. Wkrótce w światku antropologów sądowych i detektywów rozeszła się wieść o jego niezwykłej specjalizacji, do Memphis zaczęły przychodzić paczki z pociętymi częściami ciał z innych miast, stanów i państw, wysyłane przez zdesperowanych policjantów lub prokuratorów, którzy chcieli się dowiedzieć czegoś więcej o zabójcy lub narzędziu zbrodni. Najgłośniejsza sprawa z udziałem Steve'a zaczęła się 6 kwietnia 1992, kiedy Mike Kershaw, policjant z Kanady, poprosił go o pomoc w śledztwie dotyczącym makabrycznego zabójstwa, które miało miejsce w czerwcu poprzedniego roku w Saint Catharines, mieście średniej wielkości położonym nad Jeziorem Ontario.

Leslie Mahaffey, czternastolatka z pobliskiego miasteczka, zasiedziała się do późnej nocy u przyjaciół, choć rodzice zabraniali jej wracać do domu później niż o 23.00. Około 2.00, gdy szła od budki telefonicznej w stronę domu, została porwana. Dwa tygodnie później wędkarze znaleźli jej ciało. Zostało pocięte na kawałki, zalane w betonowych blokach o łącznej wadze ponad trzystu kilogramów i wrzucone do stawu Saint Catharines. Sprawa wyszła na jaw tylko dlatego, że poziom

wody w stawie opadł o ponad metr i odsłonił betonowe bryły. Brutalne zabójstwo Leslie przeraziło opinię publiczną i zaskoczyło policję. Detektyw Kershaw miał nadzieję, że Steve rzuci choćby odrobinę światła na ten przypadek.

30 kwietnia Kershaw przyleciał do Memphis, przywożąc ze sobą pocięte kości Leslie Mahaffey; fragmenty obu kości udowych, obie kości ramienne, kości przedramienia i dwa kręgi szyjne. Wszystkie zanurzone były w formalinie. Choć od czasu zabójstwa upłynął niemal rok, na kościach wciąż znajdowała się tkanka miękka.

W tym samym dniu, w którym Kershaw przybył do Memphis, znaleziono zamordowaną Kristen French, dziewczynę z Saint Catharine. Wszystko wskazywało na to, że przed śmiercią została zgwałcona i poddana torturom seksualnym. Policja kanadyjska wiedziała, że jeśli nie złapie wkrótce zabójcy, kolejne dziewczyny mogą zginąć straszliwą śmiercią.

Najpierw Steve sfotografował każdą z kości, a potem gotował je przez kilka godzin w wodzie i ostrożnie usunął z nich tkankę miękka. Od razu zrozumiał, że wszystkie cięcia wykonane zostały piłą tego samego typu. Wyglądały bardzo podobnie: powierzchnia była gładka, niemal jak wypolerowana, a w miejscach, gdzie piła wrzynała się w kość, widniały tylko nieliczne pęknięcia lub odpryśnięcia.

Steve zauważył również liczne nieudane cięcia – miejsca, gdzie piła zaczynała się wrzynać w kość, lecz wyskoczyła z rzazu – może ze względu na niewygodną pozycję, a może dlatego, że okrwawiona piła wysunęła się z rąk zabójcy – zmuszając oprawcę do rozpoczęcia nowego cięcia. Kilka śladów takich nieudanych prób było bardzo głębokich, przecinających niemal całą kość. Oznaczało to, że samo cięcie nie było trudne i że morderca posługiwał się piłą elektryczną lub spalinową – jeśli korzystamy z piły ręcznej, a ostrze wyskoczy z rzazu, nie zaczynamy piłować w nowym miejscu, lecz wprowadzamy ostrze do istniejącego już wyżłobienia. Ślady nieudanych cięć, jednakowa szerokość wszystkich rzazów, gładka powierzchnia przeciętych kości oraz zakrzywiony kształt nacięć pozwoliły Steve'owi ustalić, że ciało Leslie zostało pocięte piłą tarczową z tarczą o średnicy siedmiu i jednej czwartej cala (stu osiemdziesięciu czterech milimetrów) lub większej.

Oczywiście mnóstwo Kanadyjczyków posiada piły tarczowe. Steve mógł powiedzieć policji, jakiego rodzaju piłą pocięto ciało, ale nie mógł wskazać warsztatu czy piwnicy, w której znajduje się ta piła. Sprawa pozostawała nierozwiązana przez dziesięć miesięcy. Zimą 1993 roku nastąpił nieoczekiwany przełom. Dwudziestotrzyletnia Karla Homolka opowiedziała policjantom paskudną i przerażającą historię. Twierdziła, że jej mąż, Paul Bernardo, z zawodu księgowy, uprowadził Leslie Mahaffey i Kristen French, a potem wykorzystywał je jako seksualne niewolnice. Paul zmuszał Karłę do udziału w niektórych aktach seksualnych i do nagrywania na wideo innych. Po serii coraz brutalniejszych i poniżających aktów udusił dziewczynki. Oprócz Leslie Mahaffey i Kristen French była jeszcze trzecia ofiara: siostra Karli, Tammy, którą w roku 1990 Paul oszołomił narkotykami, a potem zgwałcił. Wciąż nieprzytomna Tammy zwymiotowała i śmiertelnie się zakrztusiła; aż do wizyty Karli na policji śmierć jej siostry uważana była za tragiczny wypadek.

W poniedziałkowy ranek 12 czerwca 1995 roku Steve wszedł na schody gmachu sądu w Toronto, by zeznawać na procesie Paula Bernardo, który zaczął się cztery tygodnie wcześniej. Kanadyjscy dziennikarze byli zafascynowani Steve'em i jego makabryczną specjalnością. „Nigdy nie poznacie drugiego takiego człowieka” – zaczynał się jeden z artykułów – „I prawdopodobnie nie będziecie żałować. O ile mu wiadomo, jest jedynym człowiekiem, który napisał doktorat, wykorzystując kości do identyfikacji narzędzi, którymi rozrywano ludzkie ciała”.

Kiedy odziany w surdut prokurator wezwał na świadka Steve'a, ten przedstawił precyzyjny i przerażający obraz rozczłonkowania ciała Leslie Mahaffey. Szerokość rządu w kościach Leslie – rowka wyciętego przez ostrze piły – była bardzo mała, co wskazywało na cienkie ostrze. Większość tarcz z nakładkami z węglików spiekanych zostawia rząd o szerokości około trzech milimetrów; ostrze, które pocięło Leslie, było cieńsze, zostawiało rząd mierzący zaledwie od dwóch do dwóch i trzech dziesiątych milimetra. Kiedy Steve przeprowadził eksperymentalne cięcia na innych kościach, używając tarcz o średnicy od osiemnastu do trzydziestu centymetrów, cięcia te były bardziej jednolite i prostsze niż cięcia w kościach Leslie. Steve miał jednak pewną przewagę nad zabójcą: ciął suche, czyste, pozbawione ciała kości, zamknięte w imadle.

Obrońca Paula Bernardo zadał mu tylko jedno pytanie: Czy podczas cięcia piłą tarczową ludzkiego ciała morderca ubrudziłby siebie i otoczenie? Tak, i to bardzo – odparł Steve. Publiczność na sali sądowej była przerażona tym, co miał do powiedzenia Steve, choć atmosferę rozładował nieco sposób, w jaki to powiedział – jeden z dziennikarzy opisał go jako „amerykańską otwartość i pełen nadmiernej skromności smutek”. Nadmierna skromność to w tym przypadku właściwe określenie: choć Steve jest jednym z pięciu najlepszych na świecie specjalistów od śladów narzędzi na ludzkich kościach, pozostaje człowiekiem niezwykle skromnym i bezpretensjonalnym.

Gdy nadeszła jego kolej, Paul Bernardo zaprzeczył, że zamordował Leslie Mahaffey; twierdził, że zarówno ona, jak i Kristen French zmarły przypadkowo, gdy jego nie było w pokoju. Przyznał się jednak do poćwiartowania Leslie. Powiedział, że pociął jej ciało starą piłą firmy McGraw–Edison, była to piła tarczowa typu opisanego przez Steve'a. Rzeczywiście, piłę, którą Bernardo dostał od dziadka, znaleziono w piwnicy jego schludnego domu na przedmieściach Saint Catharine. Niestety, brakowało samej tarczy oraz części osłony.

Steve wyjechał z Toronto następnego dnia, przekonany, że zrobił wszystko, co w jego mocy, i że przynajmniej po części dzięki jego zeznaniom sprawiedliwości stanie się zadość. Przysięgli bywają jednak nieprzewidywalni: nigdy nie wiadomo, co ich przekona. Proces Bernardo ciągnął się przez cały czerwiec i lipiec aż do sierpnia. Gdy zbliżał się już do końca, wydarzyło się coś, co odmieniło jego losy i trafiło na czołówki gazet. Prokurator przedstawił w sądzie zardzewiałą tarczę do piły, którą kilka dni wcześniej wyłowili ze stawu policyjny nurek. Oprócz tarczy nurek znalazł również część osłony. Obie części pasowały idealnie do starej piły Bernardo. Sama tarcza pasowała również do opisu Steve'a, i to w każdym szczególe: okrągła tarcza do piły o średnicy osiemnastu centymetrów, cieńsza

niż większość współczesnych tarcz z zębami z węglików spiekanych i pozostawiająca rżaz o szerokości dwóch milimetrów.

Paul Bernardo został uznany za winnego dwóch morderstw i skazany na podwójny wyrok dwudziestu pięciu lat bez możliwości wcześniejszego zwolnienia warunkowego. Podobno piszą i dzwonią do niego nastoletnie fanki. Wiem sporo o ludzkich kościach, podobnie jak Steve Symes, lecz żaden z nas nigdy nie zrozumie, co kryje się w mrocznych zakamarkach ludzkich serc.

## Sztuka naśladowuje śmierć

W roku 1993 mijały dwadzieścia dwa lata, odkąd zacząłem kierować Wydziałem Antropologii na Uniwersytecie Tennessee. W tym czasie pomagałem tworzyć nowy dział Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych, to jest Sekcję Antropologii Sądowej. Powstanie sekcji było kamieniem milowym w rozwoju tej nowej fascynującej dziedziny nauki. Pracowałem także dwudziesty drugi rok z rzędu jako antropolog sądowy stanu Tennessee, dzięki czemu uczestniczyłem w interesujących śledztwach na terenie niemal wszystkich dziewięćdziesięciu sześciu hrabstw Tennessee. Utrzymywałem bliskie stosunki z policją, prokuratorami okręgowymi, TBI, FBI i innymi organami ochrony porządku publicznego. Często wygłaszałem wykłady dla lekarzy sądowych, lekarzy i dentystów, policjantów i przedsiębiorców pogrzebowych. Kilka razy w roku zeznawałem w sądzie, od czasu do czasu moje nazwisko trafiało do gazet lub telewizji, szczególnie jeśli trwało właśnie śledztwo w sprawie jakiejś wyjątkowo makabrycznej sprawy, lub jeśli zdobyłem jakąś nagrodę, jak w roku 1985, gdy Rada Wspierania i Rozwoju Edukacji obdarzyła mnie zaszczytnym tytułem Nauczyciela Roku. Wydawało mi się, że osiągnąłem już pełnię, że nie spotka mnie już nic ciekawszego i bardziej ekscytującego.

Nic bardziej mylnego. Wystarczyła jedna rozmowa telefoniczna, by moje życie nabrało szalonego wręcz tempa. Od wielu lat regularnie wygłaszałem wykłady na różnych spotkaniach i konferencjach związanych z naukami sądowymi. Na jednym z takich spotkań poznałem młodą asystentkę lekarza sądowego, doktor Marcellę Fierro. Na przestrzeni lat widywaliśmy się jeszcze wielokrotnie i zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Gdy doktor Fierro została głównym lekarzem sądowym stanu Wirginia, zaczęła zapraszać mnie na coroczne wykłady dla swego personelu, by poszerzyć ich horyzonty, a przy okazji wzmocnić ich żołądki.

Większość lekarzy sądowych to patolodzy sądowi – lekarze specjalizujący się w chorobach lub urazach tkanki. Jeśli mają okazję przeprowadzić sekcję zwłok w ciągu kilku godzin lub nawet dni od śmierci danej osoby, potrafią zwykle z zadziwiającą dokładnością określić czas i przyczynę zgonu. Kiedy jednak ciało znajduje się w stanie zaawansowanego rozkładu, przeprowadzenie autopsji może być trudne lub nawet niemożliwe. Tkanka miękka przechodzi w stan ciekły za sprawą oddziaływania bakterii, zmian chemicznych na poziomie komórek (proces rozpadu komórek zwany autolizą) oraz żerowania czerwi. Wraz z tkanką miękka znikają fizyczne ślady, których szuka patolog, takie jak rany

zadane nożem. Jeśli jednak ślady ostrza lub innych urazów widoczne są na kościach, wykwalifikowany antropolog sądowy może odczytać ze szkieletu zdumiewającą ilość informacji długo po tym, gdy przeprowadzenie sekcji staje się niemożliwe.

W 1984 roku do zespołu doktor Fierro w Richmond dołączyła młoda dokumentalistka, była dziennikarka prowadząca kronikę kryminalną, kobieta bardzo inteligentna, elokwentna i zafascynowana naukami sądowymi. Była też początkującą pisarką. Po sześciu latach pracy u doktor Fierro sprzedała swój pierwszy kryminał.

Ta młoda kobieta nazywała się Patricia Cornwell, a dzięki tej pierwszej powieści zatytułowanej *Post Mortem* zyskała sobie opinię niezwykle utalentowanej autorki kryminałów. W rok po wydaniu książka zdobyła pięć znaczących nagród międzynarodowych i do tej pory pozostaje jedyną powieścią kryminalną, którą spotkało takie wyróżnienie. *Post Mortem* było nie tylko debiutem Patricii Cornwell, ale i bohaterki jej kolejnych powieści, lekarki sądowej z Wirginii Kay Scarpetty. Doktor Scarpetta na zewnątrz była twarda i nieczuła, w środku zaś delikatna i poraniona. Przypuszczam, że jej życie zawodowe wzorowane było na szefowej i mentorce Cornwell, doktor Marcelli Fierro, zaś cechy jej charakteru odzwierciedlały osobowość samej Cornwell. Tak czy inaczej, Scarpetta szybko stała się jedną z najbardziej charakterystycznych gwiazd literatury kryminalnej, podobnie jak Patricia Cornwell.

Poznałem Patricię na jednym z dorocznych szkoleń organizowanych przez doktor Fierro, gdy pracowała jeszcze w biurze lekarza sądowego. Jak zwykle wyświetlałem wówczas slajdy przedstawiające ciała pokryte czerwiemi. Po prezentacji Patricia przedstawiła mi się, zadała mnóstwo pytań dotyczących moich badań i skomplementowała prezentację. Koniec opowieści – a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Pewnego letniego dnia 1993 roku ktoś do mnie zadzwonił. Głos po drugiej stronie powiedział:

– Doktorze Bass, mówi Patricia Cornwell.

Przypomniała mi, kim jest i gdzie się poznaliśmy – wtedy była już bogata i sławna, nie pracowała już dla doktor Fierro – po czym przeszła od razu do rzeczy.

– Zastanawiałam się, czy byłby pan skłonny przeprowadzić dla mnie mały eksperyment w swoim ośrodku badawczym.

Wyjaśniła, że pracuje właśnie nad nową powieścią, w której zabójca ma wrócić na miejsce zbrodni – do piwnicy domu – kilka dni po morderstwie i przenieść ciało w inne miejsce. Patricia chciała wiedzieć, jakie ślady odcisnęłyby się na ciele w początkowym stadium rozkładu i w jakim stopniu zachowałyby się po przeniesieniu ciała w inne miejsce.

To było coś nowego. Proszono mnie już o badanie konkretnych zjawisk, lecz robili to zawsze lekarze sądowi lub detektywi, nigdy powieściopisarz. Początkowo chciałem odmówić, lecz gdy opisała, co dokładnie ma na myśli, obudziła się we mnie ciekawość naukowca. To były interesujące

pytania. W owym czasie badaliśmy rozkład w Ośrodku Badań Antropologicznych już od dwunastu lat, lecz do tej pory większość ciał była zakopywana lub leżała na ziemi. Celem naszych badań było głównie zebranie jak największej ilości informacji o procesach związanych z rozkładem i jego tempie, co pozwalało nam coraz precyzyjniej ustalać czas, jaki minął od śmierci ofiary przestępstwa. Prośba Cornwell otwierała całkiem nowy rozdział badań.

Zadzwoiłem do detektywa Arthura Bohanana, mojego przyjaciela i współpracownika z wydziału policji w Knoxville, by spytać, czy z jego perspektywy ten eksperyment wydawał się pomocny i jakiego rodzaju informacje byłyby najcenniejsze. Art nie był przeciętnym policjantem. Dzięki ciężkiej wieloletniej pracy stał się prawdziwym ekspertem w dziedzinie daktyloskopii – jego specjalnością było zdejmowanie odcisków z powierzchni, na których nigdy wcześniej ich nie znajdowano: z tkanin, papieru, nawet ze skóry ofiary morderstwa. Opatentował nawet urządzenie, które rozpylało cyjanoakryl – superklej – i nanosiło je na badane powierzchnie. Jeśli kiedykolwiek przypadkowo skleiliście sobie palce superklejem, dobrze wiecie, jak łatwo i mocno to paskudztwo przywiera do ludzkiej skóry. Art odkrył, że przywiera również do tłuszczów pozostawianych przez ludzkie palce na dotykanych przez nie powierzchniach. Jego urządzenie, używane teraz przez techników kryminalistyki na całym świecie, może ujawnić odciski niewykrywalne przy zastosowaniu tradycyjnych metod. Niedawno FBI zamówiło kolejną partię przyrządu Arta – w dziedzinie daktyloskopii trudno o lepszą reklamę.

Art entuzjastycznie odniósł się do pomysłu, który przedstawiła mi Cornwell. Skoro odcisk palca pozostawiony na ciele mógł pomóc w rozwiązaniu sprawy, to dlaczego nie inne ślady? Widział już wielokrotnie różnego rodzaju przebarwienia i odciski, ale nie miał żadnych danych, które pozwoliłyby mu je zinterpretować. To przesądziło sprawę: postanowiłem wykonać ten eksperyment. Zadzwoniliśmy razem z Artem do Patricii, by omówić z nią szczegóły.

Do morderstwa opisanego przez Cornwell miało dojść w piwnicy domu, w miasteczku Black Mountain w Karolinie Północnej. Jednym ze znaków firmowych jej pisarstwa jest to, że często opisuje miejsca oraz doświadczenia, które zna z autopsji. Black Mountain to letni kurort, w którym spędziła sporą część młodości. Karolina Północna i Tennessee leżą mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej i sąsiadują ze sobą, rozdzielone pasmem Great Smoky Mountains. Black Mountain leży mniej więcej w tej samej odległości na wschód od gór co Knoxville na zachód, więc klimat miasteczka przypominał klimat panujący w naszym ośrodku badawczym.

Aby odtworzyć warunki typowe dla piwnicy, potrzebowaliśmy betonowej podłogi. Nie musieliśmy daleko szukać: zamierzaliśmy właśnie wybudować na terenie ośrodka szopę na narzędzia ogrodnicze, instrumenty medyczne (skalpele i inne przyrządy służące do rozcinania szkieletów pod koniec badania) oraz niewielką stację meteorologiczną, w związku z czym wylaliśmy płytę betonową pod ten budynek. Teraz wystarczyło jedynie postawić niewielki „pokój” na betonie – proste pudło ze sklejki mierzące dwa i pół metra długości, metr dwadzieścia szerokości i tyle samo wysokości.

Wtedy uświadomiliśmy sobie z Bohananem, że możemy mieć pewien problem. Zbliżało się lato, a lata we wschodnim Tennessee są zazwyczaj gorące i parne, temperatury sięgają często 30oC, w drewnianym pudle byłoby więc znacznie cieplej niż w podziemiach domu w Black Mountain. Zadzwoniliśmy do Cornwell, by omówić z nią ten problem: zaproponowała, byśmy w razie potrzeby kupili klimatyzator i przesłali jej rachunek. Okazało się, że nasze obawy były płonne. W naszej specyficznej branży zdarzają się okresy obfitości i niedoborów, tego lata trafiliśmy na wyjątkowo ubogi okres i nie dostaliśmy żadnych zwłok do badania. Nim się obejrzeliśmy, minęło lato, zaczął się sezon piłkarski i nadeszła jesień.

Wraz z jesienią przybyła do nas Patricia Cornwell. Złożyła nam wizytę we wrześniu 1993, w weekend, w którym odbywał się mecz futbolowy. Takie weekendy w Knoxville są naprawdę zwariowane; Patricia zarezerwowała chyba ostatni wolny pokój hotelowy w mieście i zjadła kolację pośród tłumów odzianych na pomarańczowo kibiców w popularnej restauracji nad rzeką, obok stadionu. Zabrałem ją do naszego ośrodka, pokazałem ciała w różnych stadiach rozkładu i wyjaśniłem, na czym polegają projekty badawcze prowadzone aktualnie przez naszych studentów. Patricia słuchała mnie uważnie i robiła mnóstwo notatek.

Kilka tygodni później wraz z Arthurem Bohananem zdjęliśmy odciski palców ciała, które nam ofiarowano, po czym zawieźliśmy je – zwłoki 4–93 – do ośrodka. Wspólnymi siłami przenieśliśmy nieboszczyka do drewnianej skrzyni i ułożyliśmy na plecach, jak życzyła sobie Cornwell. Pod ciałem umieściliśmy monetę – jednocentówkę – oraz klucz, mosiężną podstawę zaczepu zamka do drzwi, nożyczki oraz łańcuch z piły łańcuchowej. Potem zamknęliśmy drzwi i poszliśmy sobie, podobnie jak zabójca z powieści Cornwell.

Wróciliśmy po sześciu dniach, rozmontowaliśmy pudło i wyjęliśmy zwłoki. Jednak w odróżnieniu od fikcyjnego zabójcy, nie porzuciliśmy ich nad jeziorem, lecz zawieźliśmy do prosektorium, by zbadać i opisać zmiany oraz ślady pozostawione przez elementy zainscenizowanej sceny zbrodni. Na plecach, w okolicach krzyża, widniał idealnie okrągły odcisk, a w jego obrębie wizerunek Abrahama Lincolna. Nie był może aż tak wyraźny jak obraz, który uzyskujemy przez pocieranie ołówkiem monety ułożonej pod kartką, ale bliski tej jakości. Odcisk był brązowy, upstrzony plamkami zieleni – tlenkiem miedzi z monety korodującej w cieczech, które wypływały z ciała.

Klucz oraz podstawa zaczepu odcisnęły się wyraźnie na nogach ciała. Równie wyraźny był ślad nożyczek, które położyliśmy pod plecami; uchwyty pozostawiły dwa idealnie owalne odbicia w skórze. Odcisk łańcucha zachował wyraźny kształt oryginału, zabarwiony głęboką czerwienią na czubkach zębów, jakby te wbiły się w ciało.

Na zwłokach widniał jeszcze jeden ślad: wyraźne zgrubienie biegnące wąską zygzakowatą linią przez plecy i ramiona. Początkowo nie wiedzieliśmy, skąd się wzięło, potem jednak obejrzeliśmy uważniej miejsce, w którym leżał obiekt badań. Betonową płytę, wylaną przez amatorów – czyli mnie i moich studentów – przecinało pęknięcie, którego kształt pasował idealnie do tego z pleców ciała.



Arthur i ja byliśmy ogromnie zadowoleni z wyników eksperymentu; podobnie jak Patricia Cornwell, gdy wysłaliśmy jej raport z badania i odbitki zdjęć. Powiedziała, że dzięki temu zdobyła takie właśnie informacje, jakich potrzebowała do swojej książki.

Ponownie spotkałem ją w lutym, na dorocznym spotkaniu Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych w San Antonio, w Teksasie. Jako autorka kryminałów zawsze stara się być na bieżąco z nowymi technikami, które może potem wykorzystać w swoich książkach, a na zebraniach akademii naukowcy często chwalili się przełomowymi odkryciami i nowymi metodami badawczymi. Wpadłem na nią na balkonie wychodzącym na hall hotelu Marriott River Center, gdzie odbywała się konferencja. Spytałem, jak idą prace nad książką; odparła, że powieść jest już gotowa i że jest z niej bardzo zadowolona. Podziękowała mi ponownie za przeprowadzenie eksperymentu, po czym dodała:

– Zatytułowałam ją Trupia farma.

Zatkało mnie.

Kiedy w 1980 roku zaczęliśmy prowadzić badania nad rozkładem ludzkich zwłok, nasz ośrodek nie miał nawet własnej nazwy. W końcu był to przecież tylko niewielki kawałek ziemi otoczony płotem, który miał zatrzymywać padlinożerne zwierzęta i ciekawskich ludzi. Początkowo było to jedynie ogrodzenie z drucianej siatki, lecz po tym, jak kilku przechodniów przeżyło szok, ujrawszy przypadkiem ułożone w środku ciała, dodaliśmy jeszcze wysoki drewniany parkan. Po jakimś czasie, prawdopodobnie wtedy, gdy zaczęliśmy opisywać rezultaty naszych badań w artykułach dla czasopism naukowych, takich jak „Journal of Forensic Sciences”, postanowiliśmy nadać temu miejscu jakąś poważną, naukową nazwę. Stąd wzięło się oficjalne określenie: Ośrodek Badań Antropologicznych (po angielsku: Anthropology Research Facility, w skrócie ARF). Cóż, nie minęło dużo czasu, a jakiś dowcipniś z Biura Prokuratora Okręgowego zaproponował, by uzupełnić je o moje nazwisko: Ośrodek Badań Antropologicznych Bassa (Bass Anthropology Research Facility, w skrócie BARF, co po angielsku znaczy „rzygi” lub „rzygać”). Szczęśliwie ta nowa nazwa się nie przyjęła, a policjanci i agenci FBI coraz częściej używali określenia Trupia Farma (Body Farm). Wkrótce i ja zacząłem go używać. Jest krótsze i znacznie bardziej sugestywne niż Ośrodek Badań Antropologicznych.

Kiedy Cornwell poprosiła nas, byśmy przeprowadzili dla niej eksperyment, nie miałem pojęcia, że sam ośrodek również znajdzie się w jej książce; zakładałem, że wykorzysta jedynie wyniki badania. Tymczasem okazało się, że jesteśmy tytułową atrakcją jej powieści. Sprawilo mi to ogromną przyjemność i spieszę wyjaśnić dlaczego: przez wszystkie te lata, kiedy badaliśmy rozkład, nikogo to nie obchodziło – z wyjątkiem kilku antropologów i entomologów. Nagle pojawia się słynna pisarka, która chce umieścić w tytule nazwę naszego ośrodka. Jaka miła niespodzianka! Powiedziałem jej, że nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam tę książkę.

Kilka miesięcy później dostałem pocztą świeżo wydrukowany egzemplarz powieści. Gdy ją przeczytałem, byłem oszołomiony. Nasz ośrodek został w niej opisany, i to w bardzo korzystnym świetle, podobnie jak jego dyrektor, doktor Lyall Shade. Miałem wrażenie, że nagle znaleźliśmy się

w centrum uwagi całego świata. Telefon nie przestawał dzwonić całymi tygodniami. Sekretarki z naszego wydziału odpowiadały na dziesiątki próśb o numer telefonu Trupiej Farmy. Oczywiście na naszej leśnej działce nie ma telefonu, ale mniej więcej po pierwszej setce tego rodzaju pytań poradziłem żartobliwie sekretarkom, by kazały dzwonić dziennikarzom pod numer: 1-800-1 AM DEAD.

W 1996 roku Trupia farma była już jedną z najpopularniejszych powieści kryminalnych w historii tego gatunku. Stała się międzynarodowym przebojem, sprzedawała się w setkach tysięcy egzemplarzy w Anglii, Japonii i innych krajach. Jeden z moich znajomych, który w owym czasie regularnie podróżował do Japonii w interesach, powiedział mi, że jego koledzy z Japonii kazali mu przy każdej wizycie przywozić z Ameryki jak najwięcej egzemplarzy tej książki.

Wkrótce całe hordy dziennikarzy i ekip telewizyjnych zaczęły wydeptywać ścieżki do Knoxville i Trupiej Farmy. Nawet dziś, dziesięć lat później, wciąż się tutaj pojawiają. Niektóre relacje były śmiechu warte, inne jednak zgodne z prawdą i pełne szacunku.

Choć to nagłe zainteresowanie farmą ogromnie nam pochlebiało, było również rozprasające. Gdybyśmy zechcieli zrezygnować z prowadzenia badań, nauczania i pisania, moglibyśmy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę oprowadzać wycieczki po ośrodku. Rocznie wygłaszam około setki wykładów dla policjantów, przedsiębiorców pogrzebowych, agentów ATF (Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych) oraz innych grup i niemal każdy, z kim rozmawiam, pyta mnie, czy mógłby przyjechać na Trupią Farmę. Pewnego dnia zadzwoniły do mnie opiekunki dwóch różnych gromad zuchowych z pytaniem, czy mógłbym oprowadzić ich podopiecznych po Trupiej Farmie. Wtedy w końcu coś we mnie pękło: najwyraźniej sprawy wymknęły się spod kontroli. Zacząłem od tego, że znacznie częściej mówiłem „nie” niż „tak”. A mimo to nadal wiele razy mówię „tak”, podobnie jak moi koledzy.

Zainteresowanie mediów i zwykłych ludzi miało też swoje dobre strony. Dzięki bestsellerowej powieści Cornwell znacznie częściej zaczęli do nas dzwonić ludzie, którzy chcieli oddać swoje ciała do badań. Kontaktując się z uniwersytetem, niemal wszyscy z tych dawców mówią po prostu: „Chcę oddać moje ciało na Trupią Farmę”.

W październiku 2002 Patricia Cornwell wydała niezwykłą książkę – tym razem nie była to powieść. Dzieło zatytułowane Kuba Rozpruwacz. Portret zabójcy prezentuje wyniki dwuletnich, drobiazgowych badań kryminalistycznych. W opisie życia naśladowującego sztukę – albo sztuki inspirującej życie – powieściopisarka staje się prawdziwym detektywem. Sięgając głęboko do przeszłości i wykorzystując najnowszą technologię badań DNA, Cornwell dowodzi, że Kubą Rozpruwaczem był wiktoriański artysta, niejaki Walter Sickert, który namalował serię makabrycznych, pełnych przemocy obrazów przypominających do złudzenia miejsca zbrodni, gdzie Kuba Rozpruwacz zostawiał swoje ofiary. Jeśli Patricia Cornwell kiedykolwiek postanowi na dobre

porzucić powieściopisarstwo, rzeczywisty świat z pewnością będzie miał pożytek z tak wytrwałego i skrupulatnego detektywa.

Zdarza się, że dopiero z perspektywy czasu dostrzegamy chwile, które nieodwracalnie zmieniły nasze życie. Z dumą mogę powiedzieć, że publikacja Trupiej farmy była taką chwilą w moim życiu oraz w życiu stworzonego przeze mnie Ośrodka Badań Antropologicznych. Dumą napełnia mnie również fakt, że mogę nazywać Patricię Cornwell moją koleżanką po fachu i przyjaciółką.

## Dalsze postępy, dalsze protesty

Pół roku po tym, jak powieść Patricii Cornwell *Trupia Farma* rozsławiła Ośrodek Badań Antropologicznych, nadal pływiałem się w blasku zainteresowania mediów. Zawsze miałem dobre relacje z dziennikarzami, głównie dlatego, że chętnie dzieliłem się z nimi informacjami, jakie zebrałem podczas badania rozkładających się ciał lub szkieletów. Moja otwartość przysparzała mi czasem kłopotów – szczególnie, gdy szacując czas śmierci pułkownika Shy’a, pomyliłem się o prawie sto trzysta lat – ale uświadamiała również opinii publicznej, czym właściwie jest antropologia sądowa i jaką rolę może odgrywać w walce z przestępczością.

W owym czasie mijало już prawie dwadzieścia pięć lat, odkąd kierowałem Wydziałem Antropologii na Uniwersytecie Tennessee. Podczas tego ćwierćwiecza liczebność kadry wzrosła z sześciu do dwudziestu osób. Z jednostki, która zaczynała jedynie od studiów licencjackich, staliśmy się jednym z najważniejszych w kraju ośrodków kształcenia antropologów sądowych. W Stanach Zjednoczonych było wtedy około sześćdziesięciu certyfikowanych antropologów sądowych, a ja nauczałem co trzeciego z nich.

Rada Rozwoju i Wspierania Edukacji przyznała mi tytuł Nauczyciela Roku, nie tylko na moim uniwersytecie czy w Tennessee, ale w całych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Wkrótce potem do Knoxville przyjechał prezydent Ronald Reagan, który zjadł ze mną lunch. Nasza praca zyskiwała sobie uznanie i poklask, zarówno w Ameryce, jak i na całym świecie. Zapraszano mnie na wykłady do Australii, Kanady i Tajwanu.

Choć sam nie mogłem się temu nadziwić, również moje życie osobiste znów było poukładane i szczęśliwe. Powód tej zmiany tkwił pod moim nosem od dwudziestu lat. Odkąd przeprowadziłem się do Knoxville, by prowadzić tamtejszy wydział antropologii, uwielbiałem chodzić codziennie do pracy. Jednym powodem była sama praca: nauczanie jest zazwyczaj czystą przyjemnością, a śledztwa bywają fascynujące. Drugim powodem była Annette Blackbourne.

Zatrudniłem Annette niedługo po moim przyjeździe do Tennessee. Na wydziale pracowała już jedna sekretarka, ale gdy poszerzyliśmy zakres działania, konieczne okazało się zatrudnienie kogoś, kto zajmowałby się naszymi grantami badawczymi. Gdy przeprowadziłem rozmowę kwalifikacyjną z Annette, byłem pod wrażeniem jej umiejętności organizacyjnych i finansowych, a jeszcze większe

wrażenie zrobiły na mnie jej ciepło, dojrzałość i głębokie zrozumienie dla innych ludzi. Na wydziale tak dużym jak nasz, gdzie trzeba było radzić sobie zarówno z wystraszonymi, zahukanymi studentami pierwszego roku, jak i zadufaną w sobie kadrą profesorską, dyplomacja i poczucie humoru były niezbędne.

Gdy nasza główna sekretarka odeszła do lepiej płatnej pracy, awansowałem Annette na to stanowisko, jeszcze później jej status został podniesiony z sekretarki na asystentkę do spraw administracyjnych. Myślę, że określenie konsultantka lub doradczyni byłoby tu trafniejsze. Gdy musiałem podjąć jakąś trudną decyzję, konsultowałem ją z Annette, która wiele razy uchroniła mnie przed popełnieniem okropnej pomyłki. Na przykład gdy pod Trupią Farmą pojawili się demonstranci, przekonała mnie, bym do nich nie szedł i nie wdawał się w dyskusje. Zamiast psuć sobie nerwy, siedzieliśmy niezauważeni w samochodzie na parkingu przed szpitalem i śmialiśmy się z ich zabawnego transparentu. Dzięki temu podczas spotkania z dziennikarzami mogłem odnieść się do tej sprawy ze spokojem i dystansem.

Przez dwadzieścia lat wspólnej pracy nigdy się nie pokłóciliśmy. Uwielbiali ją wszyscy pracownicy i studenci naszego wydziału. Ann i ja zaprzyjaźniliśmy się serdecznie z Annette i jej mężem Joe, farmaceutą z uniwersyteckiego centrum medycznego. Dwa razy do roku wsiadaliśmy całą czwórką do campera i wybieraliśmy się na kilkudniową wycieczkę gdzieś na południowy wschód: do Nashville, Asheville, Chattanooga, Mammoth Cave i kilku innych miejsc. Potem, na krótko przed chorobą Ann, u męża Annette zdiagnozowano raka płuc. Zmarł mniej więcej w tym samym czasie, gdy wykryto nowotwór Ann.

Przez całą chorobę Ann Annette była cierpliwym i pełnym współczucia słuchaczem, a gdy Ann zmarła, doskonale rozumiała, przez co przechodzę. Przyjaźń i zrozumienie Annette pomogło mi przetrwać te pierwsze trudne miesiące; w końcu przyjaźń przerodziła się w miłość. Czternaście miesięcy po śmierci Ann pobraliśmy się z Annette w małej kaplicy prezbiteriańskiej.

Czułem się jak nowo narodzony. Jakbym znowu był młody.

Krótko mówiąc, jesienią 1994 roku wszystko układało się dobrze. Zbyt dobrze, by mogło trwać dłużej.

I znów kłopoty zaczęły się od topielców. Wiele lat wcześniej włożyłem pewnego topielca z hrabstwa Roane do schowka na szczotki, wzbudzając święty gniew woźnego. Tym razem przyczyną kłopotów były badania tłuszczowosku prowadzone przez Tylera O'Briena. Tłuszczowosk to tłusta woskowata substancja, która często pokrywa ciała wyciągnięte z jezior, rzek i wilgotnych podziemi. Ponieważ w Tennessee nie brakuje wilgoci, często miałem z nim do czynienia. Jak zwykle jednak chciałem wiedzieć nie tylko co, ale i dlaczego: chciałem również wiedzieć kiedy, bym w sytuacji, gdy jakiś szeryf lub zespół ratowniczy przywiezie mi topielca, potrafił na podstawie ilości tłuszczowosku określić choć w przybliżeniu, jak długo to ciało „spało z rybami”.

Próbowałem namówić kilku studentów, by napisali pracę magisterską o tłuszczowosku, ale nie znalazłem chętnych. Przypuszczam, że wszyscy zdążyli się już zorientować, że zwłoki topielców są najgorsze – oślizgłe i wyjątkowo cuchnące. W końcu, jesienią 1993 roku, pojawił się u nas Tyler O'Brien, który poprzedniego lata pracował w biurze lekarza sądowego w Syracuse w stanie Nowy Jork. Miasto Syracuse otaczają Finger Lakes, więc Tyler napatrzył się przez lato na całą armię topielców. Niektórzy z nich byli pokryci tłuszczowoskiem, a niektórzy nie, więc Tyler, podobnie jak ja, zastanawiał się, z czego wynikała ta różnica i czy miała związek z czasem, który upłynął od śmierci danej osoby.

Najprościej byłoby zakotwiczyć ciała w rzece płynącej obok ośrodka. Nie chcieliśmy jednak, żeby wędkarze przez następne pół roku wzywali codziennie policję, więc Tyler wymyślił inny sposób: wykopał trzy doły wielkości grobu, wyłożył je grubym plastikiem i napełnił wodą. Zawężone, bardziej kontrolowane badanie Tylera miało z naukowego punktu widzenia jedną dużą zaletę. Ograniczając liczbę zmiennych – innymi słowy, wykluczając z równania głodne ryby – Tyler mógł się skupić wyłącznie na powstawaniu tłuszczowosku i zapomnieć o czynnikach zewnętrznych.

W badaniu uczestniczyły trzy ciała, po jednym w każdym dole. Aby ułatwić sobie badanie zwłok w trakcie eksperymentu, Tyler ułożył na dnie każdego z dołów drucianą siatkę z haczykami na rogach, by mógł je podnosić. Potem włożył do wody ciała.

Pierwsze ciało unosiło się na wodzie jak korek. Kiedy pchaliśmy głowę na dół, stopy wypływały na powierzchnię. Zastanawialiśmy się, czy go czymś nie obciążyć, w końcu jednak uznaliśmy, że powinniśmy zostawić to naturze. Drugie zwłoki poszły na dno jak kamień. Często ofiary utonięcia lub ofiary zabójstwa wrzucone do jeziora czy rzeki wypływają na powierzchnię dopiero po kilku dniach lub tygodniach – kiedy w brzuchu zbierze się dość gazu – lecz ten facet zatonął i nie wypłynął już więcej. Trzecie ciało należało do wysokiego, dobrze zbudowanego Murzyna; byłem pewien, że i ono zatonie, bo czarnoskórzy mają gęstsze kości od białych, ale moje przypuszczenia okazały się błędne. Podobnie jak pierwszy nieboszczyk Murzyn unosił się na wodzie jak korek.

Tyler zostawił ciała na pięć miesięcy; do tej pory niemal zupełnie przegniły i nie mogły dostarczyć nam już więcej informacji. Jednak w czasie eksperymentu zaobserwowaliśmy pewne interesujące zjawiska. Jednym z najbardziej interesujących był fakt, że tłuszczowosk tworzy się mniej więcej pięć do siedmiu centymetrów nad i pod powierzchnią wody, a nie na całym ciele. Zakładaliśmy, że ma to coś wspólnego z dostępnością zarówno powietrza, jak i wody, ale nie mieliśmy pewności. Jak niemal każdy dobry projekt badawczy, eksperyment Tylera odpowiedział na wiele pytań, ale i podniósł równie dużo nowych.

Wcześniejsze badania tłuszczowosku dotyczyły jedynie małych próbek tkanki umieszczonych w fiolkach z wodą w laboratorium. Projekt Tylera był prawdziwie pionierskim projektem opisującym powstawanie tłuszczowosku w naturalnych warunkach. Tyler starannie wszystko opisywał i robił liczne zdjęcia. Dodatkowo pracownicy uniwersyteckiego działu dokumentacji filmowej przygotowali

obszerną relację z eksperymentu. Obrazy przedstawione w relacji były makabryczne, a zarazem tak pouczające, że włączył je do filmu instruktażowego dla funkcjonariuszy organów ochrony porządku publicznego, który stanowił część programu kształcenia ustawicznego Uniwersytetu Tennessee. Program ten nosił nazwę Law Enforcement Satellite Academy of Tennessee (Akademia Satelicka Organów Ochrony Porządku Publicznego Stanu Tennessee), w skrócie LESAT.

Niestety, tak się złożyło, że dziennikarka telewizyjna, która przyjechała z prezentacją na szkolenie LESAT, obejrzała przypadkiem ten właśnie film i była nim przerażona. Nie dziwię się jej: nawet mnie nie oglądało się łatwo tej relacji, a przecież codziennie mam do czynienia z martwymi i rozkładającymi się ciałami. Niełatwo przychodziło mi też oglądać relacje z operacji chirurgicznych, ale to nie znaczy, że chirurg zrobił coś złego. Wtedy nie miałem o tym pojęcia, ale teraz już wiem, że owa dziennikarka wpisała nas wówczas na swoją prywatną czarną listę i czekała na sposobność do ataku.

Wkrótce ją dostała. W owym czasie lekarze sądowi z Tennessee dostarczali mi regularnie ciała, po które nikt się nie zgłaszał. Niektóre z tych ciał należały do bezdomnych, zaś niektórzy z tych bezdomnych – o czym nie miałem pojęcia – byli również weteranami wojennymi.

W czasie wojny koreańskiej służyłem w wojsku. Mam ogromny szacunek dla mężczyzn i kobiet, którzy bronią naszej ojczyzny, i nigdy nie zrobiłbym celowo czegoś, co mogłoby uwłaczać jakiemukolwiek weteranowi, żywemu czy martwemu. Lecz wszystko to nie miało znaczenia, gdy stacja telewizyjna Channel 4 z Nashville dowiedziała się, że zasłużeni dla kraju weterani gniją na ziemi w Trupiej Farmie.

Pierwszą zapowiedzią nadciągających problemów był telefon od dziennikarki z prośbą o wywiad.

– Jasne – powiedziałem. – Przyjeżdżajcie.

Przez całą jesień uczyłem w odległej o pięćset kilometrów od Knoxville miejscowości Martin, gdzie znajdowała się filia Uniwersytetu Tennessee. Dziennikarka i jej kamerzysta pokonali dwieście pięćdziesiąt kilometrów dzielące Nashville od Martin. Gdy ustawiali kamerę i światła, powiedziała mi, że przeczytała wszystkie artykuły na mój temat, jakie kiedykolwiek ukazały się w gazetach w Knoxville. Jednak gdy zaczęliśmy nagrywać, jej pytania koncentrowały się wyłącznie na jednej z tych dziesiątków historii: proteście, który w 1985 roku zorganizowała pod Trupią Farmą grupa mieszkańców zwana S.I.C.K. – Solutions to Issues of Concern to Knoxvilleans (Rozwiązania Spraw, które Niepokoją Mieszkańców Knoxville). Wywiad dotyczący tego protestu oraz innych form sprzeciwu wobec mojej działalności trwał czterdzieści pięć minut, w końcu dziennikarka spytała, czy mogłaby sfilmować moje zajęcia.

– Oczywiście – odparłem, więc zrobili to. Potem maglowała mnie przed kamerą jeszcze przez kolejne czterdzieści pięć minut. Zaczynałem rozumieć, jak czują się ludzie przesłuchiwanymi przez dziennikarzy w programach publicystycznych.

Kilka tygodni później moi przyjaciele z Channel 4 pojechali za mną na gościnny wykład i sfilmowali go. Czuję się śledzony, choć nie wiedziałem, dlaczego. Przypominając sobie wrogi ton półtoragodzinnego wywiadu, którego udzieliłem w Martin, zacząłem się obawiać, że dziennikarka i jej pomocnik mają jakieś ukryte zamiary i że dotyczą one mnie. Kiedy więc spytali, czy mogą sfilmować Trupią Farmę, odmówiłem.

Minęło kilka tygodni. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie ochrona kampusu: Czy mógłbym przyjechać do ośrodka badawczego? Kiedy tam dotarłem, ochroniarze trzymali kamerzystę z Channel 4, który podjechał swoim samochodem do drewnianej bramy ośrodka, ustawił statyw z kamerą na dachu i zaczął nagrywać wszystko, co mógł dojrzeć zza płotu.

Byłem wściekły. Kiedy stacja Channel 4 skontaktowała się ze mną po raz pierwszy, starałem się być otwarty, uczciwy i pomocny. Gdyby oni robili to samo, z przyjemnością kontynuowałbym współpracę, jednak teraz czuję się zdradzony. Zrozumiałem, że prowadzą swego rodzaju polowanie na czarownice. Kamerzysta zadzwonił do swojego szefa z Channel 4, stacja zadzwoniła do swojego prawnika, prawnik stacji zadzwonił do prawnika uniwersytetu.

Kilka tygodni po filmowym incydencie pod bramą farmy, Channel 4 wyemitował w końcu materiał nagrany przez dobrze mi już znaną dziennikarkę. Czteroodcinkowy serial, który zatytułowali Ostatnie prawa, potępiał naszą działalność i przedstawiał ją jako bezczeszczenie zmarłych weteranów na terenie Trupiej Farmy. Niektóre ujęcia pokazywały to, co udało im się nakręcić zza płotu, lecz większość materiału pochodziła z filmu przygotowanego dla LESAT – szczególnie z relacji dotyczącej badania Tylera O'Briena nad powstawaniem tłuszczowosku na ciałach zanurzonych w wodzie.

Moim zdaniem serial przeinaczał i przejawiał wszystko, co w nim pokazano, epatując przy tym drastycznymi zdjęciami, lecz być może ludzie z telewizji naprawdę uważali, że uwłacza to ludzkiej godności i przyzwoitości; myślę, że nie zaszkodziło to również ich oglądalności. Bez względu na to, co nimi kierowało, film wywołał gwałtowne reakcje. Przez wiele dni po emisji rozgniewani weterani, oburzeni krewni i zbulwersowani obywatele zasypywali mnie telefonami, dzwonili również przedstawiciele uniwersytetu, zaniepokojeni falą krytyki. Oceniając tę sytuację z perspektywy czasu, stwierdzam, że wcześniej czy później musiało dojść do czegoś podobnego. Przez długie lata prowadziliśmy badania, które z założenia stały w sprzeczności z tym, jak zwyczajowo traktuje się zmarłych; przez długie lata pisano o nas niewiele, ale dobrze, gdy nasze osiągnięcia pomagały w rozwiązywaniu spraw kryminalnych, a ostatnio znaleźliśmy się w centrum uwagi za sprawą bestsellerowego kryminału. Stanowiliśmy gorący temat i ktoś uznał zapewne, że trzeba przytrzeć nam trochę nosa.

Miałem nadzieję, że wszystko rozejdzie się w końcu po kościach, lecz wkrótce nadzieja ta prysła jak bańka mydlana. Okazało się, że początkowe poruszenie było tylko ciszą przed burzą, bo do awantury włączył się przedstawiciel organizacji kombatantów stanu Tennessee. Przekonał kilku



członków stanowego zgromadzenia ustawodawczego, by przedłożyli projekt ustawy, która uniemożliwiłaby lekarzom sądowym przekazywanie ciał do naszych badań. Biorąc pod uwagę fakt, że takie ciała stanowiły znaczący odsetek naszych obiektów badawczych, skutki ustawy byłyby dla nas dramatyczne.

Byłem zszokowany faktem, że sprawy zaszły aż tak daleko. Trupia Farma była jedynym tego rodzaju ośrodkiem badawczym na świecie. W ciągu pierwszych lat działalności opublikowaliśmy pionierskie dane dotyczące procesów, które zachodzą podczas rozkładu ludzkiego ciała, ich kolejności i długości. Dane te były wykorzystywane na całym świecie, pomogły policjantom i prokuratorom wsadzić za kratki dziesiątki morderców. Ja sam uczestniczyłem jako ekspert w dziesiątkach procesów o morderstwo i pomogłem wysłać do więzienia całkiem sporą liczbę zabójców. Moi studenci zostali naukowcami, którzy dzięki badaniom prowadzonym na Trupiej Farmie wyrastali na czołowych ekspertów w swoich dziedzinach. A byliśmy dopiero na początku drogi. Należało zbadać jeszcze tak wiele zmiennych, opracować i udoskonalić tak wiele technik...

Wiedziałem, że nie mogę walczyć w tej bitwie samotnie, ale nie miałem pojęcia, gdzie szukać pomocy. Stoczyłem już niejedną bitwę naukową, ale nigdy prawniczej. Gdybyśmy ją przegrali, Trupia Farma zapisałaby się w historii jako przedsięwzięcie śmiałe, ale skazane na niepowodzenie.

Potem przypomniałem sobie o prokuratorach. To oni mogli stanowić klucz do wygranej. W Tennessee pracowało trzydziestu jeden prokuratorów okręgowych, którzy byli nie tylko przedstawicielami prawa, ale i wybieralnymi urzędnikami; wybierano ich w głosowaniu i utrzymywano na stanowiskach ze względu na ich zaangażowanie w walce z przestępczością. Pomagałem już wielu prokuratorom okręgowym, ba, pomogłem nawet wsadzić za kratki człowieka, który kilka lat wcześniej zabił prokuratora śledczego w Knoxville.

Sięgnąłem po notes z telefonami do różnych funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości stanu Tennessee i zacząłem dzwonić. Przedstawiłem im moją wersję wydarzeń opisanych w filmie, przesłałem krótką historię ośrodka badawczego i wyjaśniłem, co oznaczałoby – nie tylko dla mnie, ale również dla policji i prokuratury – ograniczenie naszej działalności.

Trzy miesiące po tym, jak Channel 4 wyemitował Ostatnie prawa, projekt ustawy przeciwko Trupiej Farmie trafił pod głosowanie kluczowej komisji Senatu. W komisji zasiadali dwaj wnioskodawcy tego projektu, więc sytuacja przedstawiała się dość ponuro. Potem jednak jeden inny senator poprosił o głos i wygłosił płomiennie przemówienie przeciwko ustawie. Twierdził, że praktycznie doprowadzi ona do zamknięcia Trupiej Farmy, co utrudni działania organów powołanych do ochrony porządku publicznego.

– Troska o szczątki zmarłych – mówił – powinna ustąpić pierwszeństwa potrzebie zatrzymywania przestępców.

Komisja odrzuciła ustawę stosunkiem głosów pięć do czterech. Uniknęliśmy katastrofy o mały

włos.

Jakiś czas później byłem na spotkaniu, w którym uczestniczył gubernator stanu Tennessee. Po spotkaniu wziął mnie na bok, pochylił się ku mnie i powiedział cicho:

– Najwyraźniej przedstawiciel organizacji kombatanckich ma za mało pracy.

Odczytałem to jako sygnał, że wrzawa wokół Trupiej Farmy ucichła – przynajmniej na razie, a może i na dobre.

# Przydomowe barbecue

Przydomowe barbecue są bardzo popularne latem w Tennessee. Byłem już na setkach takich przyjęć. Jedno z nich było naprawdę wyjątkowe.

21 lipca 1997 agent TBI Dennis Daniels zadzwonił do mnie ze wsi w hrabstwie Union, położonej około sześćdziesięciu kilometrów na północ od Knoxville, i poprosił, bym przyjechał obejrzeć kości, które jego zdaniem należały do człowieka. Daniels – wraz z dwoma śledczymi z biura szeryfa hrabstwa Union, Davidem Trippem i Larrym Dykesem – znajdował się w domu dwudziestojednoletniego Matta Rogersa.

Zgarnąłem po drodze dwie studentki, które stanowiły część mojego zespołu badawczego, Joannę Bennett oraz Lauren Rockhold, po czym pojechaliśmy wszyscy razem do hrabstwa Union. Do tej pory rozwiązaliśmy w 1997 roku dwadzieścia dwie sprawy; to miała więc być sprawa numer 97–23. Spotkaliśmy się z zastępcą szeryfa w gmachu Sądu Okręgowego w Maynardville, a potem pojechaliśmy za nim na wieś, prawdziwą wieś. Droga wiodła przez lasy, pośród ubogich farm, zaniedbanych domów i rdzewiejących przyczep kempingowych. W końcu zatrzymaliśmy się obok zabitej dechami wioski o nazwie Jim Town.

Dom Rogersa był właściwie małą drewnianą chatą. Kiedyś zapewne go pomalowano, lecz większość farby dawno już się złuszczyła, a odsłonięte deski przybrały srebrzystoszarą barwę. Zastępcy szeryfa zaprowadzili mnie na bok budynku, za szopę na narzędzia. Od razu domyśliłem się, co chcą mi pokazać: zardzewiałą dwustu litrową beczkę na ropę z wielkimi dziurami po kulach. Na wsi używa się takich beczek jako prowizorycznych pieców, wystarczy tylko dołożyć komin, a w razie potrzeby przykryć od góry rusztem. Jednak tym, co od razu przykuło mój wzrok, była duża kość wystająca z beczki.

– Matt mówi, że to kości jakiegoś zwierzaka – powiedział agent Daniels. – Zdechłej kozy, którą jego pies zaciągnął na podwórze. – Agent TBI najwyraźniej nie wierzył w opowieść Matta.

Daniels miał powody do podejrzeń. Jedenaście dni wcześniej zgłoszono zaginięcie dwudziestosiemioletniej żony Matta, Patty. Sprawa była tym dziwniejsza, że o zniknięciu Patty nie poinformował policji sam Matt, lecz jej najlepsza przyjaciółka, Angie, która widziała ją po raz ostatni 7 lipca na przyjęciu z grillem. Patty powiedziała jej wtedy, że nazajutrz zamierza odejść od Matta.

Jednak Angie nie była jedyną osobą, której zwierzyła się Patty, i tu właśnie akcja zaczęła się komplikować, zupełnie jak w telenoweli. Wyglądało na to, że Patty miała romans z bratem Angie, Michaeliem. Tamtego wieczora na przyjęciu Patty i Michael wyjawili wszystko Mattowi i powiedzieli mu, że chcą być razem już od następnego ranka. Patty i Matt wyszli z przyjęcia, kłócąc się zaciekle.

Przez następne dwa dni Angie nie miała żadnych wiadomości od Patty, co wydawało jej się dziwne i niepokojące, zarówno ze względu na łączącą je przyjaźń, jak i na to, co powiedziała jej Patty. Potem zadzwonił Matt, a Angie naprawdę zaczęła się bać: pytał, czy nie widziała ostatnio Patty. Powiedział, że po ich niedawnej kłótni wybiegła z domu o 2.00 w nocy i od tamtej pory już jej nie widział.

Nazajutrz Angie poszła do biura szeryfa, by zgłosić zaginięcie Patty. Próbowwała namówić Matta, by to on dokonał zgłoszenia, lecz ten odmówił. Poprosił ją też, by dała mu znać, jeśli skontaktuje się z szeryfem, bo chciałby trochę posprzątać w domu, nim ktoś do niego przyjdzie. Angie nie zdradziła Mattowi, że zgłosiła zaginięcie, więc gdy zastępca szeryfa Larry Dykes wybrał się do domu Rogersa, zauważył, że torebka Patty, kluczyki do jej samochodu i papierosy leżą na kuchennym blacie. Wydało mu się dość dziwne, że kobieta wychodzi z domu na kilka dni, nie zabierając żadnej z tych rzeczy – nie wspominając już o dziecku.

Patty nadal nie dawała znaku życia. Jej córka trafiła pod opiekę rodziców Matta. 21 lipca sprawa zaginięcia została przekazana detektywowi Davidowi Trippowi. Im więcej informacji gromadził Tripp, tym bardziej był pewien, że Patty nie odeszła tak po prostu od swojego męża i dziecka. Mijały już dwa tygodnie, odkąd nikt jej nie widział. Detektyw Tripp i zastępca szeryfa Dykes ponownie pojechali przesłuchać Matta, tym razem zabrali ze sobą agenta TBI oraz psy ratownicze do szukania zwłok.

Matt Rogers trzymał się swojej wersji wydarzeń. Kiedy Tripp i Daniels spytali, czy mogą przeszukać jego posiadłość, zgodził się. Gdy ratownicy z psami zaczęli przeszukiwać okolice domu, Matt przysiadł na kamieniu i przyglądał się im.

Agent Daniels zajął się samym domem. Budynek wznosił się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, wsparty belkami w rogach i kilku innych miejscach, lecz pozbawiony był zamkniętych fundamentów lub piwnicy. Daniels wziął latarkę ze swojego samochodu i zajrzał w ciemności zalegające pod podłogą.

Tymczasem Tripp zwrócił uwagę na dół na śmieci i beczkę z boku domu. Zauważył też, że w jednym i drugim płonął niedawno ogień. Ponieważ sam przez całe życie mieszkał na wsi, wiedział, że kiedy ludzie chcą się tu czegoś pozbyć, zwykle wyrzucają to lub palą. Zajrzał do wnętrza beczki i przywołał Daniela.

– Możesz odwołać psy. Chyba znalazłem naszą dziewczynę.

Wtedy właśnie Matt, który wciąż siedział na kamieniu, wyjaśnił im, że to kości kozy przywleczonej przez psa, a Daniels zadzwonił do mnie i spytał, czy mógłbym przyjechać do hrabstwa

Union.

Doskonale rozumiałem, dlaczego powątpiewali w opowieść Matta. Ja także w nią nie wierzyłem: po czterdziestu latach badań nad ludzkimi szkieletami potrafiłem od razu rozpoznać kość udową człowieka wystającą z beczki. Ta konkretna kość była co prawda spalona – popękana powierzchnia i szarobiała barwa świadczyły o tym, że płonęła przez długi czas w gorącym ogniu – ale bez wątplenia należała do człowieka.

Ślady ognia widoczne były nie tylko w beczce. Kilka kroków dalej leżał materac, a właściwie to, co z niego zostało. Teraz była to plątanina wygiętych i osmalonych sprężyn, przetykana pustymi puszkami, bateriami, rozbitymi naczyniami i innym śmieciem. Kiedy przyjrzałem się uważniej, zauważyłem coś, co wyglądało jak maleńkie fragmenty kości rozsypane pomiędzy śmieciami. Wyglądało na to, że czeka nas sporo pracy. Było już późne popołudnie. Zostały nam jeszcze jakieś trzy godziny na wykopanie i zebranie fragmentów kości rozsypanych na tym dużym i skomplikowanym stanowisku.

Joannę i Lauren wyładowały z samochodu nasz sprzęt: łopaty i kielnie do kopania, sita do przesiewania popiołu i gruzu, aparaty fotograficzne, suwmiarkę i torby na zebrane materiały. Pogorzelnisko obejmowało spory obszar w kształcie prostokąta o wymiarach około trzech i pół metra na dwa metry. Aby usystematyzować jakoś nasze poszukiwania i ułatwić opisanie miejsc, w których znaleźliśmy poszczególne przedmioty, za pomocą kolorowej taśmy podzieliłem stanowisko na dwanaście równych prostokątów.

Joannę zaczęła pracę od jednej strony wyznaczonej w ten sposób siatki, a Lauren od drugiej. Tymczasem ja zająłem się przeszukiwaniem beczki. Od czasu do czasu przerywałem na moment pracę, by sprawdzić, jak idzie dziewczynom. Gdy tylko przeszukały kilka pierwszych prostokątów, zrozumieliśmy, że ciało zostało spalone najpierw na materacu, bo jego fragmenty ułożone były mniej więcej w anatomicznym porządku. Fragmenty, które oparły się płomieniom, zostały przerzucone do beczki i tam spalone ponownie. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak trudno spalić ciało. Wydaje się, że to łatwy sposób na pozbycie się ofiary morderstwa, lecz rzeczywistość wygląda całkiem inaczej.

Oprócz kości udowej, która od razu rzuciła mi się w oczy, beczka zawierała jeszcze mnóstwo innych części szkieletu. Sama kość udowa (lewa), choć mocno spalona, zachowała się w stosunkowo dobrym stanie. Niestety, nie można było powiedzieć tego samego o innych kościach: większość zamieniła się w szare kruche czerepy, z którymi musiałem obchodzić się bardzo ostrożnie, by nie uległy zniszczeniu. Położywszy beczkę na boku, wsunąłem do niej głowę i ostrożnie przeglądałem jej zawartość, wyszukując fragmenty kostne. Znalazłem ich całe mnóstwo: kawałki łopatki, piszczeli i innych kości długich, większość kości krzyżowej oraz kilka kręgów. Niektóre z nich spadły na dno beczki, unikając całkowitego spalania, były tylko lekko osmolone, wciąż tkwiły na nich fragmenty tkanki miękkiej. Sporo odłamków kostnych leżało również na ziemi wokół beczki: kolejne fragmenty

kości długich, kości krzyżowej i grzebienia krzyżowo–biodrowego, kawałki żeber i kręgów, kość z palca u nogi oraz dwa ułamki czaszki.

Podczas gdy ja badałem zawartość beczki, Joannę i Lauren metodycznie przeszukiwały dwanaście prostokątów pod materacem i wokół niego. Najpierw przyjrzały się uważnie powierzchni, na której znalazły liczne fragmenty kości. Potem, gdy pozbierały już wszystkie widoczne odłamki, zaczęły przesiewać śmieci i popioły, przekopując je do samej ziemi. W trzech spośród dwunastu kwadratów znajdowały jedynie śmieci, w pozostałych leżały tysiące kostnych drobin. Nim skończyliśmy badanie miejsca śmierci, zapadał już zmierzch. W ciągu trzech godzin wypełniliśmy szczątkami kości trzydzieści dwie papierowe torby (każda wielkości torebki na lunch).

Wróciliśmy do Knoxville. Matt Rogers pojechał do więzienia hrabstwa Union, gdzie został oskarżony o zabójstwo z premedytacją.

Niektórzy mężczyźni robią wszystko, żeby pozbyć się swoich żon. Tymczasem ja zrobiłbym wszystko, żeby nie rozstawać się z Annette.

To było dla nas całkowite zaskoczenie. W Sylwestra 1995 roku Annette zauważyła dwa spuchnięte węzły chłonne przy obojczyku. Rankiem 2 stycznia zgłosiła się do lekarza. Zrobili jej prześwietlenie, a wyniki były szokujące: rak płuc, czwarte stadium. Po serii naświetlań guz zniknął.

Jednak zaledwie pięć miesięcy później odeszła również Annette. Kiedy obudziła się pewnego ranka, miała trudności z oddychaniem. Wezwałem karetkę. W drodze do szpitala doszło do zatrzymania pracy serca. Reanimowali ją, po chwili serce znów przestało bić. Gdy karetka pędziła na sygnale do szpitala, Annette umierała. Gdy tam dotarłem – minutę, może dwie po karetce, nie później – już nie żyła.

Przez całe życie byłem praktykującym chrześcijaninem. Miewałem różne wątpliwości – jakąż myślącą osoba ich nie ma? – ale nadal wierzyłem w istnienie kochającego Boga. Wyrosłem w religijnej atmosferze, uczyłem przez lata w szkółce niedzielnej, jeździłem z grupami młodzieży do Meksyku na letnie misje. Ale w tamtej chwili w szpitalu – w chwili gdy umarła Annette, umarła również moja wiara.

Kiedy rozmyślałem o tym w ciągu ponurych dni i tygodni po śmierci Annette, doszedłem w końcu do wniosku, że prawdy zapisane w Biblii są odwrotnością tego, co wydarzyło się naprawdę. Może Bóg wcale nie stworzył nas na swoje podobieństwo: może to my stworzyliśmy Boga na nasze podobieństwo. Pewien grecki filozof doszedł do tego samego wniosku już 2500 lat temu. „Etiopowie uważają, że ich bogowie mają spłaszczony nosy i są czarni – pisał Ksenofanes – Trakowie zaś, że mają niebieskie oczy i rude włosy. Gdyby woły, konie i Iwy miały ręce i mogły nimi malować, to konie malowałyby obrazy bogów podobne do koni, a woły podobne do wołów”<sup>8</sup>.

Kochający ojciec: tak wyglądał obraz Boga, który malowałem sercem, nie rękami. Takiego właśnie Boga chciałem i potrzebowałem od sześćdziesięciu pięciu lat, odkąd w gabinecie mojego taty

rozbrzmiał śmiertelny strzał. Jednak czy ten wszechmogący kochający Ojciec Niebieski mógł pozwolić umrzeć tym dwóm wspaniałym kobietom na raka? Ann była dietetykiem, sama zawsze zdrowo się odżywiała i nauczyła tego tysiące innych ludzi, mimo to rak zaatakował jej przewód pokarmowy. Annette, która umarła na raka płuc, nigdy w życiu nie wypaliła choćby jednego papierosa, jedynym jej grzechem było trzydzieści lat małżeństwa z nałogowym palaczem.

Może wszystko sprowadzało się tylko do chemii i genetyki: Ann i Annette po prostu nie były wystarczająco odporne na czynniki rakotwórcze, którymi wypełniony jest nasz świat. Niektórzy ludzie posiadają taką odporność: one jej nie miały. Być może to właśnie była jedyna obiektywna przyczyna ich śmierci.

Ann umierała powoli, walczyła z chorobą, a ja zacząłem przygotowywać się na najgorsze, nim jeszcze ta walka dobiegła końca. Śmierć Annette była szybka i druzgocąca, nastąpiła zaledwie dwa miesiące po śmierci mej matki, która była mi bardzo bliska przez całe życie. Brzemie żalu i smutku było przytłaczające. Bałem się wchodzić do mojego pustego domu. Czasami nieoczekiwanie wybuchałem płaczem i nie mogłem przestać szlochać. To były jedne z najmroczniejszych miesięcy mojego życia.

Jedyną rzeczą, dla której chciało mi się jeszcze żyć, była moja praca. Sprawy takie jak ta: męzczyzny podejrzanego o zabicie, rozcłódkowanie i spalenie własnej żony. Świat wydawał się pełen zła.

Nazajutrz zeszliśmy do laboratorium mieszczącego się w podziemiach stadionu i zaczęliśmy dopasowywać fragmenty kości, niczym elementy jakiejś nadpalonej układanki. Miałem nadzieję, że uda nam się odtworzyć nie tylko szkielet, ale i historię śmierci tej osoby – prawdopodobnie Patty Rogers.

Wiedziałem już, że ta historia, podobnie jak sam szkielet, będzie w najlepszym wypadku niekompletna. Na miejscu przestępstwa zebraliśmy fragmenty niemal wszystkich elementów szkieletu z jednym znaczącym wyjątkiem: oprócz fragmentu kości jarzmowej brakowało wszystkich części czaszki, łącznie z zębami. Zęby są bardzo wytrzymałe – często nie ulegają zniszczeniu nawet podczas kremacji – więc ich brak, podobnie jak brak innych kości czaszki, oznaczał prawdopodobnie, że ktoś celowo je usunął, aby uniemożliwić identyfikację ofiary. Nie sądziłem, by rzeczywiście było to niemożliwe, ale z pewnością mogło się okazać bardzo trudne.

Jak w każdym śledztwie zaczęliśmy od określenia płci, wieku, rasy i wzrostu. Ponieważ nie udało nam się odnaleźć kości twarzy ani żadnej nietkniętej kości długiej – prawdę mówiąc, żadna ze znalezionych przez nas części szkieletu nie zachowała się w całości – nie byliśmy w stanie określić rasy ani wzrostu. Szczątki, które zebraliśmy z miejsca przestępstwa, wystarczały jednak do ustalenia płci i wieku.

Na szczęście jeden z fragmentów kości miednicznej zawierał wcięcie kulszowe – szczelinę, przez

którą przechodzi nerw kulszowy, gdy wysuwa się z kręgosłupa i biegnie wzdłuż nogi. Wcięcie kulszowe jest znacznie szersze u kobiet ze względu na szerszą kość miedniczną. U dorosłych mężczyzn we wcięciu zmieści się jedynie czubek palca, u dorosłych kobiet znajdziemy tam co najmniej dwa – trzy razy więcej miejsca. Wcięcie kulszowe w tym wypadku, w sprawie 97–23, było szerokie, co oznaczało, że kość bez wątpienia należała do kobiety. Znaliśmy już odpowiedź na jedno pytanie, pozostawało jeszcze drugie: Ile lat miała ta kobieta?

Analiza struktury i faktury kości łonowej stanowi często najlepszy sposób na określenie wieku, lecz w tym wypadku kość łonowa została zniszczona przez ogień. Musieliśmy szukać wskazówek gdzie indziej. Na szczęście, choć same kości były popękane i podzielone na drobne kawałki, ich nasady – miejsca, gdzie końcówki kości łączą się z trzonami – zachowały się w stosunkowo dobrym stanie, a to właśnie nasady mogą pomóc w ustaleniu wieku ofiary. Weźmy na przykład kość udową, która wystawała z beczki Matta Rogersa. Choć wydaje się to dziwne, aż do wieku piętnastu lat kość ta składa się właściwie z pięciu mniejszych fragmentów połączonych chrząstką.

Spośród tych pięciu fragmentów niedojrzałej kości udowej najbardziej rzuca się w oczy główny trzon. Do jego górnego końca, czyli nasady proksymalnej, przylega głowa kości udowej: kula, która znajduje się w panewce stawu biodrowego. To właśnie ta część kości przykuła moją uwagę poprzedniego dnia, gdy zajrzałem do beczki Matta Rogersa. Pod głową kości udowej znajduje się krętarz większy, wystające zgrubienie kostne, które mieści się na bocznej, zewnętrznej części uda, dokładnie tam, gdzie noga łączy się z tułowiem. Dokładnie naprzeciwko krętarza większego, bliżej środka trzonu, znajduje się krętarz mniejszy, znacznie mniejsze zgrubienie kostne. Z kolei na końcu dystalnym znajdują się kłykcie, które tworzą połowę stawu kolanowego.

Nasady pozwalają określić w przybliżeniu wiek ofiary. Kostnieją, czyli zamieniają się z chrząstki w kość, w różnym wieku. Jako ostatnia spośród nasad kości udowej kostnieje nasada dystalna, tuż nad kolanem. W niektórych przypadkach nasada ta zamienia się w kość dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat. Ponieważ nasady dystalne tej kości udowej całkowicie już skostniały, spalona kobieta musiała mieć co najmniej dwadzieścia dwa lata.

Czy mogliśmy jeszcze zawęzić jakoś ten przedział wiekowy? Na szczęście okazało się, że choć spojenie łonowe uległo zniszczeniu, zachowały się inne cechy charakterystyczne kości miednicznej. Powierzchnia uchowata kości biodrowej (powierzchnia szerokiej górnej powierzchni kości biodrowej, przypominającej kształtem ucho) miała drobnoziarnistą fakturę, a w miejscu łączenia kości biodrowej z kością krzyżową dało się wyczuć wyraźne zgrubienie; te dane pozwalały mi stwierdzić, że kobieta miała prawdopodobnie od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat. Jak dotąd nie znalazłem więc niczego, co mogłoby wskazywać, że nie była to Patty Rogers, dwudziestosiemioletnia biała kobieta.

Od samego początku badań przypuszczaliśmy, że są to szczątki Patty, lecz w ciągu swej długiej kariery nauczyłem się już, że pochopne sądy mogą utrudnić właściwą ocenę, to zaś może doprowadzić do błędu i kompromitacji. Doświadczyłem tego boleśnie na własnej skórze, prowadząc sprawę



pułkownika Shy'a, gdy pomyliłem się w ocenie czasu, jaki upłynął od śmierci tego pułkownika konfederatów, niemal o sto trzysta lat – jest to zresztą mój osobisty rekord niedokładności. Miałem też do czynienia z kilkoma sprawami, w których tożsamość ciała okazała się dużym zaskoczeniem dla śledczych. W hrabstwie Morgan z miasta Wartburg zniknął pewien bogaty przedsiębiorca budowlany. Przez wiele lat, gdy odnajdywano jakieś kości, policja zakładała, że to właśnie jego szczątki. Byli szczególnie zdumieni, gdy pewnego razu poinformowałem ich, że ich najnowsze odkrycie to wcale nie mężczyzna w średnim wieku, lecz osiemnastoletnia dziewczyna.

Dlatego też, gdy zacząłem badać zniszczone kości 97–23, starałem się zachować otwarty umysł, choć sytuacja nie napawała optymizmem. Ani jedna kość nie zachowała się w całości, brakowało prawie całej czaszki, a wszystko było spalone na wiór. Poprawka: prawie wszystko. Ocalało kilka kręgów, które spadły na dno beczki, oraz fragment kości ciemieniowej z górnej prawej części czaszki. Podobnie jak inne kości, które zebraliśmy na miejscu zbrodni, kość ciemieniowa była popękana, lecz w odróżnieniu od innych szczątków linie pęknięć nie zostały spalone. Oznaczało to, że pęknięcia nie były wynikiem wysokiej temperatury lub wewnętrznego ciśnienia, które powstało w czaszce na skutek parowania różnej cieczy. Coś innego – jakaś potężna zewnętrzna siła – roztrzaskało czaszkę ofiary w chwili śmierci.

Obejrzawszy uważnie pozostałe fragmenty czaszki, dostrzegłem coś, co wyglądało na charakterystyczne ślady tej potężnej siły. Wewnętrzne powierzchnie trzech różnych fragmentów czaszki – lewej kości ciemieniowej oraz dwóch części kości potylicznej – nosiły ślady szaroczarnej substancji. Domyślałem się, co to jest, a prześwietlenie potwierdziło moje domysły. Na negatywie zdjęcia tajemnicza substancja była całkiem biała, co oznaczało, że zatrzymuje promienie rentgenowskie: były to drobiny ołowiu z pocisku. Nasza ofiara, 97–23, została zastrzelona, nim jej ciało uległo spopieleniu.

Jak jednak mogliśmy udowodnić, że 97–23 była tym, za kogo ją uważaliśmy – zaginioną żoną Matta Rogersa, Patty? Ponieważ nie mieliśmy ani zębów, ani kości twarzy, mogliśmy liczyć jedynie na badanie DNA. Tego rodzaju badania stały się ogólnie dostępne pięć lat wcześniej, w następstwie wojny w Zatoce Perskiej w latach 1990–1991. Jednak w tym przypadku i ta metoda mogła się okazać zawodna: wysoka temperatura niszczy DNA, a kości ofiary zostały praktycznie skremowane. Mogliśmy jedynie liczyć na to, że zachowane kręgi lub fragment kości ciemieniowej – fragment, który oderwał się prawdopodobnie w chwili, gdy kula uderzyła w czaszkę – zawierają wystarczającą ilość materiału genetycznego, by udało się przeprowadzić analizę porównawczą z próbkami DNA krewnych Patty. Wysłaliśmy jeden krąg do prywatnego laboratorium kryminalistycznego, a policja zleciła pobranie próbek krwi od rodziców Patty.

Czekając na wyniki badań genetycznych, zajęliśmy się ponownie kośćmi ofiary.

Pozostawało jeszcze jedno kluczowe pytanie: Kiedy nastąpiła śmierć? Jeśli ktoś miał na nie odpowiedzieć, to właśnie Joannę, jedna z moich dwóch asystentek rozwiązujących tę sprawę.

Zaledwie przed rokiem obroniła pracę magisterską z antropologii. Jej praca dotyczyła zmian, jakie zachodzą w kościach poddanych działaniu ognia.

Badania Joannę koncentrowały się na kościach spalonych w dwóch różnych środowiskach. Najpierw odtworzyła warunki panujące na wykopaliskach archeologicznych: zakopała prehistoryczne kości, a potem rozpałała na nich ognisko, by przekonać się, jakie zmiany zajdą w starych kościach na długo po tym, jak zostały pogrzebane – zmiany, które powinni brać pod uwagę współcześni archeolodzy, by należycie opisać i zinterpretować swoje znaleziska.

Drugi eksperyment, który miał bezpośredni związek ze sprawą Patty Rogers, został przeprowadzony w warunkach odwzorowujących współczesne miejsce zbrodni: Joannę ułożyła kości w piwnicy pod domem, a potem spaliła ten dom do fundamentów. (Aby nikt nie pomyślał, że moi studenci są podpalaczami, pozwolę sobie ująć to nieco inaczej: dom, który zdaniem specjalistów stwarzał zagrożenie budowlane, został spalony nie przez Joannę, lecz przez strażaków, ci zaś byli na tyle mili, że pozwolili jej wykorzystać ten kontrolowany pożar do eksperymentu. Gotowość straży pożarnej do współpracy mogła mieć coś wspólnego z faktem, że Joannę spotykała się z pewnym strażakiem, który teraz jest jej mężem).

Do badania Joannę wykorzystała kości jeleni, których w Tennessee nie brakuje, i które są bardzo podobne do kości ludzkich. Ułożyła kilka z nich na ziemi w piwnicy, kilka zakopała na głębokości trzech centymetrów, a pozostałe na głębokości około pięciu centymetrów. Potem podlany obficie benzyną dom zaczął się palić.

Płonął bardzo szybko. W ciągu dwóch i pół godziny drewniany budynek zamienił się w dymiące zgliszcza. Joannę pozwoliła, by wystygł przez noc, i wróciła następnego dnia, by wykopać kości i sondy termiczne, które mierzyły szczytowe wartości temperatury oddziałującej na kości. Okazało się, że w piwnicy temperatura sięgała około 930°C; trzy centymetry pod ziemią wynosiła 680°C, a pięć centymetrów pod powierzchnią 580°C. Tak wysoka temperatura sprawiła, że kości pokryły się licznymi pęknięciami, szczególnie te ułożone na ziemi. Kości te pękały zarówno wzdłuż, jak i w poprzek.

Próbki użyte w eksperymencie, który Joannę przeprowadziła na potrzeby badań do pracy magisterskiej, były pozbawione tkanki i suche, lecz po uzyskaniu tytułu wykonała również doświadczenia z kośćmi „świeżymi”, pokrytymi tkanką miękką. Eksperymenty te dowiodły, że układ pęknięć kości pokrytej ciałem różni się znacząco od pęknięć na kości suchej: świeże kości często się odkształcają, zaś pęknięcia poprzeczne zakrzywiają się lub nawet tworzą spiralę, a nie otaczają trzon jak w przypadku kości suchych.

Badając wraz z Joannę spalone szczątki z podwórza Matta Rogersa, porównywaliśmy je z próbkami z pierwszego eksperymentu oraz ze zdjęciami świeżych kości wykorzystanych w późniejszych doświadczeniach. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że kości zamordowanej kobiety nie były odkształcone, a pęknięcia wcale się nie zakrzywiały. Wręcz przeciwnie, układ pęknięć na

szczątkach 97–23 do złudzenia przypominał próbki z pierwszego badania Joannę – to znaczy kości pozbawione tkanki i suche. Oboje doszliśmy do nieoczekiwanego, lecz logicznego wniosku: ciało uległo rozkładowi, nim zostało spalone. Jak jednak mogło rozłożyć się tak szybko i gdzie? Te pytania nie dawały mi spokoju.

Opisałem wyniki naszych badań i rozesłałem kopie raportu do agenta TBI Daniela, śledczych z biura szeryfa oraz prokuratora okręgowego. Wkrótce też poznałem odpowiedź na dręczące mnie pytania. Dzień po aresztowaniu Matta Rogersa Daniels przyjął zeznanie od przyjaciela Matta i Patty Rogersów. Chris Walker, bo tak się nazywał ów przyjaciel, powiedział Danielsowi, że mniej więcej tydzień po zniknięciu Patty jechał samochodem Matta Rogersa. Samochód strasznie śmierdział, zeznawał Walker – cuchnął padliną. Kiedy spytał o ten zapach, Matt powiedział mu, że żółw Patty utknął w samochodzie i zdechł. Jak opowiadał Walker, fetor był tak straszliwy, że musiał wychylać się przez okno, by zaczerpnąć oddechu – aż dziw, że jeden mały żółw mógł do tego stopnia zasmrodzić samochód.

Walker zeznał również, że kilka dni po tej cuchnącej przejażdżce widział, jak laweta wywozi samochód z miasteczka, w kierunku Knoxville. Gdy wrócił do domu, zadzwonił do kilku firm zajmujących się holowaniem pojazdów, lecz nie udało mu się odszukać auta Rogersa.

W świetle zeznań Walkera wyniki naszych badań wydawały się całkowicie uzasadnione i sensowne. Właśnie tego rodzaju pęknięcia spodziewałbym się zobaczyć na kościach, gdybym wiedział, że przez tydzień lub dwa tygodnie lipcowych upałów zwłoki leżały zamknięte w bagażniku samochodu. Przez większą część dnia temperatura w bagażniku ciemnego auta (to był niebieski buick regal) może sięgać dobrze ponad 40°C. Kilka dni takiego upału w znaczącym stopniu przyspieszyłoby rozkład, wypełniłoby też samochód straszliwym smrodem, o którym mówił Chris Walker.

Nie tylko Walker chciał odnaleźć zaginiony samochód. Po przyjęciu jego zeznań próbowali go również odszukać agenci TBI oraz śledczy z biura szeryfa, lecz bez powodzenia. Podobno auto Rogersa trafiło na jakieś złomowisko, gdzie zostało natychmiast zniszczone. Zawsze żałowałem, że nie miałem okazji go zbadać, byłem pewien, że mój były student, wybitny chemik sądowy Arpad Vass, mógłby wówczas pobrać próbki lotnych kwasów tłuszczowych z bagażnika i udowodnić, że zwłoki uległy rozkładowi właśnie tam.

Ciało, które prawdopodobnie rozłożyło się w bagażniku – i które na pewno spłonęło na podwórzu – rzeczywiście należało do Patty Rogers. Kość, którą wysłaliśmy do badań genetycznych, zapewniła wystarczającą ilość materiału DNA do porównania z próbkami krwi rodziców Patty.

Na rozprawie wstępnej Matt nie przyznał się do zabicia swojej żony. Jednak przed właściwym procesem zapoznał się dokładnie z materiałami dowodowymi, które udało nam się zgromadzić. Opisywaliśmy w nim ranę postrzałową głowy, czas rozkładu zwłok, usunięcie twarzy i zębów oraz badania niemal kompletnego – nie licząc czaszki – szkieletu. Gdyby stanął przed sądem i został

uznany za winnego, otrzymałby karę dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego.

19 grudnia 1997, pięć miesięcy po tym, jak zebraliśmy kości Patty Rogers z beczki i podwórza jej domu, Matt Rogers przyznał się do zabójstwa drugiego stopnia. Został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Za życia Patty Rogers była nieszczęśliwą, wiecznie zatroskaną kobietą. Przez jakiś czas była nawet uzależniona od kokainy, choć twierdziła, że w końcu zerwała z nałogiem. Całkiem poważnie rozważała samobójstwo. Jednak w liście, który wysłała do przyjaciółki na dwa tygodnie przed śmiercią, chwaliła się, że wreszcie przybrała na wadze i wyleczyła zęby. „Pewnego dnia zaskoczę wielu ludzi – pisała. – Wszyscy będziecie ze mnie dumni”. List zawierał też mrozącą krew w żyłach prośbę: „Jeśli Bóg zabierze mnie któregoś dnia do siebie, zaopiekuj się, proszę, moimi dziećmi”. Podobno córki Patty wychowuje ich ojciec, jej pierwszy mąż, który mieszka na Florydzie.

Tymczasem Matt odsiaduje wyrok w więzieniu i przypuszczam, że nie jest mu tam łatwo. Został osadzony w więzieniu stanowym Brushy Mountain State Penitentiary, ponurej kamiennej fortecy wzniesionej sto lat temu u podnóża złowrogiego urwiska. Brushy Mountain słynie z tego, że nie da się stamtąd uciec. Tylko jednemu więźniowi niemal się to udało – był to James Earl Ray, mężczyzna skazany za zabicie Martina Luthera Kinga – lecz gdy psy tropiące i strażnicy znaleźli go w zimnych nieprzystępnych górach otaczających Brushy, był im za to wdzięczny.

Nie chciałbym przez to powiedzieć, że Patty Rogers, zamordowana i spalona przez swego męża, była w jakiś pośmiertny sposób wdzięczna za to, że ją znaleziono. Jednak ja jako antropolog sądowy byłem wdzięczny losowi, że przyczyniłem się do identyfikacji jej szczątków i do wymierzenia choć namiastki sprawiedliwości. Ostatecznie okazało się, że jej historia nie była aż tak fragmentaryczna, jak się tego obawiałem. Jej zakończenie nie było również szczęśliwe, w żadnym wypadku. W takich sytuacjach najlepszym z możliwych zakończeń jest co najwyżej ponura satysfakcja.

# Nie całkiem przypadkowy turysta

Śmierć i zbrodnia nie znają granic, a kości zmarłych przemawiają tym samym uniwersalnym językiem, bez względu na to, czy znaleziono je w Knoxville, Nowym Jorku czy Starym Meksyku.

Sto sześćdziesiąt kilometrów na południe od San Antonio w stanie Teksas leży meksykańskie miasto Monterrey liczące około trzech milionów mieszkańców. Monterrey jest stolicą meksykańskiego stanu Nuevo León, tętniącym życiem ośrodkiem przemysłowym, który mógłby z powodzeniem uchodzić za amerykańskie miasto, gdyby nie fakt, że prawie wszyscy mówią tam po hiszpańsku, a mało kto ma jasną skórę.

17 stycznia 1999 roku moja wyjątkowo blada skóra – nie lubię i boję się podróżować samolotem – pojawiła się w międzynarodowym porcie lotniczym w Monterrey. Przybyłem do Meksyku, by spotkać się z detektywem Johnem Gibsonem i przy odrobinie szczęścia odpowiedzieć na pytania za siedem milionów dolarów.

Za drucianą siatką okalającą policyjny parking w Guadalupe, podmiejskiej dzielnicy Monterrey, stał wrak chevroleta suburban. Pół roku wcześniej, w lipcu 1998, suburban doszczętnie spłonął, a zamknięte w nim ciało zamieniło się w garść spalonych szczątków kostnych.

Podobnie jak wiele innych spraw, ta zaczęła się od telefonu od detektywa, który utknął w martwym punkcie. Gibson, śledczy z San Antonio, został zatrudniony przez dużą firmę ubezpieczeniową Kemper Life do zbadania śmierci jednego z jej klientów. Gibson widział już spalony samochód i mizerne szczątki jego pasażera. Dlatego właśnie zwrócił się do mnie z prośbą o identyfikację szczątków.

Gibson spotkał się ze mną na lotnisku i zawiózł nas do hotelu Sheraton Ambassador, lśniącej wieży z ciemnego szkła, która równie dobrze mogłaby znajdować się w centrum Los Angeles lub Tucson. Podczas wczesnej kolacji, którą zjedliśmy razem w hotelowej restauracji, Gibson zapoznał mnie ze szczegółami sprawy.

Ubezpieczonym mężczyzną był Amerykanin, Madison Rutherford, trzydziestoczteroletni doradca finansowy z Connecticut. Rutherford i jego żona Rhynie byli właścicielami wiejskiego domu w stylu kolonialnym położonego na dwuhektarowej posiadłości w okolicach Danbury. Na porosłej lasem działce mieszkały również ich psy, koty i kury. Rhynie była jedynym beneficjentem polisy na życie

Rutherforda.

Ze względu na specyfikę mojego zawodu często mam okazję się przekonać, jak różną wartość przypisuje się ludzkiemu życiu – i śmierci. Niektórzy ludzie w chwili śmierci są tak biedni i tak samotni, że nikt nawet nie zgłasza się po ich ciała, które leżą w kostnicy do czasu, aż lekarz sądowy albo coroner nie pogrzebie ich w mogile dla nędzarzy. Inni – obdarzeni przez los kochającą rodziną, wysoką pozycją społeczną lub dużym ubezpieczeniem – odchodzą w blasku chwały, pośród kwiatów i złota. Większość z nas plasuje się gdzieś pośrodku tej skali. Kiedy ostatnio ktoś mnie o to zapytał, nie pamiętałem nawet, czy mam jakieś ubezpieczenie na życie, moja żona, Carol, musiała mi przypomnieć, że jednak jestem ubezpieczony. Niemniej nie jest to jakaś wielka suma, po śmierci nie zyskam szczególnie na wartości, z pewnością nie na tyle, by warto mnie było zabijać.

Śmierć Madisona Rutherforda była jednak warta fortunę: okrągłe siedem milionów dolarów – cztery miliony od Kemper Life i trzy od innej firmy ubezpieczeniowej, CNA. Niektórzy ludzie z pewnością uważaliby, że warto go zabić.

Rutherford zatrzymał się w Monterrey z przyjacielem około 10 lipca, podobno w drodze do hodowcy psów mieszkającego w Reynosa, mieście położonym sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na wschód. Tam Rutherford zamierzał kupić egzotycznego brazylijskiego psa rasy fila brasileiro, spokrewnionego z mastiffem. Rutherford kupił w Monterrey rower – prezent dla hodowcy, jak mówił – i schował go do samochodu.

Nocą 11 lipca Rutherford zostawił swego przyjaciela w hotelu – tym samym, w którym mieszkaliśmy teraz z Gibsonem – i pojechał do Reynosy. Tuż przed świtem 12 lipca, w drodze powrotnej do Monterrey jego wynajęty suburban zjechał z drogi, wpadł do rowu i stanął w płomieniach. Na miejsce wypadku natychmiast przybyły policja i jednostki straży pożarnej, strażacy nie byli jednak w stanie ugasić tak gwałtownego ognia. Gdy w końcu pożar przygasł, zajrzeli do środka i nie zobaczyli niczego – i nikogo.

Policja zadzwoniła do wypożyczalni samochodów, ta zaś skontaktowała się z przyjacielem Rutherforda, emerytowanym policjantem stanowym z Connecticut, niejakim Thomasem Pietrinim. Pietrini udał się wraz z pracownikiem wypożyczalni na parking policyjny w Guadalupe, gdzie umieszczono spalonego suburbana.

Gdy znaleźli się już na miejscu, Pietrini zajrzał do kabiny pasażerskiej, pogrzebał w warstwie popiołu i spalonych odłamków na podłodze i wydobył stamtąd osmolony zegarek. Na odwrocie zegarka widniał napis: Madisonowi – kochająca Rhynie. Po chwili do zegarka dołączyła bransoletka medyczna z informacją, że jej właściciel, Madison Rutherford, jest uczulony na penicylinę. Pietrini znalazł również kości, a dokładnie rzecz biorąc, fragmenty spalonych kości. Zastanawiałem się, czy mnie uda się tam jeszcze cokolwiek odnaleźć.

W poniedziałek, nazajutrz po moim przyjeździe, Gibson zawiózł mnie na parking policyjny

w Guadelupe. W ciągu minionych trzydziestu lat badałem dziesiątki spalonych pojazdów, ale nigdy jeszcze nie widziałem samochodu zniszczonego przez ogień do tego stopnia. Zniknęły wszystkie szyby, lakier – ciemnoniebieski, zdaje się – całkiem się wypalił, zostawiając jedynie rdzewiejącą stal. Dach stopił się częściowo w jednym rogu i zapadł. W środku zachował się jedynie metal; ramy i sprężyny foteli oraz nagi szkielet auta. Obraz zniszczeń pasował do tego, co Gibson mówił o spalonych kościach, i potwierdzał moje przypuszczenia: pożar musiał być naprawdę bardzo intensywny.

Aby spalić ciało, ogień musi mieć bardzo wysoką temperaturę. W końcu składamy się głównie z wody, więc podpalenie ciała przypomina rozpalanie nasączonego wodą drewna. Jednak kiedy już dojdzie do zapłonu, ludzkie ciało pali się zaskakująco dobrze. Jednym z powodów jest zawarty w nim węgiel, innym zaś tłuszcz, który nosimy w sobie.

Kilka lat temu jeden z naszych studentów badał czynniki przyczyniające się do zjawiska tak zwanego spontanicznego samozapłonu – przypadków ludzi, których ciała nagle się zapalają i ulegają niemal doszczętnemu spaleniu. Oczywiście tak naprawdę nie ma tu mowy o samozapłonie – aby ludzkie ciało zaczęło się palić, potrzeba zarówno źródła zapłonu (na przykład zapalonego papierosa), jak i zewnętrznego źródła paliwa (często jest nim fotel lub sofa). Jednak w niektórych przypadkach, szczególnie gdy dana osoba jest bardzo otyła, ogień może płonąć naprawdę bardzo gwałtownie, wytwarzając przy tym wysoką temperaturę i duże ilości tłustej sadzy. Przypuszczam, że ponury morał, jaki płynie z tych badań – jeśli w ogóle istnieją badania z morałem – jest bardzo prosty: kontroluj swoją wagę i nie pal w łóżku. (Staram się nie tyć i nie palę w żadnych okolicznościach).

Studenci z wydziału antropologii naszego uniwersytetu palili zwłoki przeznaczone do badań i amputowali kończyny, by zgromadzić informacje o tym, co dzieje się z płonącym ciałem. Obserwując i fotografując te procesy, stworzyli ogólny opis „normalnego” procesu spalania. Dzięki takim badaniom jesteśmy w stanie pomóc policji wykrywać przypadki podejrzane i odbiegające od normy. Wiemy na przykład, że płonące ciało przybiera tak zwaną postawę bokerską: w wyniku odparowania wody mięśnie i ścięgna poddane działaniu wysokiej temperatury kurczą się, a dłonie zaciskają w pięści. Zginają się również ręce, przyciągając pięści do ramion, co przypomina bokerską gardę. Nogi uginają się lekko w kolanach, plecy wyginają w łuk. Widok płonącego, poruszającego się ciała jest naprawdę niesamowity; wydaje się, że zwłoki stają do ostatniej, rozpaczliwej walki ze śmiercią. Ten makabryczny aspekt badań nie powinien nam jednak przesłaniać faktu, że są one bardzo pouczające. Jeśli podczas śledztwa znajdziemy spalone ciało, które nie jest ułożone w pozycji bokerskiej, możemy przypuszczać, że w chwili śmierci ofiara była skrępowana.

Jednak w tym przypadku nie miałem szans na odnalezienie podobnych wskazówek. Po pierwsze, szczątki zostały już wcześniej usunięte z samochodu przez lekarza sądowego z Monterrey. Po drugie, temperatura ognia była tak wysoka, że większość kości popękała na drobne kawałki. W żaden sposób nie mogłem określić, czy w chwili śmierci ręce były zgięte czy wyprostowane, wolne czy skrępowane.

Przykucnąłem obok wypalonego wraku, nachyliłem się nad resztkami fotela kierowcy i zacząłem przeglądać zwęglone szczątki, szukając w nich resztek kości lub zębów. Niemal natychmiast znalazłem pod warstwą popiołu mały szary fragment zaokrąglonej kości. Choć mierzyła tylko kilkanaście centymetrów kwadratowych, rozpoznałem w niej górną część czaszki. Gładka wewnętrzna powierzchnia całkowicie się wypaliła, odsłaniając ukrytą we wnętrzu gąbczastą warstwę.

To odkrycie stanowiło odpowiedź na pytanie, które zadawałem sobie, jadąc na policyjny parking: Czy ciało rzeczywiście spłonęło w suburbanie, czy też przygotowane wcześniej kości zostały wrzucone do samochodu przed pożarem lub w jego trakcie? Na podstawie ułożenia innych spalonych szczątków mogłem stwierdzić, że ciało rzeczywiście spaliło się w samochodzie.

Jednak choć odkrycie fragmentu czaszki pozwoliło mi rozwiązać jedną kwestię, na jej miejsce pojawiła się inna, równie ważna: Co fragment czaszki robił na samym dole sterty popiołów? I dlaczego był odwrócony do góry nogami? Teoretycznie oczywiście mogło się zdarzyć, że kość spadła z położonego wyżej miejsca albo podczas samego pożaru, albo w czasie gdy samochód przeszukiwał lekarz sądowy. Jednak to wyjaśnienie nie pasowało do ułożenia i stanu fragmentu kostnego. Wewnętrzna, wklęsła powierzchnia czaszki była wypalona, podczas gdy powierzchnia zewnętrzna – sam czubek głowy – zachowała się w stosunkowo dobrym stanie. To mogło oznaczać tylko jedno: w czasie pożaru głowa ciała spoczywała na podłodze przed fotelem kierowcy.

Kiedy następnym razem usiądziecie za kierownicą swojego samochodu, wykonajcie prosty eksperyment: zmieńcie pozycję ciała tak, by wasza głowa spoczywała obok pedału gazu. Nie jest to łatwe, prawda? Wiem, bo sam próbowałem. Czy potraficie sobie wyobrazić scenariusz, w którym po zjechaniu do rowu – bez dachowania – przyjmujecie taką pozycję? Z tafonomicznego punktu widzenia po prostu nie miało to sensu.

Tafonomia – nauka zajmująca się między innymi ułożeniem ludzkich szczątków oraz naturalnych elementów, takich jak ziemia, liście i kokony owadów – to jedno z najważniejszych źródeł informacji dla antropologa sądowego badającego miejsce zbrodni. Czy ciało lub szkielet otacza czarna tłusta plama, co oznacza, że rozkład nastąpił w miejscu śmierci, czy też grunt jest czysty, a roślinność zdrowa, co świadczy o tym, że ciało zostało przeniesione z innego miejsca? Czy ubranie okrywa kości, czy też leży obok? Czy w czaszce jest gniazdo os, a z klatki piersiowej wyrasta młode drzewko? Wszystkie te rzeczy – i wiele innych – stanowią istotne elementy tafonomicznej układanki: mogą w znacznym stopniu przyczynić się do ustalenia czasu i okoliczności śmierci.

W przypadku Madisona Rutherforda okoliczności te wydawały się naprawdę zadziwiające. Gdyby Rutherford zjechał z drogi, wpadł do rowu i zginął lub stracił przytomność w wyniku zderzenia, spłonąłby na fotelu kierowcy. Tymczasem spalone ciało z samochodu leżało głową w dół. Nawet gdyby nie miał zapiętego pasa bezpieczeństwa, uderzenie dość silne, by pozbawić go życia lub przytomności, z pewnością uruchomiłoby poduszkę powietrzną, a to ograniczyłoby mu swobodę ruchów. Można więc powiedzieć, że wyniki badania tafonomicznego były swego rodzaju czerwoną



chorągiewką, znakiem ostrzegawczym, że sprawa jest podejrzana.

Schowałem fragment czaszki do specjalnej torebki, po czym przeszukałem resztę samochodu, nie znalazłem w nim jednak więcej odłamków kości ani zębów. Z wyjątkiem owego kawałka czaszki ekipa lekarza sądowego z Monterrey pozbierała starannie wszystkie szczątki pozostawione w suburbanie.

Materiał dowodowy znaleziony w aucie był bardzo istotny, ale niemal równie istotne było to, czego tam nie znaleźliśmy. Zniknął rower, który kupił Rutherford. Jego nieobecność mogła świadczyć o tym, że Rutherford dotarł do hodowcy psów i podarował mu rower. Z drugiej jednak strony w samochodzie nie było żadnych kości psa. Nie mogliśmy wykluczyć, że pies okazał się sprytniejszy od człowieka i uciekł przed ogniem, lecz w innym wypadku istniała rozbieżność między tym, co powinno było znajdować się w samochodzie, a tym, co rzeczywiście tam znaleźliśmy. To była kolejna wskazówka.

Wątpliwości budziły również rozmiary zniszczeń spowodowanych przez pożar. Oprócz zbiornika z paliwem w samochodzie nie ma zbyt dużej ilości materiałów łatwopalnych: dywaniki, tapicerka i podsufitka. Jednak ten suburban płonął tak gwałtownie, że strażacy nie mogli go ugasić. Nie jestem specjalistą od ustalania przyczyn pożarów, ale odbyłem już dość rozmów z biegłymi z tej dziedziny i zbadałem dość spalonych samochodów, by zgromadzić podstawową wiedzę o pożarach i podpaleniach. Sądząc po opłakanym stanie auta, ilość zawartych w nim materiałów łatwopalnych znacznie przekraczała normę. Mogło to świadczyć o obecności substancji przyspieszającej spalanie – dużej ilości takiej substancji – skoncentrowanej w tylnym prawym rogu dachu, który zapadł się pod wpływem wysokiej temperatury.

Nad sprawą spalonego suburbana unosiła się jeszcze jedna czerwona chorągiewka. Rutherford miał zjechać z drogi, wpaść do rowu i uderzyć w ziemię z siłą, która doprowadziła do pożaru auta. Jednak samochód było tylko lekko uszkodzony z przodu, a Gibson, który pojechał na miejsce wypadku, mówił, że w ścianie rowu widniało jedynie niewielkie zagłębienie. Krótko mówiąc, „wypadek” wydawał się na tyle niegroźny, że jego uczestnik mógłby spokojnie wyjść z samochodu i odejść w siną dal – albo odjechać na rowerze.

Jednak w centrum badań sądowych w Monterrey leżały kości: niezbity dowód na to, że ktoś – przypuszczalnie Madison Rutherford – nie wysiadł z piekła na czterech kołach.

Centrum badań sądowych w Monterrey było zupełnie nowym, lśniącym czystością obiektem, większym i bardziej imponującym niż Regionalne Centrum Badań Sądowych, które powstało niedawno przy uniwersyteckim centrum medycznym w Knoxville. Kiedy przyjechaliśmy tam z Johnem Gibsonem, powitała nas niewielka delegacja przedstawicieli rządu Meksyku i Monterrey. Właściwie nie wiedziałem do końca, kim byli ci ludzie, bo wszyscy oprócz mnie mówili po hiszpańsku, ale dzięki pomocy Gibsona, który posługiwał się biegle tym językiem, wkrótce znalazłem

się w laboratorium i mogłem zabrać się do pracy. Doktor Jose Garza, pracownik biura lekarza sądowego, przyniósł mi kości, zęby i jeszcze jeden przedmiot znaleziony w suburbanie. Wszystko, co zostało po zdrowym i silnym człowieku, mieściło się teraz w kilku małych foliowych torebkach.

Jak można się było spodziewać, większość z tych fragmentów kostnych uległa kalcynacji, co oznacza, że zawarta w nich materia organiczna całkowicie się wypaliła. Spalone ułamki były lekkie, kruche i szare – wyglądały tak, jak powinny wyglądać kości poddane działaniu bardzo wysokiej temperatury. Mimo to bransoleta znaleziona w samochodzie – nierdzewna stal z kaduceuszem z czerwonej emalii – zachowała się w zadziwiająco dobrym stanie. Co ciekawe, zameczek bransoletki był otwarty.

Ogień na tyle gorący, by doprowadzić do kalcynacji kości, niszczy materiał genetyczny, nie można więc pobrać próbek DNA z tych szczątków i wykorzystać ich do identyfikacji. Jednak nie wszystkie fragmenty kostne uległy całkowitemu zniszczeniu. Na przykład fragment czaszki, który znalazłem w samochodzie, mógł zapewnić wystarczającą ilość materiału do badań genetycznych, podobnie jak każdy z czterech zębów znalezionych przez lekarza sądowego. Porównując to DNA z próbką pobraną od jednego lub obojga rodziców Madisonsa Rutherforda, moglibyśmy stwierdzić z całkowitą pewnością, czy rzeczywiście są to jego kości. Ale mieliśmy problem. Jak twierdził Gibson, rodzice Rutherforda nie dostarczyli próbek.

Mam trzech synów i gdyby istniało podejrzenie, że jeden z nich nie żyje, chciałbym wiedzieć z absolutną pewnością, czy niezidentyfikowane ciało rzeczywiście należy do niego. Nie mogę sobie wyobrazić, by jakikolwiek rodzic nie chciał mieć takiej pewności, bez względu na to, jakie rezultaty przyniosłoby badanie. Brak próbek porównawczych DNA był kolejną czerwoną chorągiewką ostrzegawczą. Do tej pory nazbierało się tych chorągiewek więcej, niż można zobaczyć na defiladzie chińskiej armii.

Skoro nie mogliśmy zidentyfikować spalonych szczątków za pomocą nowoczesnego badania DNA, musieliśmy polegać jedynie na staromodnej antropologii sądowej: musiałem zbadać historię tych kości. Gdy tylko zacząłem rekonstruować czaszkę, sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Spodziewałem się zobaczyć szwy czaszkowe, które dopiero zaczynają się zrastać, szczególnie na wewnętrznych powierzchniach, gdzie kostnienie zachodzi najszybciej. Wciąż powinny były mieć postać wyraźnych, zygzakowatych linii. Tymczasem szwy były niemal całkiem skostniałe, widoczne jedynie jako cienkie, ledwie wyczuwalne zgrubienia gładkiej kości, niczym łączenie płyt gipsowo-kartonowych pokryte masą szpachlową. Na innych fragmentach widać było wyraźne ślady zaczerwieni mięśni oraz artretyzmu.

– Mówiłeś, że Rutherford miał trzydzieści cztery lata? – zapytałem Gibsona. Skinął głową.

Na podłodze suburbanda znaleziono cztery zęby: trzy siekacze i drugi ząb trzonowy.

W żadnym z nich nie było wypełnień. To zgadzało się przynajmniej z dokumentacją dentystyczną. Jednakże w dwóch górnych siekaczach widniały spore, niezaleczone ubytki – trudno przypuszczać, by

bogaty doradca finansowy dopuścił do podobnego zaniedbania. Ząb trzonowy był bardzo mocno starty, niemal jak zęby, które znajdowałem w prehistorycznych grobach, zęby ludzi wiodących surowe, ubogie życie. Oprócz niezaleczonych wypełnień siekacze miały jeszcze dwie inne interesujące cechy. Po pierwsze, przypominały kształtem łopaty, kwadratowe i płaskie, z wyraźną krawędzią w kształcie litery U na wewnętrznej powierzchni, po drugie zaś, ich krawędzie były starte w sposób charakterystyczny dla określonego zgryzu.

Przywołałem Gibsona i pokazałem mu zęby.

– Widzisz te zniszczone krawędzie? Nazywamy to starciem okluzyjnym – tłumaczyłem.– Powstaje wtedy, gdy zęby często uderzają i pocierają o siebie. W tym przypadku krawędzie górnych siekaczy praktycznie zrównały się z krawędziami siekaczy dolnych. Jest to tak zwany zgryz prosty. Nie występuje u ludzi pochodzących z Europy.

– A u kogo?

– U ludzi rasy mongoloidalnej: Azjatów. Eskimosów. Indian.

Gibson spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że...?

Wszystkie fragmenty układanki – starte zęby, ledwie widoczne szwy – ułożyły się nagle w pełny i wyraźny obraz, który nie przedstawiał bynajmniej Madisona Rutherforda.

– To nie jest trzydziestoczteroletni doradca finansowy z Connecticut – powiedziałem Gibsonowi. – To pięćdziesięcioletni lub sześćdziesięcioletni pracownik fizyczny z Meksyku.

Prawidłowa identyfikacja tych kości mogła zaważyć na decyzji dotyczącej naprawę dużych pieniędzy. Polisa ubezpieczeniowa Kemper Life została wydana zaledwie na pół roku przed „wypadkiem”, a gdy Rutherford ją wykupił, poinformował Kemper, że likwiduje polisę w CNA. W rzeczywistości podwoił jej wartość.

Teraz byliśmy już pewni, że Rutherford nie zginął w wypadku ani nie został zamordowany, lecz starannie upozorował własną śmierć. Ta mistyfikacja była warta siedem milionów dolarów. Opierając się na wynikach moich badań, firma Kemper Life odmówiła wypłaty czteromilionowego ubezpieczenia „wdowie” po Rutherfordzie, Rhynie. W lakoniczny, typowy dla branży ubezpieczeniowej sposób, poinformowała ją, że „zmarły nie był ubezpieczonym”.

Rhynie pozwała Kemper Life do sądu. Pozwała również CNA, gdyż i ta firma nie chciała wypłacić jej pieniędzy. Dowody jednoznacznie wskazywały na rację firm ubezpieczeniowych. Jednak po drugiej stronie barykady stała kobieta, która otrzymała od władz Meksyku akt zgonu swego męża, skremowała i rozsypała szczątki dostarczone z Monterrey, prowadziła samotne życie. Choć wyniki badań sądowych wydawały się oczywiste, istniało ryzyko, że ława przysięgłych przychyli się do stanowiska Rhynie: bezduszne firmy ubezpieczeniowe wykorzystują zrotpaczoną wdowę. W końcu obie firmy zawarły z nią ugodę pozasądową – Kemper przystała na niewielki ułamek wartości polisy,

CNA na nieco większą, ale stosunkowo skromną sumę.

Tymczasem Madison Rutherford – żywy, cały i zdrowy Madison Rutherford – zniknął jak kamfora, skuteczniej niż gdyby rzeczywiście spalił się na popiół. Wydawało się, że na tym cała historia się zakończy. Do czasu.

Odłożyłem dokumenty dotyczące upozorowanej śmierci na półkę i wróciłem do realnego życia. Powoli na popiołach rozpaczy po nagłej śmierci Annette zaczęło się rodzić nowe szczęście. W dużej mierze zawdzięczam tę odmianę losu mojemu najmłodszemu synowi Jimowi. Odwiedził mnie podczas tych trudnych miesięcy żałoby, a ja powiedziałem mu, jak bardzo czuję się samotny. Ni stąd, ni zowąd Jim zaproponował:

– A może ożeniłbyś się z Carol Lee?

Był to jeden z tych genialnych pomysłów, które wydają się oczywiste dopiero wtedy, gdy ktoś wypowie je głośno – zwykle człowiek ma wtedy ochotę zapytać: „Dlaczego sam o tym nie pomyślałem?”.

Carol Lee Hicks i ja dorastaliśmy razem w Wirginii. Była młodsza ode mnie o dziewięć lat, ale nasze miasteczko było małe, a nasze rodziny utrzymywały bliskie stosunki, więc często bawiliśmy się ze sobą. Pamiętam dobrze pewien lipcowy dzień 1944 roku, gdy bawiliśmy się w domu jej babci – najpierw w chowanego, a potem w ściganie kurczaków. (W południowej Wirginii w roku 1944 człowiek korzystał z każdej okazji do zabawy). W porze lunchu, gdy biegliśmy drogą do młyna należącego do ojca Carol, zaczęła narzekać, że boli ją bok i noga.

– Och, jesteśmy już prawie na miejscu, nie zatrzymujmy się – powiedziałem. Potem spojrzałem na nią i zobaczyłem coś, co kazało mi dodać: – W porządku, usiądźmy na chwilę.

Tego samego popołudnia Carol dostała gorączki, następnego dnia do gorączki dołączyły dreszcze. Jej lekarz był świeżo po lekturze artykułu o chorobie Heinego–Medina i szybko zdał sobie sprawę, że Carol weszła w początkowe stadium choroby. Natychmiast przewiózł ją do szpitala w Lynchburgu, dzięki czemu prawdopodobnie uratował jej życie.

Carol weszła do szpitala o własnych siłach: trzy dni później, gdy gorączka ustąpiła, była już sparaliżowana od pasa w dół. Spędziła w szpitalu siedem lub osiem miesięcy, a na nogach stanęła dopiero na początku 1945 roku. Mimo to należała do tych, którym się poszczęściło.

Teraz już mało kto pamięta o chorobie Heinego–Medina, ale w pierwszej połowie XX wieku była to plaga iście biblijnych rozmiarów. Dziesiątki tysięcy niewinnych dzieci oraz młodych kobiet i mężczyzn straciło życie, uległo paraliżowi lub zostało kalekami. Ta wyjątkowo groźna forma wirusowego zapalenia opon mózgowo–rdzeniowych odcisnęła straszliwe piętno na całym pokoleniu Amerykanów.

Carol szybko wygrała bitwę z samą chorobą, lecz walka o naprawienie dokonanych przez nią zniszczeń okazała się długa i bolesna, wymagała długich lat terapii oraz dwunastu skomplikowanych

operacji. W Wirginii, Atlancie i Warm Springs w stanie Georgia – gdzie prezydent Franklin D. Roosevelt stworzył specjalny ośrodek dla ofiar choroby Heinego–Medina – całe zespoły lekarzy pracowały w pocie czoła nad przywróceniem Carol do zdrowia, przeszczepiając zdrowe mięśnie do osłabionych nóg, rozciągając i nacinając skurczone ścięgna, łącząc niestabilne kości skokowe. Gdy studiowałem na Uniwersytecie Wirginii, często odwiedzałem Carol w uniwersyteckim szpitalu, gdzie przechodziła serię operacji odtwórczych.

Zawsze utrzymywaliśmy bliskie kontakty. W wieku szesnastu lat Carol była druzną na moim ślubie z Ann. Gdy dorosła, wyszła za chłopaka z jej okolic i urodziła syna, Jeffa. Później spędziła wraz z mężem i Jeffem dwa tygodnie w Dakocie Południowej na prowadzonych przeze mnie wykopaliskach archeologicznych. W końcu rozwiodła się z mężem i podjęła pracę w biurze pełnym lekarzy, gdzie bardzo ceniono jej optymizm i szelmowskie poczucie humoru. Spotykaliśmy się z nią zawsze, gdy jeździliśmy do Wirginii z wizytą.

Potem Carol zaczęła przyjeżdżać do Tennessee. Opiekowała się moją mamą, gdy ta podupadła na zdrowiu, a gdy Ann zachorowała na raka, również otoczyła ją opieką. Teraz to ja potrzebowałem opieki. I wtedy mój syn Jim, któremu winien jestem dozgonną wdzięczność, podsunął mi tę genialną propozycję: „A może ożeniłbyś się z Carol Lee?”. I tak też zrobiłem. Życie u jej boku znów nabrało sensu.

Carol została poinformowana, że pod żadnym pozorem nie wolno jej umierać przede mną. Zapewnia mnie z szelmowskim błyskiem w oku, że odejdę pierwszy. Przypuszczam, że nie myli się w tej kwestii. Mam tylko nadzieję, że nie ukrywa gdzieś wartę grubo miliony dolarów polisy na moje życie.

Dzielnica North End w Bostonie to modna, nowoczesna i twórcza część miasta, pełna pracowni artystycznych i firm internetowych. Jesienią 2000 roku jednym z najprężniej rozwijających się przedsiębiorstw tego typu były Double Decker Studios, które projektowały strony zarówno dla niewielkich firm transportowych, jak i potężnych graczy biznesowych pokroju giganta informatycznego America Online. Popularność Double Decker rosła w oszałamiającym tempie, podobnie jak zyski.

Thomas Hamilton pomagał rozwijającej się firmie zarządzać majątkiem. Zatrudnił się w Double Decker mniej więcej przed rokiem jako kontroler finansowy. Od tego czasu piął się w górę, by w końcu objąć stanowisko dyrektora finansowego. Posada ta wiązała się z olbrzymimi zarobkami, ale i szerokim zakresem obowiązków.

Tymczasem Kemper Life wynajęło prywatnego detektywa, Franka Rudewicza, który szukał śladów Rutherforda w Nowej Anglii. W tym samym czasie pewien detektyw z Massachusetts, Mike Garrigan, sprawdzał wiarygodność Thomasa Hamiltona. Właściwie wszystko się zgadzało z wyjątkiem jednego szczegółu: Hamilton jeździł samochodem zarejestrowanym na Rhynie Rutherford. Gdy obaj detektywi

w końcu się spotkali i wymienili informacje, okazało się, że Rutherford i Hamilton mają ze sobą zadziwiająco wiele wspólnego. Gdy wymienili również fotografie, zrozumieli skąd wzięło się to podobieństwo: Thomas Hamilton był Madisonem Rutherfordem. Upozorowawszy własną śmierć, Madison przekradł się przez granicę, wrócił do Nowej Anglii i zatrudnił się w nowej firmie pod nowym nazwiskiem.

Detektywi zdobyli również kilka innych ciekawych informacji. Thomas Hamilton nie było pierwszym fałszywym nazwiskiem, jakie przybrał Rutherford. Właściwie nie nazywał się również Madison Rutherford, a przynajmniej nie przez całe życie. Urodził się jako John Patrick Sankey, zaczął używać pseudonimu Madison Rutherford już w 1986 roku, by sfabrykować zeznania podatkowe, uzyskać kredyt na swoją dwuhektarową posiadłość i wykupić polisy na życie. Jednak dopiero kilka miesięcy przed podróżą do Meksyku, gdy nie otrzymał paszportu, urzędowo zmienił nazwisko z Sankey na Rutherford. Choć na pozór żyło im się z Rhyne całkiem dobrze, tonęli w długach: Madison oficjalnie ogłosił bankructwo, a przekręt z polisą ubezpieczeniową był rozpaczliwą próbą wydobycia się z bardzo poważnych kłopotów.

Detektyw Garrigan dowiedział się jeszcze jednej bardzo przydatnej rzeczy: w nowym życiu Madisonsa znalazło się miejsce dla co najmniej dwóch nowych dziewczyn. Za sprawą tej informacji Rhyne zamieniła się z pogrążonej w rozpacz wdowy we wściekłą, wzgardzoną kobietę.

Detektywi przekazali wszystkie zgromadzone dane FBI, które natychmiast przeszło do działania. 7 listopada 2000 roku agenci FBI aresztowali Thomasa Hamiltona, gdy ten wychodził ze swojego biura w Double Decker Studios. Rząd Stanów Zjednoczonych oskarżył go o próbę oszukania dwóch firm ubezpieczeniowych poprzez upozorowanie własnej śmierci. Skonfrontowany z bogatym materiałem dowodowym, który zawierał również zeznania rozgoryczonej Rhyne, Rutherford przyznał się do winy i został skazany na pięć lat więzienia, maksymalny wymiar kary przewidzianej za takie przestępstwo.

– To jedno z najpoważniejszych przestępstw, jakie widziałem w tym sądzie – oświadczył sędzia federalny. – Pański czyn sprawił wiele bólu wielu ludziom.

Działania detektywów pozwoliły wyjaśnić, co stało się Madisonem Rutherfordem po wypadku w Meksyku. Jednak inna zagadka wciąż pozostaje nierozwiązana: Czyje ciało spaliło się w chevrolecie suburbanie na przedmieściach Monterrey o świcie 12 lipca 1998? Jedno jest pewne: Rutherford nie wykopał jakiegoś starego szkieletu z pobliskiego cmentarza – układ pęknięć na kościach wskazywał, że spalone zwłoki były świeże. Następne pytanie brzmi więc: Skąd Rutherford wziął świeże ciało? Gdy Rhyne zdecydowała się w końcu zeznawać, powiedziała przedstawicielom rządu, że Madison włamał się do grobowca i ukradł czyjeś zwłoki. Jeśli tak rzeczywiście było, to należy się tylko cieszyć, że grobowiec nie zawierał ciała jakiegoś trzydziestokilkuletniego białego mężczyzny. Gdyby tak było, oszustwo być może nigdy nie wyszłoby na jaw, a „Thomas Hamilton” – bogatszy o siedem milionów – prowadziłby luksusowe życie w jakimś bostońskim apartamentowcu, a nie odsiadywał wyrok w więzieniu.

## Bestialski beneficjent

Kiedy wynik procesu o morderstwo zagrożone karą śmierci zależy od badań antropologicznych, naukowiec prowadzący te badania poddany jest naprawdę straszliwej presji. Z jednej strony może wysłać niewinnego człowieka na śmierć, z drugiej zaś może doprowadzić do uniewinnienia brutalnego zabójcy. Właśnie przed takim dylematem stanąłem całkiem niedawno, gdy poprosił mnie o pomoc prokurator okręgowy prowadzący śledztwo w sprawie jednego z najbardziej wyrachowanych morderstw, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia.

W maju 1999 roku skontaktował się ze mną pracownik biura prokuratora okręgowego z miejscowości Magnolia w stanie Missisipi, stolicy hrabstwa Pike. W pobliskim miasteczku Summit została brutalnie zamordowana młoda rodzina. Dwudziestosześcioletni mężczyzna i jego dwudziestotrzyletnia żona zostali wielokrotnie pchnięci nożem, zaś ich córeczka uduszona i być może molestowana seksualnie. Ich okrwawione ciała w zaawansowanym stanie rozkładu znaleziono w domku letniskowym pod miastem 16 grudnia 1993. Zastępca prokuratora okręgowego Bill Goodwin, który do mnie zadzwonił, wiedział, że rodzina zginęła nieco wcześniej, jesienią tego samego roku, lecz zasadnicze pytanie brzmiało, o ile wcześniej? Jak długo leżały ich ciała, nim zostały odkryte? Odpowiedź na to pytanie warta była ćwierć miliona dolarów.

Dokładna ocena czasu, który upłynął od śmierci, może mieć kluczowe znaczenie dla procesu. Sprawa Faceta z Zoo dowiodła tego w sposób, którego nigdy nie zapomnę – i który być może nigdy nie da mi spokoju. Trzy spośród czterech ofiar bez wątpienia zginęły w czasie, gdy podejrzany Thomas Huskey, Facet z Zoo, był na wolności. Lecz określenie czasu śmierci czwartej ofiary – Patricii Johnson, której ciało uznałem za „zbyt świeże” dla antropologa i przekazałem lekarzowi sądowemu – stało się tematem zażartej dyskusji. Jeśli Johnson zginęła po tym, jak Huskey został aresztowany za zabicie Patty Anderson, to Facet z Zoo miał w tym przypadku żelazne alibi – choć sam przyznał się do zabójstwa, a wyniki badań entomologicznych Neala Haskella świadczyły przeciwko niemu.

W maju 1999 miałem już za sobą ponad czterdzieści lat pracy przy różnych sprawach kryminalnych, a od niemal dwudziestu prowadziłem badania nad rozkładem ludzkiego ciała. Od czasu pierwszych doświadczeń prowadzonych na Trupiej Farmie w 1981 roku – pionierskich badań entomologicznych Billa Rodrigueza – dokonaliśmy dziesiątków analiz i eksperymentów w różnych

warunkach i okolicznościach. Ukrywaliśmy ciała w lesie. Zamykaliśmy je w bagażnikach i kabinach pasażerskich samochodów. Zakopywaliśmy je w płytkich grobach. Zanurzaliśmy w wodzie. Potem badaliśmy i opisywaliśmy wszystko, co się z nimi działo, od chwili śmierci aż do czasu, gdy nie zostało z nich nic prócz kości. Budowaliśmy bazę danych dotyczących czasu śmierci – pierwszy i jedyny zbiór informacji tego rodzaju na świecie – systematyzując proces rozkładu ludzkiego ciała za pomocą wykresów i tabel. Cel tego działania był prosty: umożliwić określenie z naukową pewnością czasu śmierci każdej ofiary morderstwa, bez względu na stan oraz okoliczności rozkładu ciała.

Do tej pory moi studenci i ja zbadaliśmy na Trupiej Farmie rozkład ponad trzystu ciał. Kiedy więc Bill Goodwin zadzwonił do mnie w związku ze sprawą, w której określenie czasu śmierci było kluczową kwestią, i spytał, czy mogę mu pomóc, odparłem z przekonaniem, że mogę.

Jednak zarówno moja pewność siebie, jak i wiarygodność miały zostać poddane poważnej próbie, a rozwój wypadków na sali sądowej zaskoczył nawet mnie.

Dorośle ofiary tego morderstwa nazywały się Darryl i Annie Perry. Ich córeczka, zaledwie czteroletnia dziewczynka, miała na imię Krystal. Sprawa była wyjątkowo trudna, o czym świadczył fakt, że proces rozpoczął się dopiero sześć lat po samej zbrodni.

Policja znalazła podejrzanego i postawiła mu zarzuty; to nie stanowiło problemu. Z morderstwem łączyły go liczne poszlaki, miał nawet przekonujący motyw. Brakowało jednak twardych, niepodważalnych dowodów: dymiącego pistoletu, okrwawionego noża, odcisków palców czy zeznań świadka. Co więcej, podejrzany miał bardzo mocne alibi na całe dwa tygodnie przed znalezieniem ciała. Dlatego właśnie określenie czasu, jaki upłynął od śmierci ofiar, miał tutaj kluczowe znaczenie. Gdyby obronie udało się przekonać ławę przysięgłych, że zamordowana rodzina w tym czasie jeszcze żyła, podejrzany wyszedłby na wolność.

Najprawdopodobniej jedynymi świadkami morderstwa, oprócz samego zabójcy, były jego ofiary. Musiałem więc dowiedzieć się prawdy właśnie od nich. Lecz jak? Gdy dowiedziałem się o tej sprawie, ich ciała od lat leżały już w ziemi, a domek, w którym je znaleziono, został wysprzątan i sprzedany. Pozostały jedynie zdjęcia i notatki, które mogły mi zdradzić, jak i – co istotniejsze – kiedy zginęła ta młoda rodzina. Poprosiłem więc Goodwina, by przesłał mi wszystkie zdjęcia z miejsca zbrodni, którymi dysponował, szczególnie fotografie ciał ofiar. Miałem nadzieję, że znajdę na nich dość informacji, by wykonać zadanie, którego się podjąłem.

Dwa tygodnie później kurier dostarczył mi odbitki. Gdy tylko otworzyłem kopertę i rzuciłem okiem na zdjęcia, zrozumiałem, że coś się tu nie zgadza. A skoro ja to zauważyłem, to mogłem być pewien, że nie umknęło to również uwadze obrońcy albo przynajmniej jego konsultanta zajmującego się badaniami sądowymi.

Obraz tego, co działo się po śmierci Perrych z ich ciałami, był w połowie wyraźny i jednoznaczny. Zwłoki Darryla, Annie i Krystal widoczne na zdjęciach były groteskowo rozdęte. Dobrze znałem tego



rodzaju widoki, oglądałem je już setki razy. Nim znaleziono ciała, bakterie w znacznym stopniu strawiły organy wewnętrzne, począwszy od żołądka i jelit. Podczas tego procesu mikroorganizmy uwalniały gazy, które wydymały brzuchy ofiar niczym balony. Pod ciałami i wokół nich rozlewały się kałuże ciemnej tłustej substancji, złożonej z lotnych kwasów tłuszczowych, które powstają podczas rozpadu tkanek. Włosy zaczynały się zsuwać z czaszek ofiar niczym zbyt luźne peruki.

Zdjęcia małej Krystal należały do najbardziej przejmujących obrazów, jakie kiedykolwiek widziałem. Nagość dziewczynki ukazywała w sposób wyjątkowo wyrazisty, jak była młoda, mała i bezbronna. Okolice genitaliów dziecka znajdowały się w stanie daleko posuniętego rozkładu. Raport z sekcji zwłok podkreślał, że nie dało się określić, czy Krystal była molestowana seksualnie, gdyż nie pozwalał na to stan tkanki miękkiej. Tak czy inaczej, dziewczynka z pewnością padła ofiarą brutalnego ataku.

Większość ludzi spojrzalaby na takie zdjęcie, pomyślała: „Mój Boże, to straszne” i szybko odwróciła głowę. Dla mnie jest to zupełnie inne doświadczenie. Proszę nie zrozumieć mnie źle: śmierć budzi we mnie odrazę – dwie moje żony zmarły na raka, a to trudne przeżycie sprawiło, że nienawidzę śmierci i pogrzebów. Jednak gdy oglądam miejsce zbrodni, nigdy nie traktuję tego jako odrażającego obrazu śmierci: dla mnie jest to tylko i wyłącznie sprawa do rozwiązania. Wszystko, co widzę i czuję, jest źródłem informacji, które mogą doprowadzić mnie do poznania prawdy. Badałem kiedyś sprawę dotyczącą pożaru domu, w którym zginęło kilkoro małych dzieci. Ich zwęglone ciała nie zrobiły na mnie większego wrażenia, znacznie mocniej poruszył mnie widok trójkołowego rowerka i kilku innych zabawek porzuconych na podwórku, okruchów życia, które pochłonął ogień.

Oglądając zdjęcia zabitych członków rodziny Perrych, zwracałem uwagę na to, czy skóra zsunęła się już z ich dłoni i stóp, czy stracili już włosy i na jakim etapie rozwoju znajdują się owady żerujące w ich ciałach, gdyż te właśnie szczegóły pozwalały mi określić czas, jaki upłynął od ich śmierci. Jak każda sprawa, była to swego rodzaju naukowa układanka, a ja zaczynałem właśnie układać jej elementy. Skupiając się po kolei na każdym z nich, ustalałem chronologię wydarzeń. Jednocześnie chroniłem się w ten sposób przed budzącą grozę treścią tego zdjęcia jako obrazu widzianego w całości.

W ciągu długich lat badań prowadzonych na Trupiej Farmie przekonałem się, że rozkład ludzkiego ciała podzielony jest zawsze na te same, przewidywalne etapy. Dotyczy to wszystkich ofiar morderstw na całym świecie, bez względu na porę roku. Kolejność tych etapów nigdy się nie zmienia, zaś tym, co różni poszczególne przypadki, często w bardzo dużym stopniu, jest czas trwania poszczególnych stadiów. Najważniejszą zmienną, która wpływa na ten czas, jest temperatura.

Stwierdzenie takie wydaje się oczywiste: zdrowy rozsądek mówi nam, że ciepłe ciało rozłoży się znacznie szybciej niż zimne. Często mówiłem moim studentom: „Właśnie dlatego trzymacie mięso w lodówce, a nie w kredensie”. Wysoka temperatura przyspiesza działanie bakterii. Sprzyja również większej aktywności owadów. Owady, podobnie jak ludzie, wolą urządzać pikniki latem. Jednak

przeniesienie tej prawdy z poziomu oczywistego stwierdzenia na poziom naukowej precyzji wymagało długich lat badań nad tempem rozkładu i relacji tego tempa do temperatury i wilgotności. W końcu stworzyliśmy matematyczny wzór, który określał w sposób ilościowy wszystkie nasze obserwacje. Wzór ten, w połączeniu z danymi pogodowymi z miejsca zbrodni, pozwalał nam obliczać czas, jaki upłynął od śmierci ofiary, bez względu na zakres zmian temperatury.

Kluczem okazała się wartość zwana skumulowaną liczbą stopniodni (accumulated degree days, w skrócie ADD): mówiąc najprościej, była to suma średnich temperatur ze wszystkich dni danego okresu. Na przykład dziesięć kolejnych dni lata o średniej temperaturze 22°C daje dwieście stopniodni; taką samą wartość otrzymamy po dodaniu dwudziestu zimowych dni o średniej temperaturze 10°C. W obu tych przypadkach, czy to w lecie, czy w zimie, ciało o skumulowanej liczbie dwustu stopniodni znajdowałoby się na takim samym etapie rozkładu, o czym świadczyłyby podobne objawy: rozdęcie, „marmurkowa” skóra (zgrubienie i szkarłatne zabarwienie żył), zsuwanie się skóry, wyciekanie lotnych kwasów tłuszczowych. Podczas badań prowadzonych na Trupiej Farmie mierzyliśmy skumulowaną liczbę stopniodni, które upłynęły od chwili śmierci, i opisywaliśmy etapy rozkładu odpowiadające określonym liczbom. W czasie śledztwa odwracaliśmy ten proces: wiedząc, ile stopniodni odpowiada stanowi rozkładu, w jakim znajduje się ciało ofiary, porównywaliśmy tę liczbę z danymi pogodowymi z konkretnego okresu i obliczaliśmy w ten sposób, ile dni minęło od śmierci danej osoby.

W tym przypadku na podstawie zdjęć z miejsca zbrodni mogłem stwierdzić, że ciała Perrych znajdowały się na zaawansowanym etapie rozkładu, na którym z rozdętych brzuchów ofiar uchodzą już gazy, a większość tkanek uległa rozpadowi i przeszła w stan ciekły. Moim zdaniem to stadium odpowiadało mniej więcej skumulowanej liczbie ośmiuset stopniodni. Następnym krokiem było zebranie informacji o tym, jaka pogoda panowała w stanie Missisipi w ciągu kilku tygodni poprzedzających odkrycie ciał.

Poprosiłem Billa Goodwina, by przesłał mi dane pogodowe z Magnolii, z listopada i grudnia 1993 roku. Wynikało z nich, że była to bardzo chłodna jesień. Między połową listopada a połową grudnia przypadało aż osiem nocy o temperaturach sięgających poniżej 0°C. Dokonawszy odpowiednich obliczeń, doszedłem do wniosku, że rodzina została zabita w okresie od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu dni przed tym, jak odkryto ich ciała.

Pozostawał jednak jeden element, który nie pasował do tego obrazu: czerwie. Ciała pokryte były czerwiami, larwami much plujek. Podczas gdy bakterie wyjadają ciała od wewnątrz, muchy zaczynają pożerać je od zewnątrz. Korzystając z tych dwóch form życia, natura potrafi bardzo szybko odzyskać nasze ciała: podczas ciepłego lata w Tennessee ludzkie zwłoki mogą zamienić się w goły szkielet w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Roje czerwi kłębiły się na twarzach Darryla i Annie. Większość skóry i mięśni już zniknęła, spod warstwy robactwa prześwitywały kości czaszki. Larwy gromadziły się również w innych miejscach, przede wszystkim tam, gdzie znajdowały się rany zadane nożem –

a więc i krew.

Muchy plujki uwielbiają krew. Wyczuwają ją z odległości wielu kilometrów. Jeśli krwawienie jest obfite, a pogoda ciepła, na ciele ofiary mogą zgromadzić się tysiące much. Żerują i składają jaja, z których wylęgają się czerwie – czasami proces ten trwa zaledwie kilka godzin.

Darryl miał liczne rany na rękach – ślady po rozpaczliwych próbach obrony – oraz śmiertelne obrażenia na brzuchu i klatce piersiowej. Annie została pchnięta nożem aż ośmiokrotnie, w różne części ciała. We wszystkich tych miejscach intensywnie żerowały czerwie. Podobnie rzecz się miała z genitaliami Krystal, gdyż oprócz otwartych ran owady lubią się gnieździć we wszystkich ciemnych i wilgotnych otworach. Jednak poza tym jej ciało nie osiągnęło jeszcze takiego etapu rozkładu jak zwłoki jej rodziców, co wynikało z dwóch przyczyn. Po pierwsze, była od nich znacznie mniejsza i szczuplejsza, więc proces rozkładu postępował w jej przypadku wolniej; zaobserwowaliśmy to zjawisko wiele razy podczas badań na Trupiej Farmie. Po drugie, ponieważ została uduszona, a nie zakłuta nożem, na jej ciele nie było krwi, która wabi muchy plujki.

Niektóre czerwie widoczne na zdjęciach z miejsca zbrodni miały dobrze ponad centymetr długości, a więc znajdowały się na etapie rozwoju zwanym przez entomologów trzecim instarem. Innymi słowy, były już w pełni dojrzałe i bliskie przeobrażenia w poczwarki, a potem w dorosłe muchy. To oznaczało, że wylęgły się z jaj złożonych około dwóch tygodni wcześniej. Wiedziałem o tym dzięki badaniom, które prowadziliśmy na Trupiej Farmie w latach osiemdziesiątych. Mój doktorant Bill Rodriguez przez kilka miesięcy obserwował aktywność owadów w ludzkich zwłokach.

Jednak choć oglądałem zdjęcia z najwyższą uwagą – gołym okiem i przez szkło powiększające – nie mogłem wypatrzeć na nich choćby jednego pustego kokonu. To komplikowało sprawę. Stopień rozkładu wskazywał, że rodzina Perrych została zabita w połowie listopada. Jednak stopień rozwoju czerwi – oraz brak kokonów – świadczył raczej o tym, że morderstwa dokonano około 2 grudnia. Alibi podejrzanego obejmowało dwa tygodnie liczone właśnie od tego dnia. Oskarżenie miało więc twarde orzechy do zgryzienia. Ja także.

Goodwin zadzwonił do mnie 18 maja. Dwa tygodnie później wyruszyłem w dziesięciogodzinną podróż do Missisipi, gdzie miałem wziąć udział w procesie człowieka podejrzanego o zamordowanie rodziny Perrych.

Darryl, Annie i Krystal Perry mieszkali w podmiejskiej dzielnicy Nowego Orleanu zwanej Marrero, podobnie jak matka Darryla Doris Rubenstein oraz jej mąż Michael, z zawodu taksówkarz. Na początku lat dziewięćdziesiątych Michael – Mike – kupił domek letniskowy, który miał być celem weekendowych wypadów na łono natury. Dom znajdował się miejscowości Summit położonej około dwustu kilometrów od Nowego Orleanu. W listopadzie 1993 pojechała tam rodzina Perrych.

5 listopada 1993 Mike zawiózł ich do domku i tam zostawił. Krewnym powiedział, że młodzi mają jakieś problemy małżeńskie i potrzebują побыć trochę w samotności, by się z nimi uporać. W Summit

mogli liczyć na to, że nikt nie będzie im przeszkadzał: oprócz głównej drogi, która przecinała miasteczko na pół, było tam zaledwie kilka brukowanych uliczek. W domku nie było nawet telefonu.

Mike jeszcze dwukrotnie jeździł w listopadzie do Summit, by sprawdzić, czy Darryl i Annie są już gotowi do powrotu. Nie mógł ich jednak o to zapytać, bo zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej wizyty drzwi domu były zamknięte, a on zapomniał zabrać zapasowy klucz. Później zeznał, że gdy przyjechał do Summit po raz drugi, dowiedział się od jednego z sąsiadów, że małżeństwo Perrych wsiadło do zardzewiałej furgonetki i odjechało z dwoma podejrzanymi mężczyznami o wyglądzie dilerów narkotykowych. Od tej pory nikt ich nie widział. Mike wrócił do Summit 16 grudnia, tym razem z zapasowym kluczem. Gdy wszedł do domu, zobaczył martwych Darryl i Annie leżących na podłodze oraz ciało Krystal porzucone na łóżku.

Mike poszedł do najbliższego telefonu – do położonego czterysta metrów dalej sklepu spożywczego – i zadzwonił do biura szeryfa hrabstwa Pike. Gdy na miejsce przybył zastępca szeryfa, znalazł Mike'a za domkiem.

– Są w środku – powiedział mu mężczyzna. – Nie żyją. Nie mają oczu.

Tuż po zastępcy szeryfa do domku przyjechał funkcjonariusz policji drogowej stanu Missisipi Allen Applewhite, który miał potem zostać głównym śledczym w tej sprawie. Applewhite był wstrząśnięty tym, co zobaczył we wnętrzu domu. Ciała znajdowały się w stanie zaawansowanego rozkładu, straszliwy smród zatykał nozdrza. Zwłoki Darryl i Annie były rozdęte i okrwawione. Krystal leżała na plecach, naga, częściowo zjedzona przez czerwie, które żerowały na jej genitaliach i twarzy. Applewhite sam miał dwie córki. Długo jeszcze prześladował go widok tej dziewczynki zamordowanej bez widocznego powodu.

Nie minęło jednak wiele czasu, nim znalazł możliwy powód – i podejrzanego. Zaledwie dobę po odkryciu ciał Perrych Michael Rubenstein zażądał wypłaty 250 000 dolarów z polisy ubezpieczeniowej na życie. Osobą ubezpieczoną była Krystal, jego czteroletnia wnuczka.

Gdy tylko Applewhite dowiedział się o polisie, natychmiast zdobył jej kopię. Mike i Doris ubezpieczyli dziecko na ćwierć miliona dolarów we wrześniu 1991, gdy Krystal miała dwa lata. Kiedy policjant przeglądał wypisane drobnym drukiem warunki ubezpieczenia, przeczytał coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Polisa objęta była dwuletnim okresem karencji, więc jeśli śmierć ubezpieczonego nastąpiłaby przed końcem tego okresu, firma nie wypłaciłaby odszkodowania. Zaledwie trzy miesiące po upływie karencji Krystal nie żyła. Każdy dobry detektyw powie wam, że jeśli zbrodnia ma coś wspólnego z pieniędzmi, należy iść tropem tych pieniędzy. Trop ten prowadził prosto do Michaela i Doris Rubensteinów.

Wydawało się mało prawdopodobne, by kobieta była zamieszana w zabicie własnego syna i wnuczki. Policja musiała jednak brać pod uwagę i taką możliwość. Informacje na temat Doris Rubenstein, które zebrał Applewhite, nie pasowały do obrazu bezwzględnej morderczyni. Doris nie była wzorem macierzyńskiej miłości i babcinego ciepła. Wydawało się, że kocha przede wszystkim

alkohol i tabletki. Często wydawała się zamroczone, pijana lub odurzona – kobieta nieporadna, może nawet żalosna, ale stanowiąca zagrożenie jedynie dla samej siebie.

Jednak gdy policjant zbadał przeszłość męża Doris, Michaela, przekonał się, że to człowiek zupełnie innego pokroju: zaradny, sprytny i śmiertelnie niebezpieczny. Rubenstein już wielokrotnie próbował wyłudzać odszkodowanie, między innymi za podejrzane pożary, zaaranżowane kraksy samochodowe i pozorowane nieszczęśliwe wypadki. Jeden szczególnie przerażający wypadek tego typu miał miejsce przed laty, a jego świadkiem był dwunastoletni Darryl Perry, syn ówczesnej dziewczyny Rubensteina, Doris Perry.

Był rok 1979. Rubenstein wszedł właśnie w spółkę z nowym partnerem biznesowym Haroldem Connorem. Poznali się, gdy Rubenstein poprosił w miejscowym urzędzie zatrudnienia o nazwiska bezrobotnych, którzy chcieliby mu pomóc przy produkcji i dystrybucji bulwarówki z programem miejscowej telewizji. Ponieważ to on miał uczyć Connora podstaw biznesu – i ponieważ podejmował ryzyko, zatrudniając niedoświadczonego partnera – zażądał, by Connor założył polisę na życie i uczynił Rubensteina jej beneficjentem. Życie Connora zostało ubezpieczone na 240 000 dolarów.

Polisa została wydana w sierpniu 1979. Trzy miesiące później Rubenstein zaprosił Connora na polowanie. Connor odmówił: nigdy wcześniej nie polował, mówił nawet swoim krewnym, że sam pomysł zabijania zwierząt dla przyjemności budzi w nim odrazę. Lecz Rubenstein naciskał. Chcąc uniknąć konfliktu ze swym nowym partnerem, Connor w końcu się zgodził. Pewnego zimnego listopadowego poranka pojechali do gminy Evangeline w Luizjanie, zaparkowali przy Lone Pine Road i poszli do lasu. W polowaniu brał również udział młody Darryl, inny syn Doris, David Perry, a także niejaki Michael Fornier, który niedawno został warunkowo zwolniony z więzienia federalnego.

Connor wrócił ze swego pierwszego i jedyne polowania w foliowym worku na zwłoki. Z opowiadania Rubensteina i pozostałych wyłaniał się obraz tragicznego, ale typowego wypadku na polowaniu. Gdy Fornier przechodził nad pniem powalonego drzewa, strzelba kalibru 18,5 milimetra wypadła mu z rąk. Broń uderzyła kolbą o ziemię i wypaliła. Connor, który szedł tuż przed nim, został trafiony prosto w plecy. Śrut przeszył jego pierś na wylot i poszatkowało serce.

Rubenstein opowiedział tę historię strażnikom leśnym, a potem policjantom. Powtórzył ją również w obecności przedstawiciela Mutual of New York, firmy ubezpieczeniowej, która wystawiła polisę na 240 000 dolarów. Tu jednak spotkała Rubensteina przykra niespodzianka: nie miał jeszcze prawa do pobrania odszkodowania. Podobnie jak wiele polis na życie, i ta obarczona była dwuletnim okresem karencji. Śmierć Connora nastąpiła więc o dwadzieścia dwa miesiące za wcześnie, a cały plan, można powiedzieć, nie wypalił.

Rubenstein pozwał Mutual of New York, twierdząc, że nie został poinformowany o karencji. Gdy doszło do procesu, firma ubezpieczeniowa wezwała na świadka eksperta, antropologa sądowego z Teksasu doktora Ronalda Singera, który specjalizował się w balistyce. Wskazując na kąt i ułożenie

rany wlotowej oraz wylotowej, doktor Singer stwierdził, że nie mogły one być wynikiem strzału oddanego z broni, która uderzyła kolbą o ziemię. Jego zdaniem strzelba musiała być ułożona poziomo, na wysokości ramienia, by zadać śmiertelną ranę. Innymi słowy, broń nie została przypadkowo upuszczona. Ktoś starannie wymierzył z niej do celu, odbezpieczył i wystrzelił.

Gdy Applewhite poznał historię śmierci Connora i jego ubezpieczenia na życie, od razu rzuciły mu się w oczy podobieństwa do tragicznego losu Krystal Perry. Zwrócił również uwagę na jedną kluczową różnicę: w przypadku Krystal śmierć nastąpiła niemal natychmiast po upływie dwuletniej karencji. Wyglądało więc na to, że Rubenstein wyciągnął wnioski z poprzedniej nieudanej próby wyłudzenia odszkodowania i tym razem nie popełnił już podobnego błędu. Co ciekawe, z moich badań wynikało, że śmierć rodziny Perrych nastąpiła około 15 listopada, co niemal dokładnie zbiegało się z datą jednej z jego wizyt w domku letniskowym.

Applewhite przez rok zbierał dowody przeciwko Rubensteinowi. Kiedy jednak przedstawił je prokuratorowi okręgowemu hrabstwa Pike, domagając się aresztowania Rubensteina, spotkało go gorzkie rozczarowanie. Prokurator Dun Lampton powiedział mu, że potrzebuje niezbitych dowodów, by wszcząć postępowanie przeciwko Rubensteinowi, a Applewhite dysponował jedynie poszlakami. Jasne, ćwierć miliona dolarów to przekonujący motyw. Bez wątpienia Rubenstein miał też na sumieniu sporo różnych grzeszków – podejrzanе interesy, próby wyłudzenia odszkodowania, być może nawet morderstwo. Z pewnością miał też mnóstwo okazji, by zabić Perrych: w końcu był właścicielem domku letniskowego i osobiście zawiózł tam całą rodzinę. Przyznał się nawet, że później był tam jeszcze dwukrotnie. Jednak to wszystko nie dowodziło jeszcze jego winy.

Applewhite był zaskoczony i sfrustrowany. Kiedy powiedział biologicznemu ojcu Darryla Maćkowi Perry'emu, że Rubenstein nie zostanie postawiony w stan oskarżenia, Mack się rozpłakał. Lecz Applewhite obiecał mu, że nie da za wygraną. Nadal badał przeszłość Rubensteina, historię jego licznych oszust i przekrętów, a gromadzony przez niego materiał dowodowy rozrastał się z miesiąca na miesiąc. We wrześniu 1995 odkrył z przerażeniem, że tragiczny los dotknął jeszcze jedną osobę, którą Rubenstein spotkał na swej drodze. W pewien sobotni poranek Michael wybrał się w podróż ze swoim nowym partnerem biznesowym Laronem Rossonem, który tego samego dnia zniknął bez śladu. Tuż przed tym tajemniczym zaginięciem Rosson przekazał Rubensteinowi ładunek cennych antyków zakupionych za czeki bez pokrycia.

W lipcu 1998 Applewhite dojrzałw końcu promyk nadziei. Właśnie wtedy ława przysięgłych w Missisipi uznała za winnego mężczyznę, którego oskarżono o utopienie własnego czteroletniego syna, a werdykt ten wydano jedynie na podstawie poszlak. Motywem była polisa ubezpieczeniowa na życie o wartości 100 000 dolarów. Applewhite udał się do zastępcy Lamptona, Billa Goodwina – prokuratora, który wygrał tę sprawę – i powiedział mu:

– Bill, mamy tu znacznie lepszą historię. Zamiast 100 000 dolarów – 250 000, a zamiast jednej ofiary – cztery.

Dwa miesiące później prokuratura okręgowa przedstawiła ławie przysięgłych dowody zebrane przez Applewhite'a. Rubenstein został oskarżony o morderstwo Perrych oraz wyłudzenie odszkodowania i ekstradowany z Luizjany do Missisipi. Proces w tej sprawie rozpoczął się w czerwcu 1999.

Brak niezbitych dowodów nie był jedynym problemem, z jakim borykało się oskarżenie. Jednym z powodów, dla których określenie czasu śmierci miało w tym przypadku tak wielką wagę, były zeznania świadka powołanego przez Rubensteina. Świadek ów – tak się dziwnie złożyło, że była to jego bratanica, Tanya Rubenstein – zeznał, że widział Annie Perry całą i zdrową w barze w Nowym Orleanie. Tanya twierdziła, że było to 2 grudnia – czternaście dni przed odkryciem ciał. Rubenstein miał niepodważalne alibi na okres od 2 do 16 grudnia. Jeśli Darryl, Annie i Krystal rzeczywiście jeszcze żyli 2 grudnia, to Rubenstein nie mógł ich zabić. Jeśli jednak badania wykazałyby niezbicie, że w tym czasie byli już martwi, to zeznania bratanicy straciłyby wiarygodność, a alibi Rubensteina okazałoby się nieprzydatne.

Jednak obrona nie zamierzała poddawać się bez walki. Najważniejszym elementem tej bitwy sądowej miały stać się czerwie.

Odkąd tylko zobaczyłem zdjęcia z miejsca zbrodni, zastanawiała mnie nieobecność kokonów. Gdybym je dostrzegł, miałbym pewność, że czerwie znalazły się w ciałach zamordowanych na długo przed 2 grudnia. W innym wypadku mogłem jedynie stwierdzić, że larwy żerowały na ciałach od około dwóch tygodni. Oczywiście niska temperatura ograniczała aktywność much i czerwi: w temperaturze niższej od 11°C muchy przechodzą w stan uśpienia, a w omawianym okresie było znacznie zimniej. Byłem więc przekonany, że obliczenia wskazujące na dwadzieścia pięć do trzydziestu pięciu dni są prawidłowe. Nie wiedziałem jednak, czy ława przysięgłych podzieli moje zdanie, tym bardziej że obrona podkreślała bezustannie fakt, iż nie jestem entomologiem.

Już po kilku godzinach narady ława przysięgłych poinformowała sędziego, że znalazła się w impasie, gdyż jedna z dwunastu zasiadających w niej osób nie jest przekonana o winie oskarżonego. Sędzia uznał proces za nierozstrzygnięty, a prokuratura zajęła się przygotowaniem do ponownego procesu. Aby wesprzeć swe racje jeszcze silniejszymi argumentami, sięgnęła po posiłki entomologiczne: mojego byłego studenta Billa Rodrigueza, który był już wówczas jednym z najlepszych na świecie ekspertów od aktywności i zachowań owadów w ludzkich zwłokach.

Ponowny proces rozpoczął się 21 stycznia 2000. Kilka dni później Goodwin wezwał mnie na świadka. Omówiliśmy moje kwalifikacje i referencje, łącznie z badaniami prowadzonymi na Trupiej Farmie, i ponownie uznano mnie za wiarygodnego eksperta w dziedzinie antropologii sądowej. Potem, podobnie jak podczas pierwszego procesu, wyjaśniłem nowym przysięgłym, w jaki sposób oszacowałem czas, który upłynął od chwili śmierci.

Gdy przyszedł czas na pytania obrony, adwokat starał się podważyć słuszność moich obliczeń.

Najpierw, jak można się było spodziewać, przywołał sprawę pułkownika Shy'a i błąd w ocenie czasu śmierci wynoszący niemal sto trzynaście lat. Wyjaśniłem, że właśnie z powodu tej historii zaczęliśmy prowadzić badania na Trupiej Farmie. Potem, zgodnie z moimi przewidywaniami, skupił się na czerwiach i na fakcie, że w chwili odkrycia ciał larwy znajdowały się na dość wczesnym etapie rozwoju, który osiągają zwykle po dwóch tygodniach. W odpowiedzi zwróciłem uwagę na niską temperaturę, która mogła spowolnić ich rozwój, lecz adwokat uparcie powracał do owych dwóch tygodni.

Zauważyłem, że należy wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik dotyczący samego miejsca zbrodni. Owszem, czerwie znajdowały się na etapie rozwoju odpowiadającym okresowi dwóch tygodni, lecz ciała zabitych leżały we wnętrzu zamkniętego na klucz domku. Ten konkretny dom nie był jakąś przewiewną szopą zbudowaną z nieociosanych bali uszczelnianych gliną. Zbudowano go z porządnymi, szczelnie ułożonymi kantówkami. Człowiek, który go wznosił, pracował w stolarni i prawdopodobnie mógł zdobyć takie kantówki za darmo lub po bardzo przystępnej cenie, dlatego też zbudował całą konstrukcję wyłącznie z tego materiału. Nawet ścianki działowe zostały ułożone z grubych kantówek. Po prostu nie było tam zbyt wielu otworów, przez które mogły się przedostać muchy.

Wyjaśniłem, że pozorna rozbieżność między stanem rozkładu ciał a stanem rozwoju czerwi wcale nie musi stanowić sprzeczności. Muchy potrzebowały trochę czasu, by wyczuć zapach śmierci, a jeszcze dłużej przedzierały się zapewne między ciasno ułożonymi belkami. Okres dwóch tygodni był więc absolutnym minimum, które należało brać pod uwagę przy ustalaniu czasu śmierci. W rzeczywistości okres, który upłynął od zbrodni, był prawdopodobnie znacznie dłuższy, na co wskazywał jednoznacznie stopień rozkładu ciał.

Po moim wystąpieniu przyszła kolej na Billa Rodrigueza, mojego byłego studenta. Przeprowadziwszy badania całkowicie niezależne od moich, Bill również doszedł do wniosku, że śmierć nastąpiła mniej więcej na miesiąc przed odkryciem ciał – on również wziął pod uwagę niską temperaturę oraz niedostępność zamkniętych w domu zwłok. Goodwin miał nadzieję, że dzięki naszym zeznaniom owadzi problem zostanie „wytępiony”. Dwa dni później, gdy prokuratura zakończyła przedstawianie sprawy i oddała pole obronie, ja byłem już z powrotem w Knoxville.

Ku całkowitemu zaskoczeniu Billa Goodwina obrona powołała nowego świadka: entomologa Neala Haskella, który niedawno zeznawał (wraz ze mną) w sprawie Faceta z Zoo w Knoxville, i który powrócił na Trupią Farmę w 1998 roku, by przeprowadzić badania porównawcze aktywności owadów w ludzkich ciałach i w padlinie świń. Tym razem Neal stał po drugiej stronie barykady. W porządku: świat ekspertów sądowych jest mały, więc wcześniej czy później ktoś, z kim współpracowałeś podczas jednej sprawy, podczas innej będzie próbował podważyć twoją opinię. Byłem jednak kompletnie zaskoczony tym, co powiedział mi Bill Goodwin, streszczając telefonicznie wymianę zdań, do jakiej doszło w sądzie, gdy zaprotestował przeciwko powołaniu Haskella na świadka. Zdaniem adwokata



Rubensteina Haskell nie tylko zamierzał potwierdzić hipotezę, że śmierć Perrych miała miejsce najwcześniej 2 grudnia, ale gotów był również zeznać, że dopuściłem się krzywoprzysięstwa – skłamałem, by pomóc oskarżeniu – podczas sprawy Faceta z Zoo.

Różnice zdań dotyczące naukowej interpretacji danych to jedno, oskarżenie o krzywoprzysięstwo to zupełnie co innego. Odczułem to jako policzek, zaprzeczenie wszystkich wartości, które wyznawałem jako naukowiec i jako osoba prywatna. Czterdzieści lat wcześniej doktor Wilton Krogman wpoił mi jedną podstawową zasadę etyczną: podczas procesu sądowego moim zadaniem nie jest służenie prokuratorowi ani obrońcy; moim zadaniem – jedynym zadaniem – jest przemawianie w imieniu ofiary, a tym samym odkrywanie prawdy. Kiedy więc Bill Goodwin zwrócił się do mnie z prośbą o ustalenie czasu śmierci w sprawie Perrych, natychmiast poprosiłem go, by nie mówił mi, jakie są ustalenia i hipotezy prokuratury. Gdybym uważał, że rodzina Perrych została zabita 2 grudnia lub później, zaprzeczyłbym tej teorii bez względu na konsekwencje. Byłem wściekły, gdy dowiedziałem się, że Haskell kwestionuje moją uczciwość.

Jednak ważniejsze od mojego osobistego i zawodowego oburzenia były szkody, jakie zeznania Haskella mogły wyrządzić oskarżeniu: gdyby ława przysięgłych uwierzyła w jego oskarżenia, mogłaby zignorować istotny materiał dowodowy. Goodwin cierpliwie wysłuchał mojej telefonicznej tyrady, po czym poprosił, bym wrócił do Missisipi i odparł zarzut krzywoprzysięstwa. Nic nie mogłoby mnie od tego powstrzymać.

Gdy ponownie znalazłem się na sali sądowej w Magnolii, usiadłem na swoim miejscu i cierpliwie czekałem na okazję do obrony mojego dobrego imienia. Jak się okazało, Haskell wcale nie oskarżył mnie o krzywoprzysięstwo lub kłamstwo: stwierdził jedynie, że pomyliłem się w ocenie czasu, który upłynął od chwili śmierci Patricii Johnson. Być może adwokat tylko blefował, a być może Bill Goodwin źle go zrozumiał. Tak czy inaczej, chciałem wyjaśnić okoliczności tej sprawy. Opowiedziałem, co zaszło przy Cahaba Lane, gdy stwierdziłem, że ciało Patricii jest dla mnie zbyt świeże, po czym naciskany przez policjanta oszacowałem wstępnie, że od jej śmierci upłynął dzień, może dwa. Podobnie jak podczas procesu Huskeya, podkreślałem fakt, że nie zbadałem ciała, ani go nawet nie dotknąłem, lecz odesłałem je prosto do lekarza sądowego. Po raz setny żałowałem tej lekkomyślnie rzuconej uwagi, która wciąż mnie prześladowa.

Potem, gdy czekałem z niepokojem na rozwój wypadków, zdarzyło się coś zdumiewającego. Adwokat Rubensteina powołał na świadka patolog z biura lekarza sądowego. Podczas składania zeznań patolog pokazała powiększenia zdjęć z sekcji zwłok. Były to zdjęcia, których nigdy nie widziałem, a nawet nie miałem dotąd pojęcia o ich istnieniu.

I nagle to zobaczyłem. Na zbliżeniu głowy i twarzy Krystal, u nasady jej włosów, widać było maleńki brązowy przedmiot wielkości i kształtu ziarna ryżu. Gdy wyteżyłem wzrok, dojrzałem więcej podobnych obiektów. Wstałem ze swego miejsca, pochyliłem się ku Billowi Goodwinowi i wyszeptalem mu do ucha:

– Musisz przerwać proces. Musisz ponownie powołać mnie na świadka.

Goodwin natychmiast poprosił o przerwę, byśmy mogli się naradzić. Podekscytowany, powiedziałem mu, co zobaczyłem na zdjęciach: puste kokony, których przez cały czas szukałem – kokony pozostawione przez czerwie, które przeszły pełny cykl rozwoju i przemieniły się w muchy. Czerwie, podobnie jak gąsienice, przędą kokony, w których dokonuje się metamorfoza. To zdumiewające: uważamy, że gąsienice są urocze, a motyle piękne, zaś czerwie budzą w nas odrazę, a muchy niechęć. Ja jednak dostrzegam w czerwiach i muchach pewien rodzaj piękna, szczególnie w tym wypadku: były niczym spełnienie naszych modłów, które dokonało się już tutaj, na sali sądowej.

Te kokony dowodziły jednoznacznie, że muchy plujki żerowały na zwłokach i składały w nich jaja wcześniej niż na dwa tygodnie przed odkryciem zbrodni. Nawet gdybyśmy założyli, że dostały się do tego zimnego szczelnego domku w ciągu kilku minut i natychmiast zaczęły składać jaja, to i tak Annie Perry nie mogła być w nowoorleańskim barze 2 grudnia. Annie, podobnie jak Darryl i Krystal, była wtedy martwa, a jej ciało rozkładało się na podłodze drewnianej chaty. W końcu mieliśmy dowód naukowy: teraz wszystkie elementy układały się w jedną całość.

3 lutego 2000 ława przysięgłych udała się na naradę. Zaledwie pięć godzin później wróciła na salę z gotowym werdyktem. Rubenstein został uznany za winnego potrójnego morderstwa z premedytacją. Za zabójstwo Darryla i Annie Parry nakładali na niego karę dożywocia. Za zamordowanie Krystal – „złotego dziecka”, jak nazywali ją Goodwin i Applewhite – skazywali go na śmierć. Wydawało się to stosownym rozwiązaniem. Przysięgli byli przekonani, że Rubenstein wykonał egzekucję na członkach własnej rodziny, trojgu ludzi, którzy go znali i ufali mu: teraz on sam miał zostać poddany egzekucji.

Każde morderstwo jest złem i aktem przemocy, lecz ten przypadek był wyjątkowo szokujący ze względu na nieludzką wręcz bezwzględność i wyrachowanie zabójcy. Michael Rubinstein zadźgał nożem swojego pasierba, syna własnej żony. W taki sam sposób zabił swoją synową. Udusił czteroletnie dziecko. I prawdopodobnie zabił dwóch partnerów biznesowych. Jeśli moja wiedza przyczyni się do eliminacji choćby jednego osobnika tego pokroju, to wszystkie te lata nauki i badań nie poszły na darmo.

W czasie procesu mieszkaliśmy z Carol w tym samym pensjonacie co ojciec i macocha Darryla Perry’ego. Byli zdruzgotani śmiercią Darryla, Annie i Krystal. Pewnego ranka, gdy wyszedłem do sądu, pan Perry, człowiek cichy i nieśmiały, podszedł do Carol, która siedziała właśnie w kuchni. Wbijając spojrzenie w podłogę, powiedział:

– Proszę podziękować swojemu mężowi za to, że przyjechał nam pomóc.

Gdy Carol podniosła nań wzrok, po jego twarzy płynęły strumienie łez.

Doris Rubenstein wystąpiła o rozwód po tym, jak Mike został skazany za zamordowanie jej syna, synowej i wnuczki. Nie wiem, czy dostała ten rozwód, ale wiem, że nie mogła się nim długo cieszyć:

niedawno zmarła na atak serca.

Rubenstein wniósł apelację od wyroku śmierci, a kolejne procedury i odwołania będą się pewnie ciągnąć latami. W takiej sytuacji trudno oprzeć się refleksji, że Darryl, Annie i Krystal nie mieli żadnych szans na odłożenie egzekucji. Śmierć Rubensteina nie przywróci życia jego ofiarom, ale być może uchroni innych przed takim samym losem.

Jeśli ta historia ma jakiegoś bohatera – oprócz nauk sądowych, które dowiodły winy Rubensteina – to jest nim Allen Applewhite, policjant z Missisipi. To właśnie on nie pozwolił, by sprawa zamordowanej rodziny odeszła w niepamięć. Pracował nad nią uparcie przez długie lata, nawet gdy wydawało się, że nie ma żadnej nadziei na proces. Zebrał całą masę materiałów dowodowych przeciwko Rubensteinowi, którego – jak wyznał mi później – uważał za „czyste zło”. Allen był tak wstrząśnięty pokładami okrucieństwa i podłości, które odkrył w ciemnej duszy Rubensteina, że nadal wozi w swoim samochodzie jego zdjęcie, by nie zapomnieć, jak wiele może zależeć od doprowadzenia mordercy przed oblicze sprawiedliwości. Allen płakał, gdy pierwsza ława przysięgłych nie mogła dojść do porozumienia, a sędzia uznał proces za nierozstrzygnięty. Gdy drugi proces zakończył się wyrokiem skazującym, wrócił do domu i mocno przytulił swoją czteroletnią córeczkę.

# W proch się obrócisz

Lloyd Harden – zwany przez przyjaciół i rodzinę „Chiggerem”, czyli „Pchłą” – był farmerem ze wschodniego Tennessee. Podobnie jak inni Hardenowie, urodził się i wychował przy Harden Road w Birchwood, miejscowości złożonej z garstki domów rozsianych po szerokiej i żyznej dolinie rzeki Tennessee, mniej więcej w połowie stuścisćdziesięciokilometrowego odcinka tej rzeki pomiędzy Knoxville i Chattanooga.

Ośmioro braci i sióstr Chiggera rozproszyło się po dolinie niczym nasiona niesione wiatrem, lecz on sam został na farmie przy Harden Road. Nie było mu łatwo. W szkole dotarł tylko do siódmej klasy, zaś w wieku siedemnastu lat odebrał surową lekcję życia, którą nosił w sobie do samej śmierci: pokłócił się ze swoim dziewiętnastoletnim bratem przy partii pokera i ostatecznie przegrał, gdy w jego piersi utkwiał pocisk kalibru .22 wystrzelony przez jego własnego brata. Przeżył, lecz pocisk był zbyt blisko serca, by dało się go bezpiecznie usunąć. Nosił go w sobie przez kolejne dwadzieścia siedem lat, by nigdy nie zapomniał, czym grozi hazardowa gra w karty, jak kruche jest ludzkie życie i jak duże znaczenie może mieć kilka centymetrów, gdy chodzi o relacje między kulą i sercem.

Ciężka praca na roli przydała jego ciału tężyzny i krzepkości – nie tylko mięśniom, ale i kościom, które musiały być grube i wytrzymałe, by przez długie lata nosić wielkie ciężary. Musiał wyglądać niemal komicznie, gdy zajmował się mniej wyczerpującą pracą, jak choćby sadzeniem truskawek – potężny mężczyzna, który ścisnął maleńkie rozsady między twardymi szerokimi palcami. W wieku czterdziestu czterech lat Chigger nie był już młodzieniaszkiem. Bolały go plecy, skarżył się też na inne dolegliwości. Nocą 17 kwietnia 2000 Chigger zażył środki przeciwbólowe. Nie wiem, ile połknął tabletek, ale musiało ich być sporo, bo zamiast uśmierzyć ból, pozbawiły go życia.

Chigger powiedział kiedyś swojemu rodzeństwu, że chce być skremowany, podobnie jak dwadzieścia pięć lat wcześniej jego brat, który postrzelił go w pierś (rodzina twierdzi, że był to przypadek). Jego siostra Suzy zleciła to przedsiębiorstwu pogrzebowemu i kupiła elegancką mosiężną urnę na prochy brata. Dziewczyna Chiggera była w ciąży, a Suzy chciała, by jego dziecko przejęło kiedyś szczątki ojca.

Rodzina pożegnała się z Chiggerem na mszy żałobnej, potem jego ciało zostało przeniesione do karawanu, który przewiózł je do krematorium. Uroczystości pogrzebowe i kremacja kosztowały 3110

dolarów i 59 centów, przy czym niemal 800 dolarów kosztowała specjalna palna trumna, okryta kirem. Kilka tygodni później krematorium przesłało foliowy worek ze spopielonymi szczątkami, a pracownik zakładu pogrzebowego przesyłał je do mosiężnej urny. Suzy trzymała je przez jakiś czas na kominku, a potem przekazała dziewczynie Chiggera.

Dwadzieścia dwa miesiące później jego rodzina z przerażeniem oglądała wiadomości nadawane przez ogólnokrajowe stacje telewizyjne. Informacje dotyczyły ciał – niespalonych, rozkładających się ludzkich zwłok – które znaleziono w miejscowości Noble w stanie Georgia, na terenie krematorium Tri–State. Dwa lata wcześniej właśnie tam wysłano do spalenia zwłoki Chiggera.

O kłopotach firmy Tri–State opinia publiczna dowiedziała się 15 lutego 2002. Inspektorzy z Agencji Ochrony Środowiska (Environmental Protection Agency, w skrócie: EPA), którzy otrzymali wcześniej niepokojące zgłoszenie telefoniczne, weszli na teren Tri–State i znaleźli tam ludzką czaszkę. Natychmiast wezwali posiłki i wkrótce na posesji zaroilo się od pracowników biura szeryfa i agentów z Biura Śledczego Stanu Georgia (Georgia Bureau of Investigation, w skrócie: GBI). W ciągu kilku godzin znaleźli kilkadziesiąt ciał, a po kilku dniach liczba ta urosła do kilkuset. W sumie na terenach należących do Tri–State odkryto trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć zwłok, zakopanych w płytkich grobach, wciśniętych do metalowych pojemników, ułożonych w pobliskim lesie niczym drewno na opał, a nawet pozostawionych w zepsutych karawanach.

Zgłoszenie dotarło do władz okreśną drogą, od kierowcy ciężarówki, który przywoził gaz do zbiorników Tri–State. Pewnego razu zauważył na terenie firmy ludzkie zwłoki. Najwyraźniej nie potrafił ukryć ciekawości (albo szoku), bo gdy przyjechał z następną dostawą, kazano mu się wynosić i pilnować własnych interesów.

Krematorium Tri–State było firmą rodzinną. Ray i Clara Marshowie rozpoczęli działalność w 1982 roku i wkrótce zaczęli przyciągać klientów biznesowych z Georgii, Alabamy i Tennessee, trzech stanów, których granice zbiegają się w miejscu odległym o około trzydzieści kilometrów na północny zachód od Noble. Tri–State pobierało niższe opłaty niż inne krematoria, a w cenę usługi wliczone było odbieranie zwłok z zakładów pogrzebowych i dostarczanie skremowanych szczątków (większość konkurentów żądała za to dodatkowej opłaty).

W 1996 roku Ray i Clara przekazali firmę swojemu synowi Rayowi Brentowi. Krematorium pracowało pełną parą; do początku roku 2002 spalono tam 3200 ciał. A przynajmniej tak się wszystkim wydawało. Jednak 15 lutego na jaw wyszła straszliwa prawda.

W ciągu kilku godzin po przybyciu na miejsce inspektorzy EPA znaleźli kilkadziesiąt ciał w różnych stadiach rozkładu. Nazajutrz gubernator Georgii ogłosił stan zagrożenia w hrabstwie Walker, a władze poinformowały, że liczba ciał znajdujących się na terenie Tri–State może sięgnąć kilkuset. Rozpoczęło się również długie i żmudne postępowanie sądowe, którego pierwszym etapem było aresztowanie Raya Brenta Marsha. Został oskarżony o kradzież i oszustwo, przyjmował bowiem płatności za usługi, których nie wykonał. Do niedzieli znaleziono już niemal sto ciał, a Marshowi

postawiono dodatkowe zarzuty. Na terenie Tri-State pracowały setki ludzi, począwszy od inspektorów EPA i Departamentu Zdrowia Stanu Georgia, poprzez zastępców szeryfów, agentów GBI i FBI, a skończywszy na specjalistach z federalnych i stanowych agencji zajmujących się zarządzaniem sytuacjami kryzysowymi.

Jedną z mało znanych jednostek reagowania w sytuacjach zagrożenia jest organizacja, która działa pod auspicjami amerykańskiej publicznej służby zdrowia i nosi dość ponurą nazwę D-MORT: Disaster Mortuary Operational Response Team, co w wolnym tłumaczeniu mogłoby oznaczać Operacyjny Zespół Reagowania w Sytuacji Masowej Śmierci. Jednostki D-MORT, w których pracują społecznie specjaliści z wielu dziedzin – lekarze sądowi, dentyści sądowi, opiekunowie psów ratowniczych, antropolodzy sądowi, przedsiębiorcy pogrzebowi oraz przedstawiciele innych grup zawodowych powiązanych w taki czy inny sposób ze śmiercią – wzywane są zwykle na miejsca wyjątkowo tragicznych katastrof, na przykład wypadków lotniczych. (Mój przyjaciel z wydziału policji w Knoxville Art Bohanan przed kilku laty prowadził na Trupiej Farmie badania dla D-MORT, zmierzające do stworzenia szczelnych worków na zwłoki. Jak dotąd projekt ten nie zakończył się sukcesem).

Jedno z wyjątkowo trudnych zadań stanęło przed D-MORT w kwietniu 1995, gdy w wyniku zamachu bombowego zawalił się budynek federalny imienia Murraha w Oklahoma City. Trzech spośród moich studentów pomagało D-MORT identyfikować ciała wydobywane spod gruzów. Jednak znacznie większe i smutniejsze wyzwanie czekało D-MORT po terrorystycznych zamachach z 11 września 2001. Setki ochotników ryzykowały własnym zdrowiem i życiem, przeczesując gruzy World Trade Center, inni specjaliści z tej samej organizacji pomagali przy wyszukiwaniu i identyfikacji ciał Pentagonie.

Pięć miesięcy po 9/11 członkowie miejscowego zespołu D-MORT przeszukujący las sosnowy za Tri-State dokonali szokującego odkrycia. W niedzielę 17 lutego do jednego z moich studentów, Ricka Snowa, zadzwonił funkcjonariusz D-MORT, który prosił go o natychmiastowe przybycie do Georgii. Rick, który kilka miesięcy wcześniej zgłosił gotowość do pracy w tej organizacji, dysponował doświadczeniem wyjątkowo przydatnym w tej sytuacji: niedawno wrócił z Europy, gdzie pracował dla Międzynarodowego Trybunału Karnego dla Byłej Jugosławii. Przez osiem miesięcy Rick rozkopywał w Bośni masowe groby i pomagał w identyfikacji tysięcy cywilów zamordowanych w imię „czystek etnicznych”. Sytuacja w Georgii wyglądała nieco inaczej, gdyż tutaj polityka nie odgrywała żadnej roli, a motywy były całkiem inne – prawdopodobnie wynikały z lenistwa, niedbalstwa i skąpstwa – lecz zarówno ciała, jak i zakres pracy wyglądały podobnie do tego, czego Rick doświadczył na Bałkanach.

Rick przyjechał do Noble w poniedziałek 18 lutego, by pomagać w wydobywaniu i identyfikacji ciał. Gdy wszedł na teren otaczający budynki krematorium, musiał poczuć się tak, jakby nagle przeniesiono go gdzieś między Bałkany a „Strefę mroku”. Wszędzie leżały ludzkie ciała w różnym

stanie rozkładu. Niektóre były zakopane, inne wepchnięto do rdzewiejących samochodów i stalowych pojemników, jeszcze inne zostały po prostu porzucone pod drzewami lub obok jakichś rozsypujących się maszyn. Większość zwłok przykryta była jedynie gnijącymi resztkami kartonowych pudeł, liśćmi i sosnowymi igłami. W dniu, w którym przyjechał tam Rick, liczba znalezionych ciał wynosiła sto dwadzieścia dziewięć; dwadzieścia dziewięć spośród nich zostało już zidentyfikowanych przez zrozpaczonych krewnych. Jako że spośród wszystkich członków D-MORT obecnych w Noble tylko Rick miał doświadczenie w pracy przy masowych grobach, wkrótce to właśnie on przejął dowodzenie nad całą operacją. Zadanie w dużej mierze utrudniały drzewa i krzewy porastające większość posiadłości, więc na prośbę Ricka ekipa wyposażona w piły łańcuchowe i buldożery zaczęła wycinać drzewa i wyrównywać grunt aż do warstwy czerwonej gliny.

Nazajutrz po przyjeździe Ricka GBI przeszukało dom Brenta Marsha położony przy wejściu na teren posiadłości. Agenci szukali tam dokumentów, które pozwoliłyby ustalić liczbę oraz tożsamość ciał znajdujących się na terenie Tri-State. Podczas przeszukania znaleźli kolejne zwłoki porzucone na podwórzu.

Tymczasem do domów pogrzebowych w trzech stanach dzwonili zaniepokojeni ludzie. Czy ciała ich ukochanych zostały wysłane właśnie do Tri-State? Jeśli tak, to czy na kominku lub na cmentarzu znajdowały się rzeczywiście prochy, czy też doczesne szczątki ich bliskich rozkładały się w lesie obok krematorium?

W środę, pięć dni po rozpoczęciu poszukiwań, koszty operacji sięgnęły już pięciu milionów dolarów, a liczba znalezionych ciał wynosiła dwieście czterdzieści dwa. W ciągu kolejnych sześciu dni ekipy poszukiwawcze dołożyły do tego jeszcze niemal sto zwłok. Dwunastego dnia ta ponura liczba przestała wreszcie rosnać.

Ostatecznie na terenie posiadłości firmy Tri-State znaleziono zwłoki trzystu trzydziestu dziewięciu osób, co przekładało się na niezmierzone pokłady bólu rodzin, które wiedziały lub obawiały się, że wśród nich znajdują się szczątki ich ojca, matki, brata, siostry lub dziecka. W ciągu pierwszych dwóch tygodni zidentyfikowano około siedemdziesięciu pięciu spośród ciał. W większości były to ciała stosunkowo świeże, które nie osiągnęły jeszcze zaawansowanego stopnia rozkładu; dzięki temu stanowiły materiał łatwy do identyfikacji, ale niezbyt przyjemny dla oka. Lecz choć rozpoznawanie bliskich pośród setek ciał znalezionych w Noble musiało być bardzo przykrym doświadczeniem, rodziny które tego dokonały, mogły przynajmniej zamknąć ten rozdział i odetchnąć. Kilkaset innych osób wciąż musiało zmagać się z bólem i niepewnością.

Zaledwie kilka dni po makabrycznym odkryciu inspektorów EPA zaczęły się pierwsze procesy – niektóre przeciwko Tri-State, inne przeciwko zakładom pogrzebowym, które zawarły umowę z tym krematorium. Właśnie wtedy zaczęli kontaktować się ze mną prawnicy.

21 lutego dostałem e-mail od Williama Browna, adwokata z Cleveland w stanie Tennessee, który

prosił mnie o analizę szczątków przesłanych przez Tri-State do rodziny Chiggera Hardena. Co zrozumiałe, rodzina obawiała się, że nie są to prochy ich brata.

Trzy tygodnie później Bill Brown przywiózł mi spalone szczątki. W podwójnej foliowej torbie znajdowało się kilka garści ciemnoszarej sypkiej substancji. Łącznie z workiem całość ważyła 1650 gramów. Ta wartość wydawała się podejrzanie mała: z ostatnich opublikowanych badań dotyczących kremacji wynikało, że przeciętna waga szczątków mężczyzny wynosi 2895 gramów, a kobiety 1840 gramów. (Zaciekawiony tym tematem, zacząłem prowadzić własne badania. W ciągu kolejnych pięciu miesięcy kilka razy tygodniowo zaglądałem do pobliskiego krematorium i ważyłem spopielone szczątki, nim odesłano je rodzinom lub zakładom pogrzebowym. Po zważeniu pozostałości pięćdziesięciu mężczyzn i pięćdziesięciu kobiet, doszedłem do wniosku, że średnia waga w przypadku mężczyzn wynosi 3452 gramy, a w przypadku kobiet 2770 gramów).

W obecności Browna ostrożnie wysypałem zawartość torby na czystą metalową tacę, a potem przesiałem cały materiał przez metalowe sito, które wychwytywało wszystkie drobiny o wymiarach przekraczających cztery milimetry. Torba bez wątpienia zawierała fragmenty spalonych ludzkich kości. Choć były naprawdę niewielkie, rozpoznałem w niektórych z nich kawałki głowy kości udowej lub kości ramiennej (świadczyła o tym gładka, kolista powierzchnia). Znalazłem również ułamki kości dłoni, stopy, śródstopia, żeber, kości udowej i piszczeli.

Na okach sita zatrzymało się jednak sporo przedmiotów, które z pewnością nie były fragmentami ludzkiego ciała. Należała do nich metalowa zszywka – nie taka, jakiej używamy w domu do łączenia kartek, lecz gruby, ciężki drut, który mógł zespajać arkusze tektury wykorzystywanej do transportu zwłok. (Zwykle ciało poddawane kremacji pozostaje w takim kartonie, który wsuwa się do pieca; ułatwia to transport i pozwala pozbyć się papieru stanowiącego odpad niebezpieczny dla środowiska. Później za pomocą potężnego magnesu ze szczątków usuwa się wszystkie metalowe przedmioty, takie jak zszywki). Oprócz tego na sicie znalazły się drobiny przypominające spalone drewno oraz jakąś czarną tkaninę. To ostatnie odkrycie szczególnie mnie zaskoczyło, gdyż tkaniny palą się w temperaturze zaledwie kilkuset stopni, podczas gdy w piecu kremacyjnym panuje temperatura znacznie wyższa, sięgająca od 900 do 1000°C. Najbardziej zastanawiające były jednak liczne kulki wielkości piłeczek pingpongowych z puszystego białego materiału. Z braku lepszego określenia nazwałem je purchawkami, bo z tym właśnie kojarzyły mi się te dziwne obiekty. Purchawki praktycznie nic nie ważyły, lecz stanowiły znaczący ułamek objętości całego materiału. Zastanawiałem się, czy była to przypadkowa substancja zanieczyszczająca, czy też dodano je specjalnie, by zwiększyć rozmiary paczki z prochami? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego i podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Brownem. Zaproponowałem przeprowadzenie badań laboratoryjnych na Uniwersytecie Tennessee. Uznał, że to dobry pomysł, podziękował mi i wyszedł.

Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do znajomego specjalisty od tekstyliów, on zaś zgodził się rzucić okiem na purchawki. Pewien naukowiec z Centrum Produktów Leśnych Uniwersytetu



Tennessee obiecał, że zbada fragmenty przypominające drewno. Wysłałem im odpowiednie próbki.

Badania wykonane przez moich przyjaciół miały określić, z czego wykonane są ułamki niebędące częściami ludzkiego ciała, lecz poza tym pozostawał jeszcze ponad kilogram prochów i maleńkich drobin, które przeleciały przez sito. Materiał ten wydawał się ciemniejszy niż spopielone szczątki ludzi, które widywałem od czasu do czasu w ciągu ostatnich czterdziestu lat, wiedziałem jednak, że w sądzie będę musiał stwierdzić konkretnie, czym jest – albo czym nie jest – owa substancja.

Kiedy Brown skontaktował się ze mną po raz pierwszy, wspomniał, że szczątki z Tri-State mogą zawierać cement, bo podczas poszukiwań znaleziono na terenie firmy liczne worki po tym materiale. Cement jest bardzo podobny do popiołu, który pozostaje po spaleniu i sproszkowaniu ludzkich kości, niewykluczone więc, że zamiast ludzkich szczątków krematorium wysyłało rodzinom worki cementu. Sięgnąłem do literatury fachowej, by sprawdzić, czy istnieje jakiś prosty test na wykrycie obecności cementu.

Cement to głównie sproszkowany wapień albo węglan wapnia. Jednym z prostych testów, które wykonują geolodzy, by przekonać się, czy dana skała to wapień, jest upuszczenie na nią kilku kropel kwasu solnego. Jeśli kwas pieni się i musuje w zetknięciu ze skałą, to jest to właśnie wapień.

Zdobyłem odrobinę rozcieńczonego kwasu solnego zamkniętego w szklanej fiolce z zakraplaczem. Ostrożnie wycisnąłem kilka kropel żrącej cieczy na odrobinę proszku, który wysypałem wcześniej na metalową tacę. Gdy tylko kwas opadł na proch, zaczął syczeć i pienieć się. „Wygląda na to, że to może być cement” – pomyślałem. „Albo sproszkowany wapień”.

Zadzwoiłem do doktora Ala Hazariego, chemika z Uniwersytetu Tennessee, którego znałem i poważałem od lat. Al zgodził się przeprowadzić bardziej szczegółową analizę sproszkowanego materiału. Kierując się jego wskazówkami, przesiewałem skremowane szczątki przez kilka minut, by mieć pewność, że nie zostały w nich większe drobin, i by równomiernie je wymieszać. Następnie zebrałem czterdzieści dwa gramy proszku, zamknąłem je w szklanej fiolce i zaniósłem na wydział chemii.

Miałem nadzieję, że przy odrobinie szczęścia wkrótce będziemy mogli poinformować rodzinę Hardenów o wynikach badań.

Nie musiałem czekać długo na wiadomość od mojego kolegi z Centrum Produktów Leśnych. Okazało się, że próbka, którą mu przesłałem, to fragment spalonej sklejki. Nie było to ani zaskakujące, ani niepokojące: kartonowe pudła, w których zwykle transportuje się i kremuje ciała, mają dno ze sklejki, by utrzymały ciężar zwłok. Zwykła tektura mogłaby się rozerwać, szczególnie gdy z ciała wyciekają jakieś płyny.

Z kolei ekspert od tekstyliów powiedział mi, że purchawki zbudowane są z materiału syntetycznego, prawdopodobnie z polipropylenu. Polipropylen to niezwykle wszechstronne tworzywo sztuczne. Jako twarda, mocna substancja, która łatwo poddaje się wytłaczaniu lub odlewaniu,

stosowana jest do produkcji całego asortymentu wyrobów, od pojemników na jedzenie po zderzaki samochodowe. Może również przyjąć postać cienkich włókien, z których wytwarza się wykładziny dywanowe, liny ratunkowe unoszące się na wodzie i koperty odporne na rozdarcie.

Polipropylen jest lekki, wytrzymały, twardy i wszechstronny, ale nie jest odporny na wysokie temperatury. Topi się już w temperaturze 150°C – niższej niż temperatura, w której pieczemy ciastka w domowych piecykach, nie mówiąc już o sięgającym 1000°C żarze koniecznym do spalania ludzkiego ciała. Wiedziałem więc już, że, czy to przypadkiem, czy celowo, purchawki z całą pewnością zostały dodane do spalonych już szczątków ciała Chiggera Hardena.

Jeśli ciało Chiggera rzeczywiście zostało spalone. Prochy, które otrzymałem od Browna, zawierały fragmenty spalonych ludzkich kości. Pozostawało jednak pytanie, czy były to kości Lloyda Hardena, czy też kogoś innego. Gdyby materiał DNA przetrwał proces kremacji, moglibyśmy bez trudu znaleźć odpowiedź. Niestety, przeprowadzona poprawnie kremacja wypala całkowicie materiał organiczny z kości. Kość ulega wówczas kalcynacji, czyli zostaje zredukowana do swojej podstawowej części składowej, to jest wapnia. Cząsteczki DNA zbudowane są z węgla, który podobnie jak węgiel zawarty w kartonie lub w bawełnianej koszuli ulega całkowitemu spalaniu. Można powiedzieć, że z chemicznego punktu widzenia wszystkie ślady ludzkiego życia i tożsamości ulatują z dymem. Dlatego też szczątki z foliowej torby – te 1300 gramów, które pozostały po odsianiu zardzewiałej zszywki, kawałków drewna i purchawek – nie mogły nam wyjawić, czy kiedyś był to Chigger Harden. Mogły nam jedynie powiedzieć, czy w większości były kiedyś częścią ludzkiego ciała.

30 kwietnia otrzymałem wyniki analizy chemicznej. Mój kolega Hazari stworzył bardzo pomysłowy i prosty test, który pozwolił określić, czy przekazana mu próbka materiału rzeczywiście pochodzi z ludzkiego ciała. Nasze ciało ma stały, ściśle określony skład chemiczny. W szkole uczymy się, że zawiera głównie wodę, która stanowi mniej więcej sześćdziesiąt procent jego ciężaru. Pozostałe czterdzieści procent to cała masa różnych pierwiastków, głównie wapnia i węgla. (Gdyby ludzie nosili nalepki ze składem, jak paczkowane jedzenie w sklepach spożywczych, lista składników zaczynałaby się w następujący sposób: woda, wapń, węgiel...)

Praktycznie ostatnie miejsce na tej liście zajmuje krzem. Przeciętnie ludzkie ciało zawiera zaledwie osiemnaście gramów tej substancji. Jeśli odparujemy z ciała całą wodę i spalimy w piecu kremacyjnym cały węgiel, zostanie nam jakieś dwa–dwa i pół kilograma szczątków, przy czym krzem będzie stanowił niecały jeden procent tego ciężaru.

Hazari przesłał moją czterdziestodwugramową próbkę do certyfikowanego komercyjnego laboratorium w Knoxville zwanego Galbraith Laboratories („Precyzja i szybkość – od 1950 roku”). Mógł przeprowadzić badania w swojej pracowni na uniwersytecie, ale dokładność certyfikowanego laboratorium jest często badana i dobrze udokumentowana, a my chcieliśmy mieć pewność, że nikt nie zdoła podważyć wyników analizy w sądzie. Technik z Galbraith poddał próbkę badaniu spektrograficznemu zwanemu ICP–OES, co stanowi skrót od Inductively coupled plasma optical

spectroscopy” (spektroskopia emisyjna ze wzbudzeniem plazmowym). Podczas wzbudzenia plazmowego nieznan material jest spalany w argonie, w temperaturze 10 000°C. W tym czasie spektroskop „pobiera odciski palców” próbki, badając widmo (długość fal) światła powstającego podczas spalania. Ostatnim etapem jest porównanie optycznych odcisków palców próbki z odciskami różnych pierwiastków. To chemiczna wersja analizy porównawczej odcisków palców pobranych w miejscu zbrodni z bazą danych odcisków przestępców znanych FBI lub policji.

Z analizy przeprowadzonej przez Galbraith Laboratories wynikało, że szczątki należące zdaniem Tri–State do Chiggera zawierały ponad piętnaście procent krzemu. Jeśli Chigger nie najadł się tuż przed śmiercią piasku, to wartość ta była znacznie większa, niż powinna. Znacznie bardziej prawdopodobne wydawało się, że szczątki zawierały jakiś wypełniacz – cement, sproszkowany wapień albo nawet zwykły piasek.

Tak czy inaczej sprawa wyglądała co najmniej podejrzanie. Szczątki, które wróciły z Tri– State, powinny były pozytywnie przejść potrójny test podobny do trzyczęściowej przysięgi, którą składa każdy świadek w sądzie: mosiężna urna, którą dostali Hardenowie, powinna zawierać Chiggera, całego Chiggera i tylko Chiggera.

Co tak naprawdę stało się z Chiggerem i wszystkimi tymi ciałami w Georgii? 20 czerwca 2002 miałem kolejną okazję, by się o tym przekonać, tym razem naocznie.

Chattanooga w stanie Tennessee leży sto sześćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Knoxville. Niedaleko Chattanooga znajduje się miejscowość Noble; choć na mapie dzieli je tylko trzydzieści kilometrów, kulturowo należą do dwóch całkiem odmiennych światów. W dodatku po ostatnich wydarzeniach nazwa Noble wydaje się mocno ironiczna (noble to po angielsku „szlachetny” – przyp.tłum.).

Miasteczko przecina droga krajowa numer 27, lecz nie jest to z pewnością jeden z ważniejszych punktów na jej trasie. Jest tutaj jedno przejście dla pieszych ze światłami, dwie lub trzy stacje benzynowe oraz garść innych zakładów oferujących podstawowe dobra i usługi: artykuły spożywcze, artykuły żelazne, strzyżenie i golenie oraz kilka wersji zbawienia.

Gdybyście nie wypatrywali jej zawczasu, zapewne nie zauważylibyście Center Point Road, pozbawionej pasów wstęgi asfaltu, która odchodzi od drogi 27 na wschód. Drogowskaz kieruje wiernych do kościoła baptystów („Gdzie Jezus jest Królem”) położonego kilkaset metrów dalej, po prawej stronie drogi. Po lewej ciągnie się Roy Marsh Lane, a za nią Clara Marsh Lane. Nieco dalej, po drugiej stronie drogi, zaczyna się długi łukowaty podjazd prowadzący do domu Raya Brenta Marsha. Za domem, w dole łagodnego zbocza, znajduje się kompleks krematorium Tri– State.

Dom to niewielki budynek o drewnianej konstrukcji, przed którym stoi staroświecki dystrybutor Esso. Tuż za domem ciągnie się drewniane ogrodzenie. Pod tym względem – jak i pod wieloma innymi, co okazało się w lutym – Tri–State jest uderzająco podobne do Trupiej Farny. Tym, co

zasadniczo różni je od siebie, są intencje właścicieli: na Trupiej Farmie pozwalamy ciałom się rozkładać tylko dlatego, że nie ma innego sposobu, by rozwijać ten konkretny dział nauki. Może niektórym trudno w to uwierzyć, ale darzymy je ogromnym szacunkiem właśnie ze względu na ich wkład w badania i skuteczne ściganie przestępców.

Płot Tri–State otacza dwa duże, przypominające szopy budynki, małą chatką, w której mieści się biuro, oraz budowlę przypominającą garaż z zardzewiałym metalowym kominem na jednym końcu, gdzie mieści się krematorium. W większych budynkach znajdują się betonowe schowki i metalowe pojemniki: cztery miesiące przed moim przybyciem wszystkie wypełnione były rozkładającymi się ciałami. Teraz stały puste.

Za budynkami, na skraju lasu, dostrzegłem zepsuty karawan na pozbawionych powietrza kołach, rdzewiejący powoli w cieniu. Gdy otworzyłem drzwi, doleciał mnie paskudny zapach rozkładu: później dowiedziałem się, że w karawanie przez wiele miesięcy spoczywały ludzkie zwłoki, a usunięto je dopiero w lutym, po wizycie inspektorów EPA. W pobliżu stała zardzewiała turystyczna przyczepa mieszkalna, przed nią zaś kolejny zepsuty karawan. Obok przyczepy znajdował się duży grill, co budziło pewne interesujące pytania – albo jedynie podkreślało ironię całej sytuacji.

Budynek krematorium zawierał jedynie piec, masywne palenisko zbudowane głównie z osmolonych cegieł ogniotrwałych. Materiał organiczny, który nie uległ zniszczeniu w głównej komorze, spalano w drugiej komorze spalania, położonej na tyłach pieca. Druga komora w krematorium Tri–State wydawała się przerdzewiała w kilku miejscach, podobnie jak odchodzący od niej przewód kominowy.

Otworzyłem przesuwne drzwi paleniska i zajrzałem do wnętrza głównej komory, oświetlając je latarką. Z ulgą stwierdziłem, że w środku nie ma żadnego ciała, jedynie ściany, sufit i podłoga z ogniotrwałej cegły oraz betonu, miejscami spękanego i pokruszonego. Podłoga u podnóża paleniska była osmolona, tłusta i zasłana żwirem oraz różnego rodzaju śmieciami, wśród których znajdował się co najmniej jeden mały, nie spalony ludzki kręg – kość dziecka. Najwyraźniej ten drobiazg umknął uwadze agentów GBI oraz zespołu D–MORT sprzątającego posiadłość.

Nie tylko ja przyjechałem obejrzeć Tri–State w ten gorący letni dzień. Był to chyba „dzień otwarty” dla wszystkich powodów wnoszących pozew przeciwko Tri–State, rodzinie Marshów i różnym zakładom pogrzebowym. Wszyscy zaangażowani w sprawę prawnicy, zarówno ci ze strony oskarżających, jak i skarżonych, przyprowadzili swoich ekspertów. Spotkałem kilku swoich byłych studentów. Jeden z nich, Tom Bodkin, pracuje w biurze lekarza sądowego w Chattanooga; inny, Tony Falsetti, naucza antropologii na Uniwersytecie Florydy. Zauważyłem również Michaela Badena, znanego patologa sądowego z Nowego Jorku, który zjawił się w Tri–State w towarzystwie dentysty sądowego. W Noble doszło wówczas do niezwykłej koncentracji biegłych sądowych.

Moja wizyta nieoczekiwanie dobiegła końca, gdy Tom Bodkin przystanął na podjeździe, pochylił się i zaczął wskazywać ludzkie kości – niespalone ludzkie kości – leżące w pyle drogi. Zastępca

szeryfa, który pilnował wszystkich prawników i naukowców, skontaktował się ze swoim przełożonym i poprosił o instrukcje. Skrzekliwy głos z krótkofalówki kazał mu zabezpieczyć teren. Stróż prawa wyprosił nas wszystkich z posiadłości, a kilka minut później wjechała na nią karawana wozów policyjnych oraz czarnych limuzyn GBI, które do złudzenia przypominały kondukt pogrzebowy. Do tego czasu i tak przyjrzałem się już wystarczająco uważnie kompleksowi Tri-State i piecowi kremacyjnemu. Widziałem, w jakim stanie był ten sprzęt; z pewnością nie wyglądał tak, jakby poddawano go regularnym przeglądom.

General Motors przemysłu kremacyjnego to pewna firma z Florydy o dość mylącej nazwie Industrial Equipment and Engineering Company (Przedsiębiorstwo Przemysłu Maszynowego), w skrócie IEE. Latem 2001 roku, dziewięć miesięcy przed skandalem w Noble, odwiedziłem zakład IEE w Apopka, miasteczku na obrzeżach Orlando.

Piec kremacyjny Power-Pak to prawdziwy wół roboczy IEE. W odróżnieniu od trumien z zakładów pogrzebowych, które mają być przede wszystkim ładne i eleganckie, piec kremacyjny to produkt przemysłu ciężkiego, niedostępny dla oczu szerszej publiczności. Kiedy drzwi paleniska są otwarte, Power-Pak wygląda jak kilkakrotnie powiększona przemysłowa wersja piecyka, w którym Jaś i Małgosia omal nie zamienili się w pierniki. Podłoga jest płaska, sufit sklepony, a cała komora o długości około dwóch i pół metra wyłożona jest ogniotrwałą cegłą lub betonem.

Ciała zwykle przywozi się karawanem: w większości krematoriów karawan podjeżdża tyłem do drzwi garażu, ciało zamknięte w kartonowym pudle przeciągane jest na nosze samojezdne i przewożone do drzwi pieca. Jedna osoba bez trudu może przesunąć pudło z noszy do paleniska, zamknąć drzwi i zapalić gaz.

Pierwszy krok to włączenie potężnego wentylatora, który wymusza silny przepływ powietrza przez piec – to jest przez „główną komorę” – i przewód kominowy. Gdy wentylator już działa, osoba obsługująca piec ustawia regulator czasowy kontrolujący długość spalania. Regulator steruje również zaworem gazu i zapalarką iskrową, podobną do tych, których używa się we współczesnych kuchenkach gazowych.

Jako pierwszy zapala się tak zwany dopalacz. Ten mały palnik położony w tylnej części paleniska spełnia podwójną rolę. Po pierwsze, powoli rozgrzewa wnętrze pieca, by zminimalizować naprężenia cieplne i pękanie cegieł. Podczas samego procesu kremacji spala te gazy, które nie uległy spaleniu w komorze głównej, nim dostaną się do przewodu kominowego.

Gdy palenisko jest już rozgrzane, włącza się palnik o małym natężeniu płomienia, tak zwany palnik zapłonowy umieszczony na suficie paleniska. Jedynym zadaniem tego urządzenia jest spalanie kartonowego pudła, w którym znajduje się ciało. Karton zapala się w temperaturze około 260°C, otoczone płomieniem skierowanym w dół pudło zaczyna się palić w ciągu kilku sekund.

Kilka minut później z kartonu zostaje już tylko popiół i zaczyna się kremacja samego ciała. Teraz

z góry uderza w nie płomień potężniejszego palnika, palnika kremacyjnego. W większości przypadków temperatura we wnętrzu pieca utrzymuje się na poziomie od 900 do 1000°C, jednak wyjątkowo otyłe ciała mogą palić w temperaturach znacznie wyższych, sięgających 1600°C.

IEE buduje solidne piece, które wytrzymują tego rodzaju warunki. Firma oferuje również coroczne przeglądy, czyszczenie, kalibrację termostatów i naprawy na życzenie klienta. Większość krematoriów co najmniej raz w roku zamawia przegląd i kalibrację. Z tego co wiem, w ciągu dwudziestu lat swojej działalności firma Tri-State ani razu nie zlecała przeglądu lub czyszczenia. Podobno technik IEE odwiedził to krematorium tylko raz, gdy GBI poprosiło o weryfikację zeznań Brenta Marsha, który twierdził, że miał zaległości w realizacji zamówień ze względu na awarię pieca. Zdaniem technika IEE piec działał prawidłowo.

3 września 2002 do jednego z krewnych Chiggera Hardena zadzwonił Greg Ramey, agent TBI prowadzący śledztwo w sprawie Tri-State. Do tego czasu w Laboratorium Sił Powietrznych w Maryland zbadano próbki DNA pobrane z trzystu trzydziestu dziewięciu ciał znalezionych na terenie firmy. Laboratorium porównało je z materiałem genetycznym dostarczonym przez krewnych lub gabinety lekarskie. Niektórzy krewni Chiggera przekazali próbki krwi, choć okazało się to niepotrzebne: w szpitalu znajdowała się próbka tkanki pobrana w czasie sekcji zwłok.

Agent Ramey zadzwonił, by poinformować Hardenów, że jedno z owych ciał znalezionych w Tri-State należy do Chiggera. Zwłoki oznaczone przez GBI numerem 218 niemal przez dwa lata leżały w lesie. Od lutego znajdowały się w chłodnicy uruchomionej przez GBI w pobliżu Noble. Ramey chciał wiedzieć, co rodzina zamierza teraz zrobić ze zwłokami.

Hardenowie nadal chcieli, by poddać je kremacji, zgodnie z życzeniem Chiggera. Najpierw jednak chcieli mieć całkowitą pewność, że to rzeczywiście Chigger. Bill Brown, ich prawnik, poprosił, bym zbadał ciało, sam zaś zorganizował transport zwłok do miejsca, gdzie można przeprowadzić zarówno badania, jak i kremację.

Pewnego zimnego październikowego popołudnia przyjechałem do małego schludnego budynku, w którym znajduje się East Tennessee Cremation Company, krematorium położone na skraju strefy przemysłowej w pobliżu lotniska w Knoxville. Kilka minut później pojawił się Bill Brown ze swoją asystentką Lisą Scoggins oraz synem Andym, który miał filmować i fotografować badanie ciała. Materiał ten mógł okazać się potrzebny podczas procesu sądowego.

Dyrektor krematorium Helen Taylor wprowadziła mnie do pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa piece kremacyjne IEE, oba nieskazitelnie czyste. Przed jednym z nich stały nasze samojezdne, na których leżał biały worek z ciałem. Po rozsunięciu worka przekonałem się, że ciało uległo niemal całkowitemu rozkładowi, choć tu i ówdzie pozostały jeszcze fragmenty tkanki. Obok czaszki, która odłączyła się już od reszty szkieletu, leżały włosy; długie, gęste i ciemne włosy, podobne do tych, które miał Chigger na zdjęciu przyniesionym przez Lisę.

Ciało pozbawione było ubrań, które GBI przełożyło do oddzielnej torby foliowej. Zarówno pośród kości, jak i resztek ubrań można było znaleźć przegniłe liście i igły sosnowe, co oznaczało, że zwłoki leżały na zewnątrz przez dłuższy czas. Brak śladów ziemi w przewodach nosowych i słuchowych świadczył o tym, że ciało nigdy nie zostało pogrzebane. Tu i ówdzie można było dostrzec fragmenty gnijącego kartonu oraz garść martwych chrząszczy z rodziny skórnikowatych, które lubią ogryzać kości z zaschniętej tkanki.

Szkielet był prawie kompletny: brakowało żuchwy oraz kości prawego podudzia i stopy, prawdopodobnie rozwleczonych przez jakieś padlinożerne zwierzęta. Przyjrzałem się uważnie czaszce. Była duża i szeroka, miała grube łuki brwiowe i bardzo wydatne zgrubienie u podstawy czaszki, tak zwaną guzowatość potyliczną zewnętrzną. Każdy student z mojego kursu osteologii bez problemu stwierdziłby, że czaszka należała do mężczyzny. Zęby ustawione były pionowo, a nie pochylały się do przodu, więc mężczyzna należał do rasy kaukazoidalnej. Stopień skostnienia szwów czaszkowych również wydawał się typowy dla mężczyzny w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Żaden z elementów materiału kostnego nie pozostawał w sprzeczności z identyfikacją dokonaną przez GBI.

Próbka DNA została pobrana z fragmentu lewej kości udowej. Brown poprosił mnie o pobranie jeszcze jednej próbki, by niezależne laboratorium DNA mogło potwierdzić wyniki badań rządowych. Wyjąłem piłę wibracyjną do cięcia kości (zwaną również piłą Strykera), którą przyniosłem ze sobą z wydziału antropologii, i podłączyłem ją do prądu.

Piła wibracyjna to bardzo pomysłowe urządzenie. Może przeciąć kość udową w ciągu kilku sekund, ale może też naciskać na przedramię dziecka, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy. Dzieje się tak dlatego, że drobne ząbki piły, mniej więcej takiej samej wielkości jak zęby piły do metalu, poruszają się do przodu i do tyłu na bardzo małym odcinku o długości zaledwie trzech milimetrów. Jeśli przyłożymy je do twardego materiału, takiego jak kość lub odlew gipsowy, natychmiast zaczną się w niego wgryzać. Jeśli jednak dociśniemy je lekko do skóry, tylko ją poślaskoczą.

Zagłębiłem ostrze piły w kości udowej, tuż obok wycięcia pozostawionego przez piłę GBI; już po minucie trzymałem w dłoni próbkę w kształcie ćwierćwałka o długości pięciu i szerokości trzech centymetrów. Dałem kość Brownowi, który miał przekazać ją do niezależnego laboratorium. Zapakowałem i dałem mu również kość z palca na wypadek, gdyby któregoś dnia konieczne okazało się wykonanie trzeciego badania.

Następnie otworzyłem torbę foliową z ubraniami ułożoną w dolnej części worka na zwłoki.

O ile same zwłoki nie wydzielały zbyt intensywnego zapachu, o tyle ubrania cuchnęły rozkładem i amoniakiem. Bez trudu rozpoznałem parę niebieskich dżinsów, choć tkanina była już przegniła i poplamiona. Obok spodni leżała zniszczona koszula w czerwono–zieloną kratę. Jak twierdziła Lisa, na życzenie Hardenów zakład pogrzebowy ubrał Chiggera w jego ulubiony strój, czyli dżinsy i koszulę w kratę.

Miałem nadzieję, że przy odrobinie szczęścia uda nam się znaleźć ostatni element identyfikujący ciało Chiggera: pocisk, który przed ponad dwudziestu pięciu laty wbił się w jego klatkę piersiową. Jednak przeszukiwanie szkieletu byłoby trudne i czasochłonne; uznałem, że znacznie łatwiej przyjdzie mi odnaleźć pocisk po kremacji, w spopielonych szczątkach.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi nad czerwono–złotymi wzgórzami Tennessee, zasunąłem worek okrywający szkielet i wsunąłem go do wnętrza pieca. Helen Taylor zamknęła drzwi paleniska i uruchomiła wentylator. Kilka sekund później zza drzwi dobiegł cichy szum płomieni.

Następny ranek był zimny i mglisty. Gdy ponownie stanąłem przed piecem kremacyjnym East Tennessee Cremation, poczułem ciepło bijące od jego ceglanych ścian. Choć sama kremacja trwała zaledwie dwie godziny, szczątki pozostały na noc w palenisku, bym mógł zbadać je na miejscu. Odsunąłem drzwi i zajrzałem do wnętrza długiej ciemnej komory, oświetlając ją latarką. Kości zachowały kształt ludzkiego szkieletu. Kości długie rąk i nóg były popękane, lecz utrzymały się w całości, podobnie jak miednica; kruszejące szczątki klatki piersiowej również zachowały swą pierwotną strukturę. Największego podobieństwa do ludzkiego ciała można się było dopatrzeć w czaszce. Gdy tylko jej dotknąłem, rozpadła się na drobne kawałki.

Używając miotły na długim trzonku i wielkiej szufli, Helen Taylor zebrała popioły z fragmentami kości, po czym ułożyła szczątki na stole pod wyciągiem z szerokim okapem, bym mógł je przesiać i przejrzeć. Pośród odłamków kostnych i drobin pyłu leżały dziesiątki zardzewiałych zszywek: przed dwoma laty utrzymywały w całości kartonowy pojemnik, w którym przywieziono do Tri–State ciało Chiggera. Helen wręczyła mi duży ciężki magnes i pokazała, jak przesuwając nim przez popioły, by wyciągnąć wszystkie zszywki.

Magnes był na tyle ciężki, że kruszył niemal wszystkie fragmenty kości, które ze względu na swą strukturę i lekkość przypominały bezy. Tu i ówdzie leżały maleńkie bezkształtne drobin z materiału podobnego do szkła; prawdopodobnie były to pozostałości guzików lub innych fragmentów ubrania, które spłonęły wraz z ciałem. Przesiewając spalone szczątki i odkładając te, które z pewnością nie były fragmentami ludzkich zwłok, wypatrywałem pocisku, a dokładniej rzecz biorąc, stopionej kulki ołowiu, która niegdyś była pociskiem. Na razie jednak nie widziałem niczego, co choćby w przybliżeniu przypominałoby ołowianą kulkę.

Ostatnim etapem procesu kremacji jest sproszkowanie pozostałych fragmentów kości. Niektóre szczątki z Tri–State, które miałem okazję badać, zawierały duże kawałki kości: jak donosili dziennikarze, Marshowie używali do kruszenia odłamków kostnych zwykłej rozdrabniarki do drewna. Postanowiłem przeprowadzić eksperyment na innej partii szczątków, które dostarczył mi Bill Brown: włożyłem fragmenty spalonych kości do blendera Carol, starego modelu Hamilton Beach, i uruchomiłem go. Kuchnia wypełniła się przeraźliwym trajkotem, dochodzącym zarówno z blendera, jak i z ust Carol. (Można by pomyśleć, że po tym, jak zmuszony byłem kupić Ann dwie nowe



kuchenki, nauczyłem się już nie używać do badań domowych sprzętów. Nie muszę chyba dodawać, że wkrótce na naszym blacie kuchennym pojawił się nowy blender, a stary powędrował do garażu).

Firma Est Tennessee Cremation Services proszkowała kości w znacznie skuteczniejszy i bardziej wyrafinowany sposób. Używała do tego specjalnego urządzenia IEE, które przypominało kociołek na zupe osadzony na wierzchołku młynka do rozdrabniania śmieci, lecz kosztowało całe 4000 dolarów. Helen włożyła szczątki do kociołka, przykryła go ciężką pokrywką i uruchomiła urządzenie. Odłamki kości w ciągu minuty zamieniły się w ziarnisty proszek. Następnie Helen przesypała prochy do foliowej torby umieszczonej w prostokątnym plastikowym pojemniku – zmieściły się, choć z trudem – zamknęła torbę za pomocą opaski zaciskowej i wręczyła mi pojemnik. Trzymałem teraz w dłoniach to, co rodzina Hardenów powinna była otrzymać przed dwoma laty. Położyłem pudełko na tylnym siedzeniu mojego samochodu i pojechałem do domu.

Fałszywe szczątki Chiggera ważyły około 1600 gramów, o ponad połowę mniej niż większość z pięćdziesięciu skremowanych ciał mężczyzn, które ważyłem podczas moich badań. Szczątki, które miałem teraz ze sobą, stanowiły świadectwo krzepkości zmarłego farmera – ich ciężar, łącznie z foliową torbą (ale bez pojemnika), wynosił niemal 3700 gramów, zapewne mniej więcej tyle, ile ważył Chigger przychodząc na ten świat. Po ważeniu otworzyłem torbę, przesypałem garść prochów do małego plastikowego pojemniczka i ponownie szczelnie ją zamknąłem. Przygotowaną w ten sposób próbkę wysłałem do Galbraith Laboratories, podobnie jak pozostałe.

Gdy otrzymałem wyniki badania, byłem zaskoczony: szczątki zawierały pięć procent krzemu, około dziesięciu razy więcej, niż się spodziewałem. Być może krzem ten pochodził z ziemi oblepiającej szkielet, a być może były to drobiny betonu odpadające ze ścian pieca kremacyjnego. Inna próbka szczątków, którą laboratorium Galbraith analizowało w tym samym czasie, zawierała tylko pół procenta krzemu, a więc tyle, ile rzeczywiście znajduje się w ludzkim ciele. Jak zwykle badania przyniosły tyle samo odpowiedzi co nowych pytań. Jednak najważniejsza kwestia została rozstrzygnięta w sposób ostateczny: otrzymaliśmy pozytywny wynik analizy DNA z laboratorium GBI; na podstawie badań antropologicznych mogliśmy stwierdzić, że wiek, rasa, płeć oraz długość i kolor włosów szkieletu odpowiadały temu, co wiedzieliśmy o Chiggerze, mieliśmy ubrania pasujące do opisu podanego przez rodzinę, mieliśmy również niezależne potwierdzenie w postaci wyników badania DNA przeprowadzonego przez komercyjne laboratorium na fragmencie kości udowej, który wyciąłem piłą wibracyjną.

Pozostała jeszcze jedna nierozwiązana kwestia, jedno pytanie bez odpowiedzi, które nie pozwalało mi zapomnieć o tej sprawie. Wsiadłem do pick-upa i pojechałem na uniwersytet. Położyłem odznakę TBI za przednią szybą, zaparkowałem w niedozwolonym miejscu (jedynym, jakie udało mi się znaleźć) i wszedłem na oddział radiologii mieszczący się w podziemiach uniwersyteckiej kliniki. Tamtejsi technicy i lekarze zawsze byli dla mnie niezwykle mili i uczynni, gdy od czasu do czasu zgłaszałem się do nich z prośbą o wykonanie jakiegoś zdjęcia. Prawdopodobnie wydaje im się to

interesujące, a poza tym doceniają zapewne fakt, że nie przynoszę im rozkładających się ciał, w takich przypadkach korzystam z przenośnego aparatu rentgenowskiego i robię zdjęcia na rampie przeładunkowej na tyłach centrum medycznego.

Wyjąłem z kartonowego pudła dwie płaskie torby foliowe o wymiarach mniej więcej trzydzieści na trzydzieści centymetrów, do których wsypałem skremowane szczątki Chiggera. Równomiernie rozłożone szczątki tworzyły w obu torbach warstwę o grubości około trzech centymetrów.

Technik radiologii schowała się za ołowianym ekranem i zwolniła migawkę. Pierwszy negatyw, który mi przyniosła, był prawie całkiem przezroczysty, co oznaczało, że zdjęcie zostało mocno niedoświetlone; wydawało jej się zapewne, że przy tak cienkiej próbce nie powinna naświetlać go zbyt długo, ale nieco przesadziła. Drugie zdjęcie było już idealne: rozkruszone fragmenty szkieletu jawiły się w różnych odcieniach szarości, tu i ówdzie widać było drobne białe plamki – zęby z zamka torby, w której ciało przybyło z Georgii i zostało skremowane.

Na negatywie widać było również jeden nieprzejrzysty, okrągły przedmiot. Wielkością przypominał monetę centową, choć był dwukrotnie grubszy. Wyjąłem go. Był ciężki – ciężki jak ołów. Wcześniej nie mogłem go wyczuć ani dojrzeć, ale był tam przez cały czas. Znalazłem pocisk Chiggera.

Długi okres stanu zawieszenia, w którym żyła rodzina Hardenów, dobiegł wreszcie końca. Odkrycie kuli nie było może najlepszą wiadomością, ale i tak byli mi za nią wdzięczni. Wiele razy spotykałem się z podobną reakcją podczas kontaktów z rodzinami zaginionych i zabitych. Niepewność i strach niemal zawsze są trudniejsze do zniesienia niż świadomość nieodwracalnej straty.

Nie mogę oddać ludziom ich ukochanych. Nie mogę przywrócić im szczęścia i niewinności, sprawić, by ich życie było takie jak kiedyś. Ale mogę dać im prawdę. Wtedy odzyskają wolność, a gdy skończą już opłakiwać zmarłych, będą mogli zacząć życie na nowo. Taka prawda to najskromniejszy i najświętszy dar, jaki może dać naukowiec.

# A kiedy umrę

Podczas mojej czterdziestoletniej kariery antropologa sądowego widziałem setki zwłok i tysiące szkieletów. Oglądałem śmierć ze wszystkich możliwych perspektyw. Ze wszystkich prócz jednej. Pewnego dnia upadłem na podłogę w restauracji i spojrzałem śmierci prosto w oczy, a śmierć patrzyła na mnie.

Moja żona Carol i ja wracaliśmy z Nashville do Knoxville. Podróż na tym odcinku trwa około trzech godzin, postanowiliśmy więc zatrzymać się na lunch w połowie drogi, w Cookeville. Zjechaliśmy z autostrady międzystanowej 1-40 i udaliśmy się do mojej ulubionej miejscowej restauracji, Logan's Road House, która serwuje gotowane bataty, mój przysmak.

Pojechałem do Nashville, by wygłosić wykład dla grupy specjalistów zajmujących się narządami do przeszczepów. Poprzedniego wieczora nie czułem się najlepiej i gdybym miał choć trochę rozumu, odwołałbym prezentację, ale przyjechałem do Nashville, żeby wygłosić wykład, i zamierzałem to zrobić bez względu na okoliczności. W rodzinie Bassów od pokoleń kultywujemy cechę, którą lubimy nazywać determinacją. Podobno inni ludzie mówią, że jesteśmy uparci jak osły.

Przedstawiłem grupie prezentację z przeźrocami stanowiącą wstęp do antropologii sądowej. Prezentacja zaczyna się od sprawy pewnego mężczyzny z Teksasu, który podpalił swój samochód, a potem się zabił, następnie zaś przechodzi do przypadku Madisona Rutherforda, który upozorował swoją śmierć w płonącym samochodzie. Wygłaszałem ten wykład dziesiątki razy, lecz tego ranka szło mi jak po grudzie. Zwykle gdy występuję przed większą grupą słuchaczy, ożywam – jestem podekscytowany, pełen energii, opowiadam anegdotki i dowcipy. Tym razem ledwie mamrotałem coś pod nosem. Wreszcie prezentacja dobiegła końca. Przyjąłem uprzejme podziękowania za mój nijaki występ, pożegnałem się grzecznie i zagoniłem Carol do samochodu. Liczyłem, że wielki słodki batat w Logan's Road House przywróci mnie do życia. Weszliśmy do restauracji, a kilka minut później podano nam bataty, oblane masłem i parujące.

Pamiętam dwa pierwsze kęsy. Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odepchnąłem talerz na bok i powiedziałem do Carol:

– Zaraz zemdleję.

Potem opadłem bezwładnie na stół. Nie pamiętam, co działo się od tamtego momentu, polegam

tylko na opisach Carol i innych uczestników tamtych zdarzeń.

Wkrótce pojawili się ratownicy medyczni oraz doktor Sullivan Smith, okręgowy lekarz sądowy, który przejeżdżał właśnie w pobliżu, gdy nadeszło wezwanie o pomoc. Usłyszawszy je w krótkofalówce policyjnej zamontowanej w jego samochodzie, natychmiast ruszył do restauracji. Gdyby przyjechał minutę później, być może miałby okazję udokumentować moją śmierć. Tak się jednak złożyło, że zaczął walczyć wraz z innymi o moje życie.

Znałem doktora Smitha od lat, od czasu gdy pracował w uniwersyteckim centrum medycznym w Knoxville. Uważam go za jednego z najlepszych lekarzy sądowych w stanie. Kilkakrotnie miałem też okazję wyklądać na jego seminariach dla personelu ratowniczego. Co ciekawe, doktor Smith rozpoznał mnie od razu, choć widział jedynie tył mojej głowy. (Nie wiem, czy świadczy to bardziej o bystrości jego umysłu, czy też o osobliwości mojej głowy).

– Doktorze Bass? Doktorze Bass, słyszy mnie pan? – zapytał, po czym spojrzał na ratownika medycznego, który wciąż szukał mojego pulsu. Ratownik pokręcił głową. – Doktorze Bass, musimy pana natychmiast ułożyć na podłodze – dodał Smith, choć i tak go nie słyszałem.

Wyjęli przenośny defibrylator i przyłożyli elektrody do mojej klatki piersiowej, by przepuścić przeze mnie impuls elektryczny w ostatniej desperackiej próbie ożywienia mojego serca. W tym właśnie momencie samo wróciło ono do życia. Odzyskałem przytomność oraz wzrok i uświadomiłem sobie, że leżę na podłodze, otoczony stopami – dziesiątkami stóp.

– Doktorze Bass, słyszy mnie pan? – Głos wydawał mi się dziwnie znajomy, podobnie jak twarz pochylającego się nade mną człowieka. – ... Sullivan Smith – dokończył zdanie.

– Sullivan Smith? O tak, znam go – wymamrotałem. – Wykladałem u niego.

– Nie, doktorze Bass, Sullivan Smith to ja – odparł. W końcu otrzeźwiałem nieco i rozpoznałem go, wdzięczny losowi, że trafiłem w takie dobre ręce. Smith powiedział, że jeszcze minuta, a być może nie byłoby już w stanie przywrócić mnie do życia.

W ciągu kilku godzin Smith sprowadził ambulans, który przewiózł mnie do szpitala uniwersyteckiego w Knoxville. Podczas dwugodzinnej podróży gawędziliśmy na różne tematy, od spraw sądowych po mecze futbolowe. Jedyнным tematem, którego nie poruszaliśmy, było moje bliskie spotkanie ze śmiercią.

Mój kardiolog John Acker stwierdził, że mój mięsień sercowy jest w całkiem dobrym stanie. Szwankował układ elektryczny kontrolujący jego skurcze. Na szczęście problemowi można było zaradzić w prosty sposób, za pomocą stymulatora serca, nowoczesnego monitora serca i miniaturowego defibrylatora zapakowanych w metalowy dysk nie większy od monety dolarowej. Jeśli moje serce będzie pracowało prawidłowo, stymulator pozostanie bezczynny; jeśli jednak tętno spadnie poniżej pięćdziesięciu uderzeń na minutę, stymulator pobudzi je do działania.

Czułem się naprawdę dziwnie, przebywając w szpitalu uniwersyteckim jako pacjent. Odkąd

w 1971 roku przeprowadziłem się do Knoxville, spędziłem tutaj tysiące godzin; kostnica hrabstwa Knox i Regionalne Centrum Sądowe mieszczą się właśnie w szpitalu, więc badałem tu setki ciał i szkieletów. Fakt, że sam byłem teraz jedną nogą w grobie, przypominał mi aż nadto wyraziście o bliskości tego pomieszczenia. Kilka dni później przeszedłem operację wszczepienia stymulatora.

Kiedyś wierzyłem w życie pozagrobowe. Wierzyłem w nie przez całe sześćdziesiąt lat od chwili, gdy zastrzelił się mój ojciec. Ale potem umarła Ann, a po niej Annette i nagle cała wiara w Boga i niebo, w której dorastałem i wychowywałem się, straciła dla mnie sens. Jesteśmy organizmami, zostajemy poczęci, rodzimy się, umieramy i rozkładamy się. Jednak kiedy się rozkładamy, karmimy sobą świat żywych istot, rośliny, owady i bakterie.

Ludzie, którzy znali mojego ojca – człowieka, którego nie miałem okazji poznać, który zniknął z mojego życia, gdy miałem trzy lata – mówią, że przypominam go pod wieloma względami: mam w sobie tę samą ciekawość świata, inteligencję, życzliwość i dobroć, tak samo jak on wysuwam lekko język, gdy mocno się na czymś skupiam. Dumą napawa mnie fakt, że te same cechy odziedziczyli moi synowie, i z radością stwierdzam, że jedna z moich wnuczek podczas kolorowania obrazków lub haftowania ściągów, których nauczyła ją Carol, wystawia język w ten charakterystyczny dla Bassów sposób. Więc jednak coś z nas żyje w tych, których zostawiamy za sobą: nasze geny, nasze nawyki, nasze wspólne doświadczenia i opowieści.

Czy to naprawdę wszystko, co po nas zostanie? Nie do końca. Charlie Snow, dzięki któremu po raz pierwszy brałem udział w śledztwie – razem oglądaliśmy spalone, przemoczone ciało kobiety ekshumowanej na cmentarzu w okolicach Lexington – w pewnym sensie nadal dla mnie żyje, gdy przychodzę na miejsce przestępstwa i staram się zrozumieć coś z tego, co widzę i czuję. To samo dotyczy Wiltona Krogmana, Sokratesa „ludzi kości” – jakaś częśćka mnie zawsze siedzi z nim w samochodzie, nieustannie dojeżdża do Uniwersytetu Pensylwanii; w myślach omawiam z nim ostatnią sprawę, przedstawiam mu moje wnioski, porządkuję argumenty i źródła, by odpowiedzieć na wszystkie pytania i wątpliwości, które może wyrazić ten wielki człowiek. Po tych wszystkich latach wciąż rozpiera mnie duma, gdy zauważę coś, co Krogman mógłby przeoczyć, gdyby prowadził daną sprawę.

Być może tak samo będzie z moimi studentami. Mam nadzieję, że niektórzy z nich zawsze będą oglądać razem ze mną rozbite czaszki, spalone kości, chmary owadów, zawsze będą zadawał im pytania, stawiał przed nimi wyzwania, czasami nawet inspirował. Jakaś częśćka mnie będzie również żyć na Trupiej Farmie, moim największym naukowym osiągnięciu. Gdy spoglądam wstecz na minione ćwierćwiecze, zdumiewa mnie bogactwo pionierskich badań, które wyrosły z tak skromnych początków – wszystko zaczęło się przecież w starej oborze – a przecież nawet dziś Ośrodek Badań Antropologicznych to prosta metalowa szopa, trochę drzew i pnączy kapryfolium ukrytych za wysokim drewnianym płotem (ostatnio podwyższonym i wyremontowanym z pomocą Patricii

Cornwell). Równie istotną częścią tego sukcesu jest pokolenie błyskotliwych, ciekawych umysłów, które pragną poznać tajemnice śmierci. Z pewnością nie zamierzałem tworzyć tam czegoś słynnego. Chciałem tylko znaleźć odpowiedzi na kilka pytań, które nie dawały mi spokoju. W nauce jest jak w życiu: jedna rzecz prowadzi do innej i nim się obejrzysz, znajdujesz się w miejscu, do którego nigdy nie spodziewałbyś się trafić.

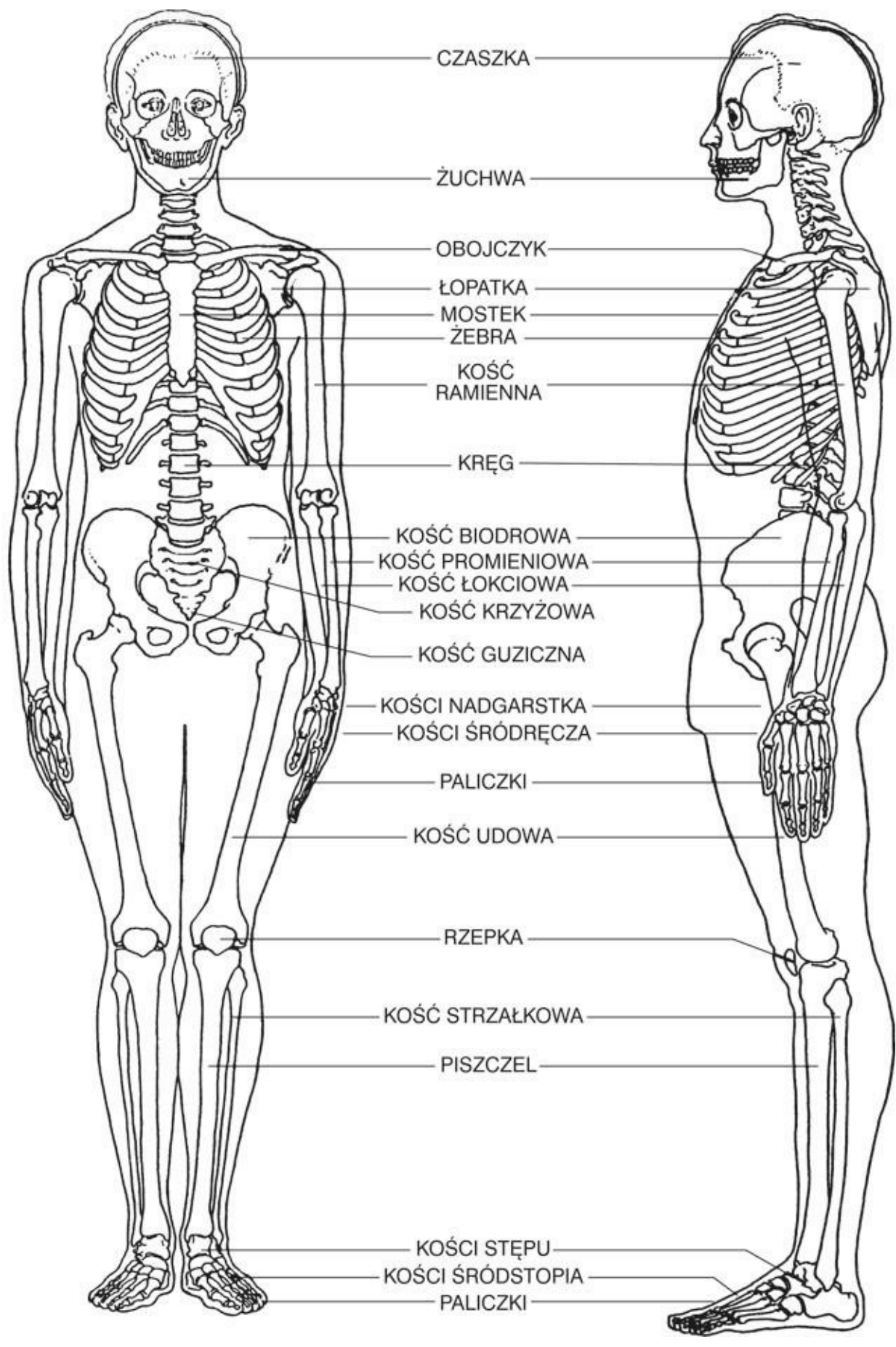
Jedno z pytań, które często zadają mi dziennikarze, brzmi: „Czy kiedy pan umrze, pańskie ciało trafi na Trupią Farmę?”. Czy będę wierny temu, czego nauczam? Czy doprowadzę to do logicznego końca? Był czas, kiedy nie miałem co do tego wątpliwości. Rozmawiałem o tym z moją pierwszą żoną Ann, która również była naukowcem; popierała mnie z całego serca. Moja druga żona, Annette – która przez długie lata była moją asystentką i aż za dobrze znała ośrodek – powiedziała: „Wykluczone”. Carol wydaje się skłaniać ku opinii, że należy mi zapewnić bardziej tradycyjne i – przynajmniej w jej mniemaniu – godne miejsce spoczynku. Pozostawię tę decyzję właśnie jej i chłopcom. Natura naukowca każe mi podpisać dokumenty donacyjne, lecz pozostała część mojego jestestwa nie może zapomnieć, jak bardzo nie cierpi much.

Tak czy inaczej znajdziecie mnie na Trupiej Farmie, kiedy umrę. Nie nastąpi to jednak zbyt szybko. Nie chcę jeszcze umierać. Mam zbyt dużo zrobienia. Muszę pisać książki. Bawić się z wnukami. Chwytać morderców.

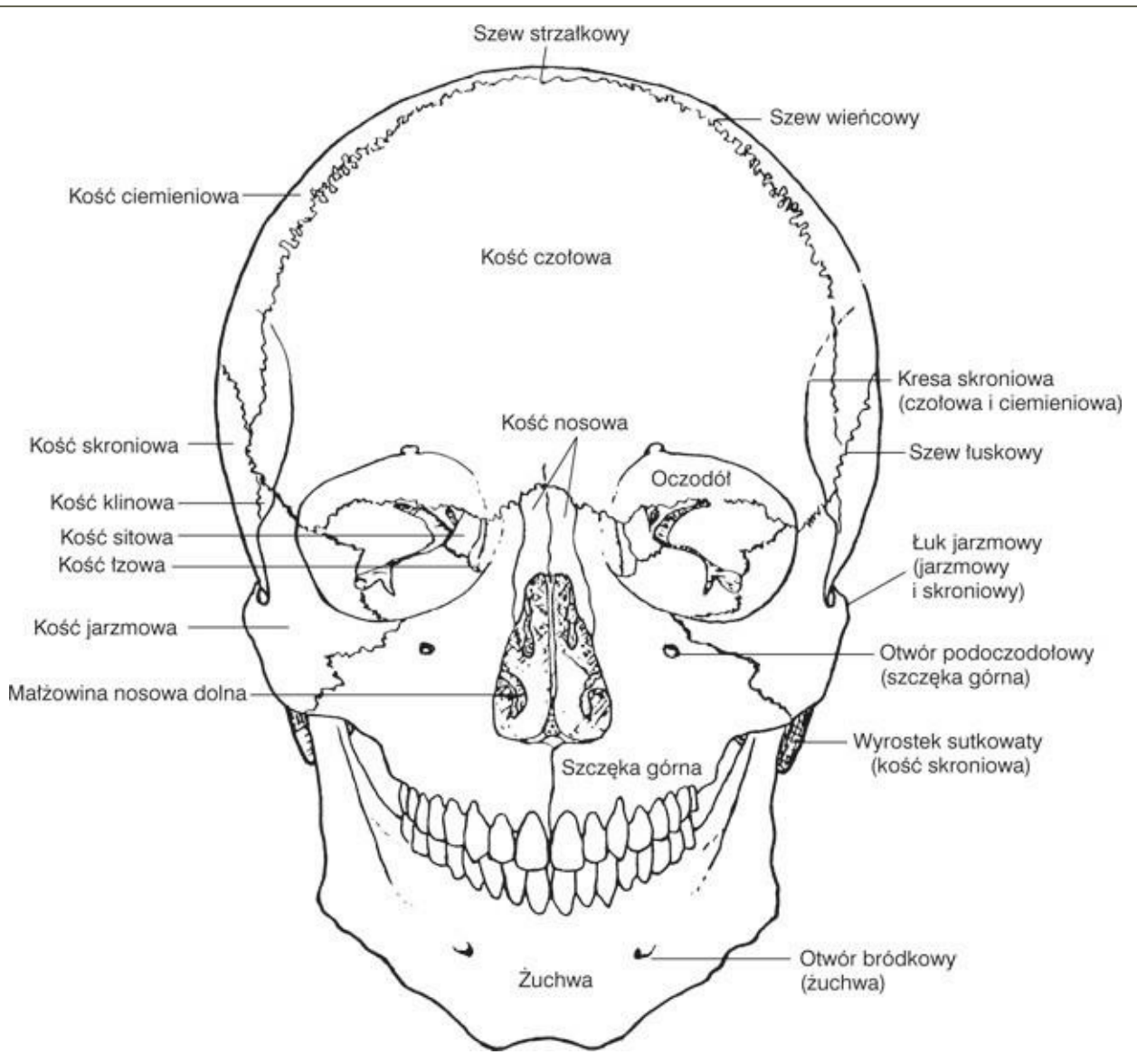
- <sup>1</sup> Witruwiusz, O architekturze ksiąg dziesięć, tłum.K. Kumaniecki, Warszawa 1999, s. 50–51.
- <sup>2</sup> Sung Tz'u, Zmywanie krzywd, tłum . na angielski B. McKnight, University of Michigan Center for Chinese Studies, 1981.
- <sup>3</sup> Sun Tz'u, Zmywanie krzywd, dz.cyt.
- <sup>4</sup> Alfred Tennyson, In Memoriam Canto 56, The New Oxford Book of Victorian Verse, red. Ch. Ricks, New York 2002, s. 27.
- <sup>5</sup> Więcej informacji o działalności Wydziału Antropologii Uniwersytetu Tennessee – łącznie z warunkami oddawania ciał – można znaleźć na stronie wydziału [www.utk.edu/~anthrop/FACcenter.html](http://www.utk.edu/~anthrop/FACcenter.html)
- <sup>6</sup> Gra słów: sick znaczy tyle co chory lub cierpiący na nudności, a całe zdanie można przełożyć jako „Od tego robi nam się niedobrze” (przyp. tłum.).
- <sup>7</sup> Robert Frost, IM e/s ze. Naprawianie muru, red. L. Elektorowicz , tłum. L. Elektorowicz , Warszawa 1972, s. 29–30.
- <sup>8</sup> Cyt. za: Jostein Gaarder, Świat Zofii, tłum. I. Zimnicka, Warszawa 1995, s. 39.

# Kości ludzkiego szkieletu

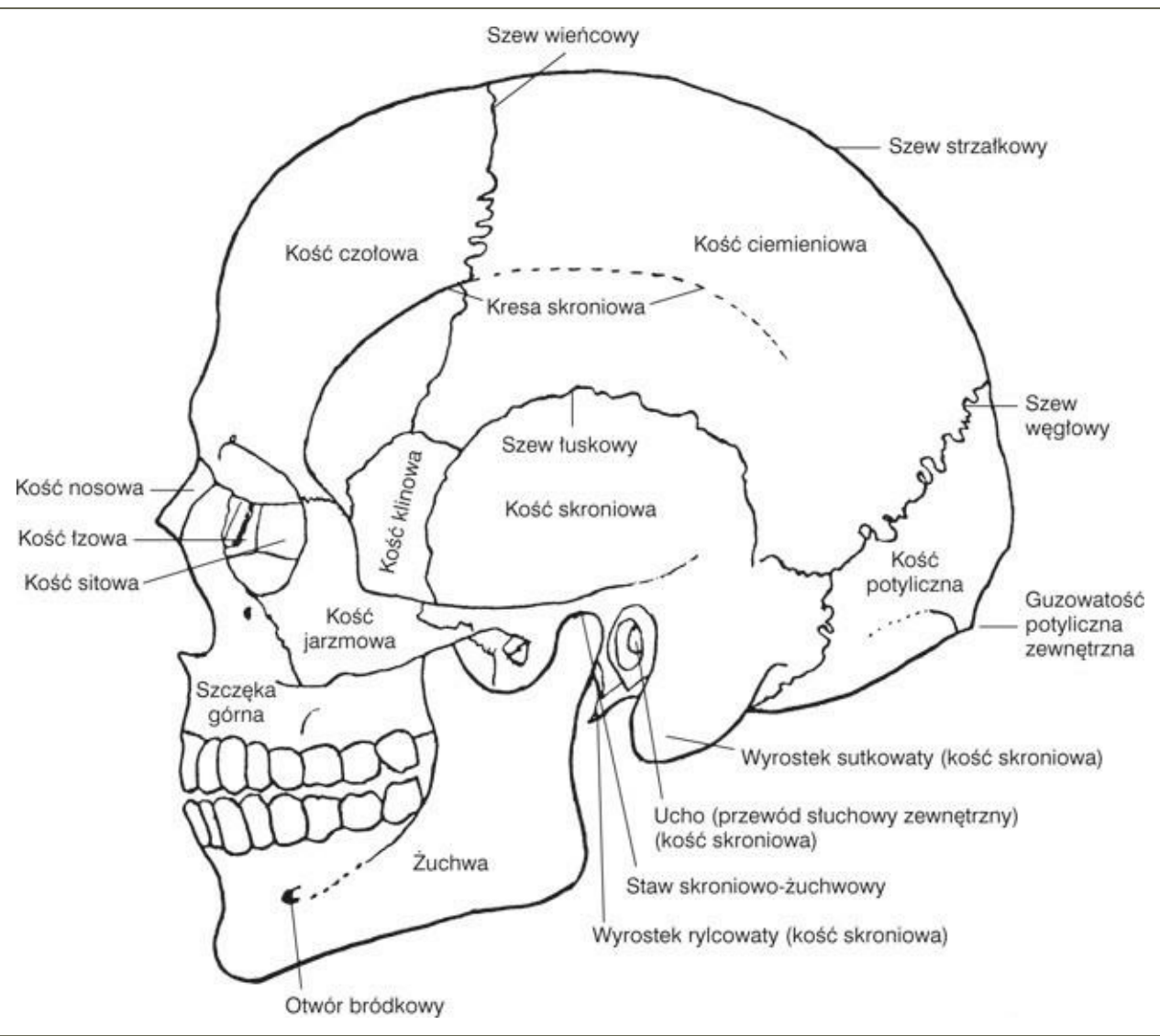




*Główne elementy ludzkiego szkieletu*



*Czaszka, widok z przodu*



*Czaszka, widok z boku*

Ilustracje w tym aneksie pochodzą z książki Human Osteology. A Laboratory and Field Manual (Osteologia szczątków ludzkich. Badania w laboratorium i w terenie), autorstwa Williama M. Bassa (wyd. czwarte), Missouri Archaeological Society Inc., 1995

# Słowniczek terminów antropologicznych i sądowych

**autoliza:** dosłownie „samorozszczepienie”, rozpad tkanek miękkich ciała spowodowany przez wewnątrzkomórkowe procesy chemiczne;

**autopsja:** pośmiertne badanie przeprowadzone przez patologa sądowego (sekcja zwłok);

**czerv:** larwa muchy przypominająca gąsienicę;

**dystalny:** daleki, w przypadku kości – położony dalej od środka ciała (przeciwieństwo proksymalnego), na przykład „dystalny koniec kości udowej”;

**entomolog:** naukowiec, który zajmuje się owadami;

**głowa kości udowej:** „kula” na proksymalnym końcu kości udowej;

**grzebień krzyżowo–biodrowy:** połączenie w kości miedniczej – u dorosłych kobiet zwykle szerokie, wydatne – gdzie kość krzyżowa łączy się z kością biodrową;

**guzowatość potyliczna zewnętrzna:** guz kostny położony u podstawy kości potylicznej, zwykle wydatny u mężczyzn, ale nie u kobiet;

**instar:** każdy z trzech etapów rozwoju czerwia (pierwszy instar, drugi instar, trzeci instar) charakteryzujący się specyficznymi cechami anatomicznymi, pomocny w określaniu czasu śmierci;

**kłykiec:** okrągły wyrostek lub zakończenie kości, znajdujący się zwykle w miejscu łączenia z inną kością (na przykład kłykiec kości udowej oraz piszczeli tworzą „zawias” kolana);

**kokon rzekomy:** twarda skorupa, w której larwy owadów przemieniają się w dorosłe osobniki; duże ilości kokonów muchy plujki można znaleźć przy rozkładających się ciałach lub szkieletach;

**koroner:** urzędnik, który bada przyczyny śmierci i wydaje akt zgonu, może posiadać wiedzę medyczną, ale nie musi;

**kostnieć:** zamieniać się w kość; szkielet noworodka zbudowany jest z chrząstki, która stopniowo kostnieje, wzmacniany wapniem i innymi minerałami;

**kość ciemieniowa:** kość znajdująca się po obu stronach czaszki, kość czołowa: kość tworząca czoło i górne krawędzie oczodołów;

**kość gnykowa:** mała kość w kształcie litery U znajdująca się z przodu szyi, często ulega złamaniu podczas duszenia;

**kość guziczna:** kość ogonowa, złożona z kilku (od trzech do pięciu) najniższych (dystalnych) kręgów;

**kość jarzmowa:** kość policzkowa;

**kość klinowa:** kość w kształcie litery U tworząca środkową część podstawy czaszki;

**kość krzyżowa:** trójkątna kość powstała ze zrośnięcia trzech do pięciu kręgów krzyżowych. Kość krzyżowa jest tylną częścią kości miednicznej;

**kość kulszowa:** dolna część kości miednicznej; część, na której siedzimy;

**kość łokciowa:** środkowa kość przedramienia; obejmuje ostrą guzowatość łokcia;

**kość łonowa:** przednia część kości miednicznej znajdująca się w miejscu, gdzie łączą się ze sobą dwie części kości miednicznej;

**kość miedniczna:** duża kość złożona z kości biodrowej, kości kulszowej i kości łonowej;

**kość potyliczna:** kość tworząca tył i podstawę czaszki;

**kość promieniowa:** boczna (od strony kciuka) kość przedramienia;

**kość skroniowa:** kość otaczająca ucho;

**kość strzałkowa:** mniejsza, boczna kość podudzia;

**kręg:** kość kręgosłupa;

**krętarz mniejszy:** mniejsza, środkowa nasada kości, tuż pod głową kości udowej;

**krętarz większy:** większa, boczna nasada kości, tuż pod głową kości udowej;

**lekarz sądowy:** lekarz, który współpracuje z wymiarami ścigania i sprawiedliwości. Jego zadaniem jest określenie przyczyny śmierci;

**linia Blumensaata:** kąt ułożenia tylnej powierzchni kości udowej, nazwany tak na cześć niemieckiego lekarza, który odkrył tę cechę. Obecnie wykorzystywany przez antropologów przy odróżnianiu negroidalnych kości udowych od kaukazoidalnych;

**mucha plujka:** opalizująca zielona lub niebieska mucha z rodziny Calliphoridae, która składa jaja w otworach lub ranach rozkładających się ciał, z jaj wykluwają się czerwie, żywiące się tkanką miękką;

**nasada kości:** część kości, zwykle jej koniec, oddzielona od centralnej części lub trzonu chrząstką; poszczególne nasady kostnieją w określonym, przewidywalnym czasie, co pozwala określić etap rozwoju i wiek szkieletu;

**ninhydryna:** substancja chemiczna używana do ujawniania odcisków palców; kiedy reaguje

z tłuszczami pozostałymi w odciskach, przybiera fioletową barwę,;

**oczodół:** jedna z dwóch jam w czaszce, w której mieści się gałka oczna;

**osteologia:** nauka o układzie kostnym;

**otwór wielki:** duży otwór znajdujący się na dole kości potylicznej, przez który przechodzi pień mózgu i rdzeń kręgowy;

**paliczki:** kości palców rąk i nóg;

**panewka stawu biodrowego:** zagłębienie w kości biodrowej, w której porusza się głowa kości udowej;

**patolog:** lekarz zajmujący się chorobami, szczególnie chorobami tkanek i organów; patolog sądowy przeprowadza sekcje zwłok, aby określić przyczynę i rodzaj śmierci;

**piszczel:** większa, środkowa kość podudzia; kość piszczelowa;

**poczwarka:** forma przejściowa owada między larwą i postacią dorosłą;

**pośmiertny:** taki, który miał miejsce po śmierci danej osoby;

**powierzchnia uchowata:** powierzchnia kości biodrowej w obszarze stawu krzyżowo–biodrowego;

**proces gnilny:** rozpad tkanek miękkich ciała, szczególnie w wyniku działania bakterii;

**proksymalny:** bliski, w przypadku kości położony bliżej środka ciała (przeciwieństwo dystalnego), na przykład „proksymalny koniec kości udowej”;

**przedśmiertny:** taki, który miał miejsce przed śmiercią lub w chwili śmierci, rozkład: proces rozpadania się lub gnicia ciała;

**skumulowana liczba stopniodni (accumulated degree days, ADD):** suma przeciętnej dziennej temperatury mierzonej w stopniach Fahrenheita lub Celsjusza; powiązanie etapów rozkładu lub rozwoju owadów ze skumulowanymi stopniodniami pozwala uwzględnić temperaturę przy obliczaniu czasu, który upłynął od śmierci;

**spojenie łonowe:** połączenie na środku kości miednicznej, gdzie spotykają się ze sobą prawa i lewa kość łonowa. Wygląd kości łonowej pozwala określić w przybliżeniu wiek szkieletu;

**szew:** w tej książce pojęcie odnoszące się głównie do połączeń kości w czaszce;

**szew wieńcowy:** połączenie w czaszce ciągnące się przez wierzchołek głowy od jednej strony (kości ciemieniowej) do drugiej;

**śródstopny:** dotyczący pięciu długich kości stopy znajdujących się między kostką i palcami;

**tłuszczowosk:** zwany też trupim woskiem, tłusta, przypominająca mydło substancja, która powstaje, gdy tkanka tłuszczowa rozkłada się w wilgotnym otoczeniu;

**topielec:** rozkładające się ciało znalezione w wodzie;

**wcięcie kulszowe:** szczelina w miednicy, przez którą przechodzi nerw kulszowy z dolnej części kręgosłupa; szersza u kobiet niż u mężczyzn;

**wyrośl kostna:** twór kostny powstający w wyniku zmian zwyrodnieniowych związanych ze starzeniem, przybiera postać postrzępionego zgrubienia na powierzchni kości;

**żuchwa:** dolna szczęka;

# Podziękowania

Wiele tysięcy ludzi przyczyniło się do powstania tej książki. Przede wszystkim chciałbym podziękować mojej matce, nieżyjącej już Jennie Bass – była moim światłem przewodnim od śmierci mego ojca aż po kres jej własnego życia, które zakończyła w 1997 roku, w wieku lat dziewięćdziesięciu pięciu. Po drugie, los obdarzył mnie trzema cudownymi żonami (nie naraz, oczywiście): Ann Owen, która była matką naszych trzech synów; Annette Blackbourne, która była mądrym doradcą w pracy i potrafiła pocieszyć mnie po śmierci Ann w 1993 roku, oraz Carol Miles, która zna mnie od dziecka. Carol znała zarówno Ann, jak i Annette, przyjechała do Knoxville, by zaopiekować się mną po śmierci Annette w 1997 roku. Szczęśliwie jest ze mną do tej pory.

Jestem wielkim dłużnikiem tysięcy – nie, dziesiątków tysięcy – studentów, którzy uczestniczyli w moich zajęciach na uniwersytetach w Pensylwanii, Nebrasce, Kansas oraz Tennessee, i dzięki którym zebrałem wiele nagród dla nauczycieli akademickich. Zawsze mówiłem, że mam dwie rodziny: biologiczną, złożoną z trzech synów, i akademicką, złożoną ze wszystkich studentów, którzy pomogli mi zrealizować te pionierskie badania; wielu z nich spotkaliście na kartach tej książki. Dziękuję również Donnie Patton Griffin, jednej z sekretarek Wydziału Antropologii Uniwersytetu Tennessee, która zapisywała raporty i przechowywała dokumentację setek śledztw i badań przeprowadzonych w czasie mojej pracy na uniwersytecie. Trupia Farma nie powstałaby bez nieustającego wsparcia ze strony zarządzających Uniwersytetem Tennessee. Wszyscy, od których zależały losy farmy, począwszy od dziekanów College of Arts and Sciences, macierzystego college'u wydziału antropologii, poprzez zarządców kampusu uniwersyteckiego w Knoxville, aż po rektorów całego Uniwersytetu Tennessee, udzielali mi zawsze pełnego wsparcia. Miło pracować w środowisku, w którym szanujesz i podziwiasz swoich przełożonych.

Niemal w każdym serialu telewizyjnym pojawia się motyw nieporozumienia lub konfliktu między naukowcami sądowymi a policjantami, prokuratorami, lekarzami sądowymi lub koronerami, z którymi współpracują. Jednak w ciągu pięćdziesięciu lat współpracy z członkami lokalnych, stanowych, krajowych i międzynarodowych organów ścigania i sprawiedliwości nigdy nie znalazłem się w podobnej sytuacji. Dziękuję im wszystkim za mnóstwo rzeczy, których nauczyli mnie podczas pracy w terenie, dotyczących dziedzin, takich jak podpalenia, balistyka, sądownictwo karne i wiele innych.

Szczególnie chciałbym podziękować moim trzem synom, Charliemu, Billy'emu i Jimowi Bassom,



którzy zawsze dodawali mi sił, zwłaszcza po śmierci Ann i Annette. Wszyscy trzej odnieśli życiowe sukcesy: te dolary za naukę nie zostały wydane na darmo!

Na koniec chciałbym podziękować Jonowi Jeffersonowi, którego umiejętności pozwoliły mi uczynić z tej książki interesującą opowieść. Jon został moim przyjacielem i prawdziwym członkiem rodziny Bassów.

*W.M.B. III*

Jak powiedział kiedyś Goethe (choć nieco zgrabniej), gdy tylko spalisz za sobą mosty i rzucisz się na coś, dzieją się cuda: opatrność ci sprzyja, otwierają się drzwi, zbiegi okoliczności pchają cię ku przeznaczeniu. Ta książka jest tego dowodem. Długo przed tym, jak ją poznałem, Cindy Robinson miała szczęście studiować u pewnego niezwykłego naukowca, dwadzieścia lat później podzieliła się opowieściami o doktorze Bassie i jego Trupiej Farmie ze mną, facetem, który miał szczęście ożenić się z nią. To właśnie Cindy, najlepszy czytelnik i najbardziej wnikliwy krytyk, jakiego znam, pomogła mi udoskonalić tę książkę.

Wielu ludzi towarzyszyło mi i dodawało otuchy podczas mej podróży przez krainę zmarłych, łącznie z parą, która przywiodła mnie do świata żywych. Bill i Gloria Jefferson nigdy nawet nie przypuszczali, że ich syn zajdzie tak daleko, lecz zawsze interesowali się moją karierą i zachęcali do pracy. Podobnie traktowali mnie Ben i Anna, moje dzieci, które również wybrały mniej uczęszczane ścieżki życia.

Mój bliski przyjaciel i kolega po fachu Steven Keeva opublikował moją pierwszą opowieść o doktorze Bassie i zagadkach kryminalnych, które doktor pomagał rozwiązywać. Steve również otworzył drzwi prowadzące do moich reportaży sądowych dla National Geographic

Society, wielokrotnie też dodawał mi wiary i nadziei, gdy mnie samemu zaczynało ich brakować. Równie mocno wspierał mnie John Hoover, dobry przyjaciel, wspaniały słuchacz i mądry doradca. Zawsze mogłem też liczyć na moich kumpli od piwa z Grupy Modlitewnej Środowego Wieczoru: Johna Craiga, J.J. Rochelle, Wendy Smith i Davida Brilla. David, świetny pisarz i wspaniały przyjaciel, przedstawił mnie Gilesowi Andersonowi, najlepszemu z agentów, który traktował ten projekt z inspirującym i zaraźliwym entuzjazmem. Giles z kolei poznał nas z Dannym Barorem, doskonałym międzynarodowym agentem literackim.

David Highfill, nasz redaktor w wydawnictwie Putnam, stanął na głowie, by pomóc nam zakończyć tę książkę, którą tak beztrósco mu obiecaliśmy. Robert Roper wielokrotnie mi doradzał i pomagał omijać liczne pułapki. Nancy Young wspaniałomyślnie udostępniła mi swoją przytulną chatę w górach Karoliny Północnej, gdy musiałem oderwać się od milionów wymówek, które odwodziły mnie od pisania.

Wkład Patricii Cornwell w popularyzowanie nauk sądowych w ogóle, a Trupiej Farmy w szczególności, jest nie do przecenienia. Wzbudzona przez nią fala podniosła naszą łódź równie

wysoko, jak jej helikopter podniósł nas na duchu w ten szary dzień, gdy zawisła z nami nad wierzchołkami drzew Trupiej Farmy.

Przede wszystkim dziękuję Billowi Bassowi i jego cudownej żonie Carol – uprzejmej gospodyni i przemiłej towarzysze. Bill zaproponował mi napisanie tej książki trzy lata temu – mam szczęście, że zostałem jego współpracownikiem. Jest to dla mnie nie tylko rzadki przywilej, ale i prawdziwa przyjemność. Będąc jednym z czołowych naukowców świata, pozostaje jednocześnie jedną z najpokorniejszych, najuczciwszych i najbardziej honorowych istot ludzkich. Nieodmiennie pogodny, zawsze pełen entuzjazmu, zawsze skory do pomocy, doktor Bass jest posiadaczem jednego z najwspanialszych serc – pomimo rozrusznika – jakie można znaleźć na tej pięknej planecie tętniącej życiem.

*J.W.J.*

Tytuł oryginału

*Death's Acre. Inside the Legendary Forensic Lab the Body Farm Where the Dead Do Tell Tales*

Copyright © 2003 by Dr. Bill Bass and Jon Jefferson

Copyright © for the translation by Janusz Ochab 2012

Projekt okładki

Magda Kuc

Fotografia na okładce

© Milan Lipowski

Opieka redakcyjna

Mariusz Gądek

Ewa Polańska

Bogna Rosińska

Adiustacja

Elżbieta Kot

Korekta

Ewa Polańska

ISBN 978-83-240-1719-5

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracowany na podstawie *Trupia Farma*, wydanie I, Kraków 2012

Plik opracował i przygotował Woblink

  
[www.woblink.com](http://www.woblink.com)